

EAGLE ELITE #4

DREAMTEAM

# ELICIT

RACHEL VAN DYKEN





PROLOGUE .....	3	CHAPTER 37 .....	164
CHAPTER 1 .....	5	CHAPTER 38 .....	169
CHAPTER 2 .....	7	CHAPTER 39 .....	171
CHAPTER 3 .....	12	CHAPTER 40 .....	174
CHAPTER 4 .....	17	CHAPTER 41 .....	178
CHAPTER 5 .....	20	CHAPTER 42 .....	181
CHAPTER 6 .....	24	CHAPTER 43 .....	186
CHAPTER 7 .....	27	CHAPTER 44 .....	189
CHAPTER 8 .....	31	CHAPTER 45 .....	194
CHAPTER 9 .....	33	CHAPTER 46 .....	197
CHAPTER 10 .....	37	CHAPTER 47 .....	203
CHAPTER 11 .....	45	CHAPTER 48 .....	207
CHAPTER 12 .....	51	CHAPTER 49 .....	211
CHAPTER 13 .....	54	CHAPTER 50 .....	218
CHAPTER 14 .....	58	CHAPTER 51 .....	222
CHAPTER 15 .....	64	CHAPTER 52 .....	228
CHAPTER 16 .....	74	CHAPTER 53 .....	230
CHAPTER 17 .....	80	CHAPTER 54 .....	235
CHAPTER 18 .....	86	CHAPTER 55 .....	240
CHAPTER 19 .....	92	CHAPTER 56 .....	244
CHAPTER 20 .....	94	CHAPTER 57 .....	247
CHAPTER 21 .....	99	CHAPTER 58 .....	249
CHAPTER 22 .....	103	CHAPTER 59 .....	251
CHAPTER 23 .....	109	CHAPTER 60 .....	256
CHAPTER 24 .....	111	CHAPTER 61 .....	258
CHAPTER 25 .....	115	CHAPTER 62 .....	261
CHAPTER 26 .....	118	CHAPTER 63 .....	264
CHAPTER 27 .....	121	CHAPTER 64 .....	268
CHAPTER 28 .....	124	CHAPTER 65 .....	272
CHAPTER 29 .....	127	CHAPTER 66 .....	274
CHAPTER 30 .....	129	CHAPTER 67 .....	280
CHAPTER 31 .....	133	CHAPTER 68 .....	284
CHAPTER 32 .....	138	CHAPTER 69 .....	286
CHAPTER 33 .....	142	CHAPTER 70 .....	289
CHAPTER 34 .....	148	CHAPTER 71 .....	292
CHAPTER 35 .....	152	CHAPTER 72 .....	295
CHAPTER 36 .....	159		

# SPIS TRESCI

OPRAWA GRAFICZNA: KLAUDIAA90



# PROLOGUE

## TEX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Elicit – Wywoływać/Wyzwać: Wydobywać lub wyciągać (reakcję, odpowiedź lub fakt) od kogoś w reakcji na czyjeś własne czyny lub pytania.*

*Ekzystencja/Istnienie: Skorumpowane serce wywołuje/wyzywa w przeciągu godziny wszystko co najgorszego mamy w sobie.*

Szał pożerał mnie kiedy rozglądałem się po budynku. Morze znajomych twarzy patrzyło wprost przeze mnie. Było tak jakby ostatnie dwadzieścia pięć lat mojego życia nie miało żadnego znaczenia.

Czy byłem dla nich niczym?

Niczym jak tylko żartem.

Realność mojej sytuacji uderzyła mnie pełną mocą, zdusiłem jęk kiedy walczyłem by zasysać długie, wyrównane oddechy nieświeżego, zakurzonego powietrza.

– To twój wybór. – Odezwał się miarowy głos przeszywając powietrze swą ostatecznością.

– Błąd. – Patrzyłem w betonową podłogę; kolor zgaszonej szarości pokryty był plamami krwi. – Gdybym naprawdę miał wybór, to wybrałbym śmierć w macicy. Utopiłbym się w wieku trzech lat. Zastrzeliłbym się gdybym miał taką okazję. Nie daliście mi żadnego wyboru i dobrze o tym wiecie.

– Nie boisz się śmierci? – Głos sztychł.

Powoli, uniosłem swoją głowę, napotykając wzrok Mo i wyszeptalem: – To życie. Życie przeraża mnie jak skurwysyn.

Pojedyncza łza spłynęła z jej policzka i w tamtej chwili widziałem co muszę zrobić. Mimo wszystko, życie polegało na wyborach. A ja właśnie miałem dokonać swojego. Bez wahania. Wyciągnąłem pistolet zza paska na plecach, wycelowałem w Mo i pociągnąłem za spust.

Z sapnięciem upadła na podłogę. Kula musnęła moje ramię kiedy uklęknąłem by zyskać na czasie i sięgnąć po półautomat na podłodze. Kiedy wstałem, wypuściłem serię amunicji;

dźwięk strzałów w beton, cegłę, ciała, krzesła i wszystko inne w linii ognia wypełniło mnie większym poczuciem spokoju niż kiedykolwiek w czasie mojego całego wojennego życia.

Ruszyłem w jego stronę, człowieka którego zamierzałem zabić, człowieka który sprawiał, że czułem jakby moja egzystencja nic nie znaczyła. Trzymałem broń przy jego piersi i ścisnąłem spust po raz ostatni. Kiedy upadł przede mną, to wciąż z uśmiechem na twarzy, wciąż z otwartymi, rozbawionymi oczami.

Chaos szalał wokół mnie a potem nagle wszystko ustało.

Kiedy się odwróciłem zauważyłem co najmniej z dwudziestu martwych i Nixona patrzącego na mnie jakby w ogóle mnie nie znał – bo może nigdy nie znał. A nie było to do bani?

Zrobił krok naprzód z ręką w powietrzu. – Tex...

– Nie – powiedziałem uśmiechając się ironicznie. – Nie Tex. Dla ciebie? – Wycelowałem i pociągnąłem za spust. – Jestem Capo.



# CHAPTER

# I

TEX

CZĘŚĆ PIERWSZA

DOJŚCIE DO WŁADZY

*Dwa tygodnie przed zejściem...*

– NIE! NIE! DOŚĆ! – Mo rzucała się i obracała we śnie, jej ręce latały po całym łóżku jakby starała się kogoś uderzyć – chociaż w zasadzie boksowała się jedynie z powietrzem.

Westchnąłem i złapałem jej pięści tak delikatnie jak mogłem i wyszeptałem do jej ucha, moje wargi cholernie blisko drżące z potrzeby pieśczości jej tak aby sprawić by poczuła się lepiej. – Mo, to tylko sen.

Jej długie rzęsy zatrzepotały kilka razy o jej skórę, prawdopodobnie oczyszczając się z obrazów jakie nawiedziły jej spoczynek.

– Sorki. – Jej wzrok opadł do moich rąk trzymających jej nadgarstki w powietrzu i wyszarpała je ode mnie i przesunęła na skraj łóżka. – To był tylko zły sen.

Mój dotyk kiedyś dawał jej ukojenie. Kiedyś go pragnęła – przynajmniej tak myślałem. To zawsze chodziło o mnie i o Mo. Byliśmy drużyną, dysfunkcyjną, ale drużyna to drużyna, prawda?

– Jest dobrze. – Skłamałem. Absolutnie nie było dobrze, że ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, że bała się mnie, że była w ciąży a ja zrobiłem wszystko co w mojej mocy aby jej to ułatwić – nawet jeśli było mi ciężiej z każdym dniem. – Zaśnij z powrotem a rano wszystko będzie wyglądać lepiej.

Ale nie będzie. Ona to wiedziała. Ja to wiedziałem. Do diabła, każdy kto znał nas i naszą rodzinę o tym wiedział. Sprawy nigdy nie wyglądają lepiej rano.

W zasadzie to preferowałem noc. Nie dlatego, że lubiłem spać – do cholery, jeśli nie potrzebowałbym snu to w ogóle bym tego nie robił. Zbyt wiele obrazów przybiegało przez mój umysł, scen śmierci, krwi i większej ilości śmierci. Ale prawdziwa pochraniona część? Nie byłem nawiedzany snami jakimi miała Mo – nie ja miałem dokładnie na odwrót. Śmierć

inspirowała mnie, kierowała mną, motywowała mnie. Do diabła, byłem tym po kim się tego najmniej spodziewano. Chase nawet miał problemy z niektórą brudną robotą.

Ale ja?

Byłem najgorszym rodzajem człowieka.

Ponieważ byłem rządzony krwią jak narkotyku.

Pragnąłem krwi. Pragnąłem wojny. Pragnąłem tego jak narkoman. I pałałem nienawiścią do czasów pokoju ponieważ one przypominały mi, że w zasadzie byłem sierotą. Niechcianym przez swoją rodzinę, niekochanym. A teraz? Niechcianym przez dziewczynę, którą poprzysięgłem kochać przez resztę swojego życia.

A więc kociaki? Mikołaje? Jednorożce? Owieczki? Nieee, nic z tego nie pasowało do moich snów.

Nigdy.

Mo odsunęła się ode mnie naciągając okrycia wokół swojego wątego ciała. Tak bardzo straciła na wadze, że było to aż niedorzeczne. Czy nie powinno się przybierać na wadze kiedy jest się w ciąży? To bolało kiedy nie chciała żebym poszedł z nią na wizytę lekarską. Ponoć powiedział, że żyje w stresie. No tak, jakbym cokolwiek mógł na to zaradzić. Robiłem wszystko co w mojej mocy aby naprawić rzeczy – naprawić nas – ją naprawić – naprawić rodzinę. Nic nie działało.

Nic nigdy. Do skurwysyna. Nie działało.

Bycie z Mo nie było tylko moją wewnętrzną równowagą, to było jakbym w końcu znalazł kogoś kto dopadł mnie, kto zrozumiał kim byłem, nawet jeśli postanowiłem całkowicie nie odstępować się przed nią. Jedno spojrzenie i wiedziałem, że ona wie. Całe to gówno, które działo się w mojej głowie, ale ona nigdy mnie nie męczyła, nie kazała niczego wyjaśniać, po prostu kochała mnie jaki byłem. A teraz, wszystko odeszło. Ja odszedłem. W zasadzie nic nie zostało.

Moja rola już nie spełniała swojego zadania. Wiem to już od jakiegoś czasu, bez chęci przyznawała się do tego. Ale znaki były oczywiste.

To był czas abym zajął swoje miejsce. Czas aby przywrócić koszmar do życia, zbudzić bestię, by być kim się urodziłem aby być.

Synem Vito Campisiego.



# CHAPTER 2<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAAA90 & NIUXI

*Marzenia uważa się za 1/60 proroctwa*

MIAŁAM TEN SAM cholerny sen przez ostatnie trzy dni z rzędu. Małe szczegóły się zmieniały. Raz byłam na otwartej przestrzeni, następnym razem w opuszczonym magazynie. I ostatni? Byłam w samochodzie Tex'a. Sen zaczął się normalnie, Tex i ja śmialiśmy się i żartowaliśmy, i nagle wystrzał rozbrzmiał na nocnym niebie i znalazłam krew na moich palcach.

Kiedy poprosiłam Tex'a o pomoc, potrząsnął głową i się roześmiał.

Powiedział, że sobie zasłużyłam.

I zawsze budziłam się z uczuciem, że tak jest. Zasłużyłam sobie. Jęknęłam i sięgnęłam po telefon, żeby sprawdzić godzinę. Była dopiero siódma rano. Tex i ja byliśmy z dala od rodziny od czterech dni. Spanikowali kiedy opuściliśmy ich w Vegas, ale nie byłam w najlepszym emocjonalnym stanie aby imprezować i robić dobrą minę. Nie byłam tak utalentowana jak mój brat. Ludzie zawsze mogli odczytać moje emocje. Na szczęście, Tex wiedział, że moja twarz mówiła za siebie, więc wywiózł mnie szybko z Vegas i wróciliśmy do Chicago. Jednakże był tak spanikowany moją nowiną, że zapomniał powiedzieć komukolwiek gdzie pojechaliśmy.

Więc naturalnie założyli, że nie żyjemy.

Bo kiedy pracujesz dla Mafii? Taa, to po prostu normalne założenie. To znaczy, jeśli Nixon znika, nie dzwonię po policję. Dzwonię do rodziny i rozkazuję torturowanie ludzi, aby odnaleźć miejsce jego pobytu. Zawsze zakładamy śmierć przed życiem.

Chujowo ale prawdziwie.

– Hej! – Tex zapukał do drzwi sypialni. – Masz już ochotę na śniadanie? Samolot wylądował kilka minut temu więc powinniśmy prawdopodobnie...

– ...się zbierać. – Wymusiłam uśmiech. – Jasna sprawa. Daj mi minutę.

Tex nie ruszył się ze swojego miejsca w drzwiach. Jego oczy mnie przyszpiliły; zawsze patrzył na mnie w ten sposób. Jak mężczyzna, który nigdy nie mógł się nasycić. Uwielbiałam to kiedyś. Teraz to wywołuje poczucie winy i ból żołądka.

Chciałabym, żeby było możliwe aby emocjonalnie przeżyć wspomnienia. Bo jeśli tak, chciałabym przeżyć wszystkie nasze wspólne.

– *Hej Mo, jesteś gotowa czy... a niech mnie.* – Tex wszedł do pokoju, jego twarz była całkowicie surowa. – *Mo, wyglądasz...*

– *Sory.* – *Zarumieniłam się, zakładając włosy za uszy.* – *Nowy strój kąpielowy na wakacje. Podoba ci się?* – *Położyłam ręce na biodrach i zrobiłam mały obrót. Zawsze chciałam mieć białe bikini ale mój ojciec zabraniał – aż do teraz. Był martwy i mogłam nosić cokolwiek do diabła, chciałam. W granicach rozsądku, co jest dokładnie tym co powiedział Nixon kiedy zobaczył mnie zamawiającą rzeczy na stronie Victoria Secret.*

– *Podoba? Kurewsko to uwielbiam.* – Tex zamknął drzwi za sobą i podszedł powoli do mnie, jego oczy skupiły się na moich biodrach, potem brzuchu i w końcu spoczęły na moich piersiach. Kiedy mnie dosięgną, to nie było delikatne dotknięcie skóry czy pieszczenie z miłością. Nie, Tex taki nie był. Nie był delikatny; robił to ostro, władczo, posiadająco – cały alfa, żadnych przeprosin.

Więc kiedy złapał moje ciało i przyciągnął je do swojego, oczekiwałam jego palców przesuwających się do sznureczków utrzymujących strój, zamiast tego złapał moja twarz w dłonie i wyszeptał w moje usta: – *W całym moim życiu nie widziałem nic tak pięknego.*

*Ciepło rozgrzało mi policzki.*

– *To tylko strój.*

*Jego wzrok stwardniał.*

– *Mo, słuchaj co chcę powiedzieć. Nic nie jest tylko strojem na tobie. Ty nie nosisz po prostu dżinsów, nie nosisz tylko cholernych t-shirtów. Wszystko co wkładasz na swoje ciało jest tak pieprzenie piękne, że nie wiem czy mam cię gdzieś ukryć czy korzystać z patrzenia na ciebie, czy po prostu wziąć cię, żebyś wiedziała do kogo należysz.*

*Zadrzałam w jego ramionach.*

– *I na wypadek gdyby kiedyś padło to pytanie.* – *Jego ręce przesunęły się z mojej twarzy w dół do sznureczków podtrzymujących moje majtki razem. Z delikatnym szarpnięciem, opadły na podłogę.* – *Jesteś. Moja.* – *Zamrugałam w zaskoczeniu kiedy jego palce pracowały nad sznureczkami stanika, dopóki nie dotoczyły do dołu na ziemi.* – *A teraz spójrz na siebie i powiedz mi, że nie widzisz perfekcji. Powiedz, że nie widzisz...* – *Poprowadził mnie do lustra i przesunął włosy, całując moją szyję, kierując się do ramion.* – *... jak kurewsko piękna jesteś.*



*Niepewnie, odwróciłam wzrok.*

*Tex sięgnął wokół mojego ciała i chwycił mój podbródek, zmuszając mnie, żebym na siebie spojrziała.*

*– Dobra, jeśli nie potrafisz zobaczyć tego sama, spójrz w moje oczy. Spójrz na moją twarz. To jest twarz faceta całkowicie niespełnionego. Ty nie robisz tego tylko mi. – Przysunął swoje ciało do mojego, więc mogłam poczuć dowód jego pragnienia. – Sprawiasz, że nie chcę nigdy opuścić tego pokoju. Nigdy. Twoje piękno jest czymś co należy pielęgnować. Nigdy w to nie wątp, nie mnie, nie po zobaczeniu cię takiej. – Powoli, odwrócił moje ciało, tak, że stałam z nim twarzą w twarz. Każdy twardy skrawek jego ciała krzyczał, kiedy naciskał na mnie, czekając na uwolnienie. Zamiast zrobić to czego mogłam spodziewać się po Tex'ie, on pocałował mnie delikatnie w usta i odsunął się, nawet jeśli wiedziałam, że to dla niego bolesne. – A teraz załóż coś na siebie, spóźnimy się na kolację.*

*Byłam naga, chciałam go, a on odchodził?*

*– Ale...*

*– Nasz czas nadejdzie, Mo. – Mrugnął. – Wciąż jesteś świeżakiem w tym roku i Nixon kurewsko mnie zamorduje jeśli choćby dowie się, że jestem tu z tobą, sam na sam z tobą, nagą i dającą mi te sugestywne spojrzenie. Wierz mi, jestem tak pobudzony, że nie myślę jasno, ale teraz, jesteś pod opieką Nixon'a. Pragnę cię – ale tylko jeśli nie zastrzeli mnie zanim będę cię mieć. – Z kolejnym mrugnięciem, wyszedł przez drzwi, delikatnie zamykając je za sobą. I to był pierwszy raz z wielu, kiedy Tex wybrał nie spanie ze mną. Zamiast tego, uwodził mnie słowami, spojrzeniami, dotykiem – rzucił na mnie klątwę zanim w ogóle miałam wybór.*

*Tex wskazał w stronę łazienki, wyciągając mnie z zamyślenia.*

*– Dasz sobie radę sama czy...? – Podrapał się po głowie i założył ręce na piersi.*

*Roześmiałam się.*

*– Jestem dopiero w czwartym tygodniu, Tex. Myślę, że mogę dojść do łazienki bez upadania na twarz.*

*– Jasne. – Jego oczy się zwęziły. – Jeśli jesteś pewna.*

*– Tex. – Urwałam. – Spójrz, doceniam twoją pomoc, ale po prostu... przestań. – Przestań sprawiać, że czuję się winna. Przestań patrzeć na mnie jakbym była uszkodzona! Po prostu przestań! Spójrz na mnie jak wcześniej. Jak obiecałeś, że zawsze będziesz! Nagle chciałam rozbić każde lustro w pokoju. Utknęłam w największym bagnie z możliwych i nawet nie mogłam powiedzieć mu prawdy.*

*Mięśnie zadrżały w jego szczęce kiedy robił dwa wielkie kroki w moją stronę.*



– *Nie*. Nie przestanę bo mówisz, że jest w porządku. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Nie mam do cholery pojęcia co robię, dobra? Mogę być dupkiem, ale martwię się o ciebie, więc wybaczone pytam w każdej cholernej sekundzie dnia czy dajesz sobie radę. *Ja* mam problem z dawaniem sobie rady, a to nie moje ciało przez to przechodzi, w porządku? Więc jeśli pytam co pół sekundy jak sobie radzisz, nie bądź suką, Mo. Dobra? Poza tym... – Odsunął się i odetchnął z kolejnym przekleństwem. – Teraz jestem twoim najlepszym wyborem, w końcu dzieciak nie jest nawet mój a się do niego przyznaję.

Łzy zebrały się w moich oczach i emocje zaległy w tyle mojego gardła kiedy próbowałam znaleźć swój głos.

– Tex, przepraszam. Ja po prostu...

– Daruj sobie. Krzycz jeśli będziesz mnie potrzebować. Zrobię kawę. – Zatrzasnął drzwi za sobą, zostawiając mnie w ciszy.

Może to był powód moich koszmarów. W całym moim życiu, Tex, którego znałam, nigdy nie trząsał mi w twarz drzwiami. Nie podnosił głosu, nigdy... i mam na myśli *nigdy*... nie podchodził do mnie z głosem podniesionym więcej niż o oktawę.

Ale teraz? Wydaje się jakby cała moja egzystencja go rozwścieczała. Nie był tym samym mężczyzną, którego znałam całe życie... co rodziło pytanie, czy kiedykolwiek był tą osobą, jaką myślałam, że jest? Albo kim chciałam, żeby był? Kim jako rodzina, potrzebowaliśmy, żeby był?

Wojna zmienia ludzi... ale z Texem, myśl grała na zwłokę, *co jeśli tylko czekał, żeby zastrajkować?*

Co jeśli...

Zaprosiliśmy wroga do naszego własnego domu.

Tylko, żeby zostać zinfiltrowani od środka.

Rzeczy przyciągały moją uwagę od ostatnich trzech tygodni, niepokojące rzeczy... jeśli były prawdziwe. Żułam moją dolną wargę w głębokim zamyśleniu.

– Mo! – Tex krzyknął przez drzwi z drugiej ich strony. – Trzydzieści minut, no dawaj, w końcu chcesz wyglądać jak najlepiej.

Zasalutowałam do drzwi moim środkowym palcem, w drodze do łazienki. Moje odbicie mnie zabije. Naprawdę. Bo na zewnątrz wyglądałam tak samo. Ciemne, jedwabiste włosy, opadające na moje plecy, niebieskie oczy, ostra, kobieca szczeka, wysokie kości policzkowe i oliwkowa skóra, za którą jestem pewna, że dziewczyny by zabiły... po prostu mam nadzieję, że nie mnie. Przykre, że ta myśl rzeczywiście zaświtała mi w głowie. No i znowu, miałam wiele gróźb w życiu przez ostatnie tygodnie, po prostu więcej sekretów do ukrycia przed wszystkimi.



Podniosłam koszulkę i poklepałam się po płaskim brzuchu. Jak to będzie wydać na świat dziecko w rodzinie wojny, zamiast pokoju? Czy moje dziecko, a nawet Tex'a będzie mieć szansę z informacją, którą właśnie posiadałam? Czy to w ogóle uczciwe wydawać na świat niewinność w naszych zakrwawionych dłoniach?

Potrząsnęłam głową i starałam się z tego otrząsnąć. Nixon będzie oczekiwał swojej siostry, typowej mądrali, sarkastycznej, trochę narcystycznej, ogólnie bólu w jego dupie. A teraz zachowałam się jak Kłapouchy.

– Otrząśnij się, Mo. – Wzięłam kilka oddechów i odwróciłam się do prysznicza.

Czas wziąć prysznic.

Czas nabrać ich wszystkich.

Znowu.



# CHAPTER 3 TEX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Krew jest zawsze wymowna. Posiada klucz do naszej egzystencji. Władą twym  
życiem i ostatecznie twą śmiercią.*

ZŁAPAŁEM KUBEK Z KAWĄ tak mocno, że moja dłoń zabolęła. Oparzenie płynem przez porcelanę było jedyną rzeczą, która sprawiała, że czułem się lepiej. Świetnie, oficjalnie zamieniałem się w masochistę. Cholera, może zawsze nim byłem. Zawsze wracałem do Mo i modliłem się, żeby rzeczy miały się inaczej.

Ale za każdym cholernym razem było tak samo.

Oferowała mi spokój.

Kiedy go potrzebowałem.

A potem zniknęła i zdradziła, nie żebym mógł stanąć na pierwszym miejscu na podium, biorąc pod uwagę, że zdradziłem pierwszy. Ale wciąż, zdradziłem raz, żeby zdobyć informacje, nie dlatego że podobało mi się głuchnięcie przez kogoś, kto pachniał jak tanie perfumy i nakładał czerwoną szminkę na zewnątrz ust. Wzdrygnąłem się i wziąłem kolejny łyk kawy. Drugi raz kiedy zdradziłem było celowo, żeby wkurwić Mo. Lepsze niż złamanie jej serca. Przynajmniej jeśli byłaby wkurwiona, mogłaby mnie postrzelić i dać sobie spokój, ale to był gigantyczny błąd, wiecie bo wciąż kurewsko miałem obsesję na jej temat i w ogóle. Racja, dobry ruch Tex, spraw żeby cię znienawidziła wystarczająco mocno, żeby przespać się z jakimś kurewskim draniem, wystarczająco głupim, żeby ją zapłodnić. Kurwa. Czy w ogóle badała się na jakieś weneryczne gówna? Jak w ogóle poruszyć z nią tą rozmowę? Drżąc, wziąłem kolejny długi łyk. Na szczęście, zrobiłem ją mocną. Cholera, prawdopodobnie powinienem dodać do niej whiskey... Nixon będzie tego potrzebować.

Wszyscy będziemy potrzebować po wyjawieniu tego gówna.

Sprawdzałem telefon, kiedy Mo wpadła jak burza do kuchni. To jest to co robi. Wpada jak burza. Nigdy nie robi czegoś tak pospolitego jak chodzenie. To dla niej niemożliwe. Każdy ruch był płynny, celowy, pełen gracji. To było rozprasające jak cholera kiedy osoba, w której jesteś zakochany, porusza się jak jakaś bogini z mitologicznych opowieści.

Była moją Afrodytą.



Moją Ateną.

Kurewsko czciłem tą kobietę.

Ale nasze relacje były w tej chwili jakby frajer chciał zaprosić na randkę popularną dziewczynę, myślę, że w istocie, żal jej było mnie. Ale znowu, nigdy nie dałem jej poznać prawdziwego mnie, więc może to była moja wina.

– Tex? – Mo zbliżyła się, przechylając głowę na bok. Czarne włosy wirowały na jej ramionach. – Słyszałeś co powiedziałam?

Nope, byłem zbyt zajęty tymi rozprasającymi biodrami.

– Wybacz, myślałem o tym co powiedzieć.

Brwi Mo złączyły się razem.

– Wystarczy trzymać się historii, prawda?

– Prawda – powtórzyłem. Cholera, nie zdaje sobie nawet sprawy, że z każdym spojrzeniem pociąga kolejnym sznurkiem, byłem jak marionetka i nienawidziłem tego porównania bo czułem się jak marionetka przez całe swoje życie. – Po prostu powiem, że jesteśmy zakochani.

Mo skinęła powoli, jej oczy wypełniły się łzami.

– I że spieprzyłem. – Moje zęby się zacisnęły. – Że jestem tak kurewsko zakochany w tobie, że nie użyłem kondomu? To chcesz, żebym powiedział? Pomóż mi bo naprawdę myślę, że to nie jest dobry plan, Mo. Oczywiście jeśli chcesz bym żył w dającej się przewidzieć przyszłości.

Mo wyróciła oczami, łzy zamieniły się w rozbawienie.

– Cóż, może nie używaj słowa kondom.

– Racja. – Posłałem jej uśmiech. – Co ty na to, żebym powiedział, że chciałem pobić w *czymś* Nixona, więc zdecydowałem się zaciążyć jego bliźniaczkę?

Po tym Mo roześmiała się w głos.

– Ty, co? – Głos warknął od drzwi.

Zamknąłem oczy i zwiesiłem głowę, kiedy twarz Mo zamarła w uśmiechu przede mną. Racja, zakochani. Szczęśliwi z powodu dziecka. Szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi. Zastrzel mnie w zjebane ryło.

Odwróciłem się i otworzyłem ramiona.

– Przyjaciele! Wróciliście!

– Co. Do. Cholery. Właśnie powiedziałaś? – Nixon ryknął, rzucając swoje torby tak mocno na blat, że spadły na krzesło, które prawie wyleciało przez okno. Ręce zacisnął w ciasne pięści kiedy kroczył w moim kierunku.

– Przyjaciele? – Zaoferowałem, stając przed Mo. Jeśli Nixon wyciągnie broń, przyjmę kulę. Wiedziała to, ja to wiedziałem, Nixon najprawdopodobniej wiedział to, co prawdopodobnie oznaczało, że zostanę zastrzelony w ciągu kilku sekund.

Nixon złapał mnie za koszulkę i pchnął mnie na blat. Twardy granit wbijał mi się w plecy przez co się skrzywiłem. Pchnął mocniej; moja skóra zostanie przetarta do mięsa, jeśli nie przestanę tego robić. Pchnąłem trochę, żeby dać nam odrobinę miejsca. Byliśmy całkiem dopasowani wysokościowo i siłowo. Mógłbym walczyć, ale wisiąłem mu to. Nie mógł uderzyć gościa, który rzeczywiście zaciążył jego siostrę, więc równie dobrze może użyć mnie jak worka treningowego. Ha! Historia mojego życia. Pieprzony worek treningowy Abandonato. Fantastycznie.

– Co zrobiłeś? – Głos Nixon'a był cholernie blisko stłuczenia wszystkich okien, kiedy znów uderzył moim ciałem o blat. Granit zadrapał moje plecy trzeci raz, ostre ukłucie bólu w plecach powiedziało mi, że skóra została przerwana. Tak, zacznę krwawić na podłogę w każdej sekundzie.

– Nic. – Mo odpowiedziała za mnie. Spojrzałem ponad Nixon'em na nią. To moja walka, nie jej, bo ona zrobiła ją moją, więc musi pozostać do cholery, z dala od tego i pozwolić mi się bronić.

– Naprawdę nie można nazwać zajścia w ciężę niczym, Mo, ale każdy myśli inaczej. – W chwili kiedy moje usta uformowały uśmiech, otrzymałem cios w szczękę, potem kolejny. Moja dolna warga była przebita przez moje własne zęby, powodując, że krew spływała z mojej brody.

– Nixon, przestań! – Mo zawodziła. – Proszę.

Metaliczny smak krwi wypełnił moje usta. Z szarpnięciem, Nixon mnie puścił. Złapałem najbliższy ręcznik i wytarłem twarz.

Chase wszedł do kuchni z podniesionymi dłońmi.

– Nixon, wrzuć na luz.

Taaa, czegoś takiego raczej się nie mówi szefowi.

Nixon odwrócił swoje wypełnione gniewem oczy na Chase'a i wyciągnął broń.

– Nie wtrącaj się.

– Nixon! – Trace pchnęła Chase'a ze swojej drogi i stanęła przed spluwą, która była wycelowana w serce Chase'a. Aww, rodzinne dramaty. – Odłóż broń! Daj im mówić.



– Trace... – Szczęka Nixon'a się napięła, zęby zacisnęły razem. – Trzymaj się do cholery z dala od tego.

– Nie. – Założyła ręce na piersi. – Nie dopóki nie odłożysz broni. – Przysięgam, jego lodowo niebieskie oczy zmieniły się na kolor dogłębnie Szatański, migając całkowicie na czarno, zanim pomachał bronią dookoła.

– Czy nikt mnie już nie słucha? – Nixon popatrzył po pokoju. – Jeśli będę chciał strzelić Chase'owi w twarz za obronę Tex'a, to to zrobię. Jeśli będę chciał zastrzelić Tex'a za dotknięcie mojej siostry, zrobię to. Jestem bossem. Zasady się nie liczą, a w tej chwili zmieniłem strefę czasową i jestem trochę wkurwiony przez tego debila... – Wskazał bronią na mnie, tak w przypadku jakby były jakieś wątpliwości jakiego debila ma na myśli. – ... który w zasadzie dopiero co przyznał, że zaciążył moją siostrę – Jakby pamiętając o walce z początku, Nixon wypuścił niski jęk i podszedł znów do mnie. Tym razem pistolet skupił się jak światło latarni na mojej głowie. – Powiedz mi, że nie jest w ciąży. Powiedz mi, że nie zrujnowałeś życia mojej siostrze. Powiedz mi, Tex. Powiedz.

Zerknąłem na broń.

– Naprawdę zamierzasz zabić ojca swojej wkrótce–tu–będącej siostrzenicy lub siostrzeńca?

Nixon się zawahał, zmrużył oczy.

– Nie powiedziałem, że cię zabiję. Mogę cię postrzelić i wciąż będziesz w idealnym porządku, może chodzący z laską ale w sumie to może służyć ci za przypomnacz, żeby nie robić głupiego gówna. Nie uważasz, Tex?

Znałem Nixon'a całe życie.

Nie blefował.

Kiwnąłem na zgodę i przygotowałem się na uderzenie.

– Dawaj.

Zacisnął zęby kiedy złapał moją koszulkę w wolną rękę i przycisnął lufę broni do mojego ramienia.

– Nie przejmuj się jeśli to zrobię.

Strzał zabrzmiał w kuchni jak wystrzał bomby.

Uderzenie paliło jak diabli. Kula utknęła gdzieś pomiędzy moim obojczykiem a ramieniem.

Wszyscy zaczęli krzyczeć.

Ale ja utrzymałem wzrok Nixon'a.

Nie mrugnąłem. Nie krzychałem. W ogóle nie wydałem żadnego dźwięku. Byłem zabójcą. Zabójcy nie płaczą. Made man nie płaczą. Jedyne potomek *Cappo*? Nie płacze.

Płyn zaczął zabarwiać moją koszulkę i kapać w dół na moją pierś i brzuch kiedy czekałem aż Nixon coś powie... cokolwiek. Prawdopodobnie powinienem przestać krwawić zanim zemdleję.

– Wyczyść się. – Nixon wepchnął ręcznik w moje ręce. – Spotkaj się ze mną w salonie za kwadrans. – Rzucił broń na ladę i złapał Chase'a za ramię. – Wyciągnij kulę i weź trochę morfiny z zapasu, ale nie dawaj mu zbyt wiele. Chcę, żeby czuł każde cholerne dźgnięcie.

Kiedy Nixon wyszedł z pokoju, zrobiłem coś, co zawsze robiłem w rodzinie, żeby rozładować napięcie; zażartowałem.

– Witaj w domu Nixon!

Mo jęknęła w dłonie obok mnie, kiedy Chase delikatnie złapał moje ramię i rozerwał koszulkę, żeby móc zerknąć w ranę.

– Tex, twój humor nie pomaga w sytuacji, nie tym razem.

– Rozbawił Trace. – Wskazałem moim zdrowym ramieniem.

Chase spojrział za siebie i wzruszył ramionami.

– Ona się nie liczy, śmieje się na reklamach i do motyli. – Odwrócił się do mnie i zamarł.

Uśmiechnąłem się kiedy Trace wycelowała z spluwy w jego plecy.

– Co mówisz, Chase?

– Cholera, ale ta rodzina jest brutalna. – Mil powiedziała z rogu blisko drzwi. – Ale serio Trace, odłóż broń. Chcę, żeby mój mąż żył, tak by mógł zapłodnić mnie pewnego dnia. – Mrugnęła.

Chase zbladł.

– Mil – bełkotałem, kiwając głową jak piesek z tylnej szyby w samochodzie zabójcy. – Mówiłem ci jak mocno cię kocham? Bo tak jest, naprawdę.

Mil wyróciła oczami.

– Krwawisz na drewno, twarde. Pozwól Chase'owi oczyścić cię i naćpać. Trace i ja zrobimy popcorn i przyniesiemy whiskey.



# CHAPTER

# 4<sup>th</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Kłamstwa są niemal niemożliwe do powtórzenia, ponieważ za każdym razem gdy kłamiesz, twój mózg nie tworzy wspomnień możliwych do odtworzenia.*

Chase zebrał Tex'a z pokoju, najprawdopodobniej dlatego aby uchronić nas przed wysłuchiwaniami bluźnierstw jakie nastąpią kiedy będzie wyciągał kulę z ramienia Tex'a. Zadrżałam. Moja wina. To wszystko było moją winą.

Jeden głupi wybór.

Jedna chwila słabości.

– *O co chodzi dolce ragazza? – Wziął moją rękę w swoją i pocałował moją otwartą dłoń. – Twoja buzia zazwyczaj nie jest taka smutna?*

*Wzruszyłam ramionami. – Sam wiesz, życie mafijnej księżniczki, zbyt wiele dramatu i połamanych koron.*

*Zrzedła mu mina, zawsze myślałam o nim jak o jakimś tragicznym bohaterze. Sposób w jaki ukształtowane były jego rysy twarzy sprawiały, że wyglądał jak żołnierz albo bohater Okrągłego Stołu Króla Artura czy coś. Zawsze się też zachowywał w ten sposób. Jakby był bohaterem. Taka szkoda, że znałam wszystkie jego sekrety. Uniósłam wzrok patrząc mu ponownie w oczy. Zdecydowanie ze szkodą, ponieważ on był wspaniały.*

– *Siadaj. – Rozkazał. – Pij.*

– *Picie nie pomoże – powiedziałam oschle. – Wierz mi.*

– *Wino. – Przysunął bliżej butelkę. – Zawsze pomaga, no nie?*

– *Tak.*

– *Nie? – Zażartował i mrugnął okiem. – Serio Monroe, powinnaś bardziej o siebie dbać.*

– *Racja. Umówię się na ten pedicure kiedy wrócę do domu. Szczęśliwy? – Popchnęłam kieliszek z winem w jego stronę. Wszyscy byli już w łóżkach ale ja byłam rozbudzona. Rozbudzona i aż nadto świadoma, że Tex przyprowadził sobie kolejną dziewczynę.*

*Słyszałam jej jęki.*

*Słyszałam jej krzyki.*

*A potem one przemieniły się w moje własne kiedy nie mogłam już tego znieść i musiałam wynieść się z domu.*

*Jedynym miejscem, do którego mogłam pójść a było w zasadzie bezpieczne należało do mojej rodziny. To była jedna z naszych wielu inwestycji. Wyszukany bar z grillem kilka kilometrów od domu na jednym z przyjemniejszych osiedli mieszkaniowych. Wiedziałam, że niektórzy z naszych ludzi będą tam by upuścić pary. Rozpoznają mnie i jeśli ktoś próbowałby czegoś, to go zastrzelą a potem będą zadawać pytania.*

*Nie spodziewałam się, że ON tam będzie. Rzadko pokazuje się publicznie.*

*I właśnie wtedy to mnie uderzyło.*

*– Nixon cię przysłał, mam rację? – Oblizawałam usta i wpatrywałam w czerwony płyn, którym napelniał mój kieliszek.*

*Nie odpowiedział od razu, w zamian jego silna ręka sięgnęła po nóżkę kieliszka, jego palce owinęły się wokół niej, pieszcząc gładką powierzchnię przez moment. – A jeśli tak?*

*Wzruszyłam ramionami.*

*Pochylił się na tyle, że mogłam wyczuć ciepły kłęb zapachu miodu i whisky w jego oddechu. – A jeśli nie?*

*– Wtedy... – Mój głos zadrżał. – To znaczy, że mnie śledziłeś? Jak jakiś natręt?*

*– Natręt. – Zaśmiał się i wrócił na swoje miejsce. – Podoba mi się dźwięk tego. Prześladowca klejnotu rodziny Abandonato.*

*Wywróciłam oczami.*

*– No co? – wyszeptał zakładając mi pasemko włosów za ucho. – Nie mów mi... myślisz, że jestem pełen gówna. – Jego usta musnęły to samo ucho. – Kiedy tak naprawdę, obserwowałam cię całe twoje życie. Zawsze blisko. Zawsze gotowy by zaatakować. Zawsze gotów, gotów na właściwy czas...*

*– Czas? – Zassałam powietrze. – Czas do czego?*

*Odsunął się, jego oczy przesunęły się na moje usta.*

*– Czas kiedy twoja rodzina wypowie moje imię – kiedy ty w końcu będziesz potrzebowała mnie.*

*– I teraz jest ten czas?*



– Ten czas był sześć miesięcy temu. – Jego głos się obniżył. – Ale jestem cierpliwym człowiekiem.

*I to było to. Zwolnił swój uścisk na mnie, jego zmysłowe spojrzenie omiotło ludzi wokół nas a potem wskazał na mój kieliszek.*

– Pij Monroe, mamy sporo do obgadania.

– Mo? Wszyscy w salonie już czekają. Myślałam... – Głos Trace się urwał. – Cóż, myślałam, że chciałyby się upewnić, że Nixon go nie zabija.

– No tak. – Przytaknęłam. – Zaraz tam będę.

Z drżącymi rękami wyciągnęłam swój telefon i wysłałam jedną, prostą wiadomość.

*Ja: Zrobione.*

On odpowiedział momentalnie.

*D: Dobrze. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Jesteś Abandonato mimo wszystko. Tyle ile to jest warte... dziękuję.*

*Ja: Nie ma o czym mówić.*

# CHAPTER

# 5

TEX

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

## *Obrywanie kulka ę boli. Kropka.*

Oblizalem wargi i skrzywilam sie kiedy staralem sie prosto ustać. To zaboli. To bylo pewne. Po prostu zastrzelenie mnie nie zaspokoi Nixona. Gdyby zamienić role – zrobilbym dokładnie to samo, być może gorzej, ponieważ byłem zaborczym skurwysynem i kochałem Mo z całego serca. Cóż, przynajmniej sercem, które nie było w Piekle za wszystkie zbrodnie jakie popelnilem.

– Prawda. – Nixon chodzil w te i z powrotem przede mna. – Cala, musze ja uslyszec.

Mo zatoczyła sie wchodząc do pokoju, jej twarz była blada. Puścilem do niej oczko by dodac jej otuchy. Miałem to, miałem ja. Nie zawiódlbym jej.

– Kocham ja. – Pokiwalam glowa. – Popelnilem blad. Bledy sie zdarzaja. Prezerwatywy nie daja stuprocentowej ochrony i...

– Proszę... – Nixon uniosl rękę w powietrze. – ... oszczedź mi lekcji odnośnie współżycia. Dość jasne, że jesteś ostatnią osobą, która powinna udzielac porad w dziedzinie bezpiecznego seksu.

W pokoju zapanowała napięta cisza. Mój głos się łamał.

– To w zasadzie wszystko. Nie mów mi, że nie byłeś świadom naszych... zajęć pozalekcyjnych.

Brwi Nixona wystrzeliły w górę, przysięgam miał je niemal na czole.

– Myślisz, że o to się wściekam?

Przy moim boku Chase jęknął i odsunął się o krok z linii ognia.

Nixon się roześmiał ale raczej nie był rozbawiony.

– Ty skurwysynie. Powinienem po prostu skończyć twoje życie w tej chwili. Powiedz mi żebym tego nie robił Chase.

Chase nie odezwał się słowem. Skurwiel.



Zerknąłem w moje prawo. Chase wciąż miał obojętną minę. Super. Oficjalnie nie miałem fanów. Nawet Mil i Trace milczały. *Dzięki Mo, no naprawdę, zajebicie jest być znienawidzonym przez jedyną rodzinę jaką się ma by chronić ciebie i nienarodzone dziecko jakiegoś gnojka.* Super uczucie. Wszystko było cacy. Całkowicie sobie na to zasłużyłem. Tak czy siak, byłem Campisi; zawsze kuźwa spowodujemy zamęt.

– Ty – Nixon wyszczał – byłeś w łóżku z dwiema dziewczynami, nie jedną, dwiema. – Jego nozdrza zapłonęły. – Nie dalej jak trzy tygodnie temu. A więc bardzo cię przepraszam, że jestem nieco wkurwiony, że posuwałaś moją siostrą podczas gdy posuwałaś każdą dziwkę w promieniu pięćdziesięciu mil! – Jego pięść zaczęła śmigać uderzając mnie prosto w żołądek. Skuliłem się i puściłem pawia kiedy uderzał mnie raz za razem.

Nie byłem już w stanie dłużej się utrzymać więc upadłem na podłogę, trzymając się za brzuch żebym znowu nie zwymiotował.

– Dość. – Mo odezwała się cicho. – Nixon. Dość.

– Nigdy – wykrzyczał ochryłym głosem – nie będzie dość. Nigdy. Słyszysz mnie? – Znow rzucił się na mnie ale powstrzymał go Chase bo najwyraźniej nie był znow taki bez serca jak z początku założyłem.

– Odejdź Nixon. – Chase złapał Nixona za barki i skierował w stronę drzwi. Ale Nixon, nie miał takiego zamiaru, walczył z Chasem jakbym był winny śmierci Mo a nie zaciężenia jej. Były gorsze rzeczy na świecie, no nie? Mam na myśli, czy nie stawiamy czoła śmierci każdego dnia?

– Nixon. – Mo odchrząknęła; jej głos zdawał się drzeć. A niech to, ona bała się własnego brata. – Tex nie zrobił niczego złego. Po prostu dał mi to o co go poprosiłam.

*Że co?*

Łał, dobrze wiedzieć, że historia zmieniła się z czegoś totalnie wiarygodnego do masowego obłądu – byłem tak pewny jak martwy.

– O czym ty mówisz? – Złość wyparowała z deka z Nixona głosu.

Mo wzruszyła ramionami.

– Tęskniłam za nim. Przespaliśmy się. Raz, przez wzgląd na stare czasy. To wystarczyło. To nie wina Tex'a. To ja go uwiodłam.

No, zajebicie bym chciał być częścią tego uwiedzenia. Uwielbiałbym to. Taka szkoda, że to się nie zdarzyło, ponieważ Mo była paskudną, małą kłamczuchą.

– W zasadzie to go zaatakowałam. – Opuściła wzrok na swoje stopy. Czy ona się rumieniła? Poważnie? – On tak naprawdę to nie miał wyboru innego jak zaspokoić mnie... i my wszyscy znamy Tex'a, on nie wybiera siebie. Zawsze wybiera mnie, za każdym razem, aż

do przesady. Jestem jego słabością. – Coś odnośnie tego w jaki sposób to powiedziała nie leżał mi. Bo jeśli ona by to wiedziała, inni wiedzieli, to znaczyłoby, że byłem wielką dupą kurczaka, leżącą środkiem drogi wprost pod nadjeżdżającą ciężarówką.

A niech ją. Nienawidziłem, ze wszelkich słabości świata – że ona była tą, z której nie mogłem się otrześć. Jedyń jakiej nie mogłem przewyciężyć. Nigdy nie mógłbym pokonać mojej miłości do niej. Nigdy. Mógłbym jutro zginąć i jej imię byłoby ostatnim słowem opuszczającym moje usta.

– To prawda? – Nixon skierował to pytanie do mnie. Wzrok Mo był tak intensywny jakby modliła się żebym tylko nie powiedział *no co ty stary, to moja wina. Dałem dupy*. W zamian, czując się dureń, pokiwałem głową na tak.

Nixon odłożył broń i wsunął ręce do kieszeni. – Postąpisz właściwie mimo to. Zgadza się Tex?

Właściwie? Moja głowa wystrzeliła w górę z uwagą. Nawet Chase wyglądał na zdezorientowanego, szczypał oczy z czego aż zrobiła mu się zmarszczka na czole.

Spojrzałem na Mo po ratunek. Uświadomienie musiało na nią spłynąć ponieważ jej twarz zrobiła się biała jak ściana zanim rzuciła się Nixonowi w ramiona.

– Nie! Nixon, nie możesz nas zmusić!

– Chase. – Nixon wyszczeł. – Zaczynaj przygotowania.

– Umm? – Uniosłem rękę. – Do mojego pogrzebu? Czy o tym właśnie rozmawiamy? Bo tak jakby zgubiłem wątek.

– Może ty. – Przysięgam, że oczy Nixona ociekały czernią kiedy przebijały się przez moje. – Ale niektórzy mogliby nazwać to ceremonią.

– Co? – Powtórzyłem. – O co do jasnej cholery tutaj biega?

– Postąp właściwie. – Nixon strzelił kostkami. – Nieplanowana ciąża bez mariażu.

Mój mózg dokonał obliczeń.

I najwidoczniej dwa plus dwa faktycznie równa się cztery.

A ja miałem przejebane.

Zastanawiałem się jak źle to może być... poślubić kogoś kogo kochasz tak bardzo z całej duszy, że aż boli oddychać. Tylko, że wiedząc iż byłeś jej drugim wyborem. Albo może nawet nie wyborem przede wszystkim. Po prostu szczęśliwym zamiennikiem dopóki nie pojawi się ktoś lepszy.

Nie byłem pewny czy będę potrafił z tym żyć.

I nagle poczułem się tak jak Chase te kilka miesięcy temu. Kiedy był zakochany w Trace, kiedy nie mogłem pojąć dlaczego do jasnej cholery zachowywał się jak jakaś hormonalna baba względem swoich uczuć kiedy mieliśmy większe zmartwienia.

Ale taka jest miłość.

Sprawia, że czujesz.

– Nie – wyszeptalem. – Proszę cię Nixon, wszystko tylko nie to.

Przekrzywił głowę, jego oczy się zmrużyły kiedy badał moją twarz.

– Myślałem, że ją kochałeś.

– Kocham. – Moja odpowiedź była szybka. Pewna. – Ale ona nie czuje tego samego do mnie.

– No to powinna pomyśleć o tym zanim wskoczyła ci do łóżka, nie sądzisz? – Obszedł mnie i zaczął wyszczekiwać polecenia do Chase'a odnośnie ślubu. Słowa jak, dzisiaj, załatw to szybko, i pośpiesz się nie były tymi jakie chciałem łączyć z tym co powinno być najważniejszym dniem w moim życiu.

Najbardziej wyjątkowym dniem dla niej.

Opuściłem wzrok na jej płaski brzuch raz jeszcze. Moje oczy chciałyby móc przyjrzeć się tej malutkiej duszy, która została stworzona. Bronilem niewinnej istoty.

Nawet jeśli to uczyniło ze mnie winnego.

Postępowałem właściwie.

Nawet jeśli byłem całkiem pewien, że to była podróż, od której nigdy się nie uwolnię, do miejsca przeznaczenia, które będzie po stokroć takie jak permanentne tortury.

Czy zaprzepaszczę wszystko kim byłem? Wszystko co mogę zaoferować, by bronić kogoś kto ma mnie w głęboki poważaniu?

Wpatrywałem się w jej twarz.

Tą, o której śniłem co noc.

Tak. Dałbym jej wszystko. Niczego nie biorąc w zamian. Historia mojego życia.

Ja daję.

Oni biorą.

Daję trochę więcej.

Oni zgarniają wszystko.



# CHAPTER 6<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAAA90 & NIUXI

*Serca nie powinny być łamane.*

– JESEŚ WŚCIEKŁY? – Mój głos się załamał. Równie dobrze mogłabym krzyknąć, pokój był tak cichy. Tex nie odzywał się do mnie. Nie odzywał się do nikogo. Światło oficjalnie umarło w jego oczach przez to co się stało wcześniej, i wszystko było moją winą. To nie było zamierzone. Zrobiłabym wszystko, żeby chronić moją rodzinę. Wszystko.

Nawet jeśli to oznacza potępienie nas obojga w tym procesie.

– Czy jestem wściekły? – Tex powtórzył, jego mięśnie napięły się na ramionach gdy zgiął rękę, a potem zacisnął prawą w pięść i uderzył lekko w łóżko. – Nie, nie jestem wściekły. Wściekły oznacza, że jestem szalony, świrnięty. Szaleństwo zakłada, że człowiek jest o krok od obłądu. Myślę, że pytasz czy jestem zły, i ważniejsze czy złość jest skierowana na ciebie?

– To było naprawdę długie wyjaśnienie. – Zawinęłam nogi pod siebie i oparłam o jego muskularne ramię. Wszystko w nim było większe niż życie. Od jego ciała do sposobu w jaki się wyrażał. Tex nie robił niczego małego. Robił wielkie rzeczy. Ruszał rękami kiedy mówił jakby głosił kazanie w kościele baptystów. Śmiał się jakby to był ostatni raz kiedy mógł. Kochał się... kochał się jakby wierzył w miłość, jakby nie było niczego ważniejszego w życiu od spędzenia czasu na sprawianiu mi przyjemności, eksplorowania mnie; sprawiał że czułam się specjalnie. A na koniec, nasz upadek był wspólny.

Byłam jego własnością.

Już nie swoją.

Jakbym zagubiła się w jego wielkości, tak że nie da się wyjść. Pomagało że miałam dobrą wymówkę; zdradzał. Choć później, jeden z mężczyzn powiedział mi prawdę. Robił to, żeby zdobyć informacje na temat rodziny Mil. Co byłoby miło wiedzieć w tamtym czasie, ale byłam za bardzo zdenerwowana żeby coś powiedzieć. Zdenerwowana na niego, zdenerwowana na siebie.

I wystraszona.

Taaa. Byłam naprawdę, naprawdę wystraszona.

Przerażona.

I nie mogłam mu nawet powiedzieć dlaczego.

– Jeśli to coś warte... – Zadrżałam. – Przepraszam.

– Kochasz mnie? – zapytał.

Moje całe ciało się napięło. *Czy on właśnie pytał o to o czym myślałam, że pytał?*

– Mo? Kochasz mnie? Czy posiadam twoją duszę? Twoje serce? Kochasz mnie? Zapomnij o całym gównie, które działo się z innymi dziewczynami, zapomnij o ciąży. Jesteśmy tylko ty i ja. Kochasz mnie?

Oddech uwiązał mi w gardle. To tak jakby moje płuca nie działały. Próbowałam odpowiedzieć mu, naprawdę. Moje usta się otworzyły i w ogóle. Nie mogłam kłamać. Nie mogłam kłamać! Proszę boże, nie zmuszaj mnie do kłamstwa. W tej chwili chciałam umrzeć. Wszystko byłoby lepsze niż to co muszę zrobić.

*– Przyglądałem ci się od miesięcy. Myślę, że to czas aby zagrać moimi kartami. – Pochylił się. – Tylko jak ważne jest chronienie twojej rodziny? Umrzesz dla niej? Dla nich wszystkich? Pójdiesz na koniec świata, żeby ich uratować?*

*– Tak – bełkotałam. – Co dodałeś do mojego drinka?*

*– Tylko małą... miksturkę. Wierz mi, to nie zaboli. To po prostu sprawi, że rzeczy będą mniej bolesne i pozwoli nam uważnie cię śledzić. – Coś ostrego ukuło mnie w rękę, spojrzałam w dół. Dlaczego krwawię? Co to jest? Igła rozmiarów jakie widywałam tylko w telewizji, wkuła się we mnie i coś weszło w mój nadgarstek. Krzyknęłam w bólu.*

*Wyciągnął kieliszek w moją stronę. – Pij.*

*Piłam.*

*Nie miałam wyboru.*

*– Wiesz kim on jest? – zapytał i się roześmiał. – Oczywiście, że wiesz. Wszyscy wiedzą, że Cappo został zabity. Widzisz? Widzisz jak właśnie wyłożyłem moje karty na stół? Teraz, pozwól, że powiem ci jak to będzie działać...*

– Nie. – Wyszepiałam w jego pierś. Kiedy się napiął, przesunęłam się po jego ciele i wyszeptałam do jego ucha: – *Volpe.*

Wzrok Tex'a natychmiast przesunął się na mnie. Odrobina zrozumienia dotarła do niego, ale to wystarczyło. Umieścił mnie w sytuacji bez wyjścia. Ale w tej chwili mogłam mu przynajmniej zaoferować nadzieję.

Bo rzeczy nie były w ogóle takie jakie się wydawały.

I korzystając z moich słów – tych samych jakie krzyczałam kiedy byłam mała, kiedy Nixon był uwięziony w pudełku tortur, które zbudował mój ojciec, kiedy byłam uwięziona w swoim pokoju – Tex dokładnie to wiedział.

Wojna nadchodzi.

A on był celem.

Tylko jeszcze o tym nie wie.



# CHAPTER

# 7<sup>TEX</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Niemożliwe: Również znane jako próbować nie kochać osoby, która posiada twoje serce.*

VOLPE OZNACZA LISA po Włosku. Mo była zafascynowana lisami kiedy była mała. Dobra, więc to może było coś więcej niż fascynacja. Lubiła ich ogony. W każdym razie, to było słowo, które Nixon kazał jej używać kiedy się bała albo coś było podejrzanie źle.

To było jedyne słowo, które wiedziałem, że nigdy nie użyje.

Chyba, że naprawdę ma je na myśli.

Jedyny problem. Bała się mnie? Czy sytuacji? Czy podejrzewała, że rzeczy nie są takie na jakie wyglądają?

Nie miałem czasu myśleć dalej.

Rozległo się pukanie do drzwi, a potem Nixon przedarł się przez nie.

– Nadszedł czas, ogarnij się.

– Wow, dzień dobry i tobie – zaśpiewałem.

– Jest dziewiąta rano. – Jego oczy skanowały pokój. – Chodźmy mieć ceremonię z głowy.

– Właśnie tak – wyszeptałem pod nosem.

– Mówiłeś coś? – zapytał Nixon, jego głos, nawet jego oczy płonęły furją.

– Nieee, stary. – Wstałem z krzesła w rogu. Piłem sam ze sobą na tym krześle, siedząc jak głupi, czekając aż ktoś przyjdzie i powie mi, że już czas. – Po prostu myślę jak podekscytowany jestem że będę twoim szwagrem.

Przyjmij to suko.

Nixon się skrzywił i przytrzymał mi drzwi.

– Proszę, już i tak będę mieć koszmary po dzisiaj. Nie utrudniaj tego.

– Zostaniesz wujkiem.

– Tex.

– To miało być na plus. – Rzuciłem. – Bo niezależnie od tego co czujesz do mnie teraz czy nawet do Mo, jest dziecko, dobra? Dziecko, które ma naszą krew. – Pchnąłem Nixona w pierś. – Nasza krew. Nasza rodzina. Chronimy naszą rodzinę.

Nixon zawiesił głowę, oblizując usta.

– Masz rację.

– Wiem. – Chwyciłem Nixona za ramiona. – Nie rób tego gorszym niż jest. Miałeś swoją zabawę, postrzeliłeś mnie w ramię, pobiłeś mnie i sprawiłeś że krwawiłem. Wyładowałeś swoją złość, i pozwoliłeś mi wziąć odpowiedzialność. Więc na miłość boską, czym możemy proszę, się przytulić i znów być przyjaciółmi? Bo jestem przerażony jak diabli i nie potrafię tego zrobić samemu.

Nixon skinął i złapał moją twarz w swoje dłonie i pocałował każdy z moich policzków.

– Witaj w rodzinie, bracie.

– W końcu mam rodzinę – zażartowałem.

Nixon się nie roześmiał, zamiast tego jego oczy zmiękły. Och, cholera nie, ostatnią rzeczą jakiej potrzebuję to współczucie od niego, że jestem sierotą.

Złapałem jego koszulę i przyciągnąłem go do siebie tak blisko, że nasze głowy niemal się uderzyły.

– Spójrz na mnie w ten sposób jeszcze raz, a zapłodnię twoją siostrę ponownie tylko dlatego że mogę.

– Ty Skurwysynie! – Nixon uderzył swoją głową w moją, posyłając mnie plecami na ścianę. Och, spójrz, świecznik właśnie wbił się w moje ramię. Niech to cholera.

– Za szybko? – Mrugnąłem.

– Tex. – Nixon warknął właśnie kiedy drzwi się otworzyły.

– Chłopcy? – Trace wystawiła swoją głowę przez drzwi. – Wszystko w porządku? Wszyscy... żywi?

– Przykre, że musi o to pytać, co Nixon? – Mrugnąłem.

– Miłosierna matko...

– Nixon. – Trace zacisnęła zęby. – Zostaw to.

I tak po prostu, Nixon to zrobił. Nigdy nie wyobrażałem sobie dnia, w którym hardkor Nixon Abandonato zostanie ustawiony do pionu przez kobietę. Ale jakimś cudem, odłożył broń, dzięki Bogu, i odszedł do Trace, delikatnie przyciągając ją w ramiona.

Zazdrość przetoczyła się przeze mnie z każdej strony.

Opuściłem wzrok, zawstydzony.

– Chodźmy. – Trace odchrząknęła głośno. – Rodzina czeka.

W odrętwieniu, poszedłem za nimi korytarzem do małego pokoju gdzie czekał sędzia.

Mo stała sztywna jak struna z przodu pokoju.

Chciało mi się płakać. A nie byłem kolesiem, który pozwala emocjom przejąć kontrolę; byłem bardziej kimś, kto wierzył, że emocje to słabość.

Ale była taka ładna.

Nie ładna, piękna.

Jak coś, co moja mama powiedziała mi, żebym nie dotykał kiedy byłem mały, coś tak cennego, że nie mogłem się tym bawić. Zamiast tego, zostało ustawione z dala od moich grubych, małych rąk. Nie wolno mi było dotknąć ale mogłem patrzeć ile chciałem. Mogłem zapamiętać kształt rzeczy, mogłem wyobrazać sobie jak by to było ją mieć, że mogę ją chcieć, kochać, mieć obsesję.

Ale nigdy, nigdy posiadać.

Zrobiłem rozmyślnie kroki w stronę Mo i delikatnie złapałem jej dłoń, zamykając ją w mojej.

Tak, jej wybory mogły być powodem, że skończyliśmy w tej sytuacji. Ale to ja rozpocząłem chaos. To nie jej wina, że nie wiedziała kiedy wysiąść z pociągu. Ponieważ bycie tysiące kilometrów i godzin dzień po dniu? W końcu zapominasz jak to rzeczywiście się zaczęło.

Zapominasz wysiąść.

I to była moja wina.

Umieściłem nas tu z powodu mojej pracy.

I trzymałem ją tu z egoizmu.

Nie zdając sobie sprawy, że potępiałem nas oboje zarówno do małżeństwa jak i czegoś gorszego niż wygody. Nieodwzajemnionej miłości – bo będę kochać ją do ostatniego tchu, ale Mo? To było całkiem możliwe, że żeniąc się z nią, powstrzymam ją przed kochaniem kogoś innego, przed byciem kimś kim powinna być, jaka powinna być.



Zatrzymam ją w rodzinie.

Jedynym miejscu, skąd przysięgała, że chce uciec.

Witaj w Mafii, *blood in*, cóż to nie jest tylko gówniana część, stąd nie ma kurewskiej drogi wyjścia.

# CHAPTER

# 8 MO

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Słowa niosą ze sobą i życie i śmierć*

Drżąc, wepchnęłam obrączkę, której nawet nie wybrałam, na palec Tex'a i powtórzyłam przysięgi. Mój głos był pusty kiedy obiecałam spędzić z nim resztę mojego życia, w zdrowiu i chorobie. Chciałam paść pod presją, ciężarem, strachem.

Kiedy była jego kolej, uniosłam wzrok.

Nie powinnam była, ponieważ jego oczy, te zielone oczy otoczone idealnie długimi, ciemnymi rzęsami, wpatrywały się w moje i byłam zgubiona w morzu pożądania. To uderzyło mnie tak mocno, że miałam problemy z oddechem. Sapanie było wszystkim co zdawałam się robić, biorąc duże hausty powietrza tylko aby musieć sobie przypomnieć, że jeszcze trzeba robić wydechy.

On mnie kiedyś kochał.

Czy kiedykolwiek znowu mnie pokocha?

Wybacz mi?

Nawet jeśli patrzył na mnie jakby mnie pragnął, znałam prawdę, zbudowałam mur między nami. Nie wiem czy Tex chciał go pokonać – nie wiedziałam czy zasługiwałam na to by w ogóle próbował.

Chronić go. Za wszelką cenę, chronić tych co kochasz.

To było moją mantrą, tą, którą nauczyła mnie mama kiedy byłam mała. I Boże, starałam się, starałam tak bardzo.

–... w zdrowiu i chorobie, dopóki śmierć nas nie rozdzieli. – Tex dokończył, jego głos załamał się przy końcu kiedy moje palce drżały w jego dłoni.

– Na mocy nadanych mi uprawnień ogłaszam was Panem i Panią Vito Niscio Campisi Jr.

Tex widocznie skrzywił się na dźwięk swojego nazwiska – jego prawdziwego nazwiska, tego które dał mu jego ojciec, jego bardzo martwy ojciec. Ten, którego zastrzelił nie dalej jak trzy tygodnie temu.

Posłałam mu dodający otuchy uśmiech.

To tylko spowodowało, że jego oczy skuły się lodem.

– Teraz możesz pocałować pannę młodą!

Wszyscy klaskali niezręcznie kiedy Tex przybliżył się do mnie, przyciągnął moje ciało do swojego. Powoli, pochylił się i pocałował mnie przelotnie w policzek zanim się odsunął.

Moje ciało krzychało na niesprawiedliwość tego wszystkiego! Nawet prawdziwego pocałunku w dzień mojego ślubu? Nie to żebym zasłużyła na niego, ale to był Tex. Właśnie został wbity ostatni gwóźdź do trumny. Tex nigdy nie robił takich rzeczy. Był rozjemcą, był tym który sprawiał iż czułam się, że wszystko jakoś się ułoży. On był moją konstant.

A ja go zraniłam.

Wpadłabym tu i teraz w histerię gdybym się nie odwróciła i nie *zobaczyła* jego twarzy.

Chwiejąc się zatrzymałam się w samą porę by się pozbierać, ale było za późno, on już szedł w naszą stronę.

– Myślę, że gratulacje są na miejscu. – Wyszczrzył się pełną klawiaturą a potem zamasyście potrzasnął ręką Tex'a. Po krótkiej wymianie przekrzywił swoją głowę w moją stronę i uśmiechnął się tym oszałamiającym uśmiechem. – A ty Mo, wyglądasz ślicznie jak zawsze.

– Dzięk... Dzięk. – Przysunęłam się do Tex'a.

– Dzięk za przybycie Sergio. – Nixon klepnął go w plecy. – Należysz do rodziny, powinienes tu być.

Kryształowo niebieskie oczy Sergia przemknęły wprost do mnie.

– Nie ma takiego miejsca gdzie wolałbym być w tej chwili.

Zassałam tyle powietrza ile mogłam ale zapomniałam je wypuścić... tylko, że tym razem, skończyło się to dla mnie upadkiem na posadzkę.



# CHAPTER 9

## TEX

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Prawda zawsze odnajdzie drogę na zewnątrz...*

– Co do diabła! – Złapałem ciało Mo tuż przed tym jak niemal roztrzaskało się o posadzkę. – Mo? Mo! – Potrząsnąłem nią a potem przyciągnąłem do swojej piersi. – Kochanie, odezwiw się... – Spanikowałem, pocałowałem ją w usta, ponaglając ją aby się ocknęła.

Jej wargi poruszały się przy moich, jęknęła i szarpnęła się w tył.

Jeśli mam być szczery takie sytuacje przerażają mnie jak jasna cholera – nie mogę ścierpieć, że nigdy nie wiem co wtedy robić.

– Mo? – Głos Sergia zabarwiony był niepokojem kiedy obok mnie pochylił się nad nią i dotknął jej twarzy. To była tak intymna pieśszczota, że na chwilę mnie zatkało.

I wtedy, jakby ktoś zdzielił mnie w pierś pierdoloną kantówką dwa na cztery, zatoczyłem się w tył niemal lądując na tyłku.

– TY! – Gdyby Mo nie była w moich ramionach to bym go zastrzelił. Gównu by mnie obchodziło, że znajdowaliśmy się w Ratuszu. Poszedłbym siedzieć. Chętnie.

Brwi Sergia wystrzeliły w górę.

– Co ja?

– To twoja sprawka!

Jego twarz zbladła.

– Nie przeze mnie zemdlą!a!

– Nie to!

– Tex. – Nixon położył rękę na moim ramieniu. – To był długi dzień i...

Mo się poruszyła.

– Tex, przepraszam... Ja tylko, jest tak gorąco...

– Możesz usiąść? – zapytałem najdelikatniejszym głosem na jaki mogłem się zdobyć, który tak się złożyło, zabrzmiał opryskliwie i szorstko.

– Tak, tak, mogę. Mogę wstać. – Mo nieco się z tym zmagala i pomogłem jej stanąć na nogi.

Chase stanął za nami z Mil. Każdy wisiał nad nami i miałem już tego po uszy.

– Ludzie, dajcie jej trochę przestrzeni. – Trzymałem swoje oczy przyklejone do Sergia. Ten skurwiel nie miał prawa gapić się na to co moje. Stanąłem przed Mo tak, że stałem tuż przed nim. Z warknięciem i przekleństwem odsunął się w tył.

– Nic mi nie jest naprawdę, nic mi...

Dźwięk tłuczonego szkła przeszył powietrze. Zakryłem Mo swoim ciałem i uniosłem wzrok w samą porę by zobaczyć jak Chase stęknął i runął na podłogę, a za nim urzędnik, który dopiero co udzielił nam ślubu. Tylko, że on już się nie podniesie.

Dostał prosto w głowę.

– Chase! – Trace z Mil krzyknęły jednocześnie kiedy on uniół rękę z podłogi z uniesionym kciukiem.

– Zabrać stąd dziewczyny! – Nixon ryknął chwytając mnie za kołnierzyk od koszuli. Mo potknęła się kiedy pociągnąłem ją na nogi. Trace i Mil zakrywały sobie rękami głowy biegnąc do drzwi. Sergio wyciągnął swoją komórkę i wyprowadził mnie na zewnątrz, po czym zaczął wyszcze kiwać po włosku rozkazy do swoich ludzi.

Cóż, on przynajmniej przywiózł jakieś wsparcie.

Ale po cholere ono w ogóle mu potrzebne?

Policja wypełniła korytarz w chwili kiedy Nixon i Chase go opuszczali. Obaj się śmiali i zachowywali tak jakby właśnie nawalili się na jakieś imprezie.

– Rozdzielić się. – Nixon warknął, uśmiech zniknął z ust Chase'a i się skrzywił.

Mil podbiegła do niego.

– Powiedziałem... – Głos Nixona się zniżył. –... rozdzielić się, zajmę się Chasem. Dziewczyny idziecie z Texem i Sergio, zajmujemy się tym. Ty wykonaj telefony. – Wskazał swoją wolną ręką na Sergio. – Niech jeden z twoich ludzi przejrzy nagrania z kamer.

Oficer podbiegł do nas.

– Sir? – Skierowałem swoje 'sir' do Nixona, który właśnie wzdychał i ścisnął nasadę nosa. – Powiedz Komendantowi, że był ślub. Po ceremonii oddano dwa strzały, z tłumikiem. – Szarpnął za koszulę Chase'a.

Odepchnąłem jego rękę.

– Pozwól mi. – Rozdarłem koszulę, która puściła pod moim uściskiem. Kula utknęła w jego lewym ramieniu. – Ałć, jesteśmy kulowymi bliźniakami.

– Nie. Teraz. – Pot spływał po twarzy Chase’a.

Skrzywiłem się.

– Sorki, znam to, przeżyłem na własnej skórze. – Tak ostrożnie jak mogłem ucisnąłem skórę otaczającą ranę. – No, utknęła tam na dobre. Z tego jak to wygląda, strzelec użył karabinka, możliwe że był to MK12.

– Kurwa mać jak to boli. – Chase bardziej uwiesił się na Nixonie.

Starąłem się nie uśmiechnąć ale to była jak dotąd najzabawniejsza część dnia, zobaczyć jak ktoś inny zarabia kulkę. Nie żebym życzył Chasowi śmierci ale dlatego, że mogłem skupić się na czymś innym niż Mo i tym, że Sergio dotknął ją w sposób, który był aż nadto znajomy, jakby dotykał ją już tak wcześniej, wielokrotnie.

– Damy ci znać co znajdziemy. – Oficer poklepał Nixona po ramieniu i wrócił do pomieszczenia.

– Cóż. – Westchnąłem rozglądając się po chłopakach. – Najwyraźniej nie potrafimy organizować normalnych ślubów.

Wszyscy wybuchli nieskrępowanym śmiechem kiedy opuszczaliśmy budynek. Dziewczyny były pewnie w połowie drogi do domu świrując jak dobrze je znam.

– Nixon! – Ten sam policjant zbiegał do nas po schodach, jego klatka piersiowa falowała. – Dokumenty... – Pochylił się ciężko sapiąc. – Te, podpisane przez sędziego...

– Tak? – Nixon powiedział niecierpliwie.

– Są sfałszowane. – Podał nam je. – Zrobię kopie i poślę do odpowiednich ludzi ale ślub dzisiaj zawarty? Nie był prawdziwy.

Mój umysł wirował od możliwości. Czy sędzia siedział w innej kieszeni niż naszej? Jak do cholery mogło się to wydarzyć w naszym własnym mieście?

– Dzięki. – Nixon skinął głową. – Skoro mamy papiery to zaczniemy stąd, rozumiemy się?

– Tak sir, oczywiście sir. Dam znać Komendantowi.

– No więc... – Nixon zaklął i kopnął koło od swojego Range Rovera. – Czy u nas kiedyś powieje nuda?



– Krwawienie. – Chase sapał. – Na wypadek gdybyście chłopaki byli, och, sam nie wiem, zaniepokojeni? Zmartwieni? To znaczy, no wiecie powierzchowna rana z uwzględnieniem niemal śmiertelnego zejścia kilka tygodni temu, kapuję, ale to boli jak skurwysyn i ja naprawdę, naprawdę muszę się upewnić, że Mil w domu nie rwie zasłon z okien w przyływie furii ponieważ ją odesłałeś, Nixonie.

Na to Nixon się roześmiał. – A kiedy to Mil nie jest wkurwiona, Chase?

Chase uśmiechnął się wymownie. – Nie martw się o to.

– Odrażające – wymamrotałem.

– Powiedział przyszły tatuś. – Nixon skwitował oschle.

Posłałem Sergio spojrzenie spode łba i odpowiedziałem. – Racja. Przyszły... tatuś.

Jeśli blefował odnośnie czegokolwiek to nie dało się stwierdzić. W zamian, obdarzył mnie jednym ze swoich spojrzeń.

Takim, które powiedziało mi, że...

Gównu tym uzyskam.

# CHAPTER 10 <sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Psy potrafią wywąchać strach... jak i ludzie.*

Moje dłonie nie mogły przestać się trząść. Obwinałam o to strzelaninę. Ale odkąd to jak obawiałam się bycia postrzeloną? Nigdy. Tkwię w tym odkąd tylko się sięgam pamięcią.

Zabawne, że to nie z powodu przemocy cała aż dygotałam.

*Ale jego.*

Miałam taką ochotę na wino, że to w ogóle nie było śmieszne. Zirytowana poszłam za dziewczynami do kuchni i czekałam na powrót chłopaków do domu.

Był remis odnośnie tego kogo pierwszego chciałam udusić. Mil wyrzucała z siebie tak dużo przekleństw, że ciężko było rozszyfrować czy wścieka się na sytuację czy na Chase'a. Trace czas mijał na uspakajaniu Mil kiedy posyłała mi „Nic ci nie jest?” spojrzenia.

Po jakiś dziesięć minut drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wtoczyli się chłopcy. Chase nieco utykał kiedy Tex pomagał mu usiąść na jednym z krzeseł.

Mój mąż, Boże to wciąż brzmi źle, wybiegł z pokoju po apteczkę, kiedy Nixon zdierał pozostałą część koszuli z ciała Chase'a.

– Mil. – Chase zacisnął zęby. – Będę żył!

– Ty skurwielu! – Walnęła go w zdrowe ramię. – Przestań przyjmować kule!

– Pewnie. – Chase parsknął i uniósł twarz do sufitu zamykając oczy. – Bo miałem wybór!

– Cóż! – Mil obruszyła się. – Do cholery, Chase, po prostu postaraj się nie obrywać co dwa tygodnie. To irytujące jak diabli.

– Ty jesteś irytująca jak diabli! – Odpalił jej.

– Zabawne, musisz chyba tracić kontakt po takiej utracie krwi.

– Mil. – Ostrzegł, po czym jego oczy błysnęły kiedy jej przyspieszył oddech.

– Czy możecie się nie pieprzyć wzrokiem w tej chwili? – Nixon zaklął i przeczesał swoje zmierzwione włosy. – To będzie wystarczająco trudne aby Chase usiedział spokojnie Mil, więc jakbyś mogła przestać zachęcać go do tego by przeleciał cię na kuchennym stole to wszyscy naprawdę byśmy to docenili.

Mil zaczerwieniła się i skrzyżowała ręce na piersi. – Przepraszam.

– Wcale nie jest ci przykro. – Chase się pochylił i puścił jej oczko.

Ona oblizwała wargi.

Jęknęłam w dłonie. Ostatnia rzecz jakiej potrzebowałam to oglądać jak absurdalnie szczęśliwi oni byli.

– No, no! – Tex wrócił do pokoju. – Wychodzę i atmosfera robi się *bardziej* napięta? – Parsknął i położył sobie ręce na biodrach. – To chyba nowość.

– Do wszystkich! – Nixon uniósł ręce. – Jedna rzecz na raz. Tex, trzymaj swoją głowę z dala od zadka, wyciągnij kulę kiedy ja zajmę się fałszywym małżeństwem i morderstwem. Sergio, mógłbyś...

– Pozszywam go. – Sergio skinął. – Kolejny z moich wielu talentów. – Puścił oczko do Trace i Mil. – Naprawdę nam zręczne palce. – Lekko odwrócił głowę nawiązując ze mną przelotny kontakt wzrokowy poczym poszedł do kuchni umyć ręce.

Szczęki dziewczyn rozbiły się o podłogę.

– Och proszę. – Chase gderał, pot zaczął sływać mu po twarzy, najpewniej z bólu.

– Tex. – Sergio nakazał, jego głos z lekkim akcentem co wiedziałam z doświadczenia miało miejsce tylko kiedy się stresował i nie zwracał uwagi na to jak mówi. – Możesz wziąć skalpel?

– Nienawidzę tej części. – Chase mocno zacisnął powieki.

Mil trzymała jego rękę.

Nixon chodził w tę i z powrotem, wrzeszcząc w swój telefon ale byłam w stanie jedynie skupić się na Sergio gdy bardzo ostrożnie robił nacięcie obok rany i zaczął działać.

Był artystą.

Odkąd to stał się chirurgiem?

– Jestem od was starszy – odpowiedział bez unoszenia wzroku. – Jakbyście nie zauważyli to oba moje jądra już zeszły.

Tex wyrócił oczami.



– I... – Sergio zrobił kolejne nacięcie. –... tak się składa, że ukończyłem swoją klasę z wyróżnieniem i poszedłem do dwuletniej szkoły medycznej.

– Było to przed czy po tym jak twoi rodzice poszli do paki? – Tex wyśpiewał z wymuszonym uśmiechem unosząc jego wargi. – No wiesz, jestem tylko ciekaw przedziału czasowego i takie tam.

– Hmm... – Sergio odłożył skalpel na stół i wziął pęsetę. – Niech no pomyślę. To było jakoś po tym jak wyrzekli się *cibie* rodzice, a przed zabiciem twojego ojca. No i jak to wpasowuje się w twój przedział czasowy? – Jego głos był tak gładki, że gdybyś nie słuchał pomyślałbyś, że wygłosił pochwałę a nie obelgę.

Szczęka Tex'a się napięła.

– Nie teraz Tex. – Chase skrzywił się i zaklął siarczyście pod nosem, w pół po włosku. – Nie kiedy grzebie pęsetą w mojej skórze. Cholera ale to pali.

Sergio uśmiechnął się ale jego oczy pozostały zimne i obojętne. – Już prawie koniec.

– Ile masz lat? – zapytała Mil, w ogóle nie odrywając wzroku od Chase'a.

– Dużo. – Tex odpowiedział za niego.

Po kilku sekundach Sergio uniósł wzrok i spojrzał wprost na mnie. – Wystarczająco dużo.

W pokoju naprawdę zrobiło się nerwowo.

– Dwadzieścia osiem. – Tex zaklął. – To nie tak żeby był starszy czy coś. Kuźwa Sergio, możesz do cholery zwolnić?

Sergio uśmiechnął się krzywo, unosząc trochę głowę bokiem i posłał mi znaczące spojrzenie. – Lubię się nie śpieszyć z rzeczami.

W brzuchu mi zatrzepotało a potem wszystko zacisnęło.

– Wszystko co dobre... – Sergio ścisnął pensetę i powoli wyciągnął ją z rany. – Przychodzi z czasem. – Kiedy upuścił kulę na stół uniósł wzrok i po raz drugi spotkał mój.

Nie odwróciłam spojrzenia.

Bo nie mogłam.

Tak wiele ukrywałam. I Sergio o tym wiedział – on wiedział wszystko.

Kiedy ostatecznie oderwałam od niego wzrok popatrzyłam na Tex'a. Był wściekły ale co było gorsze? Coś podejrzewał. I ostatnia rzecz jakiej potrzebowałam to by umieścić go z powrotem na linii ognia po tych wszystkich rzeczach jakie robiłam by trzymać go od niej z daleka.

– Dzięki. – Chase ciężko odetchnął kiedy Sergio owijał jego ramię.

– Nie ma sprawy. – Sergio się wyszczerzył od ucha do ucha.

– Tex! – Nixon wrzasnął z drugiego pomieszczenia. – Chodź tu. Natychmiast.

Kiedy Tex się nie poruszył, Sergio przyjął to na siebie i wszystko pogorszył. A niech go.

– Zmykaj żołnierzu, idź sprawdzić czego boss od ciebie potrzebuje.

Z warknięciem, Tex przeszedł obok Sergio niemal go przewracając, co nawet nie byłoby trudne no bo Tex był ogromny; przynajmniej 193 cm a Sergio, choć nie można go uznać za małego, jakieś 185.

Chase cicho gwizdnął. – Do diabła Sergio, kto naszczał w twoje Cheerios dzisiejszego ranka, hmm?

Sergio patrzył jak Tex idzie w głąb korytarza po czym odwrócił się do wszystkich, szeroko uśmiechnął i ogłosił. – Sjesta.

Teraz, kiedy dramat dobiegł już końca, chciałam się jedynie położyć, najlepiej bez Tex'a posyłającego mi szalone oczy i Sergia będącego sugestywnym. Powoli, podniosłam się z krzesła by odejść.

– Mo... – Gładki głos Sergia przeszkodził w mojej ucieczce. W pokoju panowała cisza, więc wszyscy usłyszeli i nie mogłam zwać i powiedzieć, że go nie słyszałam.

– Tak? – Odwróciłam się.

– Minutka?

– Jasne. – Skrzyżowałam ręce.

Jego uśmiech urósł, sprawiając że jego rysy ożyły. Zawsze wyglądał jakby wyszedł wprost z okładki magazynu GQ, ciemne proste włosy, arystokratyczny nos, krzywy uśmiech, który roztopia ludzi z miejsca i soczyste usta składające obietnice, których żadna dziewczyna nie powinna nigdy, przenigdy brać na poważnie. – Tutaj.

Delikatnie, złapał mój łokieć i poprowadził mnie wzdłuż korytarza i za róg, gdzie był pokój Nixona. Daleko od gabinetu, w którym Tex i mój brat obecnie krzyczeli.

Przełknęłam konwulsyjnie kiedy docisnął mnie do ściany i pochylił do mnie, jego czoło dotykało moje. – Porozmawiaj ze mną.

– Nie. – Oblizalam usta i odwróciłam wzrok.

– Mo... – On skierował mój podbródek w swoją stronę. Jego oddech był ciepły, zapraszający. – Zazwyczaj mówiłaś mi o wszystkim.

– Tak było kiedy byliśmy przyjaciółmi.

Niech szlag trafi ten jego uśmiech! – A już dłużej nie jesteśmy przyjaciółmi?

– Naprawdę? – Wyrzuciłam z siebie. – Czy przyjaciele tak się traktują nawzajem? Hmm?

Oczy Sergio pociemniały kiedy schylił się i musną swoimi ustami moje. – Nie ma mowy.  
– Jego głos był gęsty od pożądania. – Szczerze wątpię bym powinien traktować swoich przyjaciół czy kompanów w sposób w jaki chcę traktować ciebie.

Staralam się walczyć z tym przyciąganiem.

Ale było to niemożliwe.

Nie kochałam Sergio, nie tak jak kochałam Tex'a.

Ale to on pozbiarał Tex'a do kupy kiedy ja desperacko potrzebowałam kogoś aby posprzątał bajzel.

I to on dał mi jedną rzecz, której pragnęłam od lat.

Cel.

– Boisz się, że wszyscy twoi przyjaciele się dowiedzą? – wyszeptał przy moich wargach.  
– Boisz się, tych wszystkich kłamstewek? – Polizał moją dolną wargę a potem szarpnął ją zębami. – Którego kłamstwa, Mo? Którego z nich najbardziej się boisz? – Jego ręka przesunęła się do mojej szyi i zaczął masować mój kark.

Przełknęłam i odsunęłam się, serce łomotało mi w piersi. – Ich wszystkich Sergio. Boję się ich wszystkich.

Głośny hałas rozniósł się po mojej prawej a potem niewyraźna plama w postaci pięści Tex'a przeleciała tuż przed moim nosem i wylądowała idealnym ciosem na szczęce Sergio. Zatoczył się do tyłu, jego ciało przywaliło w ścianę za jego plecami, po której się osunął na podłogę zdeorientowany jak diabli.

Tex złapał moją rękę i pociągnął w kierunku głównej sypialni. Szarpnął mną do środka a drzwi zamknęły się za nim z hukiem. Uniosłam wzrok w samą porę aby zobaczyć jego ręce sięgające po moje ciało gdy z siłą pchnął mnie na te same drzwi a potem zmiażdżył swoje wargi z moimi, jego język nie pytał o zgodę by wtargnąć w moje usta ale robił to z taką mocą, z taką płynnością, że pozwoliłam sobie na westchnienie a potem jęknięcie.

On nie całował jak Sergio.

On nie całował jak ktokolwiek kogo znałam.

Moje ciało wygięło się do Tex'a kiedy jego język przebiegł przez połączenie moich ust. Wciągnął moją dolną wargę w swoje usta zębami, potem odsunął się i przywalił pięścią w drzwi tuż nad moją głową. – Moje! – Po czym niemal wyrwał drzwi z zawiasów otwierając je z rozmachem i ruszając korytarzem w kierunku Sergio, który właśnie zbierał się z podłogi.

Pewnie mniej by bolało gdyby Tex go postrzelił.



Sergio uśmiechnął się wymownie kiedy Tex stąpał korytarzem, jego kroki tak dudniły, że o mało nie porobiły dziur w drewnianej podłodze.

– Ty... – Wycelował palcem w Sergio. – ... *nie ważysz się jej tknąć.*

– Hmm... – Sergio puścił oczko w moim kierunku. I facet oficjalnie prosił się o śmierć.  
– Nie powinna ona o tym decydować? Kim ja jestem by jej odmówić jeśli poprosi?

– Nie robi tego. – Tex wyszczał. – Wierz mi.

– A jeśli zrobi?

– Nie robi. – Głos Tex'a ociekał nienawiścią, dłonie trzęsły mu się przy bokach. – Jak można przyjść do mojego domu i dobierać się do mojej kobiety?

– W zasadzie... – Uśmiech Sergio urósł. – To dom Nixona i ostatnio jak słyszałam to ona nie była twoją kobietą... przynajmniej nie legalnie. Zabawne, czyżby syn martwego *Cappo* myślał, że tutaj przynależy? Po wszystkich tych latach?

Twarz Tex'a zbladła.

To był strzał w wątrobę.

Strzał w nerkę.

Cios poniżej pasa.

Bo w głębi serca wiedziałam, że Tex nigdy nie czuł się jakby tutaj przynależał, jakby pasował.

– Więc może to twoja kolej żebyś posłuchał. – Sergio szturchnął Tex'a w pierś. – Nie masz nikogo. Nikogo. Twoja prawdziwa rodzina nie ma pojęcia co z tobą zrobić a twoja nowa rodzina zmuszona jest rościć sobie prawo do ciebie. I wkurzasz się bo pocałowałem dziewczynę, którą tak się składa, że lubię? Niech cię, chłopaku, mogłeś równie dobrze naszczać na nią. Co byłoby subtelniejsze. Ale w tym rzecz, kiedy twoje oczy ociekają nienawiścią, kiedy włożysz każdą cząstkę swojej siły w to aby wydusić ze mnie życie, może powinienes spauzować na chwilę i zadać sobie pytanie. Jeśli ona naprawę jest twoja, to dlaczego odwzajemniała mój pocałunek?

Sapnęłam, zakrywając sobie usta rękami kiedy ogarnął mnie wstyd.

Tex zassał przeciągle powietrze jakby dostał cios zniecka i miał problem aby zrobić wydech.

– Miło się gawędziło. – Sergio uśmiechnął się z ironią. – Teraz, jeśli Nixon nie jest zajęty, pewnie powinienem pójść pomóc, no wiecie, skoro jesteśmy rodziną.

Z tym Sergio przepchnął się koło Tex'a i wystartował w dół korytarza.

Zostawiając mnie w napiętej ciszy z Tex'em.

– Tex, ja...

Uniósł rękę. – Daruj sobie.

– Nic nie rozumiesz. Myślę, że gdybym mogła wyjaśnić...

Parsknął śmiechem. – Wyjaśnić co dokładnie? Hmm, Mo? – Podeszedł do mnie, jego oczy były pełne bólu. – Jak bardzo beznadziejne jest to, że kiedy jestem wkurwiony jak diabli, że postawiłaś mnie w takiej sytuacji... to ja wciąż chcę żebyś to moje dziecko nosiła? Albo to, że gdy widzę cię z Sergio to wszystko nad czym się zastanawiam, to jakim trzeba być draniem aby nie wziąć odpowiedzialności za swoje czyny? A co powiesz na to? Padłem na kolana, wykrwawiając się, przepraszając, przechodząc samego siebie, ochoczo zmierzając do piekła i z powrotem dla ciebie, a ty dziękujesz mi całując tego dupka, zaledwie kilka kroków ode mnie? No to okej, jasne, mów. Proszę cię Monroe, na dalej, spróbuj *wyjaśnić*.

Otworzyłam usta.

– Ja... – Nic poza zniekształconym, trzeszczącym dźwiękiem nie wyszło, sprawiając że brzmiałam na bardziej winną niż kiedykolwiek.

Nie miałam nic. Jego założenia działały bo były tak dalekie od prawdy – kiedy zgodziłam się zrobić co robiłam, nie znałam tego kosztu. Wszystko na czym mogłam się skupić to było zapewnienie bezpieczeństwa Tex'owi, zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie.

Ale nie miałam zielonego pojęcia ile będzie mnie to kosztowało.

W pewien sposób Sergio ułatwiał mi podtrzymywanie kłamstw, do trzymania wszystkich w niewiedzy.

– Masz rację – wyszeptałam. – Przepraszam. Musisz wiedzieć jak bardzo mi przykro. – Błagałam go swoimi oczami.

Odwrocił głowę jak gdyby był zbyt zniesmaczony by spojrzeć mi w oczy. – Wychodzę i nie wiem kiedy wrócę.

– Tex! – Złapałam go za rękę. – To nie jest bezpieczne!

– Bezpieczne? – Warknął a potem odrzucił głowę w tył i się roześmiał. – No tak, a ty tak strasznie boisz się o moje bezpieczeństwo? – Jego oczy zmrużyły się na moją rękę. – Puść Mo. Ja nie żartuję.

Wiedziałam, że nie robi mi nic złego ale wciąż byłam przerażona gdy patrzyłam jak mięśnie w jego ręce skręcają się i rozciągają; ledwo nad sobą panował.

– Nie. – Mój głos zadrżał.

Zaklął i oderwał moją dłoń od swojego ramienia. – Zrób coś dla mnie.

– Cokolwiek.

– Skończ z tym. – Jego głos był ochryply. – Przestań udawać, że ci zależy, Mo. Nie mogę... Ja po prostu... – Pokręcił głową. – Nie mogę tego robić, cokolwiek to – w te i we w te coś jest. Nie mogę. Psiakrew, jeśli chcesz Sergio idź do Sergio. Podobno nie jesteśmy nawet legalnie małżeństwem.

– Co? – *O nie, nie, nie, nie, taka była umowa!*

Wzruszył ramionami. – Jesteś wolna. Nie zrozum mnie źle, mam słabość do kar więc wciąż będę robił cokolwiek jest konieczne, ale to, cokolwiek jest to coś między nami... – Zaciśnął wargi. – Jest skończone.

Metalowa opaska w mojej piersi ścisnęła moje płuca, uniemożliwiając oddychanie, jakby dosłownie włożył we mnie ręce, owinął dłonie wokół mojego serca i ścisnął dopóty, dopóki nie oddałoby z siebie ostatniej kropli krwi.



# CHAPTER II TEX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Zapicie wspomnień o kimś? Nie działa.*

DRZWI TRZSNEŁY za mną, kiedy wszedłem do garażu i wsiałem do Range Rovera. Silnik zawarczał do życia, i wyjechałem z podjazdu. Co było naprawdę do chrzanu? Jechałem na swój wypad SUVem Nixona. Jasne, mogłem wybrać którykolwiek samochód w jego domu. Ale prawda była taka.

To były jego samochody.

Jego dom.

Mogłem sobie pozwolić na własne gównno?

Cholera, tak, mogłem. Ale po co? Jaki był sens posiadania czegokolwiek? Mogę sobie sprawić wypasioną brykę ale po co?

Nadepnąłem na pedał gazu kiedy dotarłem do głównej drogi, samochód nabierał coraz większej prędkości dopóki nie przekroczyłem stu sześćdziesięciu.

Mój telefon zadzwonił.

– Czego? – warknąłem do niego.

– Tex! – Głos Nixona był ostry. – Co do cholery stary? Mamy w cholerę roboty.

– Ty masz w cholerę roboty. Ja mam w cholerę do zapomnienia. – Rozłączyłem się i trzasnąłem telefonem o deskę rozdzielczą, przyśpieszając jeszcze bardziej.

Mijałem samochód za samochodem, szybkość nie pomagała ciężkiemu uczuciu w moim żołądku, czy nawet z bólem w moim sercu.

Skończyłem – skończyłem z nią. Człowiek może znieść dużo, ale ja właśnie uderzyłem w swój limit. Wizja rąk Sergio na jej ciele, jego ust dotykających jej, i prosta prawda, że miała każdą okazję do odepchnięcia go.

Zamiast trzymać się go blisko.

Z przekleństwem, zatrzymałem się na parkingu Slim, jednego z barów, którym zarządzam. To była dziura, która lepsze dni miała za sobą, ale była moja. Żałosne. Jedyna rzecz jaką posiadałem w tym wszechświecie była gównianym barem.

Lubiłem mieć swoje własne miejsce do przesłuchań, i tak się zdarzyło, że alkohol był przydatny kiedy trzeba było zmyć krew, cóż jak i głośna muzyka. Przysięgam, to sprawiłoby, że dorosły człowiek by płakał, wiedząc ilu ludzi straciło swoje życie, swoją pieprzoną duszę w tym pokoju na zapleczu.

Wyłączyłem silnik i przeszedłem przez drzwi wejściowe z każdym instynktem w stanie gotowości – w nadmiernej jeśli mnie pytasz – podszedłem wolnym krokiem do baru i uderzyłem w niego dłonią.

Marco spojrzał na mnie i przesunął butelkę Jack'a w moim kierunku.

– Ciężka noc?

Prychnąłem i wziąłem łyk prosto z flaszki.

– Bardziej ciężka egzystencja.

– Potrzebujesz mnie...

– Nie. – Machnąłem na niego. Wiedziałem już gdzie dąży ze swoimi pytaniami. Zapyta czy potrzebuję go, żeby się czymś zajął, zwykle odpowiadałbym tak i sygnął mu imię i adres tego konkretnego czegoś, albo powiedziałem nie i udawałibyśmy jakby w ogóle pytanie nie padło.

Bycie rudym pasierbem rodziny Abandonato miało swoje zalety. Oznaczało to, że robiłem rzeczy na swój sposób za każdym cholernym razem – o ile moja robota była zrobiona.

– Będziesz potrzebował czegoś innego, daj mi znać. – Marco uderzył blat kilka razy swoją ścierką i odszedł do kolejnego klienta.

– No, no. – Zmysłowy głos powiedział za mną. – Trochę minęło.

– I minie jeszcze dużo więcej – powiedziałem nie obracając się za siebie. – Idź do Diabła.

– Ać, coś nas dzisiaj ugryzło w zadek, czyż nie? – Paznokcie wbiły się w moje plecy. Mogłem sobie tylko wyobrazić, że suka myślała, że to erotyczne, kiedy ja naprawdę mogłem się skupić tylko na tym, że mogę zerwać każdy idealnie pomalowany paznokieć z jej palców, bez mrugnienia okiem.

Taaa, nie było ze mną dobrze jeśli myślałem o krzywdzeniu kobiety.

Spałem z nią raz i nawet nie znam jej imienia, wiedziałem tylko to, że odwiedza mój bar i jest łatwa.

– Idź sobie. – Wziąłem kolejny łyk.

– Dobra. – Zabrała dłoń i zostawiła mnie samego.

Po dziesięciu minutach miałem swój sprawiedliwy udział w opróżnianiu butelki, ale nie wystarczający dla mnie, żeby zapomnieć o Mo czy o tym jak wyglądała w czyiś ramionach. Niech to szlag!

Stacjonarny telefon zadzwonił ponad hałasem.

Marco odebrał i skrzyżował wzrok ze mną przez bar, a potem wyrócił oczami i zrobił gest dłonią udając strzelanie z pistoletu. Drań prawdopodobnie miał zadanie od Franka. Och racja, kolejny zabawny fakt? Przyjmuję zlecenia od wszystkich trzech rodzin.

Więc może nie przynależę nigdzie, ale przynajmniej jestem bogaty jak diabli i cholernie dobry w tym co robię.

Bar zamilkł. Zaciekawiony, podniosłem wzrok na drzwi.

Weszło trzech mężczyzn.

Jeden miał laskę, ale nie do chodzenia, bardziej żeby nią kogoś zlać jeśli mnie pytacie, i nie w dobrym znaczeniu. Kolesie mu towarzyszący wyglądali jakby skończyli właśnie ze sterydami i potrzebowali miejsca na uwolnienie napięcia. Ich ramiona były tytaniczne, i byli co najmniej o głowę wyżsi niż reszta grupy. Mężczyzna w środku zatrzymał się, jego wzrok przeskanował pomieszczenie przed zatrzymaniem się na mnie.

Uśmiech wykrzywił jego usta kiedy zaczął kroczyć przez bar.

Cóż, kurwa. Albo umieram ja albo on i moment szczerości? Nie obchodzi mnie jak fortuna się obróci. Jak chore to było? Potrzebowałem cholernego przeszczepu serca, to jest to. Może jeśli miałbym nowe, stare przestałoby tak mocno boleć.

– W końcu się spotykamy. – Mężczyzna powiedział, odsuwając stołek obok mnie.

– Jasne. – Parsknąłem śmiechem. – Czekałem latami, żeby cię spotkać. Powiedz mi jak wygląda mama? Mam jej oczy? Nie mogę się kurwa doczekać, żeby spotkać moją prawdziwą rodzinę, Matko przenajświętsza to jest cholernie najlepszy dzień w moim życiu. Mogę mówić ci tato?

Koleś wskazał na Marco by podał mu drinka.

– Jesteś... mądrąłą.

– Aw... – Klepnąłem go po plecach za co zarobiłem chrząknięcie od dwóch pozostałych mężczyzn, którzy zaczęli iść w naszą stronę, ale przestali kiedy facet podniósł swoją dłoń. – Dzięki. To najmiłsza rzecz jaką ktokolwiek powiedział mi przez cały dzień, i powierzę ci mały sekret, miałem gówniany dzień, więc przyjmę każdy rodzaj komplementu.

– Mądrze. – Mężczyzna zachichotał i zamówił whiskey z lodem.



– Ach, że ja? – zażartowałem, próbując wyprowadzić go z równowagi. – Dzięki koleś, to znaczy nie zabawiam się w ten sposób, ale mogę zrobić wyjątek jeśli wciąż będziesz mnie tak komplementować.

– Powiedz mi... – Wciąż na mnie nie patrzył, ale jego profil dał mi wszystkie informacje jakich potrzebowałem. Długa blizna od jego lewego ucha do nosa, jakby ktoś pochlastał mu policzek. Siwe włosy, wysportowane ciało, prawdopodobnie koło metra siedemdziesięciu siedmiu i osiemdziesięciu kilo. Jego paznokcie były czyste, co oznaczało, że nie jest żołnierzem – najprawdopodobniej rozdaje zadania do zrobienia – a jego postura aż krzyczy władzą. Lekki akcent? Muszę posłuchać więcej.

– Powiedzieć ci co? – Uśmiechnąłem się zmuszając go, żeby na mnie spojrzał, żebym mógł zerknąć w jego oczy i zobaczyć jego duszę. To jest to co robię. Czytam dusze. Nie w przerażający sposób, ale w sposób, który sprawia, że jestem cholernie dobry w tym co robię. Jedno spojrzenie w czyjeś oczy i wiem... niestety to tylko działa z niedoszłymi zabójcami. Z Mo? Zero pojęcia.

Moje instynkty zawsze były przy niej wyłączone, zawsze tak było, zawsze będzie.

– Naprawdę podoba ci się ta mała gierka?

– Jaka gierka?

– Ta. – Mężczyzna w końcu odwrócił się i wskazał na mój uśmiech. – I myślisz, że możesz oszukać mnie, ze wszystkich ludzi?

– Cóż, biorąc pod uwagę, że naprawdę nie wiem kim jesteś – powiedziałem ze wzruszeniem ramion. – Zgaduję, że otrzymałeś swoją odpowiedź i szczerze... – Pochyliłem się w jego stronę, tak że byłem milimetry od jego twarzy. – Mam w dupie co lubisz a czego nie, bierz to albo odejdz.

– Powinieneś.

– Powinienem... co? Hmmm, dziadku?

– Jesteś zabawny. – Zachichotał odkładając swojego drinka. – I powinno... cię to obchodzić.

– Podaj mi jeden dobry powód. – Pozwoliłem nożowi upaść w moją rękę z rękawa i trzymać go milimetry od jego tętnicy udowej, gotów przeciąć ją w ciągu sekund.

– Tylko bardzo zdesperowany albo bardzo głupi człowiek by mnie zabił. Którym jesteś, ciekawe?

Zaskoczony, tym iż wiedział, że mam nóż w pobliżu jego nogi, odsunąłem się i odpowiedziałem szczerze.

– Po trochu z każdego.

– W tym samym czasie za miesiąc... – Skończył swojego drinka. – Będziesz martwy.

– Spoko, powiadamasz mnie przed czasem, żebym mógł zaplanować własny pogrzeb, czy po prostu lubisz przekazywać ludziom dobre nowiny?

Jego zimne, szare oczy zmierzyły mnie z góry do dołu.

– Oczekiwałem, że będziesz niższy. Twój ojciec, on był niskim człowiekiem.

– Prawdopodobnie dlatego go zabiłem. Nienawidzę niskich ludzi. Ile masz wzrostu?

– Znowu, sprytnie zachowanie. To nie działa na każdego ale ja...

– Bo jesteś głupi czy...?

Pochylił się, nóż wbił się w jego udo ale się nie skrzywił. Zamiast tego, zachichotał.

– Nie sądzisz, że twój wujek powinien wiedzieć takie rzeczy?

– Wujek? Wow. – Roześmiałem się. – A to bogactwo. Moja rodzina w końcu upomniała się o mnie po tym jak zabiłem *Cappo*. Miło, niech zgadnę, jestem następnym na ich liście.

– Zabawne, że nawet nie wiesz... – Mężczyzna przechylił głowę. – Albo może po prostu smutne?

– Nie wiem czego? – Utrzymywałem uśmiech na swoim miejscu nawet jeśli byłem tak ciekaw, że to aż śwędziało, żeby go torturować, żebym mógł się dowiedzieć.

– Twoja rodzina... ta, którą chronisz? Wydała na ciebie wyrok, wart dziesięć milionów.

Na to się roześmiałem.

– Jesteś luźnym końcem. – Mój wujek się uśmiechnął. – A my nienawidzimy luźnych końców.

– Więc, jestem poszukiwany? Spoko, może strzelą mi tym razem moje dobrą fotkę, kiedy będą rozpuszczają wici. Ostatnim razem moje włosy były tak kurewsko ciemne, cóż, to znaczy, żeby być uczciwym, oświetlenie było okropne i...

– Posłucham mnie. – Uśmiechnął się szyderczo. – I posłuchaj mnie bardzo uważnie. – Jego oddech pachniał rumem. – Zabij albo giń. To twoje dwie opcje. Bądź tym kim się urodziłeś aby być, a Abandonato, Alfero? Zabijają cię. Ale, jeśli zdecydujesz się zniknąć, udam, że ta mała wymiana zdań nie miała miejsca.

– Więc. – Roześmiałem się, żeby ukryć moją intensywną irytację, a także dlatego, że wiedziałem, że to go wkurzy, być może dając mi lepszy wgląd w jego charakter. – Pozwól mi uprosić. Chcesz, żeby był małym, grzecznym chłopcem, pozostał na miejscu, nic nie mówił i nie zebrał tego, co jest moim przyrodzonym prawem. Jeśli to zrobię, nie tylko moja własna

rodzina na mnie zapoluje, ale również moja adopcyjna, zostawiając mnie praktycznie z niczym? Mam rację.

– Tak.

– Niesamowite, więc sprawy mają się następująco. – Przeniosłem nóż niżej i zrobiłem cięcie, tnąc przez jego spodnie, a potem przykrywając cięcie moją prawą ręką. Lewą ręką złapałem jedną z cytryn z baru i zmiażdżyłem ją pozwalając kroplom spać na ranę.

Skrzywił się i starał się wyrwać z mojego uścisku, ale miałem przynajmniej dwadzieścia kilo przewagi nad nim, więc to było bezcelowe.

– Nie mam rodziny. Nigdy nie miałem. Nigdy mieć nie będę. Więc jeśli mi grozisz, przyjdź do mnie z czymś większym niż to. Przyjdź do mnie, kiedy będziesz gotów mnie zabić, nie kiedy chcesz mi grozić, bo następnym razem, twoja gówniana twarz... – Upuściłem więcej kwaśnego owocu na jego ranę. – Nie tylko potnę cię tu. – Zachichotałem. – Potnę cię wszędzie, wuju, ale utrzymam cię przy życiu kiedy będę to robić, i to nie będzie owoc, ale prawdziwy kwas, spadający na każdą z twoich ran, dopóki nie będziesz błagał o śmierć. Nie mam rodziny. I wygląda na to, że podoba ci się to, bo to daje ci odpowiedni czas do przejścia jej jako *Cappo*, ale chcę, żebyś słuchał bardzo uważnie.

Cała jego twarz płonęła wściekłością.

Pochyliłem się w jego stronę, jakbym zamierzał pocałować jego policzek, aby okazać mu szacunek na jaki zasługuje, ale zamiast tego wyszeptałem mu do ucha.

– Kolejny *Cappo* musi być wystarczająco silny, żeby nie szczać w gacie kiedy ktoś trzy razy młodszy mu grozi. Nie jestem tylko panem amerykańskich rodzin, a jeśli mam cierpliwość, *wpadnę i przejmę* klan Campisich. Z ochotą zajmę swoje miejsce i sprawię, że będziesz wyglądać jak malutka, żałosna suka, którą jesteś. Więc, jeśli już skończyliśmy, dlaczego nie uciekniesz, hmm?

Cofnąłem się i klepnąłem go w twarz dwa razy, a potem wskazałem na jego dwóch goryli, żeby przyszli i pomogli mu wstać.

– Jesteś głupim, głupim dzieciakiem. – Mój wujek splunął.

– Hej, myślę, że jest piosenka o takim tytule! – Zachichotałem głośno, co wkurwiło go tak, że byłem gotów wyciągnąć na niego moją broń. – Skończyliśmy tu. Och, a następnym razem kiedy wejdiesz do mojego baru, lepiej, żebyś miał bombę przytwierdzoną do piersi. Bo cię zabiję. – Uśmiechnąłem się złośliwie. – *Capiche?*



# CHAPTER 12<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Jak możesz przegapić kogoś, kto na twoich oczach zmienia się w kogoś  
nieznajomego?*

Według zegarka stojącego na mojej nocnej szafce była prawie druga w nocy, a Tex jeszcze nie wrócił. Wysłałam mu dziesiątki smsów i nawet próbowałam się dodzwonić. Śmieszne! Czy ja naprawdę bałam się o człowieka, który zna chyba z pięćset unikalnych sposobów aby pozbawić kogoś życia? No dajcież spokój. To był Tex. Był typem, który uśmiechał się kiedy pociągał za spust. No ale, był słaby. Był słaby bo ja do tego doprowadziłam i kiedy wychodził, był w kiepskiej formie.

Zadrzałam.

Nixon też był na mnie wściekły; w zasadzie to chyba wszyscy byli na mnie wściekli. Miał trupa, małżeństwo, które okazało się nieważne i więcej pytań niż odpowiedzi. Okropna część tego jest taka, że kiedy Nixon zapytał mnie czy wiedziałam cokolwiek, ja skłamałam mu w żywe oczy.

Sergio tam wtedy był.

Patrzył jak kłamię.

Pozwolił mi na to, sukinsyn. Ale on też odgrywał swoją część, oboje to robiliśmy. Chciałabym tylko by nie było to tak cholernie trudne by postąpić właściwie. Zawsze wierzyłam, że gdy wybierasz innych ponad siebie, to jesteś wynagradzany, przynigdy czy nie pojęłam nadzwyczajnego poświęcenia jakim to było, kiedy byłeś proszony aby zachować się samolubnie. Bolało mnie w piersi.

Sięgnęłam przez łóżko i wzięłam poduszkę Tex'a, przytulając ją do swojej piersi, wciągając jego zapach jakby był moim narkotykiem. Był jedyną stałą w moim życiu a ja nie chcę żyć w świecie, w którym on nie doprowadzałby mnie do szewskiej pasji, gdzie nie próbowałby opowiedzieć kawału by sprowokować mój śmiech kiedy wszystko co chciałam robić, to płakać.

Trzaśnięcie drzwi wyrwało mnie z mojego żałosnego stanu. Tex! Wrócił. Musiałam się tylko upewnić, że nic mu nie jest. Chciałam tylko wiedzieć, że nie krwawił czy umierał.

Po cichutku podeszłam do drzwi od sypialni i złapałam za klamkę w chwili gdy ktoś z rozmachem je otworzył. Odskokczyłam w tył i rozdziawiłam buzię.

Stał w nich, bez koszuli, chwiejąc się na nogach.

Pijany jak diabli.

– Mo. – Wypowiedział moje imię jak przekleństwo, jakby zastrzegł je dla najgłębszych piekielnych czeluści. – Czemu nie mogę z tobą skończyć? Czemu? – Przepchnął się obok mnie i zatoczył się na łóżko. – Nie mogę przestać... – Zadrżał, jego głos był przytłumiony przez poduszkę. – Nie mogę przestać widzieć cię kiedy zamykam oczy. Nienawidzę cię tak bardzo ale nie tak bardzo jak cię kocham. Nigdy nie będę cię tak bardzo nienawidził jak bardzo cię kocham. To niemożliwe... wierz mi. – Tex westchnął i przeturlał się, jego dłonie zwinięte w pięści kiedy uderzył w poduszkę. – Codziennie się staram.

Zaszokowana mogłam jedynie stać i czekać aby powiedział coś więcej.

Zamiast tego zapadł w niespokojny sen i zaczął chrapać.

Wzdychając, zamknęłam drzwi, podeszłam do łóżka i naciągnęłam okrycie na jego muskularne ciało. Moje serce biło tak głośno, że bałam się iż go obudzi. Nie byłam pewna czy byłam zasmucona wobec tego co mi powiedział, czy pełna nadziei, że nienawiść nie przeważyła jeszcze szali, co znaczy, że było jeszcze miejsce na przebaczenie, prawda?

Wyciągnął ręce nad głowę, a potem zawiązał rękę pod poduszkę sprawiając, że jego biceps wybrzuszył się do imponujących rozmiarów. Sapnęłam. On był zbyt piękny dla własnego dobra i szalona część? On nawet o tym nie wiedział. Zawsze czuł się inny od Nixona i Chase'a ponieważ jego karnacja była jaśniejsza. Zamiast ciemnych włosów miał jasno brązowe z pasmami miedzi przez nie, prawie jak rozjaśnionymi pasemkami. Jego oczy były szalenie ciemnoniebieskie jak ocean w czasie sztormu. Kiedy był wkurzony mógłby wycisnąć z Posejdona ostatnie poty swoim spojrzeniem wściekłego boga.

Wzdychając, odsunęłam włosy z jego czoła i pochyliłam by pocałować go w policzek. W chwili gdy moje wargi musnęły jego skórę, złapał mnie za rękę i przerzucił mnie na plecy, dociskając moje biodra do materaca. Tex unosił się nade mną, jego oczy płonęły.

– Nie chcę cię chcieć – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Nie chcę... – Jego pierś falowała.

– Tex... – Objęłam dłonią jego twarz, ciepłe łzy spływały mi po policzkach. – Powinieneś spać.

– Nie czas na sen. – Przesunął się ze mnie i oparł głowę na moim ramieniu. – Nie czas na sen kiedy śmierć na ciebie czyha.

Zamarłam. – Ty umierasz?

– Dziesięć milionów. – Westchnął. – Ublizające.

Po tym zapadł w sen.

A ja nie zmrużyłam oka przez resztę nocy zastanawiając się czy każda ofiara jaką poniosłam poszła na marne bo oni wciąż go ścigali.



# CHAPTER 13

## SERGIO

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Jesteśmy jedynie tak twardzi jak nasz boss wobec innych bossów. Kropka.*

– No i? – zapytałem rzucając kluczami na stół i sięgając po butelkę wody.

– Dziesięć milionów – powiedział głos znudzonym tonem.

Gapiałem się w swój telefon i nie przestawałem gapić. Dziesięć milionów? Czy to był żart? Jak uwłaczające to było dla całej rodziny, a w szczególności dla samego Tex'a. Tylko dziesięć milionów? Dziesięć milionów nie dawało nam rezultatów. Krew. Być może. Śmierć? Z pewnością. Ale rezultatów? Te, które pozwoliłyby nam przejść do następnego etapu planu? To się nie stało a musi się stać, bo w innym razie, będzie po nich.

Będzie po mnie.

Nic nie pozostanie.

Czystka nadchodziła.

I robiłem wszystko co w mojej mocy aby nie dopuścić do tego, ale w tym sedno odnośnie nieistnienia – odnośnie bycia duchem. Ingerujesz za dużo? I ludzie zaczynają gadać.

Nixon równie dobrze mógłby zostać detektywem z tą ilością pytań jakie wystrzelił we mnie. Po co tak naprawdę zjawiłem się na ślubie? Co robiłem w jego domu? Czemu pomagałem jak zazwyczaj trzymam się z boku? Co chciałem tym zyskać?

Westchnąłem, czując się na bardziej zmęczonego niż na moje dwadzieścia osiem lat i zerknąłem na telefon.

– No dobra, zaczekamy aż wzrośnie.

– Ale...

– To wszystko. – Wcisnąłem rozłącz. Na moim wyświetlaczu momentalnie wyświetliło się zdjęcie Mo. Jedyne zdjęcie jakie jej pstryknąłem kiedy nie patrzyła i kiedy zastanowiłem się nad tym, nie była to najromantyczniejsza rzecz na świecie.

Ale to było wszystko co miałem.

Jedno zdjęcie.

Jedną noc.

Koniec.

Zabawne, ponieważ ona powiedziała mi to wszystko – ale ja nie uwierzyłem jej. Nigdy nie doświadczyłem tego rodzaju pociągu do innej osoby. Pociągania, które jest tak silne, że kończysz robiąc głupoty.

Jak planowanie przyszłości.

Zasada numer jeden w Mafii? Nie planuj, bo rzadko doświadcza się szczęśliwego zakończenia.

Dziesięć milionów. Liczba równie dobrze mogłaby być wypisana na moim czole. Szlag, będę musieli się bardziej postarać.

Miałem dwa wyjścia.

Niech żetony się rozsypią.

Albo manewrujemy każdym żetonem dla naszych własnych celów – za rodzinę, za Mo, za krew.

Problem? Jeśli się ujawnię nie wyjdę na bohatera ale na złoczyńcę. W zasadzie, byłem dość pewien, że gdy zrobię ten krok... jeśli skończę z ukrywaniem się, to skończę z kulą w głowie.

Martwy.

Pogrzebany.

Opuściłem wzrok na telefon, serce łomotało mi w piersi. Jeśli nic nie zrobię to ona skończy martwa, oni wszyscy tak skończą. To tylko kwestia czasu zanim sprawy dojdą do głowy. Może nie w tym miesiącu, może nie w kolejnym – do cholery, może minąć rok zanim rzeczy się posuną na przód.

Ale raz jeszcze, koniec zawsze był taki sam.

– Mo – wyszeptałem dotykając wyświetlacza palcami, głaszcząc szkło ponieważ ostatni raz kiedy dotknąłem jej twarz, ona odsunęła się zabierając moje serce z sobą.

Jedyny raz kiedy uległa mnie – ulegała *nam* stało się dlatego, że była zła na niego.

Byłem jej najlepszą obroną wówczas.

Byłem jej najlepszą obroną teraz.

– Niech to szlag. – Zamknąłem oczy i pozwoliłem sobie przez krótką chwilę wyobrazić jaka mogłaby być wolność. Mogłem uciec ze świadomością, że każdy mój krok jest splamiony krwią mojej rodziny.

Czy dziewczyny, którą kochałem odkąd miałem pięć lat.

Więc, z trzęsącymi się rękami, podniosłem telefon i wybrałem numer Nixona i wypowiedziałem słowa, które myślałem, że nigdy nie wypowiem.

– Czego? – Nixon szczechnął do telefonu. – Wszystko w porządku na twoim końcu?

– Wchodzę.

– Sergio...

– Pozamykam wszystko dzisiaj, spotkam z tobą w domu, zostanę tak długo jak potrzebujesz... czas posłać ducha na emeryturę, bracie.

Nixon zaklął, przez dłuższą chwilę telefon milczał.

– Robisz z siebie cel. Ukrywałeś się nie bez powodu Sergio.

– Daj się mnie tym martwić. – Mój żołądek się zacisnął. – Wracam, przygotujcie się, zaszary sztorm nadciąga i jestem całkiem pewien, że wiatr dmie prosto z Sycylii.

– No tak. – Nixon westchnął. – Będę czekał w domu.

– Okej. – Rozłączyłem się, powoli odkładając telefon na blat. Zadzwoił raz, drugi, trzeci.

Odebrałem przy czwartym dzwonku nawet nie mówiąc halo.

Głos wychrypiał mi do ucha.

– Dorwę cię. Obiecuję, że to zrobię jeśli kiedykolwiek pokażesz swoją twarz.

– Dobra. – Szczechnąłem gdy strach wypełnił moje trzewia. Do cholery pracowałem zbyt mocno aby chronić rodzinę, która aż tak mnie nienawidziła. – A co najgorszego może się wydarzyć tatuśku? Zastrzelą mnie? – Nie szybciej jak słowa opuściły moje usta, lustro naprzeciwko mnie roztrzaskało się upadając na podłogę w kawałkach porozrzucanego szkła. Drugi strzał się rozniósł, rozdzierając skórę na kanapie.

Westchnąłem, w zasadzie już zmęczony jego gierkami. I zabawne, one dopiero się zaczęły.

– Powiedz Donowi, że jego strzał chybił o jakieś pół cala. Wciąż stoję. Och, i następnym razem gdy będziecie do mnie strzelać, to przynajmniej traficie coś do czego warto strzelać. Nie cierpię marnować amunicji. I ty też nie powinienes, biorąc pod uwagę, że wszystkie rodzinne pieniądze są w moim posiadaniu a ty masz co? Pięć dolarów na swoje nazwisko? Ale tak się dzieje kiedy układasz się z federalnymi. Pozdrów mamę ode mnie. Och, i tatuśku?



Mój ojciec zaklął siarczyście po drugiej stronie.

– *Nie* nazywaj mnie tak!

– Dobrze było cię usłyszeć. – Szeroko się uśmiechnąłem i zakończyłem rozmowę. Tak, dokonałem wyboru, prawdopodobnie tego złego ale psiakrew, przynajmniej będzie rozrywkowo.

Dom był pogrążony w ciszy kiedy go zamykałem, ustawiając kamery nadzorujące tak, bym mógł monitorować co się działo pod moją nieobecność. Złapałem kluczyki do mojego sportowego BMW i nic nie czułem.

Żadnych wyrzutów sumienia.

Żadnego strachu.

Ale być może... opuszczając wzrok na swój telefon, odrobinę żalu.

Żalu ponieważ ona nie była moją do chronienia. Ale i tak zamierzałem to robić. Żalu ponieważ miałem uczynić jej życie piekłem na ziemi próbując udowodnić jej, że mogę być dla niej dobry.

Mimo wszystko, ona jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, że Tex był trupem, niezależnie od tego czy plan wypali czy nie.

On zawsze będzie Campisi.

# CHAPTER 14

## TEX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Oczekiwania zawsze są większe niż nam się wydaje.*

Promienie słoneczne wlewały się przez zasłony, niemal smażąc mnie na śmierć i ani trochę nie pomagając z moim bólem głowy. Przeklinając, przekręciłem się na bok próbując rozkminić skąd dochodziło to walenie i kogo muszę zastrzelić aby to powstrzymać. Oficjalnie miałem kaca prosto z piekieł. Przecierając oczy zerknąłem na szafkę nocną. Szklanka z wodą czekała razem z dwiema tabletkami p/bólowymi.

Mo nie było już ze mną w łóżku. Nie to żebym miał jej to za złe. Leżenie obok niej i tak było już torturą. Czując krzywizny jej ciała. Nawet jeśli byłem zbyt pijany by cokolwiek z tym zrobić? Czyste piekło. Przysięgam, niemal złapałem za swojego gnata i skończyłem z sobą w tamtej chwili. Ale Mo posyłała mi tak czułe spojrzenie nawet jeśli udawałem, że odpłynąłem. Dotknęła mojej twarzy.

Cholera, byliśmy źli dla siebie nawzajem.

Jak nałogowcy nie mogliśmy z tym skończyć. Chciałem dać ją w odstawkę i odejść ale w tym rzecz jeśli roznosi się o idealność. Grzesznik w tobie chce tego desperacko z nadzieją, że cały ten mrok odejdzie, że zamiast odejść, jak powinieneś, bierzesz to, patrzysz na to, pożerasz to, aż nic z tego nie zostaje. Zastanawiałem się czy Mo była świadoma, że robiłem to dla niej... jak wykorzystywałem seks z nią abym na powrót mógł poczuć się cały, mniej zbrukany.

Z jękiem podniosłem się, wrzuciłem pigułki do ust i ruszyłem do drzwi.

Otworzyłem je powoli i zerknąłem na korytarz.

Sergio stał w kuchni z Nixonem rozmawiając z nim szeptem. Mo w rogu jadła płatki, jej oczy były niemal tak duże jak Cheerios, które starała się przełknąć. Super, ktoś pewnie kopnął w kalendarz.

Klnąc i ciężko stąpając, ruszyłem korytarzem walcząc z chęcią staranowania swoim ciałem Sergia, wywołując tym u niego masywne krwawienie, i wziąłem miseczkę z szafki.

– Ktoś wstał złą nogą. – Sergio powiedział napiętym, niskim tonem. Fakt, że skurwiel wciąż mówił z lekkim akcentem przez co brzmiał jak matoł, nie ułatwiało mi tego.

– No, ale wiesz... – Rozciągnąłem ramiona nad głową. – Miałem te osobliwe koszmary kiedy to trzymam naprawdę ostry nóż przy czyjeś szyi i wtedy znienacka gość sika w swoje gacie. Nigdy nie widziałem jego twarzy, chociaż wrzeszczał jak zarzynana świnia, miał lekki akcent, jakieś metr osiemdziesiąt pięć i tatuaż z krzyżem na lewej ręce.

Sergio wywrócił oczami.

Nixon spiorunował mnie wzrokiem.

A Mo kaszlnęła z boku.

– No co? – Wzruszyłem ramionami. – Nie mogę się podzielić moimi nadziejami i marzeniami z wami? – Nasypałem sobie płatków do miski. – Też mi rodzinka.

– Dziesięć milionów. – Sergio powiedział bez gładko. – Sprawia, że czujesz się niespełna człowiekiem, mam rację? I pomyśleć, że to cena za twoje nędzne życie. Do diabła, w tamtym roku made man poszedł za dwanaście.

– Jest zbyt wcześnie dla mnie by cię zabić. – Ziewnąłem i wlałem sobie mleka do płatków.

– Myślisz, że bym ci pozwolił? – Sergio zaśmiał się brzmiąc na rozbawionego jak diabli.

– Myślę, że nie miałbyś wyboru. – Przeżuwałem kęs płatków, chrzęst był jedynym dźwiękiem w kuchni za wyjątkiem zębów Nixona stukających o jego kolczyk w wardze. Z jakiegokolwiek powodu wiedział, że to była moja potyczka nie jego. – A dziesięć milionów to wciąż dziesięć milionów. Pomyśl o tych wszystkich operacjach jakie będziesz mógł opłacić po tym jak przeoram tę śliczną buźkę, hmm? – Wycelowałem w niego łyżką. – Teraz to nawet nie brzmi tak źle.

Sergio uśmiechnął się znacząco, jego oczy powłóczyły się ode mnie do Mo i z powrotem do mnie.

– To naprawdę słodkie... jak nie potrafisz złapać aluzji. Same mięśnie i za grosz rozumu, czy nie tak mawiają ludzie?

– Panienci. – Chase wszedł do pokoju i ziewnął. – Skończcie z tą kłótnią albp wpadnie tu zaraz Mil ze spluwą. Kobieta jest wycieńczona, dajcie jej pospać.

– Może gdybyś dał jej zmrzyć oko w nocy... – Śmiałem się.

Chase uniósł rękę.

– Toteż odwodniony sikający to jak próbować znaleźć wodę na Saharze.

– Szczegóły o których nie chcę słyszeć. – Nixon wystrzelił. – Nigdy.



– Zawsze tak rozmawiacie o swoich kobietach? – Sergio zapytał rozglądając się po pokoju.

– W zasadzie. – Mo powiedziała z westchnieniem. – To jest oklepane.

Wyszczrzyłem się. – Troszczyć się to dzielić się.

– Nie dziwota, że ludzie wciąż próbują was odstrzelić... żadnego szacunku. – Sergio przekrzywił swoją głowę na Nixona. – Więc, dogadaliśmy się?

– Odnosnie żadnego szacunku? – Nixon skrzyżował ramiona.

– Odnosnie mojego zamieszkania tutaj.

– Ło, ło, ło! – Odepchnąłem swój stołek i wstałem, pięści zaciśnięte po bokach. – Co do cholery, Nixon!

– No. – Nixon zerwał kontakt wzrokowy ze mną i potrząsnął ręką Sergio. – Ale zasady dotyczą ciebie tak samo mocno jak tyczą się Tex'a czy każdego z chłopaków. Połóż łapę na mojej siostrze bez jej zgody a ją odetnę.

– Tex'owi nie odciąłeś ręki. – Sergio wskazał palcem, zadowolony z siebie uśmiezek pojawił się na jego gówno-wpieprzającej gębie.

– Nie. – Przewróciłem oczami. – Jedynie postrzelił mnie w przypiływie dzikiej furii. Ale hej, może ty będziesz szczęściarzem i będziesz mógł wybrać gdy przyjdzie pora!

Sergio odrzucił głowę w tył i się roześmiał.

Podciągnąłem rękaw od koszulki pokazując mu ranę.

Przestał się śmiać.

Nixon skrzyżował ramiona.

– Czy teraz się rozumiemy?

Sergio zagwizdał.

– Psiakrew Nixon, jesteś przerażającym sukinsynem, wiesz o tym?

– Pierwszy komplement w dniu dzisiejszym. – Nixon wzruszył ramionami i posłał mi znaczące spojrzenie. – Tex, musimy pogadać.

– *Dun, dun, dun.* – Chase zaśpiewał.

Trzepnąłem go w tył głowy i poszedłem za Nixonem, chcąc jak diabli wiedzieć co wlało mu do tyłka i zdechło. Facet nigdy nie rozmawia z członkiem Elektów z dala od innych Elektów. Co znaczyło, że siedziałem po uszy w gównie. Fantastycznie.

Przykleiłem uśmiech do twarzy i usiadłem na jednym ze skórzanych foteli, zakładając sobie ręce za głowę, próbując wyglądać na zrelaksowanego kiedy tak naprawdę nieco się bałem, że znów do mnie strzeli.

– Ślub... – Nixon oblizał swoje wargi i wyjął kilka arkuszy papieru. –...nie ma mocy urzędowej. – Podał mi sfałszowane dokumenty. – Poza tym nie był w ogóle wciągnięty do ewidencji. Sergio właśnie podrobił nowe dokumenty, które zostaną odpowiednio zaewidencjonowane. – Jego oczy opadły na podłogę. – Teraz, kiedy się nad tym wszystkim zastanowiłem... Nie wiem czy w najlepszym interesie Mo jest wyjść za ciebie pomimo tego co jej zrobiłeś.

Pokój zaczął pokrywać się czernią. Staralem się zachować spokój. O czym dokładnie on mówił?

– Ale... – Nixon chodził w te i we w te przede mną, stukając palcami w swoje uda. –... to chyba leży w twoim najlepszym interesie aby być związanym z nami. Dziesięć milionów – powiedział ze znaczącym uśmieszkiem. – Powiedz mi, że nie śmiałeś się kiedy to usłyszałeś.

– Do rozpuku. – Dałem mu odpowiedź jakiej chciał kiedy to byłem zraniony do głębi. – Nie to, żeby się to liczyło, ale nie dorwaj mnie. Nikt nie może mnie tknąć.

– Tylko dlatego, że jesteś Campisi nie znaczy, że nikt nie może cię tknąć. I z tego właśnie powodu chcę byście udawali, że jesteście małżeństwem... póki co każdy wierzy, że to jest autentyczne. Dokumenty będą złożone, chroniące was oboje, ale na koniec daje to Mo pole manewru kiedy to wszystko ucichnie.

– Pole manewru? – Powtórzyłem.

Nixon ucisnął nasadę nosa i oblizał wargi nie odrywając wzroku od podłogi.

– Miłość. Przynajmniej daj jej szansę na pokochanie kogoś... kogoś kto nie wydrze jej serca, podepcze go a potem będzie próbował posklejać je na nowo. Ona zasługuje na to.

– I ja nie mogę jej tego dać?

Nixon badał mnie wzrokiem.

– Nie wiem, a możesz?

Koszmary zalały moją wizję... krew, śmierć, śmierć i więcej śmierci. A potem była tam Mo, jedyna idealna istot w moim życiu. Moja jedyna stała.

Ja też przyglądałem się badawczo Nixonowi.

Był zdenerwowany.

Strapiony.

Ruchliwy.

On nigdy się nie wiercił.

I zawsze nawiązywał kontakt wzrokowy, a wciąż mrugał oczami i patrzył w podłogę a potem na drzwi po czym znów na podłogę. W końcu, opadł plecami o fotel i znowu dotknął twarzy.

On do cholery rozpadał się na moich oczach.

– Jesteś w kropce – powiedziałem łagodnie. – Chronić mnie czy chronić Mo.

– No dobrze. – Nixon zadrżał. – Połączyć was i...

– Możesz to powiedzieć. – Serce opadło mi do żołądka. – To nie tak, że nie wiem co sobie teraz myślisz.

– A co mianowicie? – Szczeka Nixona trzasnęła.

– Nie możesz mi ufać – wyszeptalem. – Nie dłużej. Pomimo tego, że Mo jest w ciąży... nie możesz ufać mi bo jestem Campisi i ostatecznie nadejdzie czas abym zajął swoje miejsce... w Piekło. – Moje dłonie zaczęły się trząść. – I cholera, jeśli nie chcesz żebym zabrał Mo ze sobą. Do diabła, sam nie chcę zabierać jej tam ze sobą, ale zrobię to bo jestem samolubnym skurwysynem.

– Ona jest naiwna. – Nixon pokręcił głową. – Możesz z ręką na sercu powiedzieć, że będziesz ją kochać? Chronić przed tym marnym życiem? Przed tą linią rodu? I czy koniec końców wybrałbyś Rodzinę ponad nią?

Obaj znaleźliśmy odpowiedź.

Ponieważ tak bardzo jak kochamy nasze kobiety.

Zawsze wybieramy to co jest najlepsze dla rodziny. Tak właśnie postępuje boss.

Tak właśnie robi *Capo*.

Jeśli szłoby o moich ludzi zamkniętych w magazynie pełnym wrogów czy Mo w domu z pistoletem przy jej głowie.

Poświęciłbym ją aby ich ocalić.

Ponieważ rodzina jest jedynie tak silna jak boss – i jeśli boss jest słaby, rodzina się rozpada.

– Rozumiem. – W końcu byłem w stanie odpowiedzieć. Mój głos był cichy, ochryply od emocji, które starałem się ukryć w sobie albo była to jedynie złość krążąca po moim ciele, która powodowała, że miałem ochotę w coś przywalić – coś będącego Nixonem. – Coś jeszcze, *szefie?*



– Nie daj się zabić. – Brwi Nixona wystrzeliły w górę kiedy posłał mi sztywne kiwnięcie głową. – I być może... wszystko się jeszcze podwraca, kto wie.

– Akurat. – Zagryzłem zęby. – I być może pewnego dnia motyle przejmą świat i zastąpią pistolety.

Kiedy próbowałem przejść obok Nixona on chwycił mnie za ramię i wyszeptał.

– Nigdy nie trać nadziei, że kiedyś dzień się odmieni.

Parsknąłem i wyrwałem rękę z jego uścisku.

– Różnica między mną a tobą jest taka... że ja straciłem nadzieję w dniu, w którym się urodziłem. Nie wierzę w nadzieję. Życie i Śmierć.

– A miłość? – Nixon wykrzywił swoją głowę, jego oczy penetrujące jakby chciał zajrzeć mi w duszę.

– Ta zdarza się raz w życiu. Masz jedną szansę i jeśli ją spieprzysz, rzadko kiedy ta łajba ponownie do ciebie zawraca.

# CHAPTER 15<sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Nikt nigdy nie powiedział, że chronienie innych własnym kosztem będzie łatwe.*

– No, to był ubaw. – Chase szturchnął mnie łokciem i zaoferował przyjacielski uśmiech. Jeśli próbował powstrzymać mnie od szlochania w miskę płatków śniadaniowych, to naprawdę marnie się starał. – Uśmiech, Mo.

Zaoferowałam odrażający uśmiech z obnażonymi zębami.

Chase się skrzywił.

– Może następnym razem, co ślicznotko?

Przewróciłam oczami i oparłam łokcie o stół. Chase był albo najgorszym bratem na świecie, albo najlepszym. Odkąd dowiedzieliśmy się, jak naprawdę pochranione są nasze linie krwi, bardziej myślę o nim jak o bracie niż kuzynie.

– Będzie lepiej – westchnął, klepiąc mnie po głowie.

– Po prostu... – Odprawiłam go machnięciem ręki. – Koniec gadania.

– Rozmowa pomaga... to jak darmowa terapia. – Ukradł kęs moich Cheerios. Spiorunowałam go wzrokiem. Wziął kolejny.

– Chase! – warknęłam zirytowana. – Zrób sobie własne pieprzone płatki!

Wziął kolejny duży kęs, mleko ściekało mu po brodzie.

– Widzisz, uzyskałem ę od ciebiereakcj. Możesz podziękować mi później.

– Za wprowadzenie mnie w parszywy nastrój? – Sprzeczałam się.

Chase wstał i szybko uściśnął moje ramię.

– Czemu nie porobisz dzisiaj czegoś normalnego, Mo? Weź dziewczyny, idźcie na zakupy czy coś. Mimo wszystko jesteś teraz mężatką. Do diabła, idź wydać co nieco z tych milionów Texa, on nadaje się do tego. W sumie to im więcej o tym myślę, tym szczęśliwszy

się staje. Wpadnij do Victoria Secret, zrób przed nim pokaz, powiedz coś w stylu „żadnego dotykania”. Mówię ci, facet posra się w gacie.

– Łał. – Tex burknął, wchodząc po pokoju. – Uczysz moją żonę sposobów do torturowania mnie. Dzięki Chase, ale ona już to robi, oddychając tym samym powietrzem i nie nawiązując ze mną kontaktu wzrokowego.

– Łoo. – Chase uniósł ręce. – Gównno zrobiło się napięte. Spadam, ale pamiętaj, co powiedziałem, Mo. – Puścił mi oczko i walnął Texa w ramię, zanim wyszedł z pokoju.

Tex wpatrywał się we mnie, jego ciemnoniebieskie oczy kotłowały się od złości. Zrobiłam niepewny krok w tył, starając się chronić.

– Naprawdę myślisz, że mógłbym cię skrzywdzić? – zapytał niskim głosem.

Wzruszyłam ramionami.

– Dużo trzaskasz drzwiami.

Pojawił się uśmiech, a potem zniknął.

– Drzwi sobie na to zasłużyły.

– Bo?

– Spokojnie. – Zrobił krok w moją stronę. – Blokują mi widok na ciebie, a twoje bezpieczeństwo jest moją obsesją numer jeden.

Powietrze nagle opuściło moje płuca.

– Ra...racja.

– Jedź na zakupy.

– Co? – Szarpnęłam głową. – Mówisz poważnie?

– Nigdy nie żartuję na temat ciuchów. – Tex uśmiechnął się krzywo, humor wrócił do jego oczu. – Albo wina. Przecież mnie znasz, Mo.

Odwzajemniłam uśmiech, czując mniejszy ciężar w piersi.

Zrobił kolejny krok, byliśmy wystarczająco blisko, by się dotknąć.

Westchnął, wyciągnął rękę i skierował mój podbródek w swoją stronę. Jego dotyk palił mnie, tworząc potrzebę tak obezwładniającą, że całe moje ciało zaczęło drżeć.

– Sklepy, relaks, zabierz dziewczyny – wyszeptał. – Ciesz się tym ze świadomością, że będę tutaj, kiedy wrócisz.

– Ale...

– Mo. – Mocniej ścisnął mój podbródek. – Wyślę z tobą kilku ludzi. Będziesz w porządku. Bezpieczna. A ja będę tutaj, zajmując się interesami.

Jego oczy przemknęły do moich ust. Zanim mogłam się powstrzymać, pocałowałam go. Nasze wargi się zderzyły. Tex uniósł mnie w powietrze, warcząc, gdy jego ręce wsunęły się w moje włosy nieco za nie szarpiąc tak, żeby mógł całować wzdłuż mojej szyi. Kiedy jego usta ponownie odnalazły moje, zerwał pocałunek z przekleństwem, zrobił krok w tył, a jego klatka piersiowa falowała.

– Przepraszam – wymamrotałam z opuchniętymi wargami i oczami pełnymi łez. – Wiem, że mnie nienawidzisz.

Wzrok Texa stężał, kiedy dotknął rękami swoich ust i odwrócił wzrok.

– Nigdy nie znienawidzę cię tak mocno, jak cię kocham. Ten rodzaj nienawiści? Ta głębia nienawiści? Nie istnieje, skarbie, wierz mi, szukam jej każdej nocy, kiedy leżysz koło mnie, a ja odmawiam sobie dotknięcia ciebie. Łaknę jej każdej minuty, każdego dnia, kiedy oglądam twoją piękną twarz. – Przełknął ślinę. – Idź po dziewczyny, tracisz światło dnia. Nie chcę, żebyś wychodziła, jak będzie ciemno. – Z tymi ciężkimi krokami wyszedł.

A ja zwalczyłam pragnienie, by za nim pobiec.

By powiedzieć, że też go kocham.

By wszystko mu wyjaśnić.

Ale powiedzenie mu prawdy przypieczętuje jego śmierć. Więc trzymałam język za zębami i wysłałam wiadomość.

*Ja: Rozmawiałam rano z Nixonem. Małżeństwo w toku. Wygląda realnie. Sfalszowane. Z nami okej?*

*D: Dobra robota, Mo. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć... żebym tylko nie żałował, robiąc to po twojemu. Ma ochronę rodziny Abandonato, to początek.*

*Ja: To dobrze, prawda?*

*D: Gdyby było źle, to dowiedziałabyś się tego po dziurze od kuli w czole swojego męża. Odezwę się, jak będziesz mi potrzebna.*

\*\*\*\*

Zakupy okazały się być większą zabawą, niż sobie wyobrażałam. Po pierwsze, najwyraźniej Mil nie miała żadnego czasu sam na sam ze sobą, odkąd wyszła za mąż. Nie



dlatego, że Chase miał coś przeciwko czy ona na dobrą sprawę, ale była podekscytowana odrobiną wolności.

Nie obeszło mnie to, że chodziliśmy po centrum Chicago ze świeżo upieczonym szefem mafii z jednej strony i żoną jednej z najpotężniejszych rodzin mafijnych w historii... z drugiej.

Co zostawiało mnie.

Sfingowaną żonę rzekomego *Cappo*. Zajebicie. Jeśli ktoś miałby zostać postrzelony, to całkiem jasne, że ja będę pierwsza a potem one. No ale przecież wzięliśmy Vinniego i Lou ze sobą.

Najwidoczniej schłali się jakiś czas temu i to był ich sposób na spłatę Nixona przez trzymanie nas na oku.

Vinnie był naszym kuzynem i miał tendencję do dawania ciała, ale był zajebisty i czerpał wielką radość z wszelkich rodzajów przemocy, więc zakupy? Równie dobrze moglibyście mu powiedzieć, że zastępujecie mu penisa kwiatkiem.

I Lou, był jednym z moich ulubionych członków rodziny. Zawsze ubierał się przyzwoicie, pachniał przyzwoicie, ale miał prawdziwy problem z przyzwoitym zachowaniem. Powiedzmy, że cierpliwość nie leżała w jego naturze. Najpierw strzela, później zadaje pytania – jeśli w ogóle pamięta, by je zadać. On był jak mała kopia Texa.

– To jest fajne. – Trace pociągnęła łyk kawy i włożyła okulary przeciwsłoneczne. – Nie byłam na zakupach od czasu, jak Nixon kupił mi ten plecak od Prady.

– Ach... – Pokiwałam głową. – Ten sądny dzień znany też jako dzień, kiedy to dzieciaki z college sponiewierały miłosny interes mojego brata.

– Mówisz o nas jak o jakimś filmie. – Trace przewróciła oczami. – Kochankowie urodzeni pod nieszczęśliwą gwiazdą, czy coś w tym stylu.

– Przyznaj to. – Mil się wtrąciła. – Po tym wszystkim, co wydarzyło się przez ostatni rok... bylibyśmy jak Prime Time.

– Jak Scandal. – Pokiwałam głową. – Tylko lepsi.

– Ugryź się w język! – Trace skarciła mnie, a potem się roześmiała. Była poważnie uzależniona od nocnego oglądania telewizji.

– Chcecie jeszcze gdzieś wstąpić? – zapytałam, kiedy przechodziliśmy koło Victoria Secret. Ochrona była kilka kroków za nami.

Trace spojrzała na znak nad drzwiami. – Chodźmy tutaj. Dopiero co wyszłaś za męża.

– Na siłę. – Uniosłam rękę. – Więc to nie tak, że Tex będzie mnie dotykał czy cokolwiek – powiedziałam ostatnią część zrzędlwym tonem no bo szczerze, zrobiłabym wszystko,

zastrzeliła albo skończyła w więzieniu, by tylko jeszcze raz mnie pocałował. Pocałował mnie tak, jakby mnie pragnął.

Mil z Trace wymieniły się spojrzeniami, po czym Mil pchnęła mnie w kierunku drzwi.

– Jest wciąż facetem, Mo i wierz mi... – Przechyliła głowę na bok. – Wszystko, czego ci potrzeba, to kilka... pokus. Poza tym, co na tym ucierpi?

– Och, niech się zastanowię. – Zaśpiewałam, kiedy wciągnęły mnie do środka. – Moja дума, moje serce, moje nienarodzone dziecko, moja...

Mil uniosła rękę i wywróciła oczami.

– Kapuję. A teraz przestań być dzieckiem i daj nam zrobić z siebie dziwkę.

– O mamuńciu. – Klasnęłam rękami z fałszywym entuzjazmem. – Tego właśnie mi trzeba, wyglądać jak jedna z kurwiszczy Texa.

Trace uszczypnęła mnie w ramię.

– Ał! – Potarłam to miejsce. – Za co to?

Tarce spiorunowała mnie wzrokiem.

Mil odpowiedziała za nią.

– Masz głowę w zadku, ale niech będzie. Jeśli jest coś, w czym jestem dobra, to wyciąganie głów z tyłków i ustawianie wszystkiego na nowo na właściwe tory. Weźmy na przykład Chase'a...

– Chase'a? – powtórzyłam, kiedy wchodziłyśmy głębiej do sklepu, mijając sekcję RÓŻOWĄ i zmierzając do sekcji z koronką, w której nie miałam żadnego interesu być. – No i jak mu pomogłaś?

– To proste. – Mil wzruszyła ramionami i obdarzyła mnie chytrym uśmieszkiem. – Zaoferowałam moją świątynię ciała i teraz jest zbyt wyczerpany, by być dupkiem. Problem rozwiązany. – Roześmiała się i wzruszyła ramionami, jakby mówiąc 'co innego można by zrobić?

Trace odrzuciła głowę w tył i roześmiała się, przybijając sobie z Mil piątkę.

Zwalczyłam uśmiech i odwróciłam się od nich.

Vinnie i Lou weszli do sklepu. Vinnie kręcił głową w niesmakiem, kiedy Lou przejechał kciukiem po koszulce nocnej ze stringami. To miało być seksi. A on wyglądał na przerażonego, najwyraźniej skomplikowane ciuchy chrzaniły się z jego głową.

– To. – Mil poklepała mnie po ramieniu i wepchnęła kilkanaście wieszaków z bielizną w moje ramiona. – Idź przymierzyć.

– Jakżeś ty w ogóle...

– Idź! – Mil tupnęła nogą. – A kiedy nie będzie w stanie oderwać łap od ciebie, oczekuję „dziękuję ci Mil”.

– Wpasowałaś się aż za dobrze. – Trace pokiwała głową. – Cieszę się, że trzymasz się Chase’a i nie rezygnujesz z niego.

– Wymaga to pracy. – Mil puściła oczko i zatarła ręce. – Ale kim ja jestem, by migać się od pracy?

– Po prostu nazwij to seksem. – Jęknęłam, wymijając je. – Żadnych więcej słów kodów!

Trząsnęłam za sobą drzwiami i patrzyłam w swoje odbicie w lustrze. Każda chwila, jaką spędziłam z Texem... zawsze była taka nieskomplikowana. Spaliśmy ze sobą, rozmawialiśmy, śmialiśmy się. Nigdy tak naprawdę nie musiałam starać się go uwieść. Jeśli powie nie? Albo będzie nabijał się ze mnie, albo jeszcze gorzej, będzie zniesmaczony, nie byłam pewna, czy moje kruche serce będzie w stanie to znieść.

– Pośpiesz się! – Mil walnęła w drzwi.

Przeklinając, rzuciłam torebkę na podłogę i sięgnęłam po pierwszą koronkową rzecz, jaką zobaczyłam. Była czarna, całkowicie prześwitująca, wiązana na szyi, z kompletnie odkrytymi plecami. Nie byłam pruderyjna, ale czułam się bardziej naga w tej przymierzalni niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu.

– I jak to wygląda? – zawołała Trace.

– Dobrze? – powiedziałam to jak pytanie.

– Masz zajebiste ciało. – Mil parsknęła. – Oczywiście, że wygląda dobrze!

Szybko przymierzyłam resztę rzeczy. Wiedziałam, że gdy tego nie zrobię, zostanę zmuszona wpuścić dziewczyny do środka, by miały pewność, że sprawdziłam wszystko. Miałam zamiar kupić tylko jeden komplet.

Ale Mil była innego zdania. W chwili, gdy wyszłam z przymierzalni, wyciągnęła wszystko z moich ramion, wskazała na jeden z obitych, czarnych foteli a potem pognęła do kasy.

– Myślę – prychnęłam i zdmuchnęłam z twarzy kosmyk włosów – że lubię Mil w *małych* dawkach.

Trace roześmiała się i usiadła w fotelu obok. – I tak, jest niesamowita.

– Racja. Pieprzy Chase’a tak, że facet traci zmysły i nawet nie ma pola do narzekań. Powinniśmy się martwić?

– Niece. – Trace wzruszyła ramionami i rozsiadła się w fotelu, zamykając na chwilę oczy. Jej policzki były zaróżowione, wyglądała na szczęśliwą, zrelaksowaną. – Kupimy mu po prostu więcej batonów proteinowych i Gatorade. Odzyska moc.

Mil dołączyła do nas kilka minut później z podstępny uśmiechem na twarzy.

– Co zrobiłaś? – jęknęłam.

– A co? – spytała niewinnie. – Mogłam dorzucić kilka... produktów do ciuchów, ale by być fair, to były na promocji i szczerze mówiąc, to nic nie uszczęśliwi mnie bardziej niż ty doprowadzająca Texa do szaleństwa. Tylko pomyśl, rzucając *Cappona* kolana.

– On nie jest *Cappo* – powiedziałam defensywnie, a potem uświadomiłam sobie, że skoczyłam w jego obronie nieco może zbyt szybko.

– Ach tak. – Mil przytaknęła, jej oczy się zmrużyły. – Jest nim. Zaufaj mi, nie wiem, co mówi wam Nixon moje drogie, ale moja rodzina ciunkająca za zapowiedzią znaczy tylko jedno. Ta mała aluzja o dziesięciu milionach? Ona się podwoi, jeśli się nie dokona wyboru.

– A czemu w ogóle musi wybierać? – zapytałam. – Chodzi mi o to, że nie potrzebujemy *Cappo*! A jego rodzina nawet go nie lubi. – Poważnie miałam ochotę coś rozbić. Nie mogłam znieść, że został postawiony przed takim wyborem. Tex był silny, ale tylko na tyle silny, na ile sobie pozwalał być. Bałam się o niego. Bałam się o nas.

– Rodzina to krew. – Mil wyjaśniła powoli. – Nie liczy się, czy nagle przejdzie na judaizm albo nie nadeptnie na pająka, bo będzie wierzył, że mają one duszę. Prawda jest taka, oni muszą wiedzieć, po której stronie on stoi.

– A jeśli stanie przeciwko nim? – wyszeptałam. – Co wtedy?

Mil milczała.

Vinnie i Lou otworzyli drzwi do sklepu. Wiatr zadął, uderzając mnie prosto w twarz. Wzięłam głęboki wdech i popatrzyłam w dół ulicy. – Cholera.

– Co? – Mil zatrzymała się, sięgając do torebki. – Co jest?

Trace sięgnęła za siebie i pokazała Vinniemu kciuki w dół.

Trzech mężczyzn wysiadło z czarnego SUV'a jak w zwolnionym tempie. Nie śpieszyli się, podchodząc do nas. Kilkoro ludzi na ulicy rozdziawiło buzie na ich widok i puciekało do sklepów, zamykając za sobą drzwi. Dziecko na rowerze niemal zderzyło się z budką telefoniczną i pognało w przeciwnym kierunku. Mil stanęła przede mną. Próbowałam ją przesunąć, ale nawet nie drgnęła. W tym całym scenariuszu była nieco zbyt ważna, będąc bossem i takie tam, ale wiedziałam, by się z nią nie sprzeczać, przynajmniej nie w tej chwili.



Mężczyzna w środku był prawie łysy, miał laskę, lekko utykał i wyglądał na naprawdę wkurzonego. Nie rozpoznawałam go – tak było, dopóki nie znalazł się kilka kroków od nas. Miał burzowe, niebieskie oczy, tak jak Tex.

Niedobrze.

Nie zrobią niczego na otwartej przestrzeni, ale to nie znaczyło, że nie czułam potrzeby, by zacząć tańczyć i śpiewać.

– Pani Campisi, prawda? – Mężczyzna uśmiechnął się drapieźnie, co wysłało dreszcze wzdłuż mojego kręgosłupa. Nienawidziłam, kiedy ludzie tak się uśmiechali. Po co się uśmiechać, skoro chcesz pokazać całemu światu, jak bardzo on cię wkurza?

– Sir – Vinnie powiedział gładko. – Proszę się odsunąć. Nie chcemy żadnych problemów. Panie spędzają miły dzień, relaksując się na zakupach.

– Relaksując. – Mężczyzna powtórzył i dwóch towarzyszących mu mężczyzn, którzy wyglądali jak włoscy zawodnicy sumo parsknęło śmiechem. – Ja nie byłem zrelaksowany od dnia, w którym się urodziłem.

– Może powinieneś zrobić sobie pedicure – powiedziałam przez zaciśnięte zęby. – To działa na mnie cuda, kiedy przychodzą te dni w miesiącu...

– Albo... – wtrąciła Mil. – Zawsze mogę cię zastrzelić, uwolnić nieco napięcia z pomiędzy twoich oczu. W sumie to byłaby dla mnie przyjemność, dużo szybsza od botoksu.

– De Lange. – Facet parsknął. – Obrzydzasz mnie.

Mil uśmiechnęła się szeroko. – Dobrze, nie zniosłabym, gdybyś się mną zachwycał. Boże, wyglądasz starzej od grzechu. Jak noga? Wypadek na nartach?

Miała dziewczyna niewyparzony język, nic dziwnego, że Chase tak się zadurzył.

– Ty... – Kiwnął na mnie głową. – Jesteś żoną Campisiego, tak czy nie?

– Noszę jego dziecko. – Wzruszyłam ramionami. – Czy to coś ci mówi?

– Mam wiadomość dla niego.

– No to mów – powiedziałam ostro. – I powiedz swoim fagasom, żeby przestali się gapić w mój dekolt, zanim dźgnę ich w gardło.

Dwóch facetów zaczęło się śmiać, kiedy ja pozwoliłam swojemu nożowi ześlizgnąć się po mojej skórzanej kurtce i trzymałam go między palcami.

– Nie żartowałam.

Przestali się śmiać.

Mężczyzna uniósł rękę, pokrytą pierścieniami ze zrobionym manicure, definitywnie nie rodzaj ręki do ciężkiej roboty. – Chcę się z nim spotkać. Powiem mu wszystko, co zechce na temat rodziny. Żadnej broni. Żadnych ludzi. Tylko nasza dwójka i miła pogawędka. Jak wuja z bratankiem.

Trace zassała powietrze obok mnie, kiedy ja zmrużyłam oczy. – Musisz nie cenić swojego życia.

– Czemu to powiedziałaś?

– Bo on może rozedrzeć cię na strzępy gołymi rękoma.

– Nie... – Mężczyzna popatrzył z pogardą. – Jeśli mu je najpierw odetnę.

– Co? Swoimi zębami? – Mil parsknęła. – To wszystko? Jesteśmy nieco zajęte.

– To wszystko. – Skinął do nas głową i odsunął się o krok.

W ułamku sekundy coś ostrego uderzyło w moje udo, zachwiałam się do tyłu, wpadając na Trace, kiedy krew zaczęła przesiąkać przez moje dżinsy. Ostry ból przemienił się w palący, który promieniował na całą nogę. Czułam wilgoć krwi, która zaczęła cieknąć z obojętnie jakiego uszkodzenia, które spowodował.

Spojrzał na ranę i szeroko się uśmiechnął. – Och przepraszam, wymusnęło mi się, uważaj się za ostrzeżoną.

– Dzięki – odpowiedziałam, mój oddech zmienił się w sapnięcia. Cisnęłam swoim nożem centralnie w prawo udo jednego z jego ludzi. Wbił się przepięknie.

Mamrocząc wiązanek wulgarnych przekleństw, facet zatoczył się do tyłu.

Ale wujek Texa ani drgnął, po prostu obciął mnie od góry do dołu, aż w końcu odrzucił głowę w tył i wybuchnął śmiechem. – Dobra robota... jak tylko zabiję twojego męża, może wezmę cię dla siebie. Mógłbym skorzystać z twojego... charakterku.

– Zmywaj się staruchu. – Mil wypluła. – Ona może cię nie zastrzeli, ale ja mam naładowaną splotkę i będę więcej niż szczęśliwa, mogąc jej użyć.

Skinął głową, wciąż się uśmiechając, po czym odszedł.

– Co z tobą? – Trace złapała mnie za ramię, podczas gdy Vinnie starał się mnie wziąć na ręce.

– W porządku. – Moje zęby zaczęły szczekać. – Nie ma jak zarobić kulkę po zakupie bielizny. Myślisz, że Bóg próbuje mi coś powiedzieć?

– No. – Mil wyciągnęła komórkę. – Uprawiaj więcej seksu, bo nie wiadomo kiedy oberwiesz, skąd w ogóle nadszedł ten strzał? Musiał mieć tłumik, nic nie słyszałam ani nic nie widziałam. – Mil przeklinała pod nosem, kiedy wybierała numer.

– Dzwonisz do Nixona? – Trace zapytała, próbując mnie podtrzymywać.

– Nie, dzwonię do Chase’a. – Mil przyłożyła telefon do ucha. – Powiem mu, żeby powiedział Nixonowi.

Trace westchnęła. – Dobrze kombinujesz.

Rozmawiały, jakby strzelanie do nas było normalnym zjawiskiem, może dla chłopaków, ale dla nas? Nie bardzo. W sumie to byłam tylko raz postrzelona i ból nie był tak ekstremalny, nic a nic. Palenie nie ustępowało, promieniując w górę nogi do biodra. Zaciśnięłam zęby, kiedy ich głosy stawały się coraz cichsze i cichsze. Czułam, jakby rozmyły mi się uszy łącznie z całym ciałem, ból wciąż tam był, ale czułam, jakby teraz już rozprzestrzenił się wszędzie i wszystko, czego potrzebowałam, to zamknąć oczy i wszystko będzie dobrze. Niezdolna by bronić się, wypuściłam z ust ochryply jęk.

– Traci dużo krwi. – Vinnie zaciśnął zęby i starał się unieść moją nogę, jednocześnie trzymając mnie na rękach, mocno się do niego przytuliłam. – Musimy natychmiast wracać do domu.

– Dlaczego tak dużo... krwi? – Odrętwienie owładnęło mną zastępując ból, za co byłam wdzięczna.

– Nie jestem lekarzem. – Głos Vinniego się trząsał.

– Vin? – Trace zapytała. – Czego nam nie mówisz?

– Rana jest blisko tętnicy udowej.

Dlaczego brzmią, jakby mówili spod powierzchni wody?

– Jak blisko? – zapytała Trace, jej głos brzmiał płytko, ciemne plamy zaczęły inwazję na moją zdolność widzenia.

– O Boże! – Trace sapnęła, a potem wszystko pokryło się czernią.

# CHAPTER 16

TEX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Zbyt dużo cholernych informacji, za mało akcji.*

Ucisnąłem nasadę nosa, kiedy Nixon paplał i paplał. Sergio i Chase siedzieli na kanapie przeglądając taśmy z monitoringu naszych lokalnych interesów, kiedy ja walczyłem z chęcią przywalenia mu w gębę. Po prawdzie starał się tylko zdać nam relację, ale czy Sergio musiał być przy tym obecny? Każde jedno uderzenie jego serca było dla mnie pieprzoną obelgą i aż świerzbilo mnie – *świerzbilo*, by to zakończyć.

– Więc... – Nixon strzelił kostkami. – Tex.

Moja głowa strzeliła w górę. – Co?

– Dziesięć milionów i wygląda na to, że twoja stara rodzina chce wiedzieć, którą stronę zamierzasz wybrać, podczas gdy twoja nowa rodzina...

– Nas. – Chase puścił oczko.

Wywróciłem oczami.

Nixon się zaśmiał.

– No racja, twoja nowa rodzina oferuje ochronę, więc na tym etapie piłka jest w twoim narożniku. Chcesz złożyć oświadczenie, czy na razie chcesz nie wychylać się przez jakiś czas?

– Od kiedy to niewychylanie się komukolwiek pomogło? – Sergio wytknął. – Jeśli chodzi o mnie, niewychylanie się oznacza tyle, co ukrywanie się. Czemu, do cholery, facet miałby się ukrywać?

– No właśnie czemu? – powtórzyłem. – Oświadczenie. Wygłoszę oświadczenie. – Nie uświadomiłem ich co do oświadczenia, jakie złożyłem przed moim wujem dzień wcześniej, ale nic nie szkodzi. Mogę wywołać zamieszanie, by odciągnąć uwagę od rodziny Abandonato. Przynajmniej tyle byłem im winien.

Nixon spojrzał na swój telefon. – Cześć, Trace co...

Cała jego twarz zbladła.



Chase nawiązał kontakt wzrokowy ze mną.

A potem usłyszałem krzyki po drugiej stronie telefonu, kiedy ręka Nixona trzęsła się z wściekłości, a jego oczy się zwężyły i zwężyły. Miałem wrażenie, że zaraz pęknie mu żyłka na czole.

– Szybko. – Rozłączył się i wolno pokręcił głową w moim kierunku, jego nozdrza płonęły z furii. – To Mo.

– Co z Mo? – Wstałem z rękami na biodrach gotowy do działania, gotowy zabić każdego skurwiela, który odważył się położyć na niej swoją łapę.

– Została postrzelona. – Nixon zaklął i cisnął swoim telefonem o sofę.

– Czy zawsze tak jest? – Sergio zagwizdał.

– Stul pysk, zanim strzelę ci w ryło – ryknąłem, ruszając na Sergio.

– Ło, ło! – Chase stanął przed Sergio w samą porę, jak wydobyłem spluwę i przestawiłem do jego piersi.

– Kuźwa. – Chase wymamrotał. – Odłóż to Tex, mamy większy problem na głowie.

– Została postrzelona w nogę. – Nixon powiedział, jego ręka mocno uściśnęła moje ramię.  
– Straciła dużo krwi i potrzebujemy...

– Dzwonię za przysługą – warknąłem i szybko wybrałem numer drugiej najważniejszej osoby u De Lange. Kiedyś był chirurgiem i bez mrugnięcia okiem zjawi się tutaj i wykona awaryjny zabieg chirurgiczny.

– Czego? – zaszczekał do telefonu.

– Potrzebuję cię. Dom Nixona. Natychmiast.

– A jeśli się nie zjawię?

– Wtedy cię dopadnę, a ty będziesz błagał o szybką...

– Już jadę. – Zaśmiał się i zakończył połączenie.

Nixon westchnął. – Na pewno chcesz mieszać w to De Lange?

– News dla ciebie Nixon – warknąłem. – Cała pieprzona mafia została w to wmieszana w chwili, kiedy ochroniłeś mnie w Vegas, w chwili, w której Mo powiedziała, że jest w ciąży. Mamy najpotężniejszą rodzinę we Włoszech, zamieszczającą ogłoszenia o moją pieprzoną głowę! Dołożenie do tego De Lange nic nie da. Jedyne konieczność sprosznienia większej ilości ludzi na mój pogrzeb.

– Ty nie umierasz. – Chase westchnął.

– No tak. – Przytaknąłem, ale wiedziałem, że prawda była inna. Umrę... i moja śmierć była tak pewna jak moja miłość do Mo. To równie dobrze mogłem mieć wypisane na czole.

Moja miłość do niej mnie zabije.

Ponieważ ostatecznie, kiedy wybiorę rodzinę Campisi...

Będzie to jej kosztem.

I ja poproszę Nixona, by mnie za to zabił.

Tylko wtedy będę mógł zapewnić jej bezpieczeństwo... wtedy tylko moje słowo będzie godne zaufania.

– Nixon! – Trace krzyknęła, wbiegając do domu.

Za nią Vinnie wniósł Mo i położył ją na kuchennym stole.

– Kurwa. – Pognałem do niej. – Chase, dawaj morfinę.

Oczy Mo zatrzepotały, otworzyły się, a potem przewróciły w tył głowy i dostała konwulsji.

– Będziemy potrzebować krwi. – Sergio zaczął rozcinać jej dżinsy nożyczkami.

Mój umysł wirował.

– Weź moją, weź moją krew.

– Musi być zgodna. – Z jednym ostatecznym szarpnięciem Sergio odciągnął dżins z jej lewej nogi. Krew tryskała z rany.

– Mamy zgodną – ryknąłem. – Chase!

Chase rzucił mi morfinę.

– Igły, musimy mieć krew, dawaj zestaw do infuzji.

– Robimy to tutaj? – Chase zamknął oczy, mruczając coś pod nosem i pobiegł do składziku, gdzie trzymamy broń i leki narkotyczne – te dobrego rodzaju.

Moje dłonie trzęsły się, kiedy objąłem nimi twarz Mo.

– Kochanie, słyszysz mnie?

Jęknęła.

Nixon walnął ręką w ścianę, a więcej krwi wypłynęło z jej nogi.

– Zatamuj krwawienie, do cholery!

– Staram się! – Sergio odwrzasnął, jego ręce pokryte były krwią mojej żony. Czerwień, kolor, który zwykle dodawał mi odwagi, przynosił ukojenie, ostatecznie niósł moją śmierć.

– Nie. – Potrząsnąłem głową i pocałowałem Mo w usta. – Nie, musisz walczyć skarbie! Okej? Musisz walczyć! – Było tak dużo krwi, że nie można było stwierdzić, gdzie w ogóle jest rana.

– Igły. – Chase rzucił nimi we mnie, złapałem je w powietrzu i chwyciłem gumę, zaciskając ją ustami, kiedy owinałem ją wokół bicepsa. Użądlenie igły było niczym w porównaniu z horrorem, jaki rozgrywał się na moich oczach.

– Lepiej módl się do Boga, byś miał wystarczająco dużo krwi dla niej, zanim zemdlejesz.  
– Sergio nie zwracał sobie głowy zakładaniem rękawiczek, kiedy wstrzyknął Mo morfinę prosto w jej udo.

– Bóg nigdy nie był po mojej stronie – wymamrotałem, kiedy patrzyłem, jak krew jest wessana z mojego ciała do igły.

– To miej nadzieję, że teraz jest. – Sergio przesunął dłonie na klatkę piersiową Mo. – Bo ona traci przytomność, straciła za dużo krwi.

– Mo! – krzyknąłem, kiedy Sergio się pochylał i przytknął ucho do jej ust. Zaklął i coś wyszeptał jej do ucha. Jęknęła i pokręciła głową, jej oczy otworzyły się, a potem znów zamknęły.

Przysięgam, że wyszedłem z siebie i patrzyłem, jak moja dusza zaczyna rozpadać się w powietrzu.

– Boże, zrobię wszystko, by ją uratować. Zabierz mnie w zamian, weź zło, wyeliminuj zło, zostaw anioły tam, gdzie ich miejsce. – Ściągałem fiolkę za fiolką krwi, zaczęły mi drżeć kolana, kiedy traciłem siły. W końcu Nixon położył rękę na moim ramieniu i wyszeptał do mnie, żebym przestał. Do diabła, wykrwawiłbym się do sucha dla tej kobiety, gdybym musiał.

Mijały minuty, które równie dobrze mogły być godzinami. De Lange w końcu wpadł do środka jak burza. Stephen tylko raz rzucił okiem na Mo i przystąpił do akcji, jego ręce poruszały się wokół rany, jakby miał to uszkodzenie zapisane w pamięci. Westchnął z ulgą na ranę.

– To nie tętnica udowa, ale inne duże naczynie, wyjdzie z tego. – Zacisnął swoje ręce mocniej na jej nodze. – Obolała, ale będzie cała. Jeśli nie powstrzymamy krwawienia to ją stracimy, a domyślam się, że już o tym wiedzieliście panowie. – Klnąc pod nosem, zabrał jedną rękę i sięgnął po szczypeczki chirurgiczne. – Potrzebuję kogoś z pewną ręką.

Przesunąłem się do jego boku. – Mów, co mam robić.

– Okej – powiedział, przyciskając moje dłonie do rany. – Muszę usunąć kulę, ale to wywoła jeszcze większe krwawienie, więc musisz uciskać ranę za każdym razem, jak zabiorę rękę, a w chwili, gdy wyciągnę kulę, musisz uciskać z całej siły tylko tak, żeby nie połamać jej nogi. Myślisz, że dasz radę?

– No – powiedziałem. – Dam radę.

Jego dłonie poruszały się tak szybko, że ledwo za nimi nadążałem. W przeciągu dziesięciu minut jej oddech wrócił do normy, krwawienie ustało, ale moje dłonie? Były zamrożone w miejscu, przerażony, że jeśli przesunę je o milimetr albo źle odetchnę, to ona tego nie przeżyje.

– Sergio. – Stephen kaszlnął. – Potrzebuję twoich rąk, pozszywasz ją.

Sergio przesunął się do przodu, ręce mu drżały, kiedy wziął igłę i nić, i zaczął zamykać ranę.

– Możesz teraz zabrać ręce Tex. – Głos Stephena był szorstki, wyczerpany.

– Dziękuję – powiedziałem ochryple.

Stephen westchnął i rozejrzał się po pokoju.

– Siedzicie w głównej po szyję, wiecie o tym prawda?

– Gdzie ona jest? – Luca wpadł do pokoju z sześcioma ludźmi za plecami i Frankiem Alfero, dziadkiem Trace i głową rodziny Alfero.

– Oj, zjednoczone siły. – Zrobiłem minę. – Jak miło.

– Mo? – Luca podszedł do stołu. – Kto jest odpowiedzialny za to?

Wszyscy ucichli. Krew była wszędzie.

W końcu odezwała się Trace. – Wujek Texa.

– Alfonso Campisi? – Luca powiedział zszokowanym głosem, jego twarz z chwili na chwilę robiła się coraz bardziej czerwona.

– Koniec wakacji. – Frank wyciągnął swoją komórkę.

– Czeka! – Nixon uniósł rękę. – Co robisz?

– Myślę, że już czas... – Ręce Franka lekko drżały, kiedy docisnął telefon do ucha. – Zwołać posiedzenie.

W pomieszczeniu zapanowała cisza, kiedy Frank zamknął oczy i wyszeptał.

– Nie tylko naszej rodziny... potrzebujemy ich wszystkich. I to na już.

– Ich wszystkich? – krzyknęliśmy z Nixonem.

Luca podniósł rękę.

– Dwadzieścia cztery godziny. – Frank westchnął. – Spotkamy się tutaj. Najwyższy czas, by armie się zebrały.

– Proszę, powiedz mi, że on nie robi tego, co myślę, że kurwa robi. – Nixon pchnął Lucę. Ale Luca nawet nie drgnął.



– No co? – Luca wypluł. – Weź się w garść synu. Razem idziemy na szczyt i razem idziemy na dno. Ty umrzesz, koniec końców my też umrzemy, to jedyne wyjście.

– Co teraz? – zapytałem, najwidoczniej jedyny na tyle odważny, by to zrobić.

– On zwołuje komisję. – Nixon powiedział pustym głosem. – Pierwszą od osiemdziesięciu pięciu... pierwszą, odkąd starzy bossowie powrócili na Sycylię.

– Co oznacza... – Przełknąłem. – Że FBI będzie miało pierdzielony dzień polowania.

– Zapłacę, by być wtedy na lotnisku. – Chase pokiwał głową. – Cholernie dobra kasa dla kogoś, komu uda się uwiecznić to gównem na filmie.

– Campisi niech lepiej mają nadzieję, że Mo przeżyje. – Luca powiedział po cichu. – W przeciwnym razie nie będzie potrzeby w ogóle się spotykać.

– Czemu tak mówisz? – Trace zapytała, kiedy Frank się rozłączył.

– Tex... – Luca kiwnął głową w moją stronę. – Jeśli ona umrze, masz moją zgodę od jednej rodziny do drugiej. Jednej krwi do kolejnej. – Podeszedł do mnie powoli, a potem ucałował każdy z moich policzków. – Moje błogosławieństwo... na wyczyszczenie całej linii, synu. A ja ci w tym pomogę.

– Niech to szlag. – Nixon walnął ręką w kontuar.

– Bez względu na to. – Rozglądałem się po pokoju. – Idziemy na wojnę.

– Tak. – Frank zrobił krok w moją stronę i położył rękę na moim ramieniu. – Wierzę, że tak właśnie jest.

# CHAPTER

# 17<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Mówią, że za każdym razem, kiedy idziesz pod nóż, nigdy już nie wracasz takim samym.*

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był ból, przeraźliwy ból i tak dużo krwi, że skończyłam, mdlejąc po tym, jak Sergio wyszeptał mi do ucha, że Tex mnie potrzebuje. Przynajmniej tak myślę, że to wyszeptał. A może tylko mi się to przyśniło, biorąc wszystko pod uwagę. Wciąż czułam ból, ale był on bardziej ciężarem w mojej piersi, jakbym była sparaliżowana, niezdolna do poruszenia się. Panikując, starałam się wyswobodzić, ale nie mogłam się ruszyć.

*Otwórz oczy!* Próbowałam. Potem jęknęłam i spróbowałam drugi raz.

– Mo, ciii. – To Tex. Nie chciałam już rozpoznawać tego głosu. To był ten sam głos, który powiedział mi, żebym walczyła, ten, który nazwał mnie kochaniem. Boże, jak ja tęskniłam za tym głosem. Zdawało się teraz, kiedy do mnie mówił, że każde słowo było szorstkie, przepełnione wściekłością na to, co zrobiłam, na tę sytuację, na mnie. Walczyłam ze łzami. Walczyłam i zawiodłam, kiedy te spłynęły po moich policzkach.

– Otwórz oczy, kochanie.

Pociągnęłam nosem, a potem powoli moje oczy się otworzyły, zajęło im chwilę, aby przywyknąć do mroku pokoju – mojego pokoju, tego, który dzieliłam z Tex'em. Kilka razy zamrugałam, zażenowana tym, że po cichu płakałam.

Tex westchnął, jego szorstkie palce powoli otarły łzy z moich policzków. Jego usta zstąpiły, najpierw całując moje czoło, a potem zawisając nad moimi wargami, pytając o przyzwolenie. Czekaając, aby się przekonać, czy odwrócić głowę, czy wychylę w przód.

To kosztowało mnie każdą uncję siły, jaką posiadałam, by poruszyć się – ale mogłam to zrobić, wyglądało to, jakbym mrugnęła, ale Tex widział. I tylko to się liczyło.

Jego wargi dotknęły moich delikatnie, jego język pieścił moje usta, a potem powoli wszedł w nie. To był najczulszy pocałunek, jakim kiedykolwiek mnie obdarzył, jakby się bał, że zrobi mi krzywdę.

– Czy coś cię boli? – wymruczał przy moich ustach.

Pokręciłam głową, a potem odnalazłam głos i powiedziałam ochryple.

– Nie.

– Pamiętasz, co się stało?

Moje brwi się złączyły. Krew. Postrzelono mnie. Ale kto to był? Który drań się ośmielił? Moje całe ciało zadrżało.

– Spokojnie, ciii. – Tex owinał swoje ciało wokół mojego, spowijając mnie kokonem swojej ciepłoty. – On już jest trupem.

– Zabiłeś go?

– Jeszcze nie. – Tex zazgrzytał zębami. – Ale wyobrażam sobie, że będę miał kilku ochotników, kiedy nadejdzie pora. Skrzykniemy się.

– Brzmi jak zabawa.

– Jak polowanie na jelenia. – Tex zaśmiał się. – Namalujemy mu sprayem na plecach zajeżdżenie wielki cel, a potem pobijemy się o pierwszy strzał.

– Ja. – Dreszcze rzuciły mną. – Ja chcę pierwsza strzelić.

– Ałć, kochanie, zawsze oddałbym ci pierwszy strzał, ale myślałem, że wolałabyś nieco go okaleczyć, zanim puścimy go luzem w teren.

– Noże w oba uda albo nawet przecięcie jego achillesów na pół tak, żeby nie mógł uciekać? No, to brzmi nieźle.

Tex zamarł za mną.

– No co? – Znów przeszył mnie dreszcz, więc wtuliłam się bardziej w niego, moje plecy były mocno dociśnięte do jego piersi tak, że mogłam wyczuć rytm jego serca.

– Nic – wykrztusił. – Po prostu nienawidzę tego, że gadanie o przemocy tak cholernie mnie podnieca.

– To przez noże. – Przełknęłam. – Faceci lubią ostre rzeczy.

– Faceci lubią duże rzeczy. – Tex przesunął dłonią wzdłuż mojej lewej ręki, jego palce tańczyły po mojej skórze. – Lśniące rzeczy również. Takie z ciemnymi włosami i promiennymi oczami. Rzeczy, które mają niecne małe usteczka i odjazdowe nawyki wobec krwawych aktów przemocy.

– Hej, to o mnie. – Droczyłam się.

– Jak naprawdę się czujesz?

Westchnęłam i zamknęłam oczy. – Zmęczona. Zła. Zirytowana.

– Przyniosę więcej leków...

– Nie – odchrząknęłam. – Sprawiają, że moje ciało czuje się ociężale.

– Mogłem zasnąć na twojej klatce piersiowej, moja głowa jest dość ciężka, zważywszy na to, jaką ilością wiedzy jest wypełniona.

Roześmiałam się. To było tak dobre uczucie, że chichot przekształcił się w spazmy. Tex nie żartował ze mną od roku.

Pierdzielonego roku.

I był dawnym sobą.

Zabawnym, łagodnym olbrzymem z zabójczymi instynktami.

– Wiedzy, hmm? – Trąciłam go, wtulając się w jego ciepłe ciało. – Jesteś tego pewny?

– Zdecydowanie. – Tex pokiwał głową. – A od czego innego mogłaby być taka ciężka?

– Chcesz, żebym odpowiedziała na to, czy po prostu odpuściła?

Tex uśmiechnął się krzywo i pochylił nade mną.

– Czy to twój sposób na spytanie mnie, czy chcę, abys się ze mną droczyła, czy po prostu szukasz wymówki, aby przeciągnąć swoimi palcami przez moje włosy?

– Zawstydzony? – powiedziałam trochę bez tchu.

Znow się roześmiał. Moje wnętrzności się zacisnęły.

Nie mogłam znieść, że to nie potrwa wiecznie.

Wiedziałam, że zegar tykał – nie miałam pewności, czy jego dobry nastrój odejdzie tak szybko, jak odzyskam zdrowie, czy byłam nagradzana jego uśmiechami tylko dlatego, bo był przerażony tym, że niemal umarłam.

Z jękiem dałam radę przekrócić się na bok, musiałam popatrzeć na jego twarz – zdobywając się na odwagę przez przypomnienie sobie, dlaczego go kochałam.

– Tex? – wyszeptalam, niezdolna spleść swoich nóg z jego, bo jedna była tak ogromna, że zapewne była samoistną planetą. Zdołałam położyć głowę na jego piersi na ułamek sekundy, zanim skoncentrowałam się na jego pełnych ustach.

– Co? – Jego głos był nierówny, jego oddech się urywał, jakby biegł w wyścigu i tracąc każdą sekundę, nie mógł zaczerpnąć wystarczającego oddechu.



– Pocałuj mnie jeszcze raz.

– Mo... – Jego ciemnoniebieskie oczy gwałtownie przemieniły w czarne. – To nie może niczego zmienić. Ja nie...

– Więc to nic nie zmienia. – Wzruszyłam ramionami, nawet jeśli moje serce krzychało: *to zmienia wszystko!*

– Nie zatrzymam się. – Zrównał swoje spojrzenie z moim, po czym jego usta uformowały zmysłowy uśmiech. – Nie sądzę, abym miał to w sobie. Dzięki Bogu kula trafiła w żyłę, sprawiając, że krwawiłaś jak szalona, ale trochę bliżej twojej tętnicy i mogłabyś... umrzeć.

– Więc. – Szarpnęłam jego dolną wargę swoimi zębami. – Sprawisz, żebym poczuła się lepiej?

– Niech to szlag, Mo. – Tex sięgnął po moje ręce podtrzymujące go nade mną. – Jesteś ranna!

– Niech ci będzie. – Westchnęłam tak, jakbym kiedykolwiek poddała się tak łatwo. – Wyświadczysz mi zatem przysługę?

– Wszystko. – Objął dłońmi moją twarz z taką czułością, że niemal wybuchłam płaczem.

– Czy przynieśli tutaj moje torby z zakupami?

– No, a co? – Jego oczy się zmrużyły.

– Podaś mi je? – zapytałam z miną niewiniątka.

Wzruszając ramionami, wstał z łóżka i podszedł do pierwszej torby, ja uniosłam się, podpierając na łokciach.

– Nie tę.

Unióś w górę różową torbę od Victoria Secret.

– Tę. – Nagle poczułam zdenerwowanie. – Kupiłam nowe piżamy. Dasz mi je?

Tex przyniósł torbę do łóżka i zaczął przekopywać się przez bibułkę. Jego ręce zastygły.

Odwrócił wzrok, potem znów spojrzał do torby, po czym znów go odwrócił. Przeklinając, przetarł rękami swoją twarz, a potem po prostu dalej się gapił.

– No i? – Ponagliłam.

– To... – Jego głos był zaledwie pomrukiem. – ...nie są piżamy.

– Oczywiście, że są! – Sprzeczałam się ze zwycięskim uśmiechem. – Pani sprzedawczyni tak mi powiedziała.

Zaczerpnął uspakajający oddech, zamykając oczy, kiedy zacisnął dłonie po obu stronach łóżka tuż przy moich stopach.

– Więc? – Oblizalam usta. – Pomożesz mi którąś założyć?

– Nie ma mowy. – Cisnął torbą na podłogę. – Czemu miałbym wkładać na ciebie coś, co gotów jestem zedrzeć w przeciągu dwóch sekund?

– No przecież wiesz, jak nie znoszę, kiedy niszczysz nowe ubrania.

Odrzucił głowę w tył i się roześmiał. Boże, jak tęskniłam za tym dźwiękiem.

– Racja, nie ścierpiałbym, gdybym zniszczył cokolwiek mafijnej księżniczce. Co byłby ze mnie za mąż, gdybym zniszczył wszystkie twoje ciuchy?

– Co byłby z ciebie za mąż, gdybyś nie dał swojej żonie tego, co potrzebuje?

– Och, więc teraz potrzebujesz mnie dla mojego ciała? – Tex gderał wciąż w dobrym humorze.

– Nie. – Złapałam go za podkoszulek i przyciągnęłam bliżej. – Chcę cię tylko dla seksu.

– A niech mnie, dasz mi to na piśmie? – Żartował, jego usta skubały moje.

– Jeśli przez to poczujesz się lepiej. – Sapnęłam, kiedy jego ręce poruszyły się pod moją koszulką, bardzo wolno przemieszczając się po mojej wrażliwej skórze.

– Ale... – Jego ręce się zatrzymały. – Mo, ja nie żartuję. To niczego nie zmienia. Wciąż jestem zły.

– To udawaj, że nie jesteś. – Mój głos się zatrzęsł. – Udawaj przez pięć cholernych minut, że twoja nienawiść nie dorównuje twojej miłości. Udawaj, że nie wyznaczono dziesięciu milionów za twoją głowę. Udawaj, że nie jestem siostrą Nixona.

– Nie mogę... – Tex westchnął.

Zamierzał odejść. Moje ciało zeszytniało, czekając na odrzucenie.

– Że niby pięć minut, Mo? Co do cholery? Od kiedy to wytrzymałem zaledwie pięć minut?  
– Uśmiechnął się znacząco.

Walnęłam go mocno, jak tylko mogłam w ramię, co znowu nie było takie mocne, biorąc pod uwagę, jaka byłam słaba.

Jego usta spotkały moje. I wkrótce moja koszulka wylądowała na podłodze.

Powiedział, że nic to nie zmienia.

Ale niewiele wiedział – to zmieniało wszystko.

Bo właśnie mieliśmy uprawiać niezabezpieczony seks.

A ja nie byłam w ciąży.

Nie z jego dzieckiem.

Ani z nikogo innego. Dzięki Bogu, że nikt nie powiedział niczego o dziecku, miałam fuksa, że tak bardzo skoncentrowali się na mnie, że nawet nie pomyśleli, aby zapytać o poronienie.

A więc tak, zmieniałam wszystko. Grając według własnych reguł. Zawarłam ten pakt z diabłem, by od niego zacząć... i zamierzałam się go trzymać.

By ocalić jego życie, jak on ocalił moje? Taak, będę się go trzymała.

# CHAPTER 18 TEX

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Pogoń za diabłem to nie piekło. Wiedza, że sam za sobą urządziłeś pogoń, to jest piekło.*

Co ja do cholery sobie myślałem? Gładka skóra skusiła mnie, błagała mnie, by dotknąć, by głaskać, niemal cholera lizać od stóp do głowy i nie zgadzała się, abym przestawał, dopóki Mo nie została bez kości tak, że ledwie mogła unieść głowę.

Seks z Mo zawsze był figlarny, zabawny, gorący jak piekło, ale w tej chwili? Był wręcz parzący. Moje serce, no wiecie ta część, którą jeszcze miałem, zbesztalo mnie, kazało mi przestać, kiedy ja już parłem naprzód.

Ale moja głowa?

Moje ciało?

Błagało i niemal skamlało o to, bym nie przestawał jej dotykać. Ona była moja, mimo wszystko. Nie Sergia, nie Nixona ani nikogo innego, ale moja. I zawsze będzie, psiakrew, a ja zamierzałem się upewnić, by o tym nigdy nie zapomniiała. Tu nawet nie chodziło tylko o miłość... to, co robiłem, było czystą potrzebą. Zapomnijcie o miłości. Czy ona w ogóle kiedykolwiek wpasowywała się w nasz związek? Po tym, jak raniliśmy się nawzajem, nie miałem pojęcia. Ale co ja tam wiedziałem?

Żadna kobieta nigdy nie odpowiadała na mój dotyk jak Monroe Abandonato. Jednym, płynnym ruchem przesunąłem się nad nią, ostrożnie, aby podtrzymać swój ciężar na łokciach.

– Wciąż masz na sobie koszulkę. – Mo powiedziała ochryłym głosem.

– No tak. – Spojrzałem w dół. – Dziwne, twoja zniknęła zaskakująco szybko jak na kogoś, kto niemal nie zginął kilka godzin temu.

Mo wywróciła oczami. – No tak, jakiś barbarzyńca po prostu zdarł ją z mojego zimnego ciała.



– Nie zimnego – powiedziałem ostro, moja prawa dłoń przesunęła się wzdłuż jej ramienia, zatrzymując przy ramiączku, a potem zsuwając je po ręce. – Gorącego, bardzo, bardzo gorącego.

– Czy komplementujesz moją skórę? – Wygięła plecy, kiedy rysowałem nieśpieszne kółka po jej brzuchu, a potem pociągnąłem drugie ramiączko w dół.

– Tak, Mo. To właśnie robię. Komplementuję temperaturę twojej skóry, bo taki po prostu ze mnie gracz, a to jest moja gra.

– Gra. – Dyszała, gdy moje palce wślizgnęły się za jej plecy i rozpięły stanik. – Potrzebuję słów.

– Gra. – Droczyłem się, powtarzając. – Nawet się jeszcze nie zaczęła. – Szarpnąłem i rzuciłem jej stanik na podłogę i pożerałem wzrokiem do syta. Przez wszystkie lata swego życia nigdy nie przywykłem do oglądania jej nagiego ciała w pełnej okazałości. Cholera, była toples i to było jak patrzeć w słońce – zupełna perfekcja, mimo iż wiedziałem, że ona pozwalała mi psuć ją moimi rękami, plamiąc moim rodowodem, zmrużyłem oczy na jej brzuch.

– Wciąż jesteś taka chudziutka. – Mój kciuk głaskał jej pępek. Miałem nadzieję, że dziecko w niej, nawet jeśli nie było moje, miało się dobrze. Zapytałem Stephena i powiedział, że kiedy poczuje się lepiej, to możemy zrobić badania, ale przede wszystkim, gdyby poroniła, byłoby tam więcej krwi. Jej uraz był krwawy i gdybyśmy nie zatamowali krwawienia, to mogłoby to być znacznie poważniejsze – ale było jak było, będzie jedynie naprawdę obolała przez jakiś czas.

– Tex. – Mo wysyczała. – Robimy to, czy gadamy?

– Och. – Otrząsnąłem się, pozwalając myślom się rozproszyć. – Przepraszam, jesteś zmęczona gadaniem? Potrzebujesz trochę więcej pieśczoć? – Szarpnąłem jej szorty w dół i chwyciłem rękami tyłek. – Nieco więcej drażnienia? Szczypania? Szarpania? Ciągnięcia? – Opuściłem głowę do jej kości udowej, liżąc wokół wolne okręgi, gdy ona wygięła się ku mnie.

– Niech to szlag, Tex!

– Oj, skarbie wiesz, jak kocham, kiedy krzyczysz moje imię. – Zachichotałem, dmuchnąłem na jej brzuch, a potem go polizałem. Smakowanie Monroe Abandonato było moim numerem jeden spośród ulubionych rzeczy do robienia na świecie. Jej smak był unikatowy, całkowicie jej i pożałowałem go bardziej niż osoba o zdrowych zmysłach powinna. No, ale nigdy nie twierdziłem, że nie jestem szalony, więc macie to.

Palce Mo powędrowały do mojej koszulki, próbowała ją szarpnąć, ale była za słaba z powodu utraty krwi, co znowu przypomniało mi, że prawdopodobnie nie powinienem próbować jej uwodzić, ale moje ciało miało inne plany. I niech to szlag, jeśli nie chciałem naznaczyć jej, oznakować, wypełnić całkowicie i po prostu rozkoszować się uczuciem bycia w niej.

– Tex... – Mo opuściła ręce z mojej koszulki ze zirytowanym jękiem. – Będę tutaj potrzebowała trochę pomocy.

– Powiedz proszę. – Usiadłem na niej okrakiem i powoli uniosłem podkoszulek do góry, ale jeszcze nie ściągnąłem całkiem. – Czekam...

– Jesteś dupkiem, wiesz o tym prawda? – Wierciła się pode mną.

– Nie przestawaj tego robić, mam nieograniczoną ilość czasu. Naprawdę, wcale nie zabijasz mnie czy coś, ocierając się o mnie.

– Ściągaj koszulkę! – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Proszę.

– Oj, no i masz... kto uczył cię manier? Nixon? – Zaśmiałem się i mogłem niemal sobie wyobrazić, że nie było otchłani gniewu czy złości między nami... Wyobrażałem sobie świat, gdzie to ja byłem ojcem naszego dziecka, gdzie byłem bohaterem, a nie potworem.

Kiedy moja koszulkę upadła na podłogę, oddech Mo przyspieszył. Jej delikatne dłonie tańczyły po moich twardym brzuchu, zaciskając moje mięśnie do bolesnych poziomów, gdziekolwiek dotknęła. Jej palce powoli, agonalnie przesuwały się w górę w i w dół.

– To jest nowe. – Wyszeptwała, jej ręce unosiły się nad jedną z moich wielu blizn.

– No. – Oblizałem usta. – Powierzchnowa rana.

Przewróciła oczami. – No tak, coś nieco wiem o takich.

– Przykro mi, ale muszę cię poinformować, że twoja to coś więcej niż powierzchowna rana, ancymonku. Myślałem, że umierałaś i jeśli chcesz, żebyśmy to kontynuowali, to musisz przestać przypominać mi, czemu nie powinienem cię rozbierać.

– Nixon mógłby cię postrzelić.

– Super. – Pochyliłem się i pocałowałem jej gorące usta. – No to może celować w to drugie ramię i tak czuło się pominięte.

Mo roześmiała się przy moich ustach, a ja nie mogłem się oprzeć i poszedłem w jej ślady, jej ręce sięgnęły po zamek u moich spodni... i cały śmiech wyleciał prosto za okno.

Trzeba by było siły wyższej dla niej, aby była w stanie rzeczywiście pozbawić mnie wszystkich moich ubrań, więc wstałem, zerwałem z siebie dżinsy i czekałem na jej rumieniec.

Zawsze się rumieniła.

To powód, dla którego tak bardzo ją kochałem.

Udawała twardzielkę, ale tylko po to, by chronić siebie... udawała, że seks to nic wielkiego. Ale wiedziałem, że była. Dla Mo zawsze była... może dlatego tak bardzo to bolało, że oddała swoje ciało komuś innemu niż mnie.

Odebrałem dziewczynie dziewictwo.

Byłem tym gościem na zawsze.

Dopóki nie stałem się niczym.

– Tex... – Mo uniosła rękę. Złapałem ją i położyłem obok niej.

– Nie powinniśmy tego robić, Mo. – Moje ciało wrzeszczało *mów za siebie!*

– Wiem. – Mo pokiwała głową, jej wargi zadrżały i łza spłynęła po policzku. – Ale ty zawsze całowałeś mnie, kiedy byłam zdołowana i Tex, ja naprawdę... – Jej klatka piersiowa falowała od emocji. – Naprawdę jestem zdołowana w tej chwili.

– Zgoda – westchnąłem. – Godzina... przez godzinę... tylko *my* istniejemy. Ale kiedy ta godzina minie... by chronić ciebie, by chronić siebie, Mo... wróć do skupienia się na gniewie, nienawiści, ponieważ jeśli nie, jestem całkiem pewien, że jedno lub oba nasze serca się rozpadną.

Przytaknęła.

I tylko tyle było potrzeba.

Byłem wystarczająco głupi, by obiecać jej godzinę.

A ona była wystarczająco głupia, by ją wziąć.

Z czułością, której nigdy nie byłem w stanie w pełni rozwinąć w kierunku Mo w sypialni, powoli pocałowałem jej usta, rozkoszując się jej smakiem, ssąc jej wargi. Jeśli miałem godzinę, to będzie to cholernie dobra godzina.

Jej ręce zawinęły się wokół mojej szyi, przyciągając mnie bliżej do niej. Całowaliśmy się, aż zaczęły boleć mnie wargi, aż jej były nabrzmiące i kiedy moje usta wciąż były ożywione od przyjemności, pocałowałem ją mocniej, scałowując ból, wspomnienia, przeszłość... i w zamian dając jej wszystko, co byłem w stanie dać.

Kiedy nasze ciała się połączyły, to z takim wstrząsem, że na moment straciłem oddech. Minęło cholernie zbyt dużo czasu. Poruszałem się w niej, z początku powoli, dając czas jej ciału na dopasowanie się do mnie, zszokowany, że w ogóle potrzebowało tego w pierwszej kolejności.

I pocałowałem jej usta.

– Tak dobrze. – Mo wyszeptwała przy moich wargach. – Mocniej.

– Jesteś... – dyszałem –... ranna.

– No i? – Zahaczyła swoją zdrową nogę wokół mnie. – Mówiłeś coś?

– Psia mać.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Myślisz, że jesteś zabawna? – Uderzałem mocniej, szybciej, wbijając moje dłonie pod jej tyłek i ustawiając ją pod takim kątem, że uderzałem w jedno z moich i jej ulubionych miejsc.

Jej paznokcie wbiły mi się w plecy.

– Tex! – Znalazła swoje uwolnienie, ja wkrótce po niej, ale trzymałem oczy otwarte, obserwując ją, kochając ten wyraz czystej rozkoszy na jej twarzy.

Wciąż byłem w niej, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Oczy Mo zrobiły się wielkie jak spodki z przerażenia.

– Tak? – Leniewie odpowiedziałem.

– Hej, tu Nixon.

*Cholera.*

– Mo się dobrze czuje? Słyszałem krzyki.

– Uch... – Przygryzłem wargę, by powstrzymać się od śmiechu, kiedy Mo przybrała dwadzieścia odcieni szkarłatu pode mną. – Taak, um... coś się jej przyśniło.

Mo wywróciła oczami.

– Och, to dobrze, mogę wejść i...

– Nie! – krzyknąłem. – Ja umm, to ja wyjdę, muszę z tobą o czymś pogadać, a ona jest bardzo wyczerpana. – Zwłaszcza po tej godzinie, którą dzieliliśmy.

– Dobra. – Nixona kroki odbiły się echem po korytarzu.

Z przekleństwem na ustach osunąłem się na Mo, po czym bardzo powoli zszedłem z jej ciała i założyłem na siebie ciuchy.

Bez słowa pomogłem jej założyć stanik, koszulkę, szorty, aż każdy jeden był na swoim miejscu. Nawet zaczesalem do tyłu jej włosy w kucyka i związałem go.

– Tex. – Oczy Mo nie spotkały moich.

– No?

– A co jeśli godzina nie wystarczyła?

Jak to możliwe, by czyjeś serce było tak uszczęśliwione i tak złamane w tym samym czasie?

– To prawdopodobnie powinnaś była pomyśleć o tym, zanim wskoczyłaś komuś innemu do łóżka... Dzisiaj dałem ci godzinę. Rok temu dałbym ci wieczność. – Z tym wyszedłem z pokoju, przeklinając samego siebie, kiedy z jej ust uciekły ciche szlochy.



Tak było lepiej.

Musiło być.

# CHAPTER 19

## SERGIO

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Każdy ma słowa, których nienawidzi. Słowo, którego ja nienawidzę? Wybór.  
Zdaje się, że całe moje życie było ramą wokół tak niewinnego słowa. Niewinnego. Co  
za ironia.*

Mo z Texem siedzieli w sypialni od kilku godzin. Moje dłonie wciąż były naznaczone krwią. Przestałem starać się zmyć ją wiele godzin temu, nie mniej jest to dobre przypomnienie. Krew na moich rękach.

Szczególnie, kiedy zadzwonił mój telefon.

– To prawda?

Westchnąłem do słuchawki i wyszedłem do ogrodu na tyłach domu Nixona.

– Czy co jest prawdą?

– Komisja?

O czym tu mówić? Utknąłem pomiędzy potrzebą chronienia rodziny, ale też chronienia mojego własnego tyłka – chronienia krwi.

– To się dzieje – wyszeptałem. – To nie tak, żeby to stanowiło jakąkolwiek różnicę dla was. To nie było częścią naszej umowy.

– Nie. – Warknął. – Ale częścią naszej umowy było to, abys dostarczał nam użytecznych informacji.

– *Użytecznych* informacji. – Sprostowałem. – Takich, które będą trzymać złych kolesi za kratkami, a tych dobrych na wolności. Więc wybacz mi, że nie pomyślałem o zadzwonieniu do was.

– Będziemy się przyglądać.

– Wielki Brat zawsze patrzy – powiedziałem oschle. – Miłego dnia.

Włożyłem telefon do kieszeni i jęknąłem. Kiedy to wszystko tak się pokomplikowało? Wyjście z ukrycia, zdecydowanie się na pomoc rodzinie wydawało się dobrym pomysłem... ale nie oszacowałem, co wyjście z ukrycia zrobi. Istniał bardzo poważny powód, dla którego byłem duchem. I to nie miało nic wspólnego z brakiem chęci bycia częścią czegoś dużego – ale miało wszystko z byciem obserwowanym przez federalnych. Zasadniczo to wymalowałem sobie cel na plecach w chwili, gdy powróciłem z mojej domniemanej emerytury.

I co teraz zrobią ci, którym wisiałem przysługę? Przyjdą i zapukają do moich drzwi.

Westchnąłem i wszedłem z powrotem do środka w samą porę, by zobaczyć Mo wyłaniającą się z sypialni. Wyglądała... na spustoszoną. Kompletnie i całkowicie wypieprzoną.

Przechyliłem głowę na bok. Jej buzia była zarumieniona, jej kucyk był przekrzywiony. Niesamowite, że po tym wszystkim Tex wciąż myślał, że ma spore szanse z tą właśnie dziewczyną, celującą z pistoletu w jego plecy.

Ostatecznie... on wybierze Campisich.

Ostatecznie... ona wybierze Abandonato.

Ostatecznie... skończy się to krwawą jatką.



# CHAPTER 20<sup>Mo</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Seks zmienia wszystko i nic zarazem.*

– Wyglądasz na wypoczętą. – Sergio powiedział cicho.

Kuśtykałam przy ścianie przez głupią, uszkodzoną nogę i zamrugałam w jego kierunku. Jego ciemne włosy były ściągnięte do tyłu w kucyka, nisko na jego karku, jego niebieskie oczy przeszukiwały moje, jakby mógł dojrzeć każde przekłete miejsce, na którym Tex położył swoje ręce.

– Ja, um... – Drapiąc się po głowie, lekko wzruszyłam ramionami. – Trochę spałam.

– Z pewnością. – Sergio się wyszczerzył. To nie był szczęśliwy uśmiech. Był całkowicie drapieżny i wkurzony. – Potrzebujesz czegoś?

Kurde. Potrzebowałam trochę poszpiegować Nixona i Tex'a, ale to się nie uda z Sergiem deptającym mi po piętach.

– Odrobina wody byłaby miła.

Sergio obciął mnie spojrzeniem od góry do dołu i przez dłuższą chwilę jego wzrok zatrzymał się na moich ustach.

– Dobrze – powiedział ostro. – Pomogę ci dostać się do kuchni.

– Och, to nic, ja tylko...

– Przestań się sprzeczać Mo, nie ugryzę cię... nie, kiedy cała nim pachniesz. Niezbyt uprzejmie z mojej strony?

Zamknęłam oczy i żar rozlał się po moim ciele.

Sergio zawinął umięśnione ramię wokół mnie i uniósł mnie z podłogi. Nie miałam wyboru, jak tylko oprzeć się o niego – on zawsze pachniał tak samo, jak czysta mięta. Zazwyczaj przynosiło mi to ukojenie. Ale teraz? Przyprawiało mnie o mdłości. Przypominało mi o tym, co z nim zrobiłam. Winiłam go, kiedy tak naprawdę powinnam winić siebie. To była moja wina, nie jego.



Kiedy doszliśmy do kuchni, posadził mnie na blacie jak jakiegoś brzdąca i podszedł do szafki.

– Chcesz lodu?

– Poproszę – wyszeptałam, chwytając się blatu, jakby był moją ostatnią deską ratunku.

Sergio wziął szklankę i podszedł do zamrażalki, kostki lodu uderzały o szkło, sprawiając, że w pomieszczeniu czuło się dużo większe napięcie.

– On zniszczy nas wszystkich. – Sergio stał do mnie tyłem, kiedy nalewał wodę, jego głos był tak rzeczowy i zimny, że miałam ochotę zadrzeć. – Mam nadzieję, że wiesz o tym. On jest Campisi, tym, który ot tak nie przestanie być Campisi.

Głośno wzdychając, starałam się zignorować prawdziwość słów Sergio. – Mylisz się.

– Czyżby? – Odwrócił się, a jego brwi wystrzeliły z zaskoczenia. – A co czyni z ciebie eksperta?

– Ja tylko... – Przygryzałam paznokciec od kciuka. – Znam jego serce. On jest dobry, a co my robimy...

– Co my robimy... – Sergio odrzucił głowę w tył i roześmiał się. – Nie ma nic wspólnego z tobą, uwodzącą go i chrzaniącą się z jego głową, Mo. Zupełnie nic. Więc, co do cholery, ty wyprawiasz? Bo pewny jestem, że inni też chcieliby to wiedzieć.

– Czynię to realnym. – Przełknęłam gulę w swoim gardle i wyciągnęłam rękę po wodę.

Sergio westchnął i umieścił zimną szklankę w moich palcach, nie zabierając swojej dłoni, ale zamknął moją w potrzasku pod swoją.

– Mo, niezależnie od tego, jak realnym starasz się to uczynić... nie możesz go ocalić.

– Ale planem było...

– ... małżeństwo. – Wzruszył ramionami. – A i tak cię postrzelono.

– Ale...

– Mo. – Sergio puścił szklankę i oparł dłonie po obu stronach moich bioder, dociskając swoje ciało do mojego z taką siłą, że aż sapnęłam. – On umrze.

– Nie. – Pokręciłam głową z mocą. – Nie dopuszczę do tego. Powiedzieli, że jeśli zrobimy to w ten sposób, to to go ochroni.

– Jesteś świadoma tego... – Uniósł głowę i otarł swoimi kłykami mój policzek. – Że będę ratował ciebie, zanim będę ratował jego.

– Nie. – Moje wargi zadrżały. – Nie jestem tego warta.

– Pozwól *mi* decydować o twojej wartości Monroe. – Stał przede mną w postawie ochronnej. – A na koniec, jak już będzie po wszystkim, chcę żebyś pamiętała, że ja byłem tym gotowym zapomnieć i wybaczyć, podczas gdy ten, którego ty utrzymujesz, że kochasz – ten, którego pragniesz ocalić – będzie martwy w przeciągu miesiąca, za wybranie krwi.

Z przekleństwem na ustach Sergio odsunął się ode mnie i wyszedł z kuchni, zostawiając mnie z moimi myślami. Odechciało mi się pić, więc ostawiłam szklankę na kontuar i starałam się zejść z kuchennego blatu. No, nie szło mi za dobrze. Moja noga nie dawała mi pola do manewru.

Po pięciu minutach starania się nie zabić, osunęłam się na kolana i czekałam, słysząc kroki w korytarzu.

Cud nad cudy, to nie był Tex, który przyszedł mnie szukać, ale Nixon.

– Nie było cię w łóżku – warknął, jego oczy były zimne.

– Prawda – westchnęłam. – Utknęłam na kuchennym blacie.

– Możesz mi powiedzieć, jak się tam znalazłaś?

– Przyleciałam?

Nixon szeroko się uśmiechnął. – Mądrała.

– Też cię kocham braciszku.

Jego uśmiech zniknął, zrobił kilka niepewnych kroków w moją stronę.

– Powiedz mi, że wiesz, że to złe.

Przytaknęłam.

– Powiedz mi, że wiesz, że poleje się krew.

Znów przytaknęłam.

Zaklął i przetarł twarz rękami.

– Powiedz mi, że koniec końców... – Jego głos zadrżał. – Powiedz mi, że zrobisz, co ci powiem.

– Nie mogę. – Drżącymi dłońmi otarłam łzy ciekące mi po twarzy. – Wciąż go kocham.

– Wiem. – Nixon wziął mnie na ręce i poniósł korytarzem. – I w tym cholerny problem.

Westchnęłam w pierś Nixona. Jego wytatuowane ramię tak mocno mnie trzymało, że moglibyście pomyśleć, że byłam czymś najcenniejszym na świecie dla niego. No ale byliśmy dla siebie wszystkim, co mieliśmy. Wszyscy inni... byli martwi.

– Mo. – Głos Nixona załamał się, kiedy położył mnie na łóżku, a potem usiadł na materacu, który zaskrzypiał pod jego ciężarem. – Ta Komisja, nie było nas jeszcze na świecie...

– Ta pierwsza. – Położyłam głowę na jego ramieniu. – Dużo ludzi zginęło?

– No cóż. – Nixon westchnął. – To nie była do końca fiesta.

– Ugryź się w język. – Zrugłam go. – Sycylijczycy nie organizują fiest, my mamy imprezy, krwawe łaźnie, takie że głowa mała.

– Racja. – Zassał swój kolczyk w wardze i oparł się o nogi. Jego prawa stopa uderzała o podłogę, co wskazywało na jego zdenerwowanie, które – jeśli znalazłbyście mojego brata – było całkowicie do niego niepodobne.

– Dobrze się czujesz?

– Odpowiedzią byłoby zajebicie gigantyczne nie. – Śmiech Nixona był pusty. – Myślę, że ona może być w ciąży.

– Kto?

Jego stopa przestała stukać.

– A niby kto, geniuszu? Trace.

– Och. – To było dość szokujące. – Czemu tak sądzisz?

– Bo znam ją, znam jej ciało. – I znów zaczął stukać stopą. – I nagle to wszystko ma sens, wiesz?

– Co?

– Krew. – Nixon wyszeptał ochryplym głosem. – To nabrało tak cholernie ogromnego sensu, Mo. Zrobiłbym wszystko... wszystko dla krwi.

– Jak wampir? – Zażartowałam, uderzając go w ramię.

– Jak wampir. – Jego głos stracił na tonie. – Mo. – Chwycił moje dłonie. – Zawsze będę cię chronił, zawsze chronię co moje, ale wybór, jakiego będzie musiał dokonać Tex... – Lekko je ścisnął. – Myślę, że po prostu muszę zrozumieć oddziaływanie jakie krew wywiera na czyjąś lojalność. – Jego oczy wypełniły się smutkiem. – Niezależnie od tego co on czuje do ciebie... ty nie jesteś...

– ...krwią – wyszeptałam. – Chcesz przez to powiedzieć...

– Chcę przez to powiedzieć, żebyś ostatecznie pamiętała, kim jesteś. – Nixon wzruszył ramionami. – Pamiętaj, kim on jest.

– Jestem zmęczona. – Udałam, że ziewam.

– No tak.

– A, i Nixon. – Złapałam jego rękę. – Powiedz Trace, że się cieszę.

Jego oczy się zmrużyły.

– Interesujące.

– Co?

– Myślałem, że powinnaś zorientować się do teraz... doświadczając tego samego... podobnych symptomów i takie tam. – Skrzyżował ramiona.

– No wiesz... – Wzruszyłam ramionami. – Każda ciąża jest inna.

– Tak jak i życie. – Dodał Nixon. – Śpij dobrze, Mo.

Skinęłam głową, emocje zatkały mi gardło.

Dwie godziny później czyjś ciężar zstąpił na moje łóżko i ogromne ramiona zawinęły się wokół mojego ciała.

– Tex? – wyszeptałam.

– No?

– Wrogowie czy kochankowie w tej chwili?

Westchnął i pocałował mnie w głowę.

– To i to, zawsze będziemy jednym i drugim.

I dostałam swoją odpowiedź.



# CHAPTER 21 <sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Czasami wszystko, czego pragniesz, to naciągnąć sobie koldrę na głowę i wyprzeć  
prawdę ze swego marnego żywota.*

Następny ranek nadszedł za szybko. Światło słoneczne migotało przez ciemne zasłony, lądując na mojej twarzy. Moje ciało bolało, łamało mnie w kościach i straciłem całe czucie w lewej ręce.

Mo wtuliła się we mnie.

Moje ciało zdecydowało się lubić to i docisnęło się do niej.

Kazałem mu przestać.

No ale ono miało swój własny rozum. Poza tym, kiedy pasujesz do kogoś tak idealnie, to dość trudne nie chcieć połączyć razem tych elementów. Z westchnieniem oderwałem się od niej, uczucie mrowienia w ręce przypominało mi o utracie jej ciała.

Pogawędka z Nixonem dzień wcześniej nie poszła najlepiej. Mój wuj nagle postanowił być niedostępny. Wszyscy Sycylijczycy właśnie zmierzali do Stanów na Komisję, a on ulotnił się jak kundel, którym był.

Sergio aka nasrane we łbie nawet próbował namierzyć jego komórkę, ale była nieosiągalna, co znaczyło tylko jedno, słyszał o Komisji i wiedział, jaki będzie mój następny ruch.

Zajebicie znakomita nowina.

Do spotkania mocarzy miało dojść nie wcześniej jak za tydzień – potrzebowaliśmy, aby wszyscy się dostosowali. I Nixon cały uchachany dał Luce i Francowi robotę, polegającą na upewnieniu się, że nie będzie żadnych przypadkowych wystrzałów, no nie zazdroszczę im.

Mo wydała jakieś dźwięki przez sen i przekręciła się na plecy.

Boże, była śliczna.

Boże, byłem takim palantem, że nie mówiłem jej tego każdego przeklętego dnia.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi, a potem je otworzył. Głowa Trace wsunęła się do środka, wpatrując się w spokojną Mo, a potem piorunując mnie wzrokiem.

– Łooo. – Uniosłem dłonie w geście niewinności. – Patrzyłem na nią tylko, a nie mierzyłem z broni.

– Wybrałeś ją. – Trace wyszeptwała. – Kiedy przyjdzie czas, by dokonać wyboru, zawsze wybierz miłość, chrzanić krew.

– Pijana jesteś? – Zrobiłem kilka kroków w jej kierunku.

– Nie. – Łza spłynęła po jej policzku. – Ja tylko... musisz wiedzieć, ostatecznie... twoje życie opiera się na wyborach, one będą twą chlubą albo zgubą, nie pozwól, by twoja przeszłość niszczyła twoją przyszłość.

– A jeśli nie ma na to mądrych? A swoją drogą to dziwne, jeszcze nawet nie jadłem śniadania, jak ty w ogóle jesteś w stanie myśleć tak wcześnie?

Brązowe oczy Trace zmrużyły się na mnie, przerzucając swoje ciemne włosy wzruszyła ramionami.

– Jestem Abandonato. Zawsze patrzę.

– Wakacje – wymamrotałem. – Powinnaś ich spróbować... ale wiesz, z dala od bossa.

– Tex. – Trace warknęła. – Mówię poważnie. Kiedy nadejdzie czas, nie w tym rzecz, czego chce Nixon, tylko w tym, co najlepsze dla niej. – Z tym zamknęła drzwi, zostawiając mnie skołowanego jak jasna cholera i nieco ciekawego tego, czego dołała do swojego Cheerios, że jest taka rozbudzona o siódmej rano.

Przeklęty Nixon miał ręce pełne roboty z tą małą, zawsze miał, zawsze będzie.

Ostatni raz spojrzałem na Mo i wyszedłem z pokoju, by zapolować na jakieś śniadanie.

Trace siedziała spokojnie przy stole, wsuwając, normalnie nie dacie wiary, swoje Cheerios. Chase właśnie usiłował wykraść jej pudełko z ręki, kiedy Mil tłukła go po głowie gazetą, no wiecie, jak pan swojego psa, kiedy nasika mu na buty, a Nixon był mocno pogrążony w rozmowie z Sergio, Luką i Frankiem.

– Przespałem coś, czy coś? – Ziewnąłem, zyskując wszystkich uwagę.

– Ach, przebudzenie bestii. – Luca uśmiechnął się znacząco.

– Powiedział tresowany kocur domowy. – Machnąłem mu fakiem. Nigdy nie bałem się Luki. Do diabła, jak już coś, to on powinien obawiać się mnie, tego co reprezentowałem.

Zignorował moją obelgę wobec jego straszności i wzruszył ramionami, biorąc duży łyk kawy.

Nalałem sobie małą czarną i dołączyłem do reszty w kuchni. Nixon odezwał się jako pierwszy.

– Zrobimy to w dziupli.

– Spotkanie? – Doprecyzowałem.

Nixon przytaknął i odchylił się w tył na swoim krześle.

– Możemy tam kontrolować otoczenie.

– A co dokładnie mamy nadzieję osiągnąć? – spytałem.

– To, co zawsze staramy się osiągnąć. – Frank przebiegł drżącą ręką przez swoje siwe włosy. – Pokój.

W tej samej chwili Chase spadł z krzesła, zepchnięty przez Mil, podczas gdy Trace uwolniła z jego palców paczkę z Cheerios i pobiegła do spizarki.

– Nie umiemy zapanować nad własnym śniadaniem, ale chcemy nad dominacją w świecie i pokojem, życzę powodzenia. – Parsknąłem.

Luca obliznął wargi, jego zimne oczy obserwowały mnie, jak popijam kawę, jakby zapamiętując każdy ruch. – Ty nam pomożesz.

– A jeśli nie?

– To cię zastrzelę. – Luca strzepnął paproch ze swojej marynarki i obejrzał się na Nixona. – To naprawdę cudowny dzień. Czemu nie zabierzesz Trace na miły poranny spacer? Później mamy czas na planowanie.

– Mojej śmierci. – Gderałem.

– A jaki masz inny wybór? – Mięsień przeskoczył w szczęce Nixona. – Albo jesteś z nami, albo z nimi. Jesteś z nami, będą chcieli cię zabić, ale przynajmniej możemy stanąć w twojej obronie. Jesteś z nimi, to i tak będą chcieli cię zabić i my ostatecznie też będziemy musieli.

– A czemu tak? – Obliznąłem usta. – Dlaczego, do cholery, będziecie musieli mnie zabić, jeśli zajmę prawowite miejsce? No bo doprawdy to jedyny zjebany element w tej całej układance! Zabiłem swojego własnego ojca, więc dlaczego nie miałbym zająć jego miejsca? Co czyni ciebie, Nixonie lepszym ode mnie? Co sprawia, że to, co mam zrobić, do jasnej cholery, czyni mnie bardziej potępionym od tego, co każdy z was zrobił, kiedy stawał się głową rodziny?

W całym pokoju zapanowała cisza.

Nawet Chase i Mil przestali się kłócić.

– Ty naprawdę nie wiesz. – Frank w końcu wyszeptał. – Prawda, synu?

Odstawiłem kawę na stół i potarłem twarz rękami.

– Nie wiem czego?

Frank położył swoje dłonie na moich, mamrocząc modlitwę po włosku, zanim wyszeptał.

– Masz siostrę.

Cały pokój pokrył się czerwienią, a potem czernią, a potem znów czerwienią.

– Ale co to ma wspólnego ze mną?

– Niemal kurna wszystko. – Luca parsknął. – Myślę, że nadszedł czas na odroczenie, niech Tex podelektuje się faktem, że wciąż ma rodzinę, którą warto zlokalizować...

Wciąż byłem oszołomiony, kiedy Frank położył rękę na moim barku i wyszeptał.

– Krew zawsze zwycięża.

Mo.

Moja siostra.

Nixon.

Jasna cholera.

Wybory.

Cały czas zostawiali wskazówki.

Oni chcą mnie zmusić do dokonania wyboru. Jedno spojrzenie na Nixona powiedziało mi wszystko – ponieważ wiem, że wybrałby Mo za każdym razem – nawet, jeśli by jej nigdy nie znał, wybrałby ją.

Tak jak ja wybrałbym moją siostrę.

By chronić ją, zbratałbym się z diabłem.

By chronić ją, walczyłbym z moimi przyjaciółmi.



# CHAPTER 22<sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Życie w Mafii to jak zabawa w dom. Wszystko jest fajnie, póki ktoś nie wyciągnie spluw.*

Do czasu, jak dotarłam na śniadanie, to bardziej zakrawało na lunch. Chase i Mil zostawili wiadomość, że pojechali postrzelać, a Nixon właśnie szykował się, by zawieść Trace do sklepu spożywczego.

Dziwne.

Jak normalni zdawaliśmy się być.

Ale nic, co tyczyło się naszej rodziny, nie było normalne, o czym przypominano mi, kiedy Nixon zbroił wewnętrzną stronę swojej kostki amunicją.

– Gdzie Tex? – Odchrząknęłam i skrzyżowałam ramiona.

Mój brat i Trace wymienili się napiętymi spojrzeniami.

Nixon zaklął i wymamrotał.

– A co mnie to kurna obchodzi.

Trace klepnęła go w ramię, ale on tylko pokręcił głową i delikatnie chwycił ją za rękę, prowadząc do wyjścia.

– Wrócimy wieczorem – zawołał Nixon. – Zostawiłem z tobą kupę ludzi, ale masz jeszcze Tex'a tutaj, więc wszystko powinno pójść jak z płatka, póki nie każą mu wybrać...

– Nixon! – Trace krzyknęła jego imię tak głośno, że nawet ja byłam w szoku, ona nigdy nie krzyczy. Nigdy.

Lekko się zaczerwienił i schylił głowę, kiedy wychodzili z domu. No dobra, to dopiero było dziwne.

Nalałam sobie kawy i wzięłam baton musli ze spiżarki. To był naprawdę śliczny dzień i nie było mowy, żebym siedziała w środku, kiedy wszyscy byli na powietrzu, coś robiąc. Miałam

po dziurki w nosie bycia niańczoną, nawet jeśli mnie postrzelono, to nie było tak, że niemal umarłam czy coś.

Jadłam batona i popijałam go kawą, kuśtykając w stronę tylnych drzwi.

– Gdzieś się wybierasz? – zapytał Sergio, zerkając zza gazety.

– Cholera. – Uśmiechnęłam się słodko. – Chciałbyś mi towarzyszyć?

Z niewzruszonym wzrokiem odpowiedział.

– Za późno.

Wzruszyłam ramionami i łokciem otworzyłam drzwi, utykając w poprzek ogrodu. Drzewa, podobnie jak wszystko inne, wyglądały nieszkodliwie.

Latami wspinałam się na to drzewo.

Wyobrażałam sobie, że jestem księżniczką w wieży, czekającą na swojego księcia, by przyszedł mi z ratunkiem. Nie pomagało, że Nixon zawsze opowiadał mi historie o księżniczkach w wieży, przekonując mnie, że byłam jak te dziewczynki w opowiadaniach – tak mniej więcej cała ta otoczka mafijnej księżniczki weszła do gry. Tex uważał to za śmieszne i nieustannie dokuczał mi o to, kiedy byliśmy mali.

No zabiłabym, by teraz mógł się ze mną tak droczyć.

Co ja sobie myślałam?

Jedna godzina? Byłam nienormalna? Miałam jakieś urojenia?

I czy ta godzina wystarczyła, aby związać go ze mną na zawsze? Musiała, bo nie wiedziałam, czy da mi kolejną okazję. Nosił swoją złość jak tarczę. Nawet kiedy spaliśmy, czułam, jak wychodziła z niego falami.

Wzdychając, umieściłam ręce na drzewie i uniosłam się w powietrze, moja chora noga kołysała się przy korze. Przynajmniej dzisiaj bolała tylko troszkę.

Moje nogi zwisały, prawie dotykając ziemi.

Jak żałośnie, nie mogłam nawet dostać się wyżej.

Ale przynajmniej byłam sama.

Ze swoimi myślami.

Zastanawiałam się, czy zrobiłabym to inaczej, jeśli mogłabym cofnąć się w czasie, czy zdecydowałabym się nie chronić Tex'a? Czy poszłabym najpierw do Nixona, prosić o jego pomoc, zamiast układać się z duchem?

Odezwał się dźwięk przychodzącej wiadomości.

*D: Staralaś się Mo i to wszystko, o co mogliśmy prosić. Ostatecznie... to wystarczy, aby powstrzymać ich przed zabiciem go. Nikt nie chce, by głowa wylądowała na ogonie.*

*Ja: Musimy nadal próbować.*

*D: Tak. Będziemy.*

Cofnęłam się myślami do tamtej nocy... zamykając oczy, kiedy wspomnienia owinęły się wokół mnie jak odczucie duszenia się.

*– Mo? – Sergio przytrzymał mnie, zatoczyłam się o niego. – Dobrze się czujesz?*

*– Głupi Tex – warknęłam, moje słowa ciążyły mi w gardle. – Nienawidzę go, spraw bym zapomniała o nim, proszę, byłam tylko z nim! Potrzebuję, by był jeszcze ktoś inny! – To było po ślubie Mil z Chasem i wypłam dużo za dużo wina, myśląc, że mogę utopić swoje smutki w kieliszku.*

*Sergio westchnął i pociągnął mnie w swoje ramiona.*

*– Myślisz, że pragnę tego, co nie jest moje?*

*– Wiem, że tak! – Odepchnęłam się od niego, bardziej zatoczyłam w tył i wbiłam mu palec w klatkę piersiową. – Zawsze mnie lubiłeś! Przyznaj się!*

*Sergio zaśmiał się i uniośł ręce w powietrze.*

*– Winny, ale znienawidzisz siebie, a i ostatecznie jestem pewny, że znienawidzisz mnie.*

*– To pozwól mi nienawidzić również siebie ... pozwól mi nienawidzić cię tak bardzo, jak nienawidzę jego, tak bardzo jak nienawidzę siebie.*

*– Och Mo. – Sergio z powrotem pociągnął mnie w swoje ramiona i pocałował w czoło. – Napelnij świat nienawiścią, a wszystko, co otrzymasz, to nienawiść. Napelnij swoją duszę większą ilością nienawiści i to zrodzi nienawiść. Świat nie potrzebuje tyle nienawiści. Miłość, jakkolwiek, to mogę ci dać.*

*– Nie kochaj mnie – warknęłam. – Ostatnia osoba, która mnie kochała, wcale tego nie czuła.*

*– Czwała. – Sergio wyszeptał. – I wiesz o tym.*

*– Proszę! – Błagałam ochryplym głosem. – Proszę, po prostu kochaj się ze mną.*

*– Jak daleko byś się posunęła... by go ocalić?*

*– Ocalić go?*

*Sergio delikatnie posadził mnie na krześle obok swojego łóżka i przesunął palcami przez swoje gęste włosy.*

*– Dla Tex'a. Co byś zrobiła, żeby go uratować?*

*– Wszystko. – Zaszlochałam. – Zrobiłabym wszystko, ale czemu on potrzebuje ocalenia?*

*– Każdy. – Rozległ się znajomy głos za moimi plecami. – Powinien dostać drugą szansę, Monroe. Nie sądzisz?*

*Odwróciłam się z sapnięciem i momentalnie straciłam przytomność.*

Zerwałam się ze snu. A niech to, zasada numer jeden w mafii, nie zasypiać na drzewie, będąc nieuzbrojonym. Rozciągnęłam ramiona nad głową.

– Co ty wyprawiasz? – Tex krzyknął, biegnąc w moją stronę, wściekłość była wryta w każdej płaszczyźnie jego twarzy. Aj jaj, następne kazanko. Jakbym nie miała już tego dość, co z Sergio, Nixonem, Tex'em było jak życie pod ciągłą rodzicielską kontrolą.

– A na co to wygląda? – Zamknęłam z powrotem oczy i oparłam plecy.

– Zabawne, że to powiedziałaś. – Głos Tex'a był teraz bliżej, czułam niemal żar jego ciała. – Bo to wygląda, jakbyś wdrapała się na drzewo, a oboje wiemy, że nie byłabyś na tyle głupia, żeby to zrobić, prawda?

Zamrugalam.

– Co?

– Jedno z nas jest w ciąży. A wiadomość z ostatniej chwili podaje, że to nie jest ta osoba z penisem!

– To nie wolno mi wchodzić teraz na drzewo? Z racji niesprawiedliwości tego wszystkiego! – Prowokowałam go, nienawidząc, jak bardzo kochałam jego niebieskie oczy i tego, jak zaciekle ochronne były w tamtej chwili.

– Pewnie, że możesz. – Chwycił gałąź nad moja głową i uniósł siebie bez wysiłku. – Ale tak na przyszłość doceniłbym to, gdybyś umieściła siatkę ochronną pod drzewem i doczepiła sobie malutkie spadochrony do kostek, no wiesz, tak dla bezpieczeństwa.

Otworzyłam buzię, by coś powiedzieć, ale przeszkodził mi.

– A, i gdy mówię o drzewie, to mam na myśli tamto. – Wskazał na maleńkie drzewko rosnące koło domu, które prawdopodobnie nie utrzymałoby nawet ciężaru ptaka.

– Chcesz powiedzieć, żebym siedziała na tamtym drzewku, kiedy aż mnie korci, by się wspiąć?



Tex szeroko się uśmiechnął, uśmiechem, który sięgnął kącików jego oczu, kiedy puścił mi oczko i spojrzał na cieniutkie drzewo.

– Pewnie? Czemu nie?

– I na pewno nie przyczepię sobie spadochronów do kostek, szajbusie.

– Hmm? – Tex przechylił głowę i otrzepał mój but. – Przynajmniej są na tyle spuchnięte, że mogą zamortyzować upadek. Więc to na twoją korzyść.

– Moje kostki nie są spuchnięte, ty głupku! – To było niemożliwe, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

– Mo, jeśli bym uczestniczył w katastrofie morskiej, a trzymanie twoich kostek byłoby jedyną szansą na przetrwanie... to bym przeżył.

Uśmiechnęłam się, a potem szturchnęłam tę jego muskularną pierś.

– Co żeś się mnie uczepił? Nie masz pajaków do zabicia albo jakiś mrówek do zbadania pod lupą?

– Ałć, cios poniżej pasa. – Tex się zaśmiał. – Musiałaś przywoływać moje dziecinne metody tortur?

– Ratowałam te mrówki. – Pociągnęłam nosem. – Nie dzięki tobie.

– Chcesz poznać sekret? – Tex zapytał, zerkając na dom, a potem pochylając się tak, że nasze usta dzieliły milimetry.

– No – wyszeptalam. – Powiedz mi.

– Chciałem, żebyś ratowała te mrówki.

– Ach tak? – Moje brwi wykrzywiły się z zaskoczenia. – Więc torturowałeś je tylko po, żebym ja... co?

– Cóż, to proste. – Tex wzruszył ramionami. – Miałaś słabość do niewinnych istot, więc jeśli chciałem, żebyś przybiegła, wszystko co musiałem, to skrzywdzić słabe...

– Potwór.

– To było konieczne – powiedział pewnie, kiwając głową. – Szczególnie konieczne, kiedy chciałem zyskać uwagę księżniczki. – Odchrząknął. – Więc siedzimy na drzewie, bo?

– Ponieważ ja – nie my – musiałam pomyśleć.

– Superancko, tylko czy możemy pomyśleć gdzieś na ziemi, gdzie nie będę łatwym celem dla płatnego mordercy? No wiesz, minęło dwanaście godzin, odkąd nikt nie próbował mnie zabić. Nie chciałbym naginać mojej dobrej passy.

– Oj joj, a gdzie męstwo? Przyczepmy tarczę strzelnicą do twoich pleców i pomalujmy ci twarz na czerwono, myślisz że to zadziała? – Roześmiałam się.

– Oj joj, kochana, jeśli chcesz zobaczyć, jak się oblewam rumieńcem, wystarczy jedynie poprosić. – Tex odezwał się zgrzytliwym głosem, wszystkie oznaki humoru zniknęły z jego tonu, gdy jego oczy mnie spijały.

Wstrząsnął mną dreszcz.

– Zimno ci? – Jego brwi się złączyły. – Chodź, zaprowadzimy cię do środka i poszukam koca.

Przytaknęłam, nienawidząc się nawet bardziej. On traktował mnie jak księżniczkę, a ja nie byłam nawet w ciąży – z tego co było mi wiadomo.

Łał, nigdy nie sądziłam, że będę jedną z tych dziewczyn, tych, które spiskują, jak tu doprowadzić, by boss mafii zapłodnił mnie, tak by kłamstwo mogło okazać się prawdą.

Tex zeskoczył z drzewa i obrócił się, wyciągając do mnie ręce. Uśmiechnęłam się i spadłam na jego pierś.

Równo z postacią w czerni, która pojawiła się na tarasie i strzeliła Tex'owi w nogę.

Krzyknęłam.

Ale mój krzyk został uciszony przez uderzenie tępym przedmiotem w moją skroń. I wszystko pokryło się całkowicie czernią.

# CHAPTER 23 SERGIO

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Krew zawsze ma metaliczny smak, ale nim on dotrze do twojej świadomości, ona zawsze smakuje zakazanie, jak wtedy, gdy wiesz, że coś jest złe, ale jesteś bezsilny, aby to powstrzymać.*

Cholera, to boli. Potarłem głowę, moje skronie łomotały. Miałem kaca czy co? Czekałcie, było rano i...

Skoczyłem na równe nogi i złapałem spluwę.

W domu panował spokój.

Po cichu wychyliłem się zza rogu do kuchni, dwóch ludzi leżało na podłodze. Krew zebrała się pod ich plecami. Matko Boska, co tutaj się stało?

Wyszedłem przed dom, gdzie kilkoro naszych ludzi zwykle stacjonowało i zakląłem.

Martwi.

Pięciu z nich.

Wszyscy martwi.

Strzał w głowę. Schyliłem się, by sprawdzić puls każdego. Nic. Kawałek białego papieru łomotał na piersi ostatniego z mężczyzn.

*Czy teraz słuchasz? Mówiła notatka.*

– Kurwa! – Kopnąłem w ziemię i wyciągnąłem komórkę. Nixon odebrał po pierwszym sygnale.

– Co?

– To ludzie...

– Moi ludzie?

– Byłem ogłuszony, mam siedem trupów.

– Gdzie Mo?

Jego pytanie mnie zmroziło. Upuściłem telefon i pognałem ile sił na tyły domu, niemal potykając się o własne nogi, do miejsca, gdzie widziałem ją po raz ostatni.

Tylko po to, by znaleźć tam jeden jej but na ziemi.

I krew tuż obok.

Upadłem na kolana.

Oni nie mieli pojęcia, co właśnie zrobili.

Ale ja wiedziałem – ja wiedziałem, kto za tym stał, tak jak wiedział Nixon i ostatecznie wojna, którą właśnie rozpętali, nie zapisze się ot tak po prostu na kartach historii.

Ja ją kurwa zdefiniuję od nowa.



# CHAPTER 24<sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90 & IZA615

*Robienie wszystkiego, by kogoś ocalić, nie jest poświęceniem, nie wtedy, kiedy  
szczerze darzysz tego kogoś uczuciem.*

– Pobudka.

Coś walnęło mnie w twarz. Ze stęknieniem starałem się otworzyć oczy, ale ból eksplodował wzdłuż mojej nogi. Cholera, postrzelono mnie? Znowu?

– Powiedziałem... – Kolejny kopniak w zdrową nogę, która wkrótce taką nie będzie, jeśli skurwiel nie przestanie kopać. – Budź się, kurwa!

– I? – Zamrugałem oczami, przystosowując do ciemnego pomieszczenia. – Mam odstawić jakiś cudaczny taniec? Chodzi mi o to...

Kolejny kopniak, tym razem w goleń. Zaświszczałem.

– Cholercia, przynajmniej przestań mnie łaskotać, jeśli chcesz, żebym zatańczył, to wystarczy jak poprosisz, nie obchodzi mnie to, że...

Trzy kolejne kopniaki, no cóż będę pewnie kulał przez resztę życia, tyle w tym temacie. Torturowano mnie wiele razy, zawsze wychodziłem z tego z bliznami, ale nienawidziłem, gardziłem, zajebiście pogardzałem byciem kopanym, to było... upadające.

– Dobra, dobra.

Próbowałem się podnieść, ale moja lewa noga wciąż krwawiła, czułem ciepło przesączające się przez moje dżinsy, a moja prawa noga było stłuczona od kostki do biodra.

– Tex! – Mo krzyknęła.

Co? Dlaczego Mo była tu ze mną?

Popołudniowe wydarzenia zwały się na mnie jak pled furii. Z wrzaskiem rzuciłem się w kierunku jej głosu, ale zostałem powstrzymany kolejnym kopniakiem w tył moich kolan.

– Kuźwa – Upadłem na ziemię. – Przestań mnie kopać!

– Przeszanę cię kopać – głos z mocnym akcentem kpił – kiedy przestaniesz drażnić mnie każdym swoim oddechem.

– Więc najpierw... – Uniosłem się na kolana i zwróciłem się twarzą do nieznanego. – Chcesz, żebym wstał i zatańczył? A teraz chcesz, żebym przestał oddychać? Czy ktoś kiedykolwiek powiedział ci, że masz absurdalnie duże wymagania?

– Jesteś pyskaty.

– Ajć, gapisz się na mój pyszczek? – Zakpiłem, odsuwając się, bardziej, prześlizgując w stronę Mo.

– Nie dotrzesz do niej. – Głos szydził. – Jest związana, ale bez obaw, widzi cię. Będzie patrzyła na wszystko, co będziemy ci robić.

– Przynajmniej dajcie jej popcorn – wymamrotałem.

– Ja się lepiej postaram. – Odgłosy kroków odbijały się echem, kiedy ktoś szedł w moją stronę, potem nagle zapaliło się światło. Byliśmy w piwnicy, bez okien, bez drzwi, które mógłbym zobaczyć i z naprawdą marnym oświetleniem. Mo była po mojej prawej, przywiązana do cholernego krzesła, a człowiek zmierzający do mnie, to był nikt inny jak mój wuj.

Uśmiechnąłem się, kiedy stanął przede mną.

– Myślisz, że to jest zabawne? – Wypluł, a oczy niemal wyskakiwały mu z orbit.

– To jest tak cholernie komiczne, że mam naprawdę duży problem z tym, by nie zacząć chichotać. – Mierzyłem się z nim wzrokiem, jego wargi były zaciśnięte, jego oczy klarowne ale rozszerzone, był albo na haju, albo naprawdę wkurwiony. Słabe sińce przyciemniały skórę pod jego oczami, nie sypiał, a po jego zapachu zapewne był w biegu od dawna.

– Powiedz mi. – Uśmiechnąłem się znacząco. – Dostałeś swoje zaproszenie na Komisję?

Jego nozdrza zapłonęły.

– Och poczekaj, czy przysłali je do mojego domu przez przypadek? Moja wina, myślę, że są po prostu zdezorientowani, do kogo należy władza w klanie Campisi. Jak chcesz, mogę skorygować dane adresowe czy coś.

Z warknięciem odwinął mi z bekhendy przez lewą kość policzkową, niemal rozrywając moją skórę swoim zajebicie wielkim sygnetem.

– Ty przejmujesz władzę, ty żegnasz się z życiem – Wytarł swoje ręce w jedwabną szmatkę, którą wyciągnął z kieszeni i pstryknął palcami.

Dwóch osiłków popędziło w moją stronę i unieśli mnie, a potem posadzili na najzwyklejszym metalowym krześle, jakie stworzono.

– Więc. – Pokiwałem głową, pozwalając im się związać. – Co to jest? Zabijesz mnie, a potem dostarczysz moją głowę w goliatowym stylu, a później co?

– To? – Mój wuj się uśmiechnął. – Mój synu, to jestem ja witający cię w rodzinie.

– Super. – Przytaknąłem. – Więc to coś jak otrzęsiny. Chcesz czymś wymalować mi ciało? No bo muszę to powiedzieć, że Mo totalnie oszaleje z tego powodu. – Puściłem oczko w jej kierunku. Obdarzyła mnie łzawym uśmiechem, ale nic nie powiedziała. Musiałem być silny dla niej. Być ze stali. Musiałem żyć. Musiałem to przetrwać.

– Mam w planie uciąć ci ten jęzor. – Mój wujek uśmiechnął się, jakby bawiła go ta myśl. – A potem zamierzam wysłać go do twojej adopcyjnej rodzinki z liścikiem – wraz z paluszkami twojej dziewczyny.

– Żony. – Poprawiłem go.

Zmrużył oczy.

– Zatrzymałem ceremonię. Ona nie jest twoją żoną.

– Łał, przykro mi, że muszę cię wyprowadzić z błędu, ale ona jest moją żoną. Sprawdź dokumenty. Jeden z twoich sługusów miał swoje komputerowe umiejętności do przetestowania. Jesteśmy. Małżeństwem. Jeśli ją zabijesz, ściągniesz klan Abandonato na swoją rodzinę. Swój pogrzeb masz jak w banku.

Przypatrywał mi się przez chwilę, a potem zwrócił się do Mo.

– Gdzie twoja obrączka?

Posłałem jej dodające otuchy oczko.

– Skurwiel zapomniał mi kupić przez to, że pobieraliśmy się w takim pośpiechu... Jestem w ciąży. – Spiorunowała go wzrokiem. – Niespodzianka, suko.

O Boże, jak ja kochałem tę kobietę.

Wiedziałem, że byliśmy w krytycznej sytuacji, ale niech to szlag, miałem ochotę zedrzeć z niej ciuchy i całować do utraty tchu.

– A więc ty? – Wuj odwrócił się i przekrzywił swoją głowę na mnie. – Zrobiłbyś wszystko dla niej?

– Bez jaj.

– Interesujące. – Odchylił się i uderzył ją w twarz tak mocno, że spadła na podłogę, krew wypłynęła z jej ust.

– Przestań! – wrzasnąłem. – Mnie uderz, ja wezmę jej karę! Do cholery, masz w ogóle duszę? Ona jest w ciąży!

– Sprawdzimy? – Mój wuj wyciągnął nóż. – Mogę z łatwością rozplatać ją od flaków do brody i wyskrobać z niej twoje przeklęte nasienie.

*Kuźwa, kuźwa, kuźwa, kuźwa*

– Mógłbyś. – Niemal zwymiotowałem. – Ale raz jeszcze, zapominasz o czymś bardzo, bardzo ważnym.

– A o czym? – Zaśmiał się.

– Ona jest siostrą bossa. A boss... powiedzmy po prostu, że jest bliskim przyjacielem z rodzinami Nicolasi i Alfero. Nie ma szans, byś wy dostał się żywy z tego kraju, do cholery, oni wszyscy zginą, byle tylko cię dopaść. Ściągniesz na siebie cztery rodziny, wliczając w to De Lange. Szczerze wątpię, abyś chciał tego.

– Czasami... – Przesunął palcami po nożu. – Człowiek jest wystarczająco zdesperowany, by podjąć takie ryzyko.

Bez żadnego ostrzeżenia rzucił się na mnie i wbił swój nóż w moje udo. Nie krzychałem. Po prostu patrzyłem się na niego, nawet jeśli moja wizja zaczęła się rozmywać.

– Będę cię torturował. – Obdarzył mnie szatańskim uśmiechem. – Módl się, żebyś to przeżył.

– Och, bez obaw – powiedziałem ochryłym głosem. – W końcu mam wuja do odstrzału.



# CHAPTER 25<sup>MO</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Utrata kogoś kogo kochasz nie jest najtrudniejszą rzeczą na świecie. To patrzeć jak to się staje na twoich oczach – to jest trudne.*

NIGDY WCZEŚNIEJ nie byłam w takiej sytuacji. Słyszałam o tym, byłam tego świadkiem, ale nigdy przez to nie przeszłam, więc nie byłam pewna czy przeżyję to teraz. Tex wciąż krwawił od postrzału w nogę, ale przez sposób w jaki zatoczył się w moją stronę, widziałam, że nie było tak źle jak początkowo zakładałam. Nie żeby miało to znaczenie w tej chwili skoro pieprzony nóż sterczał z jego przestrelonej nogi

– Więc, to jest zabawa. – Tex splunął krwią na zimną, cementową podłogę, a więcej krwi spłynęło mu po brodzie.

– Zgadzam się! – Kolejny policzek ze strony jego wujka, a następnie śmiech. – Najlepsze chwile w moim życiu.

Głowa Tex'a opadła na krzesło na chwilę zanim puścił mi oczko. Krew pokrywała całą jego twarz, ale jego wzrok był niezachwiany. Trzymałam się spojrzenia jakie mi posłał, pielęgnowałam je, przyciągnęłam je bliżej i modliłam się, że Bóg wybawi nas z tego piekielnego kurwidołka w którym się znajdowaliśmy. Jedna rzecz na jaką miałam nadzieję? Że nie zabiją nas, że nie są tak głupi, ale to nie znaczyło, że wyjdę z tego ze wszystkimi kończynami wciąż przyczepionymi do mojego ciała.

– Dwadzieścia lat! – Jego wujek krzyknął. – Dwadzieścia lat czekałem na zajęcie prawowitego miejsca, a twój ociec był tak blisko! – Przynął palce przed twarz Tex'a. – Tak bardzo blisko, żeby nazwać mnie swoim zastępcą. Był zmęczony, był gotów odejść, a ty przyszedłeś i go zabiłeś!

– Oj, gówniano koleś. – Tex potrząsnął głową. – I nie byłeś wystarczająco sprytny, żeby mieć to na piśmie czy coś? Szkoda.

Jego wujek krzyknął i uderzył go w brzuch. Tex dławił się kiedy jego ciałem wstrząsały konwulsje.

– Jestem Alfonso Campisi i będę następny w linii.

Potem wybuchł śmiechem, jego głowa trochę wisiała jakby nie miał wystarczająco siły do unoszenia jej.

– Cholera, totalnie mógłbyś wystąpić w Gladiatorze ‘Jestem Alfonso Campisi!’ – Jego głos naśladował Alfonso perfekcyjnie.

– To... – Alfonso wyciągnął nóż z uda Tex’a. – ... nie jest gra.

– I dobrze, kurewsko nienawidzę Monopoly.

Alfonso uniósł nóż w powietrze. Tex w końcu popchnął go na krawędź.

– Stop! – krzyknęłam. – Proszę, wystarczy.

Ręka trzymająca nóż zatrzymała się w połowie sunięcia w dół, kiedy Alfonso spojrział w moim kierunku. Tex jęknął i pokręcił głową w moją stronę. Nóż przebił się ponownie przez jego nogę, Tex wypuścił wiązkę przekleństw kiedy Alfonso zaczął zmierzać w moim kierunku. Natychmiast pożałowałam swojej decyzji.

– Więc. – Rozkuł mnie, potem złapał za włosy i pociągnął w stronę Tex’a. – Musisz go kochać... całym swoim sercem?

– Tak – wyszeptałam. – Desperacko.

– Więc zrobisz wszystko by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Taa, już to zrobiłam i zobaczcie jak to działa.

– Naturalnie. – Podniosłam brodę i plunęłam w twarz Alfonso. – On jest dziesięć razy lepszym człowiekiem niż ty kiedykolwiek będziesz.

– Więc kwestionujesz moją męskość? – Alfonso się uśmiechnął. – Co więc powiesz jeśli złożę ci ofertę.

– Ofertę? – Zmrużyłam oczy kiedy światło nad Alfonso zamigotało w moim polu widzenia.

– Aby uratować swoją miłość... – Alfonso przechylił głowę i sięgnął, łapiąc moją brodę palcami, jego kciuk pieścił moją dolną wargę. – Co mi dasz?

– Do diabła nie! – Tex krzyknął, jego głos był wypełniony złością. – Prędzej zginę niż zobaczę ją oddychającą tym samym powietrzem co ty.

– To... – Alfonso puścił moją brodę i uśmiechnął się do Tex’a. – Da się zrobić.

– Szefie! – Jeden z jego ludzi rozmawiał przez telefon półgłosem. – Szefie!

– Co? – Alfonso warknął.

Strażnik podniósł telefon. – Problem.

Klnąc, Alfonso wytarł ręce w szmatę leżącą na metalowym stole.

– Dobra, dam czas gołąbkom na pożegnanie się.

Ze śmiechem podążał za strażnikiem do drzwi. Oparłam się o krzesło Tex’a.

– Czego potrzebujesz?

– Cóż odkąd przyjmujesz zamówienia, zabiłbym za hamburgera z frytkami. – Tex westchnął. – Albo może koktajl mleczny? Tak, zmieniam zamówienie, czekoladowy koktajl, niezwłocznie.

– Tex. – Mój głos drżał. – Nie mogę teraz żartować. Nie mogę, nie kiedy krwawisz, nie kiedy niemal umarłeś, nie...

– Nie jestem krwią – powiedział głucho. – Czy to ma znaczenie dla księżniczki Abandonato co mi się stanie?

Niezgrabnie i chwiejnie stanęłam na nogach, i złapałam szmatę ze stołu, ocierając mu twarz kiedy odpowiadałam.

– To samo można powiedzieć o mnie – wytarłam jego usta, krew zdążyła zacząć wysychać – nie jestem krwią, czy to ma znaczenie dla sukcesora Campisi?

Oczy Tex’a trzepotały zamknięte przez krótką chwilę nim się otworzyły, przyszpilając mnie do podłogi, konsumując każde bicie serca, sprawiając, że mój puls nie robił nic innego poza wykrzykiwaniem jego imienia.

– Ma znaczenie.

Skinęłam, dotykając szmatą kącika jego ust.

– Ma znaczenie.

Nie byłam pewna czy uwolnienie go sprawi nam więcej problemów, więc zrobiłam następną, najlepszą rzecz. Pochyliłam się i pocałowałam go.

Nasze usta spotkały się w szaleństwie.

Smakował krwią.

Co znaczyło, że był żywy.

Mój Tex był żywy.

I był mój.



# CHAPTER 26 SERGIO

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Kiedy rozpętuje się piekło wszystko co możesz zrobić to trzymać się i może zamknąć oczy.*

– ZACZNIJ OD POCZĄTKU. – Nixon kroczył przede mną, dziko wymachując swoim pistoletem w powietrzu. Wicie, tym którego nawet nie zabezpieczył. Kiedy wycelował w moją twarz, westchnąłem i odchyliłem się do tyłu na krześle. Robiliśmy tak przez ostatnią godzinę. Każdy detal.

I wciąż niczego nie mieliśmy.

– Najwyraźniej podeszli mnie od tyłu – wymamrotałem, zawstydzony, że to się stało i przerażony, że ktokolwiek był zdolny przejść przez naszych ludzi, co sprawiło, że zastanawiałem się jaki piekielnym typem ludzi byli Campisi.

Nixon położył pistolet na stole i usiadł na krześle obok mnie.

– Gdzie ich zabrał? Nie jest na tyle głupi, żeby ich zabić.

Luca i Frank milczeli kiedy patrzyli na stół. Taa, stół nam nie pomoże, ludzie. Ale znowu, może po prostu robili się za starzy na to gównu.

Przesunąłem rękami przez włosy.

– *Mo* pozwolą żyć.

Pokój pokrył się ciszą, za wyjątkiem szumu lodówki i tykaniem zegara dziadka w korytarzu.

Chase bębnił palcami o stół i wyciągnął telefon.

– Ma swoją komórkę?

– Biorąc pod uwagę mój specyficzny zestaw umiejętności, nie sądzisz, że już przeszedłem przez każdą ewentualność, żeby ją uratować? – Starąłem się nawet nie zachwiać głosem. – Nie ma swojego telefonu, Tex nie ma swojego telefonu, zniknęli, i jedyny sposób, żeby ich odzyskać, to czekać.



– Nie będziemy czekać. – Nixon warknął.

Trace położyła rękę na jego plecach i zaczęła je pocierać. Nixon zacisnął i rozluźnił pięść.

– Nie ma możliwości, żeby ją wyśledzić. – Westchnąłem. – Przepraszam Nixon. Czekamy. Musimy.

– Czekamy kiedy powiem, że tak robimy. – Nixon krzyknął.

Podniosłem rękę w górę w geście poddania.

– Dobra, ty jesteś szefem.

Luca wstał gwałtownie i wyszedł z pokoju z telefonem w dłoni.

– To o czym gadasz wkurwia wszystkich, Sergio. – Chase wymamrotał.

– To nie moja wina! – krzyknąłem. – Podeszli mnie od tyłu!

– Powinieneś uważać! – Nixon warknął. – Co do cholery robicieś! Oglądałeś pieprzoną telenowelę!

– Była z Tex'em! – Zeskoczyłem z krzesła. – Była bezpieczna!

– Nigdy nie jest bezpieczna z Tex'em. – Nixon dźgnął palcem moją pierś, zmuszając mnie do ponownego zajęcia miejsca na krześle. – Nigdy, rozumiesz? Od tego momentu jesteś jej pieprzonym cieniem. Chcę wiedzieć jak wiele razy rzuca się we śnie, chcę wiedzieć ile rzęs traci każdej godziny. Kiedy ją odzyskamy, nie jeśli, ale *kiedy* ją odzyskamy, jej życie jest ważniejsze od twojego. Czy się rozumiemy?

Wywrócenie oczami nie byłoby najmądrzejsze, ale to właśnie chciałem zrobić. I to właśnie dlatego nienawidziłem pracować dla rodziny. Przygryzłem język, pozwalając sobie na kilka chwil rozsądku zanim się odezwałem.

– Rozumiemy się.

– Dobrze. – Nixon strzelił knykciami i podniósł z powrotem swój pistolet.

– Odłóż to zanim zrobisz sobie krzywdę. – Chase wyszeptał, a potem złapał dłoń Mil i wyszeptał jej do ucha. – Będzie z nimi dobrze, Tex jest zwierzęciem.

– To jest właśnie problem. – Nixon przerwał. – Jest zwierzęciem, którego nie mogę dłużej kontrolować.

– Nie wiesz tego. – Frank syknął. – Nie wiesz nic o tym co się stało.

To była prawda, nawet system kamer w jakiś sposób został przesłonięty, więc dosłownie byliśmy ślepi na wszelkich frontach. Jak do diabła przeniknęli tak szybko, myśl, że to było planowane weszła w moją głowę prawdopodobnie w tym samym czasie, w którym spojrzenie Nixona spotkało moje.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Tex by tego nie zrobił.

– Nie? – Nixon wyszeptał. – Jak inaczej byliby w stanie przeniknąć do domu? To forteca.

– Nixon... – Trace wyciągnęła ręce przed siebie. – Nie, mówimy o Tex'ie, twoim najlepszym przyjacielem Tex'ie!

– Świat jest paskudnym miejscem. – Nixon splunął. – Ty, ze wszystkich ludzi powinnaś to wiedzieć, Trace. Przecież Phoenix też był moim przyjacielem, i zobacz jak to się obróciło.

– Wystarczy. – Frank wszedł do pokoju wsuwając telefon z powrotem do kieszeni. – Są piętnaście mil na południe stąd.

– Co? – Wszyscy powiedzieliśmy razem.

Moje oczy zwężyły się w maleńkie szparki.

– Skąd to wiesz?

Luca spotkał wzrok Franka. Był zmęczony; cholera, obaj wyglądali jakby potrzebowali wakacji.

– Och, Sergio, mam bardzo wiele tajemnic. Tą, mam nadzieję zachować trochę dłużej.

– Wszystkie dobre rzeczy – wyszeptał Frank.

– Muszą się skończyć. – Luca się zgodził. – Chodźmy.

# CHAPTER 27<sup>TEX</sup>

*Pocałunek śmierci – oby tak dalej.*

Całowanie Mo łagodziło ból. Jeśli umierałem to właśnie dokładnie tak zawsze chciałem by się to odbyło. Z jej napiętym ciałem dociśniętym do mojego, z jej gorącym oddechem łaskoczącym moje usta, z jej językiem drażniącym każdy milimetr mojego, aż byłem gotów oszaleć.

Chciałem owinać swoje ręce wokół niej, ale one wciąż były związane za mną, a to nie było jakieś szalone BDSM gównno, przez które były skrępowane. Nie, to tylko moja walnięta rodzinka. Do diabła, zawsze zazdrościłem Nixonowi i jego rodzinie. Powalczyłem z zaciskami. Ta, zazdrość oficjalnie wyparowała.

– Tex. – Mo docisnęła kolejny ociągający się pocałunek do moich warg. – Muszę ci coś powiedzieć, to nie ma już żadnego znaczenia bo...

Na zewnątrz rozległy się strzały.

– Schowaj się za mnie Mo.

– Nie! – Skrzyżowała ramiona. – Nie będę używała cię jak tarczy! – Jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia.

– Powiedziałem. Schowaj. Się. Za. Mną. I to już.

Popatrzyła między mną a drzwiami.

– Posłuchaj, jeśli wyciągnę nóż z twojego uda to będziesz krwawił jak świnia ale przynajmniej będę mogła cię uwolnić i...

– Mo! – Byłem w stanie nawet błagać. – Proszę, na miłość boską, pozwól mi robić moją robotę, to jest wszystko co mam, moje ciało jako twoja pierdzielona tarcza, okej? Moja dusza za twoją. To wszystko co mam w tej chwili. To właśnie bym oddał za twoje bezpieczeństwo, więc ja nie proszę ciebie, ja ci mówię, żądam żebyś schowała się za mną zanim ja, Heman, rozprawię się z tymi więzami po swojemu rozrywając sobie pierdzielone ręce w następstwie.

Z oszołomionym wyrazem na twarzy pokuśtykała za mnie.

– Przykucnij – poinstruowałem. – Chcę żeby najpierw zobaczyli mnie, jeśli padną strzały przynajmniej nie dosięgną twojej głowy.

Strzały nie milkły na zewnątrz. Ktokolwiek tam był, miał naprawdę niezły ubaw ze swoim półautomatem.

Więcej krzyków a potem cisza.

Policzyłem do trzech zanim rozległy się kroki.

Zabawne jak liczenie do trzech było czymś czego nauczono mnie kiedy byłem mały i miałem tendencję do wpadania w furję.

To Nixon nauczył mnie kontrolować złość. Zawsze mówił, że najpotężniejsi ludzie w świecie to nie byli ci, którzy łatwo wpadali w złość ale ci, którzy wiedzieli gdzie skierować swój gniew.

Chciałem być potężny.

Więc nauczyłem się ją kierować.

Nauczyłem się jak magazynować emocje aby potem wykorzystać je na swoją korzyść.

Więc w tej chwili, nie byłem przerażony.

Byłem wkurzony.

Bardziej niż wkurzony.

Wściekły.

Gotowy eksplodować ponieważ Alfonso zabrał mi coś cennego i naraził ją na piekło a to ja pragnąłem być tym, który go tam pośle, chciałem być tym, który zakończy ten rozlew krwi, tę batalię z moją rodziną.

Nigdy nie pasowałem. Nigdy nie czułem się kompletny, zawsze miałem to nieprzemijające uczucie, że czegoś w moim życiu brakowało. Nawet Mo nie była w stanie tego wypełnić ale kiedy siedziałem na tym metalowym krześle i liczyłem do trzech, rozmyślałem o swoim życiu, o tym co chciałbym żeby znaczyło.

I zdałem sobie sprawę.

Po raz pierwszy w swoim życiu, że ono musi coś znaczyć, nie tylko dla Mo, ale dla mojej rodziny, dla krwi.

Nixon, ten skurwiol, miał rację. Wybiorę krew bo nie godzę się by rzeczy jak te wydarzyły się ponownie. Nie godzę się by Mo znów została skrzywdzona, więc wybiorę przeciwną stronę, obóz wroga, jeśli to zapewni jej bezpieczeństwo do końca życia.



Jeśli to oznacza, że może mieć dziecko w świecie pełnym pokoju a nie wojny.

Wybiorę krew za każdym razem.

Bez wahania.

Bo jedyną rzeczą, przed którą Nixon nigdy mnie nie ostrzegł było to, że mogę wybrać krew nie z lojalności ale z desperacji, z niezłomnej miłości do kogoś, kto nie był tą krwią od początku. Wybiorę krew by chronić tych, którzy nie byli z niej.

Kliknął zamek w drzwiach.

Było zbyt ciemno by zobaczyć wysoką, zakapturzoną postać, która przemierzała cementową podłogę.

Światła zamigotały po całym ciele tego człowieka dając oszałamiający efekt. Miał na sobie podarte dzinsy, szary kangurek i zakurwiście ogromne AR16 przyłączone do piersi.

– No i... – Westchnął jakby cały ciężar świata spoczywał na jego barkach. – Znowu się spotykamy.

Ściągnął kaptur z głowy.

A ja prawie zemdlałem z nadmiaru tych wszystkich emocji.

Mo złapała mnie za rękę a ja wyszeptałem słowo, które nie sądziłem że jeszcze kiedykolwiek opuści moje usta.

– Phoenix?

# CHAPTER 28<sup>Mo</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Niektórzy ludzie nigdy nie umierają.*

To, że go widzę znaczy tylko jedno.

Zawiodłam.

Phoenix zmierzył mnie wzrokiem i ledwo dostrzegalnie pokręcił głową. Cholerka, miałam się zachowywać jakbym nie wiedziała, że żył? Tex odwrócił się twarzą do mnie w chwili gdy Phoenix uniósł palec do swych ust jakby zaprzysięgał mnie do milczenia.

Racja.

Jakbym nie robiła tego przez cały czas?

Tex patrzył ode mnie do niego i zwiesił głowę.

– Czy ktoś może mi proszę powiedzieć co tutaj się do cholery dzieje?

– Niespodzianka? – Phoenix zaproponował ze słabym wzruszeniem ramion, wyglądał jakby dopiero co był w Piekło, grał w ping-ponga z diabłem, przegrał i został odesłany by w samotności i niedoli wędrować po ziemi.

– Uwaga, śmieję się do rozpuku. – Zęby Tex'a się zacisnęły. – I uwolnij mnie z tych cholernych zacisków.

– To mogę zrobić. – Phoenix przesunął broń za siebie i wyciągnął nóż, a potem przeszedł wokół krzesła i rozciął więzy – w chwili gdy Nixon, Luca, Chase i Frank wpadli do środka.

– Mo! – Nixon krzyknął po czym na ślepo rzucił się w moim kierunku padając na kolana za swoim najlepszym przyjacielem. Pociągnął mnie w swoje ramiona niemal miażdżąc mi kręgosłup. – Nic ci nie jest? Zrobili ci krzywdę?

– Nie, nic mi nie zrobili. – Jasna cholerka bomba może teraz spaść w każdym momencie. – Tex mnie ochronił, on najbardziej oberwał, no cóż dopóki ten tutaj... um, nie zaczął tu strzelać.

Luca zaklął.

– Powiedziałem żeby zrobić to po cichu.

– Było ich dziesięciu, zrobiłem to tak cicho jak mogłem, szefie. – Phoenix powiedział przez zaciśnięte zęby.

I to był moment, w którym jestem pewna, mój brat stracił rozum. Jego palce wbiły się w moje plecy po czym mnie odepchnął i się odwrócił.

Powoli, wstał na nogi, zrównując swój przenikliwy wzrok z Phoenixem.

Po części oczekiwałam, że Phoenix głupio się uśmiechnie albo zaśmieje albo powie coś typowego dla jego charakteru. Ale raz jeszcze, to nie był ten sam Phoenix. Przez teraz ciemne włosy i poturbowaną twarz, wyglądał jak siedem nieszczęść, nie jak złoty chłopak, tylko pusta skorupa. Jakby naprawdę umarł, jego dusza odeszła a ciało zostało.

– CO. U. LICHA? – Nixon wrzasnął. – Luca?

– O kurde, i znów spluwy pójda w ruch. – Tex podniósł się i wsparł o stół, gdy Nixon wycelował w twarz Luki.

Luca westchnął i zwiesił głowę.

– Naprawdę robię się za stary na to. Nixon, odłóż broń, w sumie, to musimy stąd iść zanim zleci się ich więcej. Pogadamy w domu.

– Pogadamy teraz. – Nixon wrzasnął potrząsając pistoletem w powietrzu.

– Mo żyje. – Phoenix powiedział cicho. – Tex żyje. Twoja rodzina... – Phoenix zrobił krok w stronę Nixona szturchając jego pierś. –... żyje, tylko dzięki temu człowiekowi. – Wskazał palcem na Lukę nie odrywając wzroku od Nixona. – Więc sugeruję abyś zakopał swoją dumę na kilka minut, pomyślał logicznie o celu, który masz do osiągnięcia i doszedł do tego samego wniosku co ja. Musimy stąd spadać. Teraz.

Sapnęłam, zakrywając usta ręką.

Phoenix nigdy w całym swoim życiu nie odezwał się w taki sposób do mojego brata, to znaczy, nawet ja nie mówię Nixonowi co ma robić albo, że to co robił było głupie. To było jak prośba o kulkę.

Nixon nie odrywając wzroku od Phoenixa, opuścił pistolet i schował za pasek u dzinsów.

Wzruszenie nasaczyło jego głos żwirem kiedy powiedział. – No to chodźmy.

\*\*\*\*

Każdy krok, czy w moim przypadku kuśtykanie do samochodu bolało. Miałam Tex'a po jednej stronie, niechącego puścić mojej ręki a po drugiej stronie Nixona, ściskającego moją prawą dłoń tak mocno, że myślałam że ją złamię. Phoenix szedł przed nami, rozmawiając szeptem z Luką i Frankiem. Wciąż próbowałam wyglądać na tak zszokowaną jak pozostali kiedy tak naprawdę nie byłam. Nic a nic.

Mimo wszystko, to Phoenix był tym, który przyszedł do mnie i Sergia w pierwszej kolejności.

To Phoenix był tym, który starał się uratować Tex'a.

To właśnie Phoenix ze wszystkich ludzi był tym, który starał się ocalić moją rodzinę.

Ironia, no nie?

Najwidoczniej nasze plany poszły na opak, skoro ujawnił swoją twarz, co oznacza, że muszę przyznać się do wszystkiego przed Tex'em. Ja tylko... nie chciałam tego, nie mogłam. Co jeśli on mnie znienawidzi? Co jeśli już nigdy mnie nie pocałuje? Sprawy dopiero co zaczęły się polepszać, no cóż przynajmniej zanim dostaliśmy po kulce i byliśmy torturowani.

– Do środka. – Nixon niemal wyrwał drzwi z auta i wepchnął Phoenixa do samochodu.

Kiedy już wszyscy byliśmy w SUVie zmierzając w stronę domu, Chase w końcu przemówił.

– No więc, całkiem tutaj przytulnie.

– Nie teraz Chase. – Nixon warknął.

I to by było na tyle. To była cała konwersacja gdy Sergio posyłał ostrzegające spojrzenia w moim kierunku przez lusterko wsteczne. Racja, miałam milczeć, wiadomość dotarła.

Jak tylko zaparkowaliśmy pod domem i zaczęli wysiadać, Nixon zakomunikował.

– Teraz, my rozmawiamy a ty. – Pchnął pierś Phoenixa. – Wyśpiewasz nam wszystko od samego początku.

– Nie będzie pamiętał. – Luka odezwał się za Phoenixa. – Będziesz musiał mnie zapytać.

– A czemu miałbym to zrobić? – Nixon spiorunował wzrokiem Lukę.

– Ponieważ. – Ramiona Luki się spięły. – Ja to wszystko zaplanowałem.



# CHAPTER 29<sup>TEX</sup>

*Może się wydawać, że Mafia to pole bitewne... ale co innego jest do roboty kiedy masz nieskończoną moc i pieniądze... i kilka rodzin chcących rządzić.*

– WIĘC TO CZYNI Z Luki twojego doktora a ciebie... Frankensteina? – zapytał Phoenix'a po powrocie do domu.

– Ha, ha – odpowiedział Phoenix. – Wiesz, naprawdę nie jesteś tak zabawny jak wcześniej.

– Cóż, ty nie jesteś tak seksowny jak *wcześniej*.

– Tak mi powiedziano. – Phoenix mruknął i cholera jasna czy on właśnie się zarumienił? Nope, myślałem od rzeczy, wyraźnie myślałem od rzeczy, ten koleś nie miał sumienia.

W chwili kiedy weszliśmy do domu, opadłem na jedno z krzeseł barowych i po prostu siedziałem. Krwawiłem na drewnianą posadzkę ale tak naprawdę nie przejmowałem się tym zbyt.

Bardziej skupiałem się na fakcie, że Chase przesunął się za Phoenix'a i obecnie wyginał palce.

Było za późno, żeby go ostrzec.

Więc zamiast tego oglądałem jak Chase złapał Phoenix'a za ramię, odwrócił go i uderzył w twarz.

– Ooooch – mrugnąłem – to będzie jutro boleć.

– Za co do cholery to było? – Phoenix krzyknął z podłogi, krew spływała z jego ust.

– Za Mil. – Chase splunął. – To było za Mil.

– Mil? – Phoenix potrząsnął głową. – Moją siostrę? Co cię ona obchodzi?

Twarz Chase'a zbladła.

– Och kurwa.

– Chase! – Mil wychyliła się z korytarza i rzuciła się w ramiona Chase’a, owijając swoje nogi wokół jego bioder. Pocałowała go tak mocno, że nawet ja chciałem odwrócić wzrok... no ale impreza się dopiero zaczynała, więc wolałem obserwować uważnie.

Chase oddał pocałunek i powoli oderwał swoją żonę od swojego ciała.

– Mil. – Phoenix powiedział z ziemi, zirytowanym tonem.

– Co? – Obejrzała się dookoła, a potem spojrzała w dół. Kiedy jej wzrok spoczął na nim, zalała się łzami i opadła na kolana. – Phoenix? To naprawdę ty? To ty? Co się stało? Dlaczego jesteś żywy? Nie żebym była zła że żyjesz. Ty dupku! – Uderzyła jego ramię. – Jak śmiałeś mi to zrobić? Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! – Ze szlochaniem rzuciła się w jego pierś i zaczęła zawodzić.

Chase wyglądał na kompletnie zaszokowanego kiedy siadał przy stole i splótł dłonie na twarzy. Potrząsnął głową kilka razy zanim jęknął w dłonie.

Po dziesięciu minutach hysterii, Mil była w końcu w stanie rozmawiać jak normalna istota ludzka.

– Mil. – Nixon urwał. – Idź po Trace i weźcie Mo do pokoju z tyłu, trzeba ją oczyścić.

– R... racja. – Mil pociągnęła nosem i wstała na nogi. – Dobra, mogę to zrobić, chodź Mo. – Złapała rękę Mo jak koło ratunkowe i wyprowadziła ją z pokoju.

Phoenix nie ruszał się z podłogi, po prostu przesunął się, żeby oprzeć się o szafki.

Przy stole, Chase trzymał głowę jakby ważyła pół tony.

A Frank i Luca wyciągali butelki whiskey jakbyśmy zamierzali puścić z dymem chałupę za pomocą alkoholu.

Nixon usiadł przy stole, zeskoczyłem ze swojego stołka i dołączyłem do nich, w kompletnej ciszy.

Elekci byli znów razem.

Ale nie naprawdę. Dwa z tych kawałków były czarne, zniszczone, przeklęte i połamane, i nie byłem pewien czy kiedykolwiek będziemy znów pasować do pierwotnie stworzonej formy.

Luca postawił butelkę pośrodku stołu i wyciągnął szklanki, kiedy Nixon odchrząknął i wyszeptał.

– Myślę, że powinieneś zacząć od początku.



# CHAPTER 30 SERGIO

*Wszystko to jedna wielka szczęśliwa Mafijna rodzina – nie powiedział nigdy  
żaden made man.*

– CZEKAJ. – PHOENIX PODNIÓSŁ swoje ręce. – Po kolei, wy dwoje, umawiacie się?  
– Skinął na Chase’a z wyrazem twarzy pełnym zdrady.

– Pyta się martwy człowiek. – Chase warknął, jego oczy ociekały nienawiścią. – Nie, ty  
dupku, nie umawiamy się.

– Och. – Phoenix odetchnął z ulgą.

– Jesteśmy małżeństwem. – Chase zakaszłał i odwrócił wzrok.

Phoenix odepchnął swoje krzesło tak mocno, że się przewróciło.

– Jesteście czym?

– Małżeństwem. – Chase uśmiechnął się bezczelnie. – Ślubowaliśmy, że będziemy razem  
na zawsze... bracie? Nie? Za szybko?

Nozdrza Phoenix’a falowały kiedy jego twarz nabrała interesującego odcienia purpury.

– Och, i PS, potrzebuję twojej pomocy w szukaniu tego głupiego białego konia,  
przejrzałem wszystko, po prostu mi powiedz, żebym mógł być bohaterem.

– Ty... – Phoenix wskazał na Chase’a, oddychał jakby brał udział w wyścigu. – ... nie  
jesteś bohaterem.

– Cóż, nie przedstawiając zbyt wielu szczegółów, ale to było dokładnie jej słowa z  
wczorajszej nocy. – Chase mrugnął.

Phoenix rozpędził się po drugiej stronie stołu, ale został przechwycony przez Franka. Ja  
jednakże chciałem trochę odpocząć od rodzinnego dramatu. Miałem wystarczająco dużo na  
głowie, dziękuję bardzo. Poza tym, to tylko kwestia czasu kiedy spadnie bomba na Tex’a, dając  
mu znać, że wszystko było podstępem.

Wszystko z Mo było udawane.

I czy to nie było okropne?

To pchnie go do wyboru, który powinien wybrać dawno temu. I to uwolni Mo, żeby trzymać się z krwią – trzymać się ze mną.

– Chłopaki. – Nixon przechylił butelkę whiskey i wziął dwa wielkie łyki, jego twarz była bez wyrazu, jakby pił wodę. – Najpierw ważne rzeczy. Dlaczego jesteś żywy?

Luca pochylił się do przodu.

– Myślę, że mogę na to odpowiedzieć.

Zapadła cisza.

– To była prosta decyzja, akcja ratunkowa. Niemal straciliśmy Phoenix’a trzy razy biorąc pod uwagę, że jego serce nie było zbyt wyrozumiałe. Planem było wstrzyknięcie mu wystarczającej ilości chlorku potasu, żeby zatrzymać jego serce na kilka chwil zanim przywróciliśmy jego akcję. Ale plan się nie udał kiedy wpadł w linię ognia.

Phoenix spał się obok mnie; jego palce złapały stół na krótką chwilę zanim jego ramiona opadły. Taa, ten koleś był pomyłecem; powiedz mi coś czego nie wiem.

– Kiedy jego ciało zostało zabrane, moi ludzie mieli mniej niż dwie minuty na ożywienie go i powstrzymanie jego organów przed obumarciem. – Luca potrząsnął głową. – Nie sądziłem, że będziemy w stanie...

– Czekaj. – Nixon podniósł dłoń. – Czy to dlatego miałeś ekipę sprząającą w gotowości w chwili kiedy skończyliśmy z Anthonyem?

– Dokładnie. – Luca skinął. – Frank i ja używamy najlepszych. Mieliśmy nawet przeprowadzaną operację w jednym z vanów.

– Frank? – Brwi Nixona wystrzeliły w górę kiedy wszyscy spojrzeliśmy w jego kierunku.

Frank pochylił się.

– To było dla rodziny.

Walczyłem z chęcią wywrócenia oczami. Czy to nie jest zawsze dla rodziny? Musieliśmy zacząć wymyślać lepsze wymówki.

– I Sergio. – Och kurwa, lepiej wrzucić mnie pod najbliższy autobus Luca. – Stworzył całkiem nową tożsamość dla Phoenix’a, poleciał z nim do Włoch, żeby zinfiltrować Campisich i dowiedzieć się czy rodzina rzeczywiście się rozpada jak mówią plotki.

– Sergio? – zapytał Chase.

Teraz wszystkie oczy były wlepione we mnie.



– Zrobiłem to dla rodziny? – powiedziałem to bardziej jako pytanie i żart. Nikt się nie roześmiał. Cóż, cholera. – To była moja praca, jako ducha, żeby chronić informację.

– Więc Phoenix był na Sycylii? – zapytał Tex. – Robiąc co? Odpoczywając kiedy ja dostałem kulkę?

– Nie, ty niewdzięczny dupku – syknął Phoenix. – Utrzymałem twoją siostrę przy życiu. – Złapał whiskey i wychylił ją, a potem uderzył szklanką o blat. – Proszę bardzo.

Tex zbladł.

– Wszystko z nią dobrze?

Phoenix wywrócił oczami.

– Nie wiem, ponieważ musiałem uratować twój żałosny tyłek tego popołudnia, ale zostawiłem ją w dobrych rękach jeśli o to pytasz.

– Pojedziemy po nią? – Tex próbował wstać.

– Siadaj. – Luca pstryknął palcami. – Wszystko w swoim czasie.

Nixon przetarł twarz rękami.

– A co z Tex'em?

– Tu jestem. – Tex podniósł dłoń i pomachał nią. – Nie musicie rozmawiać o mnie jakby nie było mnie w pokoju.

– Wybacz. – Nixon posłał mu spojrzenie. – Co z moim bękarcim szwagrem, Tex'em?

Luca otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem nawiązał ze mną kontakt wzrokowy. To była moja kolej, żeby go skrzywdzić, ale słowa mnie zawiodły. Oczywiście Tex'a przeszukiwały moje i cholera jeśli nie nienawidziłem się za chęć pchnięcia głębiej nożem.

– To było ustawione. – Phoenix w końcu powiedział. – Mój pomysł, usłyszałem plotki, że Alfonso chce umieścić numerek na twoim czole, wymyśliłem, że najlepszym sposobem, żeby utrzymać cię bezpiecznego to zrobić z ciebie krew, zrobić z ciebie Abandonato.

– Ale... – Tex patrzył między Luką a Phoenix'em. – Mo jest w ciąży, to znaczy, spała z...

Wszystkie spojrzenia znów były utkwione we mnie.

Och, to się nie skończy dobrze.

Zanim mogłem się poruszyć, Tex wystrzelił w moje ciało, jego pieść uderzyła mnie w twarz.

– Ty skurwysynie! Zaciążyłaś ją! Wiem, że tak! Wiem to! – Kolejny cios sprawił, że ząb postanowił wyjść na przeciw pięści Tex'a. – Przyznaj się!

– Stop! – Luca uderzył pięścią w stół. – To było kłamstwo!

Tex przestał mnie bić, krew spływała z jego palców i jego twarzy kiedy cofał się i spoglądał na wszystkich w pokoju, niedowierzając w to co usłyszał?

– Co masz na myśli mówiąc, że to kłamstwo?

– Nie jest w ciąży – wymamrotałem z ustami pełnymi krwi. – I nie spałem z nią.

– Nie jest w ciąży. – Tex powtórzył. – Ona... okłamała mnie?

– Żeby cię chronić. – Phoenix powiedział gładko. – Wymyśliła, że jedynym sposobem aby Nixon pozwolił jej na ślub była ściema z dzieckiem ale nie mogła powiedzieć, że było twoje, biorąc pod uwagę...

Racja, biorąc pod uwagę, że ostatni raz Mo i Tex spali ze sobą kilka miesięcy temu.

Więc musiała kłamać.

I ja byłem kozłem ofiarnym. Nie dlatego, że się z nią nie migdałem, nie dlatego, że nie próbowałem jej uwieść później i dostałem zajebanego kosza.

– Ale...

– To nie jest dłużej ważne. – Frank machnął na nas wszystkich.

Nixon westchnął.

– Więc co jest? Dokąd zmierzamy?

– Cóż. – Frank splótł ręce na stole i zwrócił się do każdego z nas. – Kiedy jeden plan zawodzi, kolejny zawsze się sprawdza. Nadal dążymy do obalenia ich i Tex, synu, ty będziesz tym który to zrobi.

# CHAPTER 31<sup>MO</sup>

*Kłamstwa, kłamstwa i jeszcze więcej kłamstw. I gdy już myślisz, że z tym kończysz to proszą cię o to abyś powtórzył cały ten proces od nowa.*

– Pewna jesteś, że nic ci nie jest? – Trace zapytała kiedy pomagała mi umyć się po naszej małej eskapadzie do piekła. Moja twarz troszkę krwawiła i miałam rozcięcie nad lewym okiem ale poza tym wyglądałam mega fajnie w porównaniu do Tex'a.

– No. – Oblizawałam swoje suche wargi. – Czuję się fantastycznie.

– On żyje. – Mil wymamrotała po raz pięćdziesiąty. – Nie mogę w to uwierzyć. Wiedziałyście o tym?

Chciałam powiedzieć nie ale okazało się, że nie potrafię kłamać prosto w twarz przyjaciółce więc odwróciłam wzrok i wzruszyłam ramionami.

– Czy to czyni go bossem teraz? Mam ustąpić? – Mil chodziła w te i wewte przede mną. – Chodzi mi o to, co...

– Mil. – Wyciągnęłam rękę i załapałam ją za nadgarstek. – On jest duchem teraz, nie ma prawa istnieć i zanim to się nie zmieni, ludzie nigdy nie mogą dowiedzieć się, że on żyje, łapiesz co do ciebie mówię?

– A więc wiedziałaś. – Wyrwała swoją rękę i skrzyżowała ramiona na piersi.

Popatrzyłam z poczuciem winy na nie obie. – Dowiedziałam się w Vegas. Zakradłam się do pokoju Sergio...

– Phoenix? – Sapnęłam. – Ale jak to się stało, że ty żyjesz?

– Nowoczesna medycyna – powiedział z niewyraźnym uśmiechem. – Chcesz go ocalić? To proste pytanie.

– Nie powinno cię tu być. – Sergio obszedł mnie i wręczył Phoenixowi plik dokumentów. – Wracaj do Chicago, miej ją na oku i na litość boską nie pozwól by ktoś cię zobaczył.

*Phoenix wziął dokumenty i wcisnął je w swoje dzinsy.*

*– Mogę ci pomóc ale będziesz musiała mi zaufać.*

*Zrobiłam krok w tył. – Nie zajmujesz zbyt wysokiej pozycji na drzewku zaufania, Phoenix.*

*Zaśmiał się dając mi zobaczyć swoje dołeczki za którymi dziewczyny wylewały łzy.*

*– No, też bym sobie nie ufał ale wiedz to... mogę pomóc. Wezmę Lukę na pokład, razem coś wykombinujemy zanim będzie za późno.*

*– Za nim na co będzie za późno? – zapytałam zdesperowana.*

*– Tex to Campisi. – Phoenix oświadczył bez emocji. – Ostatecznie będzie musiał dokonać wyboru, jest zbyt cenną bronią aby nie zostać użytym. I nadszedł czas aby zajął swoje miejsce. Czy to po stronie wroga czy przyjaciela – i myślę, że zależy to teraz od ciebie? Po prostu od tego jak dobrą aktorką jesteś, Mo?*

*– Najlepszą. – Kłamstwo wyszło natychmiastowo.*

*– To dobrze. – Phoenix wypuścił powietrze. – Bo mam naprawdę złe przeczucie, że to nie skończy się dobrze dla wszystkich.*

*– W takim razie odejdz. – Sergio zazgrzytał zębami. – Nie mieszaj w to Mo.*

*– Nie. – Phoenix oblizwał swoje wargi. – Ona może być jedyną osobą wystarczająco blisko niego by to wszystko się udało.*

*Sergio jęknął w swoje dłonie. – Tylko ten jeden raz chciałbym trzymać się z dala od dramatu rodziny Abandonato.*

*– Czemu? – Phoenix wzruszył ramionami. – Kiedy jest tak cholernie zabawnie?*

*Skończyłam opowiadać dziewczynom co wydarzyło się w pokoju hotelowym, o moim pomysłe okłamania Tex'a odnośnie ciąży. Wiedziałam, że był oddany, ponad nas wszystkich. Boże, bardzo dobrze o tym wiedziałam. I wykorzystałam jego miłość, tę cenną miłość, którą mnie darzył i obróciłam ją w broń.*

*– On wie? – Trace zapytała cicho.*

*– Nie. – Zachlipałam. – Boję się mu powiedzieć.*

*– Zerwij ten cholerny plaster na raz. – Mil pokiwała głową. – W innym przypadku będzie wkurwiony a wkurwiony Tex to nie jest szczęśliwy Tex, myślę, że wszystkie się z tym zgodzimy. On jest jak anty Happy Meal.*

*– Prawda. – Zachichotałam. – Z giwerą jako zabawką.*



– I kolcami na swoim pudełku. – Dorzuciła Trace.

Pukanie do drzwi wyrwało nas z rozmowy.

– Trace? – To był Nixon.

– No? – Podeszła do drzwi.

– Minuta. – Nixon zmierzył nas wszystkie wzrokiem. – W zasadzie, wy wszystkie, w kuchni, teraz.

– Czy on robi się bardziej rygorystyczny z wiekiem? – zapytałam na głos. – Czy to ja?

– Powinien ubierać się bardziej kolorowo. – Dodała Mil. – Myślę, że byłby przez to szczęśliwszy.

– Trace mnie uszczęśliwia, dziękuję wam bardzo i idę tuż przed wami, jeśli chcecie sobie dziewczęta poplotkować na mój temat to sugeruję wiadomości tekstowe.

– Monitorujesz nasze telefony – wytknęłam.

– Ups, myślę, że w takim razie sobie nie poplotkujecie. Porażka. – Nixon powiedział przede mną zawijając ramię wokół Trace.

Pokazałam mu język.

– Widziałem to. – Nixon się roześmiał.

No to pokazałam mu środkowy palec.

– To też widziałem, daj spokój Mo, bądź oryginalna.

– A może po prostu ci przywalę?

Nixon zatrzymał się i odwrócił.

– Staram się zdecydować czy twoje małżeństwo z Texem uczyniło twoje odpyskówki lepszymi czy gorszymi. – Przekrzywił głowę. – Hmm, gorszymi, zdecydowanie gorszymi. A teraz się pośpiesz.

Gdy dotarliśmy do kuchni to wyglądało jakby bomba eksplodowała na stole.

Na środku stała pusta butelka po whisky. Phoenix obejmował rękoma swoją twarz gdy purpurowe siniaki zaczęły rozkwitać na jego lewym policzku i szczęce. Wciąż zaciskał i rozluźniał zęby jakby próbował zniwelować w ten sposób część bólu. Tex ciężko opierał się o krzesło, jego oddech był nierówny. Sergiowi zaczęło sinieć oko a Frank i Luka rozmawiali szeptem z Chasem, któremu przez cały czas Phoenix posyłał piorunujące spojrzenia.

– Napięta atmosfera. – Mil pokiwała głową. – Fantastycznie.

– Dziewczęta. – Nixon odchrząknął. – Powinnyście zapewne wiedzieć co się dzieje. – Uzupełnił dla nich części, która ja pominęłam. Kiedy skończył wyglądał na wyczerpanego.

A ja po prostu czułam się jak sto nieszczęść.

Zerknęłam na Tex'a, pełna nadziei, modląc się o cień zrozumienia między nami, że starałam się ratować jego życie i zapomnienia jak zapomina się o zeszłorocznym śniegu, czy coś w tym rodzaju.

W zamian on patrzył wprost przeze mnie.

Jakbym nie istniała.

Złość, poradziłabym sobie z tym dla niego.

Obojętność?

Była jak nóż wbity w moje serce i zostawiony tam, zrobiłam krok w jego stronę ale zostałam powstrzymana przez Nixona.

– No więc. – Nixon westchnął. – Phoenix zatrzyma się tutaj do czasu Komisji.

Wszystkie oczy przemknęły do Trace, która nagle umilkła.

Oblizła swoje usta, podeszła do Phoenixa i położyła swoją dłoń na jego ramieniu.

– Nie. – Phoenix powiedział ochryple. – Cokolwiek masz zamiar powiedzieć, to nie mów. Nie sądzę bym był w stanie to znieść, nie myśl, że chcę. Nie zasługuję na twoje przebaczenie czy spokój jaki mi ono przyniesie. Więc nie bądź sobą, Trace. Choć raz w swoim życiu bądź suką. Daj mi w mordę czy coś bo to bolałoby o wiele mniej niż twoje przebaczenie.

Trace pokiwała głową a łza spłynęła po jej policzku.

– Nie mam żadnego prawa. – Phoenix wyszeptał. – Ale będę chronił was, wszystkich was. – Uniósł swoją głowę. – Własnym życiem. Moje słowo to jest wszystko co mam w tej chwili. To moje powietrze, to moja dusza, to moje serce. Wszystko co mam do zaoferowania to mój karabin.

– Przyjmiemy to. – Trace odpowiedziała za Nixona.

Nixon i Chase pokiwali głowami podczas gdy Tex nie przestawał gapić się w ścianę.

Znów spróbowałam podejść do niego ale Nixon raz jeszcze pociągnął mnie w tył jakbym była dzieckiem.

– Do spania. – Nixon oznajmił. – Złapcie coś na ząb i idźcie odpocząć. Wiem, że jest dopiero siódma ale czeka nas sporo planowania na przód. I wkurzonych Campisich, którzy chcą głowy Tex'a.

– No to daj im ją. – Tex wymamrotał. – Przecież tego chcesz.

– Tego chcę? – Nixon ryknął. – To i tak teraz bez znaczenia, prawda Tex? To czego chcę to pokój. A dostaję wojnę. To czego chcę to szczęście dla mojej siostry. A dostaję *ciebie*. – Zawarczał zanim przyciągnął mnie bliżej do siebie. – Pomożesz nam to naprawić bez względu na to czy chcesz tego czy nie, a potem staniesz na wysokości zadania stając się człowiekiem na jakiego cię wychowano.

Tex uniósł swoją głowę. – Tyle to mogę zrobić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Uwolniłam się od Nixona. – Co do jasnej cholery chcesz przez to powiedzieć?

– Twój mąż. – Nixon powiedział lodowatym głosem. – Wybiera krew.

# CHAPTER 32 <sup>TEX</sup>

*Mafia nie ma nic z romantyzmu. Niezależnie od tego co myślą ludzie, nie ma nic romantycznego w ranach od kul i śmierci. Jedyne tragedia, ale mimo to jest coś lirycznego w idealnej śmierci, świadomość, że zginąłeś by chronić innych. Taki właśnie rodzaj romantyzmu dostajemy.*

WYRAZ TWARZY MO niemal złamał mi serce... no ale znów, ona przez ostatni rok łamała moje serce tylko po to by je poskładać do kupy, a potem ponownie złamać więc dlaczego teraz miałoby być inaczej? Nie mogłem znieść, że moim priorytetem nie było pozostać przy życiu – ale to by ona była bezpieczna. Krwawiłem jak cholera po całej podłodze a martwiłem się rozcięciem nad jej okiem, jej chorą nogą i tym, że właśnie powiedziałem jej prosto w twarz, że kiedy przyjdzie czas.

To nie wybiorę jej.

Ale czy ona wiedziała? Ile mnie ta decyzja kosztowała? Co ona jej daje? Aktualne życie. Szansę na szczęście. Prawdopodobnie nie, i byłem pewny jak diabli, że nie zamierzałem bronić siebie, nie po tym jak dowiedziałem się, że mnie okłamała.

Odnośnie wszystkiego.

Nie tylko ciąży.

Odpowiedzialny facet skulił by się na myśli, że zaledwie dwa dni temu uprawiliśmy niezabezpieczony seks.

Ale ja taki nie byłem.

Nie, ja byłem Campisi, więc ta zła część mnie miała nadzieję i modliła się o to by zaszła w ciążę abym mógł zatrzymać ją na zawsze.

Ale źli faceci nigdy na końcu nie zatrzymują skarbu – kończą przekłęci, i ja nagle uświadomiłem sobie dlaczego mój ojciec zapoczątkował plotkę, że jestem przeklętym.



Zostałem przeklęty z chwilą zaczerpnięcia pierwszego oddechu, bo byłem naznaczony krwią Campisi.

Z westchnieniem uniosłem się na nogi i natychmiast opadłem z powrotem na krzesło. No cóż to było niefortunne.

Mo zrobiła krok w przód, tym razem Nixon jej nie zablokował. W zamian złapał Trace i poszli wzdłuż korytarza.

– Potrzebujesz pomocy. – Mo wyszeptała, jej dłoń odnalazła moją. Szybko wyszarpałem się od jej dotyku. On sprawiał, że chciałem więcej.

Sprawiał, że pragnąłem.

– Tex. – Mo położyła ręce na biodrach. – Potrzebna ci apteczka, po prostu... zostań.

Westchnąłem.

– Jak pies. – Sergio dodał.

– No, ten pies wciąż może wyszarpać ci serce więc żartuj sobie dalej, serio, wyzywam cię. – Sergio wyrócił oczami i wstał szybko wychodząc z pomieszczenia. – To przeze mnie czy on zrobił się bardziej dramatyczny? – zapytałem oschle.

– A od kiedy to rzeczy nie są dramatyczne. – Chase zaśmiał się po czym zmierzył okiem Mil, kiwając na nią palcem by podeszła do niego.

Po raz pierwszy w czasie swojej egzystencji, nie kłóciła się. Z westchnieniem usiadła na kolanach Chase'a zwrócona twarzą do Phoenix.

– Więc. – Phoenix odchrząknął. – Dobry jest dla ciebie?

– Jestem tu. – Chase zaklął.

– No. – Mil westchnęła z rozmarzeniem. – Najlepszy.

Phoenix pokiwał głową.

– A kiedy nieładnie się zachowuje. – Mil zakręciła pasmem swoich włosów. – To przykładam broń do jego męskich części i nagle staje się dużo miłszy.

Phoenix parsknął śmiechem kiedy Chase wyrócił oczami i powiedział.

– Prawdę prawi.

– Stary. – Pokręciłem głową. – To nie fajne. Nic z tego nie jest fajne. Mil, nie okej.

Mil wzruszyła ramionami.

– Jak inaczej mam być twarda?

– Używa się słów. – Chase powiedział powoli. – I te cudowne rzeczy dzieją się z uszami. Wiesz po co one są, prawda? Czy jesteś bardziej zaznajomiona z ustami?

Mil wyszczerzyła się i oblizwała swoje wargi.

– Ałć skarbie, chcesz bym odpowiedziała na to publicznie?

– O Boże. – Phoenix uniósł swoje dłonie. – Nie, proszę nie, już dobrze, łapię że się kochacie i... – Zakaszłał. – Dzielicie to samo... łóżko.

– Dziesięć dolców mówi, że będzie miał dzisiaj koszmary. – Pokiwałem głową.

– Przyjmę ten zakład. – Frank się odezwał.

Luca się roześmiał.

– Phoenix? – Zapytał Frank. – Poświęcisz mi chwilkę?

– Ile tylko chcesz. – Phoenix odepchnął się od stołu. – I tak jestem twoją własnością.

Ich trójka poszła w kierunku salonu zostawiając mnie samego z zawsze napalonymi Chasem i Mil, więc w zasadzie wolałbym wylądować z powrotem w ciemnym pokoju obrywając po głębie i robiąc za tarczę strzelniczą.

– Wróciłam! – Mo kuśtykała tak szybko jak jej chora noga była w stanie dojść do pokoju. Z łomotem odłożyła apteczkę na stół i się skrzywiła.

– Co? – zapytałem krzywiąc się gdy ból zaczął wędrować w górę mojej nogi.

– Nie tutaj. – Westchnęła. – Musimy dostać się do twojego pokoju i cię położyć.

Chase zachichotał.

– Jeśli miałbym dolca...

– To co? – Mil posłała mu jesteś–już–trupem minę. – Naprawdę, umieram by się dowiedzieć.

– No to... – Chase popatrzył na mnie bezradnie. – Miałbym tylko dolara?

– Dobra odpowiedź.

– Psia mać. – Wymamrotał pod nosem.

– No dalej. – Mil wstała. – Pomożemy ci zabrać Tex'a do jego pokoju.

– Dam radę. – Gderałem wstając tylko po to by znów paść na krzesło.

– Ups, on jest jak żyrafałtko. – Chase zaklaskał. – Taki chybotliwy.

– Czy mogę przynajmniej zostać tygrysiątkiem? – Prosiłem. – Moja duma i takie tam.

– Tygrysiątka są takie urocze. – Mil uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Żartowałem. Chcę zostać małą tarantulą.

– Za późno. – Mil westchnęła szczęśliwie. – Zostaje tygrysiątko.

Mo ukryła uśmiech za dłonią po czym złapała apteczkę. Chase stanął z boku krzesła i pomógł mi wstać.

– Żeby ci się za bardzo nie spodobał mój dotyk, stary. Pamiętaj, że jestem żonaty.

– Postaram się utrzymać penisa na wodzy – powiedziałem oschle.

– To naprawdę wszystko o co proszę. – Chase stękał kiedy prowadził mnie po korytarzu.

– No to i trzymaj go w swoich portkach.

– Nie mogę nawet chodzić, nie zgwałcę cię koleś.

– Nigdy nie można być zbyt ostrożnym. – Chase zaśpiewał.

Kiedy znaleźliśmy się w pokoju, Chase rzucił mnie na łóżko. Zaskrzypiało pod moim ciężarem.

– Jak do cholery uprawiacie seks na łóżku, które tak... – Głos Chase’a został zagłuszony gdy patrzył ode mnie do Mo i z powrotem. – No tak, to ja, lepiej pójdę pomóc Mil czyścić jej spluwy...

Mil wyróciła oczami.

– Bo to jest to co robimy w naszym pokoju w nocy. Czyścimy spluwy.

– Dzięki za pomoc. – Mo powiedziała cicho kiedy zamykały się za nimi drzwi. Kiedy odwróciła się buzią do mnie w jej oczach był ból i żadnego uśmiechu na ustach.

Część mnie chciała wyciągnąć rękę.

W zamian zamknąłem oczy i wyszeptalem.

– Miejmy to już za sobą.

# CHAPTER 33<sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Dawanie siebie komuś innemu jest głupie tylko wtedy jeśli nie biorą tego, co oferujesz.*

NIE BYŁY TO NAJBARDZIEJ ZACHĘCAJĄCE słowa, które mogłyby wyjść z jego ust, ale to był początek. Przygotowałam otwarty zestaw pierwszej pomocy i wyciągnęłam rzeczy, których potrzebowałam: antyseptyki, środki przeciwbólowe, pęsetę, gazę, chusteczki.

– Mo, to nie jest szpital, nie musisz mnie bandażować ani nic. Naprawdę, chcę tylko...

Moja głowa poskoczyła.

– Co? Czego chcesz?

Skrzywił się kiedy odwracał wzrok i wymamrotał.

– Wziąć prysznic.

Moje ciało nagle zrobiło się gorące i zimne kompletnie, jakby nie mogło zdecydować czy pomysł pomocy mu pod prysznicem był sam w sobie przerażający czy wystraszyło się tym, co się może stać, co to może oznaczać. No ale znowu ledwo mógł chodzić więc to nie tak, że spróbuje mnie uwieść.

– Dobra. – Skinęłam. – Mogę to zrobić.

– Mo...

– Tex. – Przerwałam. – Pozwól mi pomóc, dobra? To i tak moja wina.

– Przestań – warknął. – Nawet przez sekundę nie obwiniaj się za moją złą krew, rozumiesz mnie?

Odwróciłam się plecami do niego i pomaszerowałam do łazienki, włączając prysznic, aż strumień zaczął falować wokół moich stóp. Po wzięciu ręcznika i upewnieniu się, że nie ma nic na drodze Tex'a wróciłam do sypialni i wyciągnęłam do niego rękę.

– Chodźmy.



– Jaka Dziarska. – Krzywy uśmiech Tex’a spowodował, że moje serce zgubiło rytm. – Możesz być okropną pielęgniarką.

– Albo najlepszą – powiedziałam. – To wszystko zależy jak na to patrzysz.

– Racja. – Złapał moją dłoń i powoli wstał. Owinęłam jego ramię wokół mojego ciała, pomagając mu nieść swoje absurdalnie ciężkie mięśnie, i zatoczyliśmy się do łazienki.

– Jak zamierzamy to zrobić? – Tex był pozbawiony tchu już teraz, i siedział na klapie toalety, opierając głowę na dłoniach.

– Um... – Wyciągnęłam rękę i zamknęłam drzwi. – Jedna sekunda. – Odwróciłam się i przeklełam pod nosem kiedy powoli ściągałam ubrania ze swojego ciała.

– Mo. – Tex wychrypiał. – Co ty do cholery robisz?

– Pomagam!

– Nie. – Tex syknął jakby go bolało. – Naprawdę nie pomagasz.

Zignorowałam go, zostawiłam stanik na sobie i pociągnęłam jeansy w dół. Stanik i majtki były bezpieczne, prawda? Nic nie mówiąc, zaczęłam ściągać ciuchy z jego ciała. Najpierw koszula, albo to co z niej zostało odkąd była cała przesiąknięta krwią. To co wcześniej było białe, teraz było czerwone i przerażające.

Skrzywił się, kiedy przeciągnęłam ją przez jego głowę.

Niech go cholera. Za nic w świecie nie można było przywyknąć do sposobu w jaki mięśnie Tex’a zajebicie uciskały jego brzuch, jakby były zbyt nadęte, żeby robić cokolwiek innego prócz bycia tam i bycia sexy.

Zaciskając zęby, przeniosłam ręce do jego jeansów i powoli odpięłam guzik. Tex szybko odwrócił wzrok. Jasne, żadnego kontaktu wzrokowego. Jak z prostytutką. Czy one jednak utrzymują kontakt wzrokowy ale się nie całują?

Taa, to nie była moja liga.

Mogę to zrobić. Mogę pomóc.

Powoli odpięłam jego jeansy, dźwięk zamka nakręcił mnie bardziej niż ten prosty dźwięk powinien, i wyszeptałam: – Potrzebuję, żebyś się lekko podniósł.

– Ok. – Jego głos był ledwo słyszalny kiedy nacisnął na blat z obu stron i podniósł swoje ciało, tak, że mogłam ściągnąć mu spodnie. W chwili kiedy zsuwałam je po ranie, przeklął.

– Wybacz.

– To nie... – odetchnął ciężko – ...twoja wina, Mo.

– Bokserki. – Oblizawałam usta.

Jego wzrok w końcu spotkał mój.

– Bokserki?

– Musimy je ściągnąć.

Skinął trzy razy zanim znów się podniósł. Ściągnęłam je tak szybko jak to było możliwe i odwróciłam się. Ostatnią rzeczą jakiej potrzebuje to atakowanie go wzrokiem kiedy jest ranny.

– Jestem gotowy. – Jego głęboki głos rozerwał mnie na strzępy, sprawiając, że chciałam pchnąć go na ścianę i domagać się, żeby mnie kochał. Domagać się, żeby nigdy mnie nie opuszczał. Poprosić aby został...

– Okej. – Odwróciłam się i spojrzałam.

I natychmiast zrozumiałam, że lepiej by było gdybym nigdy nie pokochała Tex'a.

Bo żaden mężczyzna nigdy nie będzie mógł równać się z tym rozbitym przede mną.

Moje serce biło aby go naprawić. Moja dusza tęskniła aby do niego dołączyć.

– Dobrze. – Zasalutowałam. – Myśl o mnie jako o swojej zrzędlivej, starej pielęgniarce.

Tex zlustrował mnie wzrokiem.

– Taa, nie zupełnie wyglądasz jak stara, zrzędliva pielęgniarka. Właściwie, prawdopodobnie celowo wszedłbym na linię ognia aby zostać połatanym przez ciebie.

Moje płuca zostały sparaliżowane.

Powietrze nie dochodziło.

Słowa ustały.

Więc skinęłam tylko głową kiedy pomagałam mu stanąć na nogi a potem weszliśmy pod prysznic gdzie poprowadziłam go do ławeczki i skierowałam strumień na jego ciało.

– Czuję się jak dziecko. – Tex uśmiechał się szeroko. – Czy wyglądam bezradnie? Bądź szczerą, Mo. Potrafię powiedzieć kiedy kłamiesz. Odwracasz wzrok i chowasz ręce za plecami jakbyś ukrywała ciasteczka.

– Nie prawda! – Potarłam ręce i schowałam je za plecami, zanim zdałam sobie z tego sprawę. Tex zacisnął usta i kiwnął swoją głową w moim kierunku.

– Naprawdę? Nie?

Uwolniłam ręce i odpowiedziałam mu uśmiechem.

– To wszystko się zaczęło z pierwszym ukradzionym ciasteczkiem, kiedy miałam sześć lat.

– Kłamczucha. – Tex wyciągnął nogi i się skrzywił. – To zaczęło się kiedy miałaś pięć lat... z kawałkiem czekolady, który kazałem ci ukraść.

Sapnęłam.

– Zapomniałam o tym!

– Dziewczyny mają słabość do tej ciemnej strony mocy, czyż nie, Mo? Twoje brudne małe rączki ukradły Nixonowi czekoladę, a potem nie chciały jej oddać, więc co zrobiłaś?

Założyłam ręce na mojej mokrej piersi.

– Zjadłam ją.

– Nie ją.

– Zjadłam je.

– Jak wiele? Bo zapomniałem? – Zachichotał.

– Dziesięć małych tabliczek czekolady i zwymiotowałam na moje buty do kościoła.

Wciąż się śmiejąc, Tex sięgnął po mydło.

– Jeden z momentów na mojej liście Mo top ten.

– Top ten? – Zażartowałam. – Masz listę?

– No pewka. – Tex namydlił sobie ciało ale skulił się kiedy uderzył w ranę na nodze, więc schyliłam się i zaczęłam powoli czyścić krew myjką i mydłem.

– Więc... – Moje ręce przesunęły się płynnie po jego nodze. – Wymień kilka.

– Hmm... – Tex oparł głowę o ścianę wyłożoną kafkami. – Dzień, w którym założyłaś ten wystrzałowy kostium kąpielowy.

– Ten biały?

– Taa. – Głos Tex'a się obniżył. – Chciałem cię tak mocno tego dnia, ale wiedziałem, że to będzie za szybko, więc czekałem. Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy, tak mówią.

– I tak jest? – zapytałam.

– Co tak jest?

– Czy dobrze rzeczy przychodzą?

Tex milczał przez kilka sekund, a potem powiedział: – Przychodzą i odchodzę... jak w życiu.

– Inny moment? – Przesunęłam się do jego drugiej nogi i umyłam ją z góry na dół.

– Kiedy się uśmiechasz.

– Co?

– Za każdym razem kiedy się uśmiechasz. – Tex wzruszył ramionami. – To nowy moment, więc zawsze kiedy się uśmiechasz w ten sposób, zapisuje to w umyśle. Za każdym razem kiedy się uśmiechasz to nowa chwila, więc przechowuję ją i mówię sobie, że to moja ulubiona w tej właśnie chwili.

Uśmiechnęłam się.

– Widzisz? Nowy moment. Rozpierała rozum.

Potrząsnęłam głową i zassałam dolną wargę zanim przesunęłam mydło w górę jego nogi i na brzuch. Z jękiem, zamknął oczy.

– Najlepsza pielęgniarka na świecie. Powinniśmy ci zdobyć znaczek.

– Znaczek?

– Taa, znaczek, który by mówił pielęgniarka numer jeden czy coś takiego. Umieścimy go na wszystkich twoich ubraniach... dobry plan, prawda?

– Jasne. – Wywróciłam oczami i kontynuowałam mycie jego sześciopaka. – Więc co jest numerem jeden?

Jego otwarte oczy błysnęły, kiedy jego jabłko Adama poruszało się w górę i w dół. Woda opadała kaskadowo w dół jego kwadratowego podbródka i lądowała na piersi.

– Dzień, w którym za mnie wyszłaś.

Zsunęłam rękę w dół kiedy mydło wypadło na ziemię.

– Ale byłeś taki zły.

– Na okoliczności – wyszeptał Tex. – I może na ciebie, trochę, ale to był najszczęśliwszy moment mojego życia, wiedza, że nigdy nie będziesz w stanie uciec ode mnie... od nas. Wiedza, że nawet jeśli złamiesz mi serce, wciąż będę mieć obrączkę na palcu mówiącą, że było twoje do złamania i że prawdopodobnie przede wszystkim na to zasługuję.

Moje ręce przesunęły się przez jego brzuch do twarzy, gdzie ją złapały.

– A teraz, wciąż jesteś zły?

– Mo. – Tex jęknął i chwycił mnie za nadgarstki. – Co ja ci wciąż powtarzam? Nigdy nie mógłbym cię nienawidzić tak bardzo jak cię kocham.

– Wciąż? – Moja dolna warga drżała.

Westchnął.

– Wciąż.



– I mimo że wybierasz krew...

Tex westchnął.

– Czasami człowiek robi to co musi, żeby ochronić tych, których ceni najmocniej.

# CHAPTER 34<sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Śmierć sprawia, że widzisz sprawy klarownie... czasami to nie jest dobra rzecz.*

DALBYM NIEMAL cholernie wszystko, żeby być w pełni sił, i być w stanie zgarnąć Mo w ramiona i szeptać obietnice w jej skórę. Zamiast tego, byłem tak słaby, że ryzykownym przedsięwzięciem była próba wydostania się spod prysznica. Ale jej skóra, była taka piękna, za każdym razem kiedy woda w nią uderzała, naciskała jej ciało, a potem spływała w dół jej twarzy i szczerze to było tak rozpraszające, że niemal musiałem zamknąć oczy.

– Tex?

Puściłem jej nadgarstki i odchyliłem się do tyłu, żeby móc ochłonać. Nie chciałem, żeby wiedziała, że woda była tak gorąca, że byłem gotów zemdleć... no ale znowu to prawdopodobnie dlatego, że moja krew rozgrzewała się do niebezpiecznych poziomów przez zwykłe oddychanie tym samym powietrzem co ona.

– Co?

– Jeśli to jest coś warte... przepraszam.

– Jeśli to jest... – powtórzyłem – ...coś warte... trochę mi schlebia, że cenisz moje życie tak bardzo, Mo. Jesteś jedyną osobą, która narazi się na niebezpieczeństwo dla mnie.

– Nixon też, tak samo Chase – kłóciła się.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Już nie, a papraną częścią jest to, że nie mogę ich winić, to znaczy mam pieprzoną siostrę, której nigdy nie spotkałem i czuję się cholernie zaborczy w związku z tą dziewczyną... ona może być szalona jak diabli, a ja wciąż zastanawiam się czy jest bezpieczna. Krew...

– ...wygrywa. – Mo odchrząknęła. – Jasne, łapię to. Więc, powinniśmy cię opłukać?

– Jestem takim brudnym chłopcem – powiedziałem oschle, moje brwi wystrzeliły w dobrym nastroju.

Mo stłumiła śmiech i stanęła przede mną.

– Racja, dobra, więc po prostu zamierzam... – Przełknęła. – Spłukać.

– Myj, spłukuj, powtarzaj – powiedziałem ochryplym głosem. – Mów do mnie sprośnie, pielęgniareczko.

– Żartuj wciąż w ten sposób, a jestem pewna, że pielęgniareczka popełni błąd i skrzywdzi pacjenta, *capiche*?

– Ból fizyczny mogę tolerować. – Zachichotałem i zdałem sobie sprawę co powiedziałem, albo co miałem przez to na myśli. Bij mnie, masakruj mnie, spraw, że będę krwawił, ale złam mi serce?

To zniszczysz mój powód do życia.

Trzymaj Mo z dala?

Zrównujesz całą moją egzystencję.

Odchrząknąłem.

– Robimy to czy co?

– Taa. – Mo oblizała usta i umieściła strumień nad moim ciałem. Zamknąłem oczy kiedy ciepła woda oczyszczała mnie ze wszystkich mydlin i krwi... moje grzechy, jednakże, zostały. Czy to nie było do dupy?

Nigdy czysty.

– Dobra. – Mo wyłączyła prysznic. – Zamierzam wziąć jakieś ręczniki i wytrzeć cię, żebyś się nie poślizgnął.

– Wow. – Złożyłem ręce na piersi, żeby zatrzymać ciepło. – Zostanę też wytarty?

– Spróbuj się nie ekscytować za bardzo. – Mo mrugnęła. – Zrobię to szorstko.

– Mogę szorstko.

– Nie taki rodzaj szorstkości.

– Po prostu nie uszkodź tego co nie lubi być uszkodzane... delikatnie, znasz znaczenie tego słowa, prawda?

– Zawsze miałam pod górkę do szkoły powinieneś to wiedzieć. – Mo zawołała zza drzwi. Wróciła z dwoma białymi, miękkimi ręcznikami i rzuciła jednym w moją twarz. – Wytrzyj górną połowę, ja zajmę się dolną.

– Punkt dla mnie.

– Masz coś jeszcze do powiedzenia...

– Wybacz. – Mruknałem wycierając twarz i włosy ręcznikiem, a potem przeniosłem się w dół ramion i na klatę. Przerwałem na chwilę by spojrzeć na Mo bo jeszcze nie zabrała się za dolne partie ale jej oczy utkwione były bezpośrednio we mnie. – To nie pokaz, Mo, jeśli nie zapłaciłaś to nie ma oglądania, kochanie.

Rumieniec zabarwił jej policzki przed tym jak zaczęła energicznie pocierać moje nogi, wyrrywając mi przy tym kilka włosów, niech to cholera.

– Dobra. – Odepchnąłem jej rękę. – Starczy pielęgniarki na dzisiaj.

– Ale wciąż jesteś mokry. – Wskazała na moje uda.

Spojrzałem w dół, ona spojrzała w górę.

To naprawdę nie mogło być gorsze wycucie czasu. Zawsze się szczyliłem posiadaniem kontroli nad moim ciałem i pożądaniem, byłem łatwo w stanie utrzymać się w ryzach wokół Nixona, zwłaszcza kiedy chodziło o Mo. Więc dlaczego do jasnej cholery moje ciało odrzuciło każdą krztę rozsądku i logiki?

– Em... – Mo rzuciła ręcznik i odwróciła wzrok. – Um, ja po prostu, możesz skończyć górę, a wtedy ja... – Wykręcała ręce. – Pomogę ci wyjść spod prysznic i do łóżka... do spania! – Skrzywiłem się kiedy krzyknęła ostatnią część do mojego prawego ucha. – Do spania, bo potrzebujesz odpoczynku.

– Dzięki Mo – skinąłem głową. – Jestem całkiem pewny, że wiem, po co jest sen.

Jej policzki zabarwiły się nawet mocniejszą czerwień, zanim wyszła spod prysznic i owinęła ręcznik wokół siebie. Ta kobieta wcześniej widziała mnie nagiego niezliczoną ilość razy. Cholera, technicznie rzecz biorąc byliśmy małżeństwem, a wciąż rumieniła się przy mnie, jakby nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny.

Chciałem to naprawić.

Poprawka, chciałem być jedynym kolesiem, który coś na to zaradzi.

Z westchnięciem, stanąłem na chwiejnych nogach i powoli wyszedłem spod prysznic, byłem przynajmniej w stanie dojść do blatu zanim się zatrzymałem. Mo szybko złapała mnie pod ramię i bez powiedzenia kolejnego słowa, pomogła mi dojść do łóżka.

To co zdarzyło się potem było prawdopodobnie moją winą.

Cierpiałem z powodu utraty krwi.

Więc naprawdę, nie powinna się spodziewać niczego innego po mnie.

Kiedy opadłem na łóżko, pociągnąłem ją ze sobą i ściągnąłem jej ręcznik w trakcie.

– Dwie godziny. – Nakazałem miękko do jej ucha.



– Dwie? – Pisnęła.

– Taa... – Moje ramiona zacisnęły się wokół jej ciała. – Proszę?

Z pokonanym westchnieniem, wyszeptała: – Okej.

# CHAPTER

# 35 PHOENIX

## CZESC II Z POPIOŁÓW

*Najlepiej gdy porażka dopada cię we wczesnej młodości. Ona ożywia w tobie Feniksa abyś mógł wznieść się ponad popioły. – Anne Baxter*

Odpowiedź nigdy nie jest tak prosta jak pytanie. I kiedy Luca zadał mi pytanie, nie miałem pojęcia jaka będzie moja odpowiedź. W milionach różnych scenariuszy nigdy nie przypuszczałbym, że znajdę się w miejscu gdzie wszystko się zaczęło. Kiedy jesteś dzieckiem ciągle ci powtarzają, że twoje wybory będą cię prześladować, że będą jak klocki, z których się wzniosłeś.

Moje cholerne klocki były zniszczone.

A ja byłem przygnieciony pod rumowiskiem czekając jedynie na śmierć by zabrała mnie, no bo szczerze? Powinienem już nie żyć.

Chciałem nie żyć bo może wtedy odeszłoby to chore uczucie w mojej piersi, może gdybym był martwy to nie miewałbym koszmarów.

Może gdybym był trupem to nie pragnął bym tego, czego zasadniczo nie miałem żadnego interesu by pragnąć.

Życia.

*– Co ty żeś do cholery zrobił? – Wrzasnąłem szarpiąc za kroplówkę i szpitalny osprzęt. Szum urządzeń doprowadzał mnie do mdłości tak bardzo, że wymiotowałem w furgonetce. – Luca! Odpowiedz mi do diabła!*

*– Mieliśmy umowę.*

*– Gównno prawda! – Ryknąłem. – Czemu! Czemu nie dałeś mi umrzeć? – Furia, która była moją stałą towarzyszką przez życie, groziła przejęciem kontroli, rozglądnałem się za bronią, za czymkolwiek by zakończyć swoje życie, by pójść do Piekła gdzie było moje miejsce. Błysk*

*skalpela przykuł moje oko; porwałem go ze stołu i przystawiłem sobie do gardła. – Zrobię to! Nie myśl, że nie!*

*Oczy Luki wbiły się w moją drżącą rękę. – Synu, twoja historia jeszcze nie dobiegła końca.*

*– Kim jesteś aby o tym decydować?*

*– A kim ty jesteś? – Luca zapytał spokojnie. – Uratowałem twoje życie tak byś ty mógł uratować ich więcej – oferuję ci coś lepszego niż śmierć.*

*– Ach tak? – syknąłem. – A mianowicie co? – Furia łomotała o moją skórę wrzeszcząc o uwolnienie.*

*– Odkupienie win.*

*Ostrze wypadło mi z ręki i patrzyłem jak uderzyło o podłogę furgonetki, nieco się zakotyssało kiedy jego słowa uderzyły mnie prosto w klatkę piersiową.*

*I ot tak, furia, którą trzymałem w sobie od tak dawna, złamała się.*

*Ja się złamałem.*

*Wybuchłem płaczem.*

*– Nie mogę... nie mogę.*

*– Możesz. – Luca przysiadł na moich noszach. – I zrobisz to.*

*– Nie mam nic – wyszeptałem.*

*Luca wyciągnął swoją rękę.*

*– Masz krew.*

*– Phoenix? Słuchasz mnie w tym momencie czy jesteś na serio aż tak głupi by gapić się tępo w ścianę kiedy ja wygłaszam kazania? – Nixon chodził przede mną. A niech to, miałem wrażenie jakbym siedział w jego gabinecie od godzin. Zdjęcia moje i reszty chłopaków pokrywały ściany. To równie dobrze mogło być lata temu, wieki. Nie byłem tą samą osobą, nawet nie rozpoznawałem twarzy na zdjęciach. Była taka pospolita, tak beztroska. Taki właśnie byłem.*

*Nie miałem ochoty patrzeć na uśmiech na swojej gębie.*

*W rzeczywistości to doprowadzało mnie do takich mdłości, że miałem ochotę zwrócić każdy gram jedzenia jaki spożyłem w ostatnim tygodniu.*

*Moje życie było kiepskim żartem.*

*A teraz, miało być jeszcze gorzej.*

– Słucham – wyszeptalem i pochyliłem się do przodu. – Słucham stary i bardzo mi przykro, że tak dużo przed tobą zatailem, ale...

Pięść Nixona nadleciała tak szybko i mocno, że kiedy uderzyła słyszałem jak kość łamie się w mojej szczęce zanim upadłem na podłogę w krwawy stos.

– To. – Nixon wycedził. – Było za bycie skończonym dupkiem dla Trace. Jeszcze mi nie przeszło, i trzeba będzie dużo więcej niż uratowanie mi życia zanim będę całkowicie spokojny odnośnie waszej dwójki siedzącej w tym samym pokoju.

Otarłem krew z ust i poczułem jak całe moje ciało ugina się pod uczuciem porażki.

– Zrozumiałem.

– Nie wstawaj. – Nixon przycisnął but do moich pleców i docisnął mnie mocno do dywanu. – Skończę z tobą jeśli choćby spojrzysz na nią z czymś innym jak obojętność. Rozumiemy się?

I to jak. Wiadomość dotarła; jego but ważył z tonę. – Tak jest sir.

– Pracujesz dla nas, nie dla siebie. Chronisz nas, chronisz dziewczyny i mówisz mi o każdym cholernym szczególe. Tak?

– Tak jest sir.

Zabrał swój but. Spodziewałam się kopniaka w bok. Co dostałem? Wyciągniętą dłoń. Skołowany złapałem za nią a on pociągnął mnie na nogi.

Z grymasem zgarnął mnie w ramiona i trzymał tak mocno, że przestałem oddychać.

– I jeszcze jedno – powiedział z chrypą. – Cholernie się cieszę, że cię widzę.

Zapadłem się w nim, zawstydzony tym, że dłużej nie trzymałem złości jako tarczy, jedynie porażkę, tak dużo przekłętą porażką, że aż nią cuchnąłem. Miałem ochotę szlochać, chciałem zawinąć ramiona wokół mojego byłego najlepszego przyjaciela i przeproszać póki mój głos nie stanie się ochrypły, ale co jest takiego w burdelu jakiego narobiłem? Prowadzeniu życia jakie ja wiodłem? Słowa nie znaczą absolutnie nic. To jak rzucanie piórek na wiatr z nadzieją, że doleczą do Chin.

Słowa nie mają żadnej wartości jeśli całe swoje życie używałeś ich do ranienia ludzi a nie uzdrawiania ich.

Więc zostały mi czyny.

I oni mieli zobaczyć ich sporo.

Nixon uwolnił mnie i wskazał na skórzaną sofę naprzeciw.



Usiadłem i pochyliłem się, nagle czując się niekomfortowo z powodu napiętej ciszy i ckliwej wymiany.

– Wyglądasz jak piekło. – Nixon wyszczerzył się i rozsiadł w swoim fotelu, jego kolczyk w wardze wyłowił nieco światła z jego skądinąd pogrążonego w ciemnościach pomieszczenia.

Uśmiechnąłem się krzywo.

– Cóż począć, trafiłem do Piekła ale że nie traktują tam zbyt dobrze takich gości jak ja to wróciłem z kilkoma... guzami.

– Masz brązowe włosy, twój nos wygląda jakby był złamany ze cztery razy odkąd ostatnio cię widziałem i masz sińce pod oczami większe od japy Tex'a. Co żeś ty do cholery robił?

Oblizałem wargi.

– No wiesz, trochę tego i trochę tamtego. – Wzruszając ramionami rozluźniłem się nieco na swoim miejscu. – Pracowałem dla Campisi, nie mogłem wyglądać jak De Lange więc dałem włosom rosnać naturalnie i stoczyłem kilka potyczek dla udowodnienia swojej wartości.

– A siostra Tex'a?

Zamarłem.

– Phoenix?

Przełknąłem ślinę i nerwowo oblizałem wargi.

– Przepraszam, umm, ona jest... bezpieczna.

Samo myślenie o niej robiło ze mnie kłębek nerwów. Muszę jej podziękować za złamany nos i sińce pod oczami. Kobieta nigdy nie sypia i próbowała mnie zabić pierwszej nocy kiedy nad nią czuwałem.

– Imię?

– Biana. – Cholera, wymawianie jej imienia spinało całe moje ciało. – Ale nazywam ją po prostu Bee<sup>1</sup>. – Nienawidzi tej ksywki i wiecie co? Stąd właśnie wziął się złamany nos numer dwa. Nauczyłem się dawno temu nigdy nie walczyć z kobietą, nigdy nie sprawiać by czuły się małe. Więc nawet jeśli bolało jak skurwysyn kiedy prała mnie na kwaśne jabłko, pozwalałem jej mnie uderzać, nie oddawałem. Nigdy. Oddawanie ciosów przywoływało zbyt wiele wspomnień... wspomnień, które sprawiały, że czułem się jak wcielone Zło. Więc pozwalałem mojemu nosowi się łamać bo wiedziałem, że będzie to ból dużo mniejszy niż choroba w mojej duszy.

Nixon podrapał się z tyłu głowy.

---

<sup>1</sup> Jak pierwsza litera jej imienia ale również jak pszczoła/pszczołka.

– No niech to, będziemy musieli ją poznać.

– Nie teraz – powiedziałem szybko. – Nie ze zbliżającą się Komisją, musimy trzymać ją w ukryciu dopóki Alfonso nie zostanie wyeliminowany.

– Jakiś pomysł gdzie on może być?

– Nie – odpowiedziałem szczerze. – Ale mogę się dowiedzieć, wciąż znam kilku z jego ludzi, a forsa sprawia, że rozwiązuje im się język... i to bardzo. W sumie to forsa i whiskey, której Luca ma pod dostatkiem więc zazwyczaj całkiem nieźle sobie radzę.

– Okej. – Oczy Nixona się zmrużyły. – A... ze wszystkim innym, Mil i Chasem i... nami wszystkimi, chodzi mi o to, radzisz sobie jakoś z tym wszystkim? Potrzebujesz... – Podniósł rękę i odwrócił wzrok. – Potrzebujesz z kimś pogadać?

Uśmiechnąłem się, Nixon był twardzielem ale to było zabawne jak Trace pomogła mu w aspektach z jakich pewnie nigdy nawet nie zda sobie sprawy. Ona nie uczyniła go miękkim, jedynie... wrażliwym na sprawy, które normalnie miałyby w głębokim poważaniu.

– Nie stary, daję radę. Luca okazał się pomocny.

– Nigdy nie myślałem, że użyję tych słów aż do ubiegłego roku. – Nixon zaklął. – Ale rozumiem to. – Wstał. – W porządku, idź złapać trochę snu.

Wstałem i ruszyłem w kierunku drzwi po czym zatrzymałem się i odwróciłem.

– Nixon?

– No?

– Czy ona jest szczęśliwa?

– Kto?

– Mil.

Nixon klepnął mnie w plecy.

– Tak szczęśliwa, że wkładam sobie zatyczki do uszu kiedy w hotelu mamy sąsiadujące z nimi pokoje.

– Za dużo szczegółów. – Gderałem.

Śmiejąc się Nixon wzruszył ramionami. – No hej, sam spytałeś.

– Cieszę się.

– Ja też. – Jego twarz spochmurniała. – Ponieważ gdyby Chase nie bujnął się w kimś lub czymś wystarczająco szybko to strzeliłbym mu w facjatę a jego ciało pochował w jeziorze.

– Żartujesz prawda?

Nixon lekko pchnął mnie w kierunku drzwi.

– Moje groźby nigdy nie są bez pokrycia. Dobranoc Phoenix.

Drzwi trzasnęły mi przed twarzą.

Wpatrywałem się w drewno, potrzebując czasu na to aby jego zawołowana groźba do mnie dotarła. Zabije mnie jeśli choćby źle spojrzę na Trace, a smutna część była taka, że chciałem by to zrobić.

– I jak poszło? – Chase powiedział z kuchni trzymając otwartą paczkę Cheetos i pożerając ją jakby był na diecie oczyszczającej przez ostatnie dwa miesiące.

– Zajebicie.

– Nienawidzę biura. – Chase wzruszył ramionami. – Przysięgam, że ma tam ciała pochowane pod swoim fotelem, kiedyś go o to zapytałem i nie zaprzeczył więc to powinno nam coś powiedzieć.

– Gadasz więcej niż pamiętam. – Zerknąłem na Cheetos i niemal rzygnąłem. Nienawidziłem wszystkiego niechlujnego. Może tak się dzieje kiedy umierasz i wracasz do życia, masz te dziwaczne nawyki jakich wcześniej nie miałeś. Uwielbiałem śmieciowe jedzenie, a teraz? Byłem bardziej jarmużowym i szpinakowym typem faceta i gardziłem wszystkim co zostało zrobione a nie urosło samo. Mam teraz niezłego na tym bzika. Nawet ciast nie cierpię.

– Gadam bo dźwięk mojego głosu tak zajebicie działa na twoją siorę, że traci nad sobą kontrolę. – Wsunął chrupka między swoje przednie zęby i go przegryzł.

– Sukinsyn. – Obruszyłem się.

– Tak właśnie mnie nazwała ostatniej nocy ale myślę, że to było z powodu dobrej zabawy. Zacisnąłem pięści.

– A niech mnie. – Chase pokręcił głową. – Takie opanowanie teraz, nie jestem pewny czy powinienem przybić z tobą piątkę czy zapytać co się do cholery takiego wydarzyło.

– Umarłem, to właśnie się wydarzyło ośle.

– Biały koń. – Chase pstryknął palcami. – Gdzie on jest?

Skrzyżowałem ramiona.

– Nie powiem.

– Koleś, czy zdajesz sobie sprawę jak bardzo ona go pragnie? Jestem facetem ze snów, powinienem go znaleźć.

– Y-y. – Poszedłem do lodówki i wyjąłem butelkę wody. – Myślę, że dam ci trochę pocierpieć, jeśli jesteś naprawdę ze snów to znajdziesz go bez mojej pomocy.



# CHAPTER 36<sup>Mo</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Mawiają, że usta o smaku też są najlepsze do całowania – Autor nieznany*

MOJE SERCE ZACZĘŁO bić tak szybko, że prawie spodziewałam się, że Tex zacznie się śmiać, albo rzuci żartem.

– Więc przeszliśmy na wyższy poziom – powiedziałam, kiedy bez tchu leżałam na jego piersi, moje plecy naciskały na jego brzuch.

– Taa.

– A potem...

– ...zrobię cokolwiek będę musiał, żeby cię chronić.

Moje serce się skurczyło.

– Masz na myśli, że zrobisz to co syn martwego szefa Mafii robi... zrobisz to co koleś mający siostrę robi aby ją chronić, racja Tex?

Westchnął.

– Racja.

– I to oznacza dla nas?

– Pożegnanie

– Więc to tak. – Mój głos się załamał. – Nie ważne co powiem? Nie ważne co zrobię?

– Dwie godziny i później nie będziesz musiała się martwić, że usłyszysz mój głos po drugiej stronie linii, Mo.

– A co jeśli ja chcę? – Wentylator kręcił koła, ignorując każde ukłucie bólu w mojej piersi na słowa Tex'a.

– Nie będę dzwonił Mo, ani po tych dwóch godzinach, ani nigdy. Nie odpowiem na wiadomości, nie będę dla ciebie dostępny. Żeby to zrobić, musimy odseparować się na dobre.

Moje zęby się zacisnęły.

– Jestem zmęczona facetami w moim życiu, którzy mówią mi co jest najlepsze dla mnie.

– Dwie godziny. – Przesunął rękami w dół i w górę moich ramion. – Bierz to albo odejdz, ale gorąco sugeruję, żebyś je wzięła.

– Bo zamierzasz rozpieprzyć moje zmysły?

Jego gorący oddech połaskotał moją szyję kiedy pochylił się i pocałował mnie za uchem.

– Taa, coś w tym stylu.

– Dwie godziny – powtórzyłam i zczołgałam się z jego poobijanego ciała i podeszłam do drzwi. Kiedy przekręciłam zamek wiedziałam, że nie ma odwrotu. Będę kochać go tak mocno jak tylko moje serce było w stanie kochać.

I dam mu moje serce na przechowanie, wiedząc, że nigdy nie będę w stanie znaleźć nikogo, kto pokocha mnie tak głęboko i dziko jak Tex. To było to.

Większość ludzi nie dostaje takich momentów jak ten, który mi właśnie zaoferował, zazwyczaj ludzie nie zdają sobie sprawy, że mieli taki moment, aż mija i zostają im jedynie wspomnienia.

Ja miałam i to i to.

Dał mi to i to.

Dwie godziny.

Odwróciłam się kiedy Tex podparł się na łokciach, jego burzowo niebieskie oczy namierzały mnie jak promienie lasera. Może jeśli nie byłby złamany, nie byłby tak atrakcyjny. Zawsze przyciągały mnie ranne zwierzęta... więc to miało sens, że przepadłam dla kogoś takiego jak Tex, tego, który nigdy nie pasował, który nigdy nie widział czystego piękna człowieka, którym był.

To dlatego nasza miłość miała sens.

Byłam dziewczyną, którą wszyscy chronili przed brzydotą.

A on nią był.

Piękna i Bestia.

– Jedna rzecz – wyszeptał Tex.

Zrobiłam krok w jego stronę i się zatrzymałam.

– Co?

Zamknął oczy na chwilę, potem je otworzył i powiedział tak czystym głosem, że przysięgam, że wszechświat zadrżał wokół mnie.

– Kocham cię bardziej niż życie.

– Ja...

– Powiedz to w ciągu tych dwóch godzin, użyj tych słów jako pożegnania, Mo, będą znaczyć dla nas obojga więcej.

Kiwając głową, zrobiłam kolejne trzy kroki w stronę łóżka i patrzyłam... spiżałam go i jego oczy łączywie skanujące moje ciało.

– Mo?

– Tak?

– Pozwól mi cię kochać.

Moje ręce drżały kiedy sięgałam po niego. Pociągnął mnie z powrotem na łóżko, nasze usta spotkały się w eksplozji emocji. Tex złapał moje włosy i uwolnił je od gumki, wplątując swoje ręce w głąb tylko po to, żeby pociągnąć je znowu, przechylając moją głowę na bok i sunąc swoim językiem w dół mojej szyi.

– Otwórz się dla mnie – szepnął kiedy jego usta pokonywały drogę do moich, jego język spotkał mój, smakował jak whiskey i ciepło. Spędził przynajmniej dziesięć minut całując każdy zakątek mojej twarzy, zapamiętując ją... mówiąc do widzenia, a z każdym pocałunkiem moje serce zarówno podskakiwało jak i się rozbijało.

To był mój ostatni moment z mężczyzną z którym powinnam być wieczność.

Moje ręce przeniosły się na jego plecy, kiedy usiadłam na nim okrakiem. Z pomrukiem Tex odrzucił pozostałe ręczniki przez pokój i odpiął mój biustonosz.

– Mógłbym wielbić cię w ten sposób. – Pieścił językiem mój obojczyk a potem dołączyły do niego usta. – Mógłbym umrzeć w ten sposób.

– Umrę jeśli przestaniesz.

– Dwie godziny, Mo. – Tex zachichotał ciepło w moją pierś. – Cierpliwości.

– Albo może po prostu ustanówmy rekord? Taak, zrobmy to. – Poruszyłam się na jego kolanach.

– Stop. – Złapał moje biodra, sycząc zanim jego oczy zrobiły się ciemniejsze. – Nigdy nie byłaś dobra w podążaniu za instrukcjami.

– Gram według własnym zasad i takie tam. – Mrugnęłam.

– Cholera, jesteś idealna.

Dyszałam kiedy podniósł mnie lekko ze swoich kolan, powietrze uderzyło w mój brzuch na krótko nim zsunął moją pozostałą bieliznę. Oczekiwałam, że straci kontrolę, oczekiwałam, że zrobi to co Tex zawsze robił... zaspokajał mnie dopóki nie płakałam z potrzeby i wtedy brał swoją przyjemność.

Ale to nie było takie jak pozostałe razy.

To nie było takie jak cokolwiek czego bym oczekiwała.

Jego złączone dłonie przesunęły się przez moje biodro, jego oczy utkwione w mojej skórze. Wachlarz rzęs rzucających cień na jego policzki kiedy się wpatrywał, wdychając i wydychając, licytując swój czas.

– Jesteś taka piękna – wykrztusił, jego kciuk pocierał moje biodro, jego palce wbijały się w mój tyłek kiedy przyciągał mnie bliżej siebie.

Przełknęłam emocje w moim gardle kiedy Tex przechylił głowę i przesunął swoją lewą rękę na drugą stronę mojego biodra, przebiegając palcami w dół i w górę moich żeber dopóki nie jęknęłam.

– Taka idealna.

– Jestem na ciebie gotowa – dyszałam. – Potrzebuję cię.

– Pozwól mi, Mo. – Ręce Tex'a chwyciły moje boki kiedy delikatnie unióśł mnie tak abym w pełni usiadła okrakiem na nim, kiedy leżał placami na poduszkach. – Pozwól mi pożegnać się z moimi ulubionymi fragmentami ciebie.

– Fragmentami? – powiedziałam bez tchu kiedy te niegodziwe ręce przesunęły się z moich bioder przez zębra i złapały moje piersi. Z jękiem odrzuciłam głowę w tył.

Tex warknął.

– Taak Mo, moje ulubione fragmenty, co w zasadzie oznacza każdy pojedynczy skrawek ciebie.

Zadrzałam kiedy puścił moje piersi, jego usta zastąpiły miejsce, w którym były jego ręce i z miękkim szlochem przyciągnął mnie ściśle do siebie. Gorąco jego ciała siało spustoszenie w moim. Próbowałam poruszyć się przy nim, ale był zbyt silny... więc pozostałam tak, nawet jeśli umierałam odrobinę w środku.

– Mo. – Gorące usta Tex'a złapały moje ucho. – Nigdy nie zapomnę tego jak patrzyłaś kiedy... kiedy to robiłem. – Jego ręce złapały mój tyłek, szarpiąc mnie na jego pobudzenie.

Moja głowa opadła w tył.

– Tak piękna. – Pocałował moją odsłoniętą szyję. – Chcę zostać tak na zawsze.

– Zabawne – wymamrotałam. – Bo ja chcę trochę więcej niż to.



– Cierpliwości. – Roześmiał się miękko.

Taaa, to się nie zdarzy, zwłaszcza kiedy całował mnie w szyję w ten sposób, jego język masował każdy skrawek mojej skóry do momentu aż moje ciało zaczynało drżeć. Każdy pocałunek doprowadzał mnie na skraj uwolnienia, pozostawiając tylko potrzebę, chęć, pragnienie, bo przestawał, zbierając się w sobie i tylko pochłaniając mnie wzrokiem.

– Potrzebuję cię. – Ujęłam jego twarz dłońmi. – Teraz.

– Jeszcze nie. – Jego kciuk pieścił moją dolną wargę. – Nie dopóki nie będziesz błagać... nie dopóki nie będziesz szlochać mojego imienia. Wtedy i tylko wtedy wypełnię cię gdy wszystko co będę czuł to Mo Abandonato... gdy wszystko czym będę oddychał, będzie twoją esencją.

# CHAPTER 37<sup>TEX</sup>

*Nigdy nie poznasz prawdziwego szczęścia dopóki kogoś prawdziwie nie pokochasz,  
i nigdy nie zrozumiesz czym jest prawdziwy ból, dopóki tego nie stracisz. – Anonim.*

PIĘKNE NIEBIESKIE OCZY MO mrugnęły na mnie figlarnie. Będę tęsknił za tym spojrzeniem, tym, które mówi, że nie cofnie się przed żadnym moim wyzwaniem. Jej wygląd wiele mówił. Mogłem zobaczyć miłość, którą do mnie czuła w oczach... to właśnie dlatego tak bardzo bolało kiedy mnie zdradziła, bo niezależnie od jej działań i powodów... wciąż mnie kochała.

I wiedziałem to każdego cholernego razu kiedy patrzyłem na jej twarz.

Kochanie Mo było moim największym i najtrudniejszym osiągnięciem, bo kochanie kogoś oznacza, że ta osoba ma moc aby użyć miłość przeciwko tobie, i wiedziałem, że to tylko kwestia czasu, kiedy Mo to zrobi. To będzie przez przypadek, ale się stanie.

To właśnie dlatego musimy się pożegnać.

Nie robi tego z premedytacją. Mo nie była tego rodzaju osobą.

Ale ja byłem.

Chroniłem ją przed sobą i chroniłem ją przed nią samą... całkowite zerwanie było jedynym sposobem, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo i na tyle egoistyczne by utrzymać mnie przy zdrowych zmysłach.

Każda wiadomość.

Każda rozmowa przez telefon.

Każde zdjęcie.

Prześladowałoby mnie przez resztę życia.

Więc jak tylko upoluję Alfonso i zabiję tego żalostnego skurwysyna, to odnajdę siostrę i przejmę kontrolę nad rodziną.

A wojna między rodzinami będzie trwać dalej bo wiem jedną rzecz, której nie wie Mo.

Campisi nie chcą tylko mojej krwi.

Chcą Abandonato.

Żałowałem, że nie mogę się cofnąć i zapomnieć słów, które Luca i Frank powiedzieli, ale ci faceci wiedzieli więcej niż ktokolwiek inny... zła krew sprawia, że ludzie giną, a Campisi, bądź co bądź są chwilowo u władzy, chcą mojej głowy i byłiby bardziej niż szczęśliwi mogąc upomnieć się o Nixona i Chasea w międzyczasie.

Prędeż zginę po tysiackroć niż narażę ludzi, którzy mnie wychowali na niebezpieczeństwo.

– Tex! – Mo owinęła ramiona wokół mojej szyi. – Gdzie odpłynąłeś?

– Nigdzie, kochanie – wymamrotałem, wyciskając pocałunek na jej ustach. – Zawsze będę tutaj. – Przesunąłem moją szorstką dłoń do jej piersi i nacisnąłem. – Właśnie tutaj.

Jej dolna warga drżała.

– Obiecujesz?

Przytaknąłem.

– Kiedy noce są ciemne... kiedy jesteś sama i się boisz... kiedy jesteś chora na myśl o umówieniu się z kimś pierwszy raz, kiedy jesteś smutna... – Wzruszyłem ramionami i potarłem ręką jej klatkę piersiową. – Wiedz, że część mnie zawsze będzie z tobą.

Łzy spływały w dół jej twarzy.

– Nie musi tak być, Tex.

Nie byłem wystarczająco silnym facetem, żeby kłamać jej w twarz, żeby powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze, kiedy wiem, że nie będzie. Cholera, byłem zbyt słaby, żeby powiedzieć jej, że prawdopodobnie przede wszystkim nie przetrwam Komisji.

– Chodź. – Delikatnie pociągnąłem ją z moich kolan. – Chcę ci coś pokazać.

– Uh. – Opuściła wzrok. – Ale czy my nie... to znaczy dwie godziny i...

– Co? Boisz się małej przygody?

– Nie – warknęła. – Po prostu czuję...

Roześmiałem się i zawinąłem jej ręce wokół mnie, cholera dobrze było czuć jej ręce.

– Taa, też to czuję, ale obiecuję, że będzie warto. Ufasz mi?

Mo zwolniła swój chwyt i westchnęła.

– Tak.

– Wspaniale. – Uśmiechnąłem się i podniosłem ją delikatnie z siebie. – Musimy być naprawdę cicho. Wymykamy się z domu.

– Robiliśmy to już wcześniej. – Wytknęła, łapiąc jedną z moich białych koszulek i spodnie dresowe.

– Prawda. – Oblizalem usta i zarzuciłem czerwoną koszulkę i parę sportowych spodenek. Wyciągnąłem dłoń. – Wszyscy powinni być w swoich pokojach albo jedząc w kuchni, wymkniemy się od tyłu. – Puściłem oczko.

Złapała moją dłoń i przytaknęła.

Wziąłem koc z łóżka i kuśtykałem obok niej, dopóki nie byliśmy na zewnątrz przy naszym ulubionym drzewie.

Z westchnięciem rozłożyłem koc na ziemi i usiadłem, podążyła za mną, koc był na tyle duży, żeby nas nim owinąć.

– Więc. – Mo wypuściła powietrze. – Przerwałś rozwalanie mojego świata, żeby zabrać mnie na zewnątrz pod drzewo?

– Noo.

– Bo?

– Ze względu na to. – Wskazałem za mnie na wyskrobany na drzewie napis, który mówił: Tex i Mo na zawsze.

Mo złapała przód mojej koszulki kiedy jej oczy wypełniły się łzami.

– Zapomniałam o tym.

– Ja nigdy nie zapomnę – wyszeptałem. – No i mam bliznę bo starałem się zrobić to dobrze w wieku pięciu lat.

Mo zachichotała.

– Zwyczajnie przychodzić tutaj kiedy wszyscy szli do łóżek.

– A ja mówiłem, żebyś wybrała gwiazdę.

– A ja zawsze wybierałam inną.

– Jak każda inteligentna dziewczynka. – Wyszczrzyłem się na wspomnienia. – Nowa gwiazda oznacza nowe życzenie.

– Moje życzenie zawsze było takie same.

Zakrztusiłem się emocjami zalegającymi w moim gardle, wypełniającymi moje płuca, sprawiającymi, że chciałem krzyknąć.



– Moje też.

– Na zawsze razem. – Mo złączyła swoje palce z moimi. To dlatego napisaliśmy wyżej Mo i Tex na zawsze... Chciałem zawsze być przy niej kiedy byłem mały.

– Byłeś moją wybranką wtedy, Mo. Moją wybranką teraz.

Jej głowa docisnęła się do mojej klatki piersiowej, wilgoć jej łez moczyła moją koszulkę.

– Więc dzisiaj... – Mój głos był ochryply. – Chcę najlepiej wykorzystać to co nam zostało... chcę wypowiedzieć nowe życzenie nowej gwiazdzie.

– Jakie jest nowe życzenie?

Schowałem palce w jej włosach i pocałowałem czubek jej głowy.

– Moim nowym życzeniem... jest... – Uniosłem jej podbródek do siebie i pocałowałem jej usta. – Bądź szczęśliwa Mo. To wszystko czego chcę w życiu, twojego szczęścia. Dla niego żyję, dla niego oddycham, dla niego krwawię... dla twojego uśmiechu. Nie pozwól by to co się stanie zmieniło cię w osobę, której nie rozpoznam.

– J... jak. – Mo szlochała. – Jak możesz oczekiwać tego ode mnie kiedy rozdierasz na kawałki mój powód do bycia szczęśliwą?

Pocałowałem jej słone policzki.

– Nie powiedziałem, że to będzie proste.

– To dlatego używamy gwiazd.

– Właśnie. – Całowałem ją wzdłuż szyi. – To dlatego potrzebujemy gwiazd.

– Tex. – Mrugnęła swoimi niebieskimi oczami kilka razy aż łzy spłynęły w dół jej twarzy i skapnęły z jej brody. – To moje życzenie. – Jej wargi drżały. – Dla ciebie, żebyś znalazł spokój... w życiu pełnym wojny.

– Jesteś moim spokojem. – Przyznałem z ponurym uśmiechem.

– Więc kiedy jesteś na wojnie... myśl o mnie.

Nasze usta spotkały się w połowie, każde z nas ściągało ubrania z siebie nawzajem, ciągnąc je i rzucając pod drzewo. Zawsze chciałem kochać się z nią pod gwiazdami.

W końcu dostałem moje ostatnie życzenie.

Z jękiem ściągnąłem jej spodnie i uniosłem się nad nią.

– Powiedz to, Mo.

– Teraz! – Zawołała, jej dłonie zacisnęły się w pięści za moimi plecami, kiedy jej nogi owijały się wokół mnie, przysuwając jej rdzeń w moim kierunku. – Tex Campisi, kocham cię...

Wsunąłem się w nią z pierwotnym okrzykiem, wiedząc, że to będzie ostatni raz kiedy moje imię wyjdzie z jej warg.

Powoli posuwałem się do środka i na zewnątrz, delektując się uczuciem jej ciała zaciskającego się wokół mnie, pragnąc żeby rzeczy były inne, ale ślubując, że będę chronić ją do ostatniego tchu.

Z okrzykiem, jej głowa się odchyliła kiedy jej ciało drżało przy moim. Chciałem czekać, chciałem czekać bo skończenie oznaczało, że wrócimy do środka.

Ale nie mogłem czekać.

Nasze usta spoiły się w jedno kiedy pchnąłem po raz ostatni, wysyłając się nad krawędź do eksplozji, którą zapamiętam na resztę życia.

– Dwie godziny. – Mo powiedziała smutno przy moich ustach.

– Taa. – Dyszałem. – Ale jeśli miałbym tylko dwie godziny życia... nie chciałbym robić niczego innego.

Oblizła usta i uśmiechnęła się miękko.

– Ja też.

# CHAPTER 38 SERGIO

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Oddawać komuś swoje ciało – zawierzyć nim, to akt czysto bezinteresowny, mimo to dziwnym jest jak niekiedy prowokuje to egoistyczne odczucia.*

To nie mogło się dobrze skończyć. Odwróciłem wzrok od okna i zakląłem.

– Jesteś w dobrym nastroju. – Phoenix usiadł obok mnie i założył ręce na piersi. – A więc czego ci potrzeba?

Zadzwoń do Phoenixa i ściągnąłem go tutaj na dół, aby omówić z nim plan. Frank i Luca poszli już się położyć a wiedziałem, że Phoenix potrzebuje szczegółów jakie tylko ja mogłem mu dać.

– Luca przeznacza pięćdziesiąt kawałków dla któregoś z ziomków gotowych wskazać gdzie ukrywa się Alfonso.

– Spoko. – Phoenix rozsiadł się wygodniej. – I jak tylko się dowiem gdzie jest to mam go wyeliminować?

– Nie. – Oblizałem nerwowo usta. – Dasz mu to. – Przesunąłem kopertę po blacie stołu i czekałem kiedy Phoenix zapoznawał się z jej zawartością.

– Nie ma mowy. – Upuścił kopertę. – Odwaliło ci? Chcesz umrzeć?

– To jedyny sposób i ty wiesz o tym.

– Aby zginąć. – Phoenix walną ręką w stół. – Nie umarłem, poszedłem do Piekła i znów wróciłem tylko po to abyś ty mógł wystawić Rodzinę na tego typu niebezpieczeństwo.

Znów przełknąłem, czekając aż cierpliwość wybulgocze ku powierzchni. Nie miałem osiemnastu lat. Nie byłem idiotą. Wiedziałem co musiało być zrobione, i wiedziałem również, z powodu tego dla kogo procowałem, jeśli nie zajęto by się tym... subtelnie, to wszyscy trafimy do paki.

– Posłuchaj. – Mocno odetchnąłem. – Zajmiemy się resztą ale Alfonso musi dostać to zaproszenie. On musi zjawić się na Komisji albo cały plan weźmie w łeb.

Oczy Phoenixa przeszły mnie na wskroś.

– Zapraszasz nas wszystkich na pewną śmierć. Mając tam Alfonsa i jego ludzi to oznacza strzelaninę, oznacza pogrzeb, oznacza śmierć wszystkiego za co oddałem swoją ofiarę, i to oznacza śmierć Nixona. – Jego głos się załamał. – To oznacza śmierć Chase’a. – Wyjrzał przez okno i zbladł. – I to oznacza, że Tex będzie musiał być tym, który pociągnie za spust.

– I to. – Pokiwałem głową. – Jest dokładnie to na co liczę.

Phoenix zaklął.

– Zrób to. – Wstałem. – Czy muszę ci przypomnieć dla kogo to właściwie pracujesz?

Bez żadnego słowa Phoenix zgarnął kopertę, wsunął do kieszeni i popędził w dół korytarzem.

Odczekałem kilka minut i wysłałem Frankowi wiadomość.

*Ja: Załatwione.*

*Frank: Złapał haczyk?*

*Ja: Tak.*

*Frank: To dobrze.*

*Ja: Wiesz, że to może się różnie skończyć... prawda?*

*Frank: Miej nieco wiary w niego – wszyscy zasługujemy na drugą szansę... ta jest jego.*



# CHAPTER 39 PHOENIX

*Wojna to wymiana królów – John Dryden, Król Artur*

Na ślepo chwyciłem kluczyki i trzasnąłem za sobą drzwiami do domu. Kiedy wcisnąłem przycisk centralnego zamka, garaż rozświetliło czerwone Ferrari.

Niewzruszony, podszedłem do wozu, otworzyłem drzwi i uruchomiłem silnik, całkowicie odrętwiały od wewnątrz. Może nie odrętwiały, tylko naprawdę wkurwiony i niepewny jak się do tego zabrać. Z przekleństwem na ustach, wyjechałem z garażu jakby ognie piekielne lizały mnie po cholernych trepach i wdepnąłem na pedał gazu jak tylko minąłem żelazną bramę.

Faceci w moim wieku nie powinni rozmyślać o śmierci swoich przyjaciół.

Faceci w moim wieku nie powinni tropić koleśki, wciskając kasę w nieodpowiednie łapska i prosić o przysługi.

Faceci w moim wieku powinni kończyć college, zaczynać swoje życia, prawdopodobnie ustatkować się z właściwą dziewczyną albo może nawet i tą niewłaściwą. Sedno? Życie jakie wiodłem nie było życiem, to było absolutne piekło na ziemi, a ja nie miałem możliwości wydostania się z tej karuzeli, która kręciła się bez końca zabierając mnie z sobą.

Koperta w mojej kieszeni równie dobrze mogła wypalać we mnie dziurę na wylot. Na czerwonym świetle wyjąłem ją i położyłem na siedzeniu pasażera. Zalało mnie wspomnienie, kolejne z tych wspomnień, które starałem się rozpaczliwie trzymać z daleka, zwłaszcza biorąc pod uwagę to o co zostałem poproszony.

*– Stary, to sportowe auto, powinieneś nim pędzić. – Chase kusił z przedniego siedzenia, podczas gdy Nixon siedzący z tyłu trzasnął go w łeb.*

*– Po co pędzić? – Zauważyłem. – Kiedy gdy wolno jedziesz, wszyscy mogą cię zobaczyć?*

*– Facet ma rację. – Tex zachichotał. – Pomachaj do pań, Phoenix.*

*Mieliśmy po szesnaście lat i myśleliśmy, że jesteśmy twardzielami. Tata Nixona dopiero co kupił nowy sportowy samochód i daliśmy nogę w chwili jak tylko rozpoczęło się ich posiedzenie.*

– *Gorący towar. – Chase zawołał z przedniego siedzenia. – Ten wóz lubi seksowne kobiety, same krągłości, żadnych hamulców.*

– *Przestań się jarać. – Tex rzucił. – To dziwne i proszę przestań nawiązywać kontakt wzrokowy przez wsteczne lusterko, kiedy obmacujesz skórę.*

– *Świnia. – Chase rzucił swoimi przeciwstóncznymi okularami i jeszcze raz zajęczał.*

*Śmiejąc się spojrzałem na Nixona.*

– *Myślisz, że sprawimy sobie bryki jak ta kiedy to my będziemy szefować w rodzinie?*

– *No jacha. – Tex odpowiedział za Nixona. – Będziecie najbardziej hardcorowymi bossami na tej planecie podczas gdy ja z Chasem będziemy ciężko pracować by dogodzić wszystkim kobietom, które będą się na was rzucały.*

*Wywróciłem oczami i parsknąłem śmiechem.*

*Zirytowany klakson rozdźwiewał za mną.*

– *Kuźwa. – Wcisnąłem gaz i popędziłem przez zielone światło chwytając kierownicę jakby była moim zbawieniem.*

Ja z Nixonem byliśmy następnymi. Chase i Tex nie mieli ciśnienia. Chase był kuzynem, Tex przeklętym synem Campisiego, który nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Jakim cudem wszystko się tak popieprzyło?

Nie byłem tym samym człowiekiem co przed strzałami. Śmierć mnie nie odkupiła; zabiła każdą uncję światła i pomyślności. To było jak doświadczenie mojej własnej śmierci w kółko i w kółko od nowa – nie mogłem znieść faktu, że każdy z tych facetów mógłby być w niebezpieczeństwie.

Walnąłem ręką w kierownicę kiedy zbliżałem się do miejsca gdzie zazwyczaj opychali się ludzie Campisi.

Włoskiego.

Oczywiście.

Mała włoska knajpka, która była równie badziewna jak chodzenie do sklepu po bułki z pudelkiem na łańcuszku.

Potrzebowałem to zrobić.

Musiałem to zrobić.

Co do cholery Frank sobie myślał? Albo Luka na dobrą sprawę.

Strzelając kostkami, zamknąłem oczy i pozwoliłem swojemu rozumowi odpłynąć do...  
co by się stało gdyby...?

Nieodezwanie się do tych ludzi oznacza ich śmierć.

Powiedzenie czegoś do nich oznacza moją, najprawdopodobniej.

Ingerowanie oznaczało więcej rozlewu krwi.

Robienie niczego oznaczało, że się w ogóle nie zmieniłem.

Robienie niczego oznaczało, że wciąż byłem tym samym Phoenixem co wcześniej, ale jak powiedział Sergio, Tex będzie musiał pociągnąć za spust.

I w tym momencie wiedziałem dokładnie co musiałem zrobić.

Drżącymi rękami wybrałem numer do Tex'a, zapamiętałem go, znałem swoim sercem.

– Phoenix? – Tex brzmiał marnie. – Coś nie tak?

– Mam plan. – Odchrząknąłem. – Ale on zostaje między nami.

Tex zrobił pauzę.

– Czy ten plan kończy się zabiciem mnie?

– Możliwe.

– A Mo? Będzie żyła kiedy to wszystko się skończy?

– Może. Miejmy nadzieję. To główny zamysł.

– No to słucham.

– Muszę najpierw coś gdzieś podzucić. – Westchnąłem. – Potem zaplanujemy to wszystko od zera, żadnych pomyłek, żadnego mówienia Mo, żadnego mówienia Nixonowi, żadnego kichania w kierunku Chase'a. To musi wyglądać prawdziwie.

Tex milczał przez chwilę po czym się zaśmiał. – Phoenix, planujemy jakiś zamach stanu?

I za to właśnie zawsze kochałem Tex'a – zawsze ufałem mu własnym życiem, był tak cholernie bystry, że było to wręcz przerażające.

– Po prostu spotkaj się ze mną za godzinę, w twoim barze.

– Załatwione.

Rozłączyłem się i momentalnie poczułem jak spada mi ciężar z ramion. Zamach stanu? To jest to do czego kuźwa zmiierzamy, tylko że byłem całkiem pewny, że monarchia mająca upaść nie przyjmie zbyt dobrze tego, co miało się wydarzyć.



# CHAPTER 40<sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Co jest przeciwieństwem "dwa"? Samotny ty, samotny ja. – Richard Wilbur.*

– Kto to był? – Ziewnęłam rozciągając ręce nad głową. Ostatnią rzeczą jakiej chciałam to ruszanie się albo wkładanie ubrań. To by znaczyło, że skończyliśmy.

Mam na myśli koniec nas.

A ja nie byłam na to gotowa, nie teraz, nigdy w sumie. Po prostu nie wiedziałam jak przekonać go, żeby został, kiedy widziałam, że logicznie, mądrzej było dać mu odejść. .

Wzrok Tex'a pociemniał kiedy powoli wypuścił powietrze i spojrzał na mnie.

– Przyjaciel.

– Och. – Spojrzałam w dół na moją nagą pierś i pociągnęłam wyżej koc.

– Mo. – Opuchnięte wargi Tex'a i jego potargane włosy sprawiały, że znów chciałam go dotknąć, poprosić o kolejne pięć minut pocałunków czy dotyku. – Niedługo muszę iść.

Zawahałam się. W chwili kiedy powinnam szlochać i owinąć mu ręce wokół szyi, zawahałam się. Bo Tex nie był typowym kolesiem, kiedy płakałam, łamało mu to serce, ale to było niemal tak jakbym czyniła go bardziej zdecydowanym, żeby zrobić właściwą rzecz, jakby jego jedyną pracą na tej planecie było chronić każdą łzę, którą uroniłam, nawet jeśli to znaczyło, że to krew pokryje te łzy w następstwie.

Z westchnięciem, sięgnął po swoją koszulkę, mięśnie jego pleców napięły się, wyginając w świetle księżycy, kiedy przeciągnął koszulkę przez głowę i wsunął szorty.

Przebiegł przeze mnie dreszcz.

– Powinnaś wrócić do szkoły. – Tex wypuścił powietrze i potarł ręce. – Myślę, że to będzie... dobre.

– Szkoły? – powtórzyłam. – Mamy zamiar się pożegnać i twoje pożegnalne słowa to, że powinnam wrócić do szkoły? Poważnie?

Chichocząc, Tex mnie przytulił.



– Mamy jeszcze dziesięć minut.

– Nie wiedziałam. – Moje oczy się zwęziły. – Nie noszę zegarka.

– Nieodpowiedzialnie. – Syknął, całując wzdłuż prawą stronę mojej szyi. – Jak będziesz zdążać na czas jeśli nie wiesz, która jest godzina?

– Zawsze miałam ciebie – powiedziałam unosząc brwi i pochylając moją twarz w jego stronę.

Nasze usta się spotkały.

– Prawda. – Tex dmuchnął na mnie, ocierając nosem o moje włosy. – Osiem minut, Mo.

– Osiem minut, kiedy wołałabym, żeby czas nie istniał – wyszeptałam, widząc ból przetaczający się falą przez jego twarz. – Pocałuj mnie znowu.

Z miękkim wydechem, złączył swoje usta z moimi, lekko jak piórko, kusząc mnie, obiecując mi coś więcej. Jego język przeszedł kontury moich warg, zanim wsunął się w nie, przez zęby, smakując każdy skrawek mnie, dając mi każdy skrawek siebie. Żyliśmy w tej chwili, oboje wiedząc, że się niedługo skończy.

– Siedem – wyszeptałam w jego usta.

– Wróc do szkoły – nalegał kolejny raz. – Popelniaj błędy, Mo. Wpadaj w kłopoty, pozwól Nixonowi znaleźć cię szmuglującą wino w swoim plecaku. Niech dziekan cię wezwie na dywanik, popelniaj błędy – powiedział ponownie, a potem oblizał usta. – Pozwól komuś pobierać fragmenty twojego złamanego serca, pozwól komuś naprawić to co zniszczyłem.

– Co jeśli chcę odpuścić i żyć jak pustelnik w moim pokoju? – Odmówiłam patrzenia na niego.

– To nie jest życie, Mo. – Tex złapał moją twarz. – Pozostało mi jeszcze pięć minut z tobą, chcesz, żebym użył je do całowania cię czy do pouczania dlaczego mam rację?

Uśmiechnęłam się, kiedy łza spłynęła po moim policzku.

– I to i to.

Jego uśmiech dopasował się do mojego.

– Zapomniałem jak lubisz być karconą.

– Tylko jeśli karcący ma pewną rękę.

– Każda cząstka mnie jest pewna i ty o tym wiesz. – Tex pociągnął mnie na swoje kolana. – Szkoła cię rozproszy, da ci lepszą przyszłość niż broń i wojna, pozwoli ci skupić się na przyszłości a nie na tragedii. Proszę, dla mnie, Mo, proszę spróbuj normalności.

– Normalność. – Potrząsnęłam głową. – Nie jestem pewna czy wiem co oznacza to słowo.

– Normalność – powtórzył Tex. – Kochaj się z kimś pod drzewem, nie dlatego, żeby się pożegnać, ale dlatego, że to najlepszy sposób który znasz, żeby powiedzieć dzień dobry.

Moja dolna warga zadrżała.

– Normalność. – Jego głos był ochrypły. – Poślub miłość twojego życia nie dlatego, że jej brat cię postrzelił... ale dlatego, że nie poślubienie jej byłoby losem gorszym niż śmierć.

Milczał a potem dodał.

– Trzy minuty.

Zacisnęłam ręce na jego koszulce, i walczyłam z ochotą aby szlochać w jego pierś.

– Normalność. – Głos Tex'a był ledwie słyszalny. – Podróżowanie od kraju do kraju, przez cały świat, nie dlatego, że wydali na ciebie wyrok, ale dlatego że chcesz zobaczyć dziewczynę, którą kochasz, uśmiechającą się w każdym miejscu, które stworzył Bóg.

Wiem, że czas uciekał, wydawało się, że im mniej mamy czasu, tym szybciej on ucieka, zgaduję, że takie jest życie.

Patrzyłam na ostatnie dwie minuty, może mniej, z moją miłością, moim przyjacielem, i wszystko co mogłam robić to trzymać i skręcać jego koszulkę w swoich pięściach, w jakiś sposób zmuszając go do pozostania na ziemi, zamiast wstać i pójść w kierunku pewnej śmierci.

– Normalność. – Tex wstał na nogi, pomagając i mi wstać. – Danie kobiecie, którą kochasz dwóch godzin swojego czasu, ponieważ nie wyobrażasz sobie spędzenia swoich minut, tych cennych sekund, w inny sposób.

Tex pocałował moje wargi mocno, niemal pozostawiając siniaki na moich ustach, zanim odsunął się i pocałował mój nos.

– Czas się skończył – powiedział szorstko.

– Nie jesteśmy dłużej przyjaciółmi – powiedziałam to jak oświadczenie, nawet nie jak pytanie.

– Przez dwie godziny byłem twoim kochankiem, przyjacielem, twoim wszystkim. – Tex odwrócił wzrok. – Przez resztę wieczności... jestem twoim wrogiem.

– Nienawidzę życia.

– Przestań. – Tex się skrzywił. – Będzie prościej, żeby zamiast jego nienawidzić tylko mnie.

– Ale...

– Skończyliśmy tutaj, Mo. Wracaj do środka.

– Tex...

– Powiedziałem. – Jego szczeka strzeliła. – Skończyliśmy, a teraz wracaj do środka i idź spać.

Ciągle mając koc owinięty wokół siebie, złapałam ciuchy, poczucie utraty zalało mnie, kiedy moje stopy opadły na zimną trawę. Każdy krok, który robiłam, był jak próba biegu przez cement. Moje serce biło, ale wszystko co czułam to ból. Szloch uciekł z moich ust kiedy moje stopy dotknęły z powrotem domu, odwróciłam się, żeby po raz ostatni zobaczyć jego twarz.

Zdobyć moje pożegnanie.

Ale już go nie było.

Tak jakby Tex, którego znałam nigdy nie istniał.

Złapałam się za głowę i płakałam. Płakałam za chłopcem, którego znałam, za chłopcem, który zmienił się w mężczyznę. Mężczyznę, który zmusił mnie do wyboru, jego przeszłość czy jego przyszłość. Płakałam, bo Tex którego znałam i kochałam, tego, który trzymał mnie tak czule w ramionach, nigdy już nie wróci.

Będzie musiał wejść całkowicie.

Tex już dłużej nie istniał.

Nie, teraz był Vitem Campisi Jr., a świat poczuje jego furię, mam tylko nadzieję, że moja rodzina nie zostanie rozerwana na strzępy w tego następstwie.

# CHAPTER 41 <sup>TEX</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Łatwiej znaleźć ludzi gotowych na śmierć, niż takich, którzy cierpliwie zniosą ból.*

*– Juliusz Cezar.*

ZOSTWIŁEM STAREGO MNIE z Mo na przechowanie. To jedyny sposób jaki znam, żeby wsiąść do samochodu i spotkać się z Phoenix'em. Więc zrobiłem tych kilka kroków na przód domu, pozwoliłem sobie ubolewać nad człowiekiem, którym byłem... i oplakiwać człowieka, którym się stanę.

Myślałem o uśmiechu Mo, o tym jak jedna mała rzecz może zmienić mój świat mroku w światło.

Wyobraziłem sobie jej usta, jej jęki, ciało, to jak ciepła zawsze była dla mnie.

I ostatecznie, myślałem o jej czystym sercu, jej duszy, jak gotowa była walczyć z demonami w moim imieniu, wiedząc tak dobrze, że zwalczała wszelkie potwory, których się bała.

Była silna.

Była wszystkim.

Kiedy dotarłem do frontu domu, odwróciłem się i ostatni raz rzuciłem okiem. Wyjeżdżałem jako Tex, a wrócić jako Campisi. Cokolwiek Phoenix ma do powiedzenia, to nie skończy się dobrze na moją korzyść, ale jeśli mogę ją ochronić, uratować ją, zrobię wszystko.

Wszystko.

– Do widzenia, Mo – wyszeptałem w powietrze i wziąłem głęboki wdech, zanim złapałem klucze do jednego z Ducati i wskoczyłem do środka.

Panowanie Alfonso się skończy... i zamierzam zakończyć je moimi rękami. Żywy lub martwy. Zemsta nadchodzi.

Z uśmiechem, ruszyłem w kierunku baru.



\*\*\*\*

Do czasu aż dotarłem do mojej knajpy, byłem odrętwiały, nie w pozytywny sposób, ale odrętwiały jak wtedy kiedy czujesz, że zamierzasz zrobić coś nieodwracalnego.

Miejsce, z którego nie ma odwrotu był moją piosenką przewodnią.

Każdy krok w kierunku Phoenix'a, oznaczał krok z dala od Mo.

I nienawidziłem, że miałem siłę i odwagę iść w przód, żałowałem, że w tej chwili nie byłem tchórzem, chciałem ukraść ją i żyć w spokoju na jakiejś zapomnianej przez boga wyspie. Cholera, łąpałbym ryby do końca życia z tą kobietą.

Ale to jest ta rzecz, jakiej rodzice nie mówią dzieciom, nauczyciele podkolorują wszystko i nic w moim dorosłym życiu nie przygotowywało mnie na rzeczywistość. Nikt nigdy nie powiedział, że życie jakie widzisz w telewizji jest rzadkością... rozlew krwi? Normalka. Biały płótek? Tylko wtedy kiedy masz farta.

Ja nie miałem farta.

Nigdy nie miałem, nigdy mieć nie będę.

Fetor papierosów uderzył w mój nos, kiedy pociągnąłem drzwi do knajpy. Moje buty stukały po podłodze, kiedy szedłem w stronę baru. Był niemal pusty, poza Phoenix'em.

– Woda? – Wskazałem na jego szklankę. – Proszę powiedz mi, że to wódka.

Phoenix wzruszył ramionami.

– Wybacz, że cię rozczarowuje.

– Przyznaj to. – Zająłem miejsce na stołku. – Znalazłeś religię czy coś.

– Nieee, tylko moją duszę. – Phoenix podniósł wodę w moją stronę i skinął. – A teraz, co do planu.

Podniosłem dłoń.

– Coś mi mówi, że jeden z nas musi być pod wpływem alkoholu, żeby przez to przejść.

Przytaknął.

– To może być mądre, żeby mieć pod ręką butelkę whiskey.

Sięgnąłem za bar i chwyciłem flaszkę Jack'a Daniels'a i dwa kieliszki.

– Jak głęboko w tym będziemy, Phoenix?

– Jesteś Campisi. – Zaczął od oczywistego. – Pytaniem nigdy nie jest jak głęboko, powinieneś już to wiedzieć. To co musisz wiedzieć, to jak przenieść fragmenty na swoją korzyść tak strategicznie, że nikt się nie skapnie, że wygrałeś, aż to się stanie.

– Jestem gówniany w szachach.

– Pieprzenie. – Phoenix prychnął. – Twoje IQ sprawia, że czasami czuję się jak trzylatek.

Wywróciłem oczami i wychyliłem lufę, krzywiąc się kiedy płyn spływał w dół mojego gardła, nie dając mi żadnej ulgi, tylko pieczenie w moim pustym żołądku.

– Więc, niech to usłyszę.

Phoenix bębnił palcami o blat.

– Musisz przekazać wiadomość.

– Do Alfonso?

– Do wszystkich. – Oczy Phoenix’a błysnęły. – Nie tylko Alfonso, ale każdej cholernej rodziny stawiającej się na Komisji, wieści muszą rozejść się tak szybko, że stworzysz cholerne nowe trendy na Twitterze w dwie sekundy, ogarniasz?

– Masowe Morderstwo w wykonaniu Tex’a Campisi, trendem na Twitterze, to byłyby dzień, dobra, więc jedynym sposobem, żeby zrobić coś tak... ekstrawaganckiego jest wetknąć fajerwerki w dupę Alfonso albo...

– Zabić ich. – Przerwał Phoenix. – Musisz zabić ich wszystkich.

– Wszystkich? – Przełknąłem.

– Czystka... klas. – Phoenix wzruszył ramionami. – Luca, Frank, Nixon, Chase, Mo, Mil...

Każde imię, które wypowiedział było jak uderzenie młotka w moją głowę. Moja krew gotowała się pod powierzchnią mojego spokojnego jak cholera uśmiechu.

– Demonstracja.

Ręce Phoenix’a drżały kiedy złapał butelkę i nalał sobie jednego, tylko, że przesunął go do mnie i skinął.

– Krew zawsze wygrywa. – Podniósł swoją szklankę i stuknął się nią w mój kieliszek. – Zdrówko.

# CHAPTER 42 SERGIO

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Ludzie boją się śmierci bardziej nawet niż bólu. To dziwne, że się jej boją. Życie boli dużo bardziej niż śmierć. W momencie śmierci, ból się kończy. Więc koniec to chyba przyjaciel. – Jim Morrison.*

MÓJ BÓL GŁOWY był całkowicie spowodowany faktem, że nie wiedziałem jakiego wyboru dokona Phoenix zanim nie będzie za późno.

– Nie ingerować. – Luca instruował, jak pieprzony Ojciec Chrzestny we własnej osobie. Nie byłem idiotą; wiedziałem, że Luca traktował Phoenix'a jak syna. Naprawdę, dobrze dla niego, mieli swój wiążący moment życia i śmierci i teraz wierzył Phoenix'owi, że będzie mężczyzną, którego miał nadzieję uratować, a nie takim, który wyzionął ducha tamtego dnia.

Ja nie byłem pewien komu ufać.

Może butelce Jim'a? Taa, to brzmiało dobrze.

Butelka nigdy mnie nie zawiodła.

Jak kobiety, jak Phoenix, jak Luca, Frank, cholera wróciłem z emerytury, żeby pomóc im uratować Rodzinę, a nie wsadzić ją w większe niebezpieczeństwo i machać czerwoną płachtą przed fedziami.

Nixon wszedł do pokoju z Trace blisko za sobą, śmiali się z czegoś, a potem pociągnął ją do uścisku i pocałował w usta.

Odwróciłem wzrok kiedy noże zazdrości siekły przez moje ciało. Nigdy nie chciałem Trace, jasne była piękna, ale to zawsze była Mo.

Ta sama dziewczyna, która mniej niż godzinę temu owinęła się wokół terytorium wroga z gwiazdkami w oczach.

Dziewczynę, która nie miała pojęcia jak daleko Tex zajdzie... ja wiedziałem. Wiedziałem. Wiedziałem, że na koniec możesz zaprzeczać swojej krwi ile chcesz, ale ona wciąż płynie w twoich żyłach, codziennie przypominając o osobie, którą przeznaczone ci być.

Był mordercą.

Wrogiem.

Więc ja to widziałem tak, oddawaliśmy nasze życia w ręce dwóch najbardziej popieprzonych ludzi na świecie. Tex'a i Phoenix'a.

Ta butelka Jim'a Beam'a wyglądała coraz to lepiej i lepiej.

– ...Może potrzebuje dziewczyny – wyszeptała Trace.

Moja głowa się poderwała.

– Czy wy rozmawiacie o mnie?

– Nigdy. – Nixon się uśmiechnął. – W porządku, stary?

– Nic czego butelka czy dwie nie mogą naprawić.

Nixon się skrzywił, jego wzrok objął moje podskakujące kolano i niezdolność do skupienia się na niczym przez więcej niż trzy sekundy przed ponownym spojrzeniem na butelkę.

– Trace? – Nixon obrócił się do niej. – Dlaczego nie sprawdzisz co robi Mil? I powiedz Chase'owi, że go potrzebuję.

– Tak, panie. – Trace wywróciła oczami. – A gdzie proszę?

Zakaszlałem, żeby ukryć śmiech, kiedy Nixon zacisnął mocno szczęki.

– Proszę.

– Lepiej. – Wyszczrzyła się i pomknęła korytarzem.

– Ktoś złożył swoje jaja w jej dłoniach

– Zostawmy moje jaja i zajmijmy się tym. – Nixon zabrał butelkę ode mnie i postawił dwie szklanki. – Możesz powiedzieć mi dlaczego wyglądasz jak gówno?

– To nowy styl, który chciałem wypróbować. – Pociągnąłem za moje długie włosy i się skrzywiłem. – Jared Leto dotarł na Sycylię.

– Próbuj mocniej. – Chase powiedział wkraczając do pokoju. – Albo przynajmniej nałóż eyeliner.

– Racja, to sprawi, że nasi ludzie będą trząść gaciami. Długie włosy i eyeliner. – Wywróciłem oczami. – Dlaczego o tym nie pomyślałem?

– W tej rodzinie ja mam mózg. – Chase się wyszczrzył. – Proste. – Przekrzywił głowę. – Możesz powiedzieć mi dlaczego wyglądasz jak gówno?

Jęknąłem w dłonie.



– Wielkie umysły. – Nixon szturchnął Chase’a.

– Brak snu? – Podrzuciłem. – Ma katastrofalny wpływ.

– Tak jak i seks, ale ja wyglądam niesamowicie. – Chase strzelił knykciami. – Co wiesz, chłopie? Lepiej nam powiedzieć.

– Nie mogę – urwałem. – Po prostu bądźcie przygotowani na Tex’a, że będzie inny kiedy wróci, to... to wszystko.

– Gdzie on jest? – Nixon odepchnął się od stołu i rozejrzał dookoła. – Zresztą czy wszyscy nie powinni spać?

– Gdzieś. – Gotowało się we mnie. – Pijąc i się kurwiąc? Skąd mam wiedzieć?

Nixon zwięził na mnie oczy.

– Frank i Luca?

– Śpią. – Wzruszyłem ramionami. – Są starzy.

– Ja jestem stary. – Chase jęknął. – Dokuczały mi dzisiaj kolana... to było smutne.

– Witaminy. – Pstryknąłem palcami. – Jak Centrum Silver?

– Powiedziałem, że mi dokuczały nie, że potrzebują zastępstwa, dupku. – Chase wstał z krzesła. – Więc, jaki jest plan na jutro?

– Inny niż przetrwanie? – Uśmiechnąłem się.

Nixon wpatrywał się we mnie, sprawiając, że mój poziom komfortu praktycznie wyparował.

– Ludzie zaczynają zjeżdżać się jutro, więc sprawmy by było to dla nich tak komfortowe jak się da... aktualnie. – Uśmiechnął się. – Myślę, że dobra, staromodna rodzinna kolacja jest w porządku.

– Proszę powiedz mi, że jesteś pijany. – Potarłem twarz rękoma.

– Ja coś ugotuję. – Chase złączył razem dłonie. – Poza tym to tylko kilku ludzi od Luki i Alfero będzie tak wcześniej.

– Fantastycznie. Co? Przeszukamy ich w drzwiach?

– Czym jest rodzinna kolacja bez małej strzelaniny? – Nixon klepnął mnie w plecy i wstał.

– Za dużo się martwisz.

Ledwie te słowa opuściły jego usta, Tex wpadł przez drzwi, wyglądając cholernie dużo gorzej, gotowy strzelać każdemu w twarz, kto choćby odetchnie w jego kierunku.

– Ciężka noc? – Chase pisnął.

Oczy Tex'a zwęziły się na Chasie, bez choćby słowa, podszedł do niego, uderzył go w twarz, a potem splunął na niego, kiedy Chase opadł na ziemię. Żeby być fair, to był totalnie zmaszczony cios, niepodobny do Tex'a.

– Co do cholery? – Chase warknął z ziemi.

– Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? – Tex zadawił. – Mam więcej krwi w moim małym palcu... więcej pieprzonej królewskiej władzy niż ty w całym ciele. Następnym razem zwracaj się do mnie sir, albo cię zastrzelę. Zrozumiano?

Twarz Chase'a wykręciła się ze złością, jego oczy zwęziły się do małych szparek kiedy zacisnął pięści po swoich bokach. W każdej chwili rzuci się na Tex'a i spróbuje złamać mu szczękę na pół.

Nixon sięgnął po swoją broń, ale złapałem jego rękę i potrząsnąłem głową.

Dziewczyny władowały się do pomieszczenia. Mil natychmiast pojawiła się przy boku Chase'a, uspakajając go, co było koniecznością, odkąd wkurwiony Chase to był gwałtowny Chase.

– W porządku?

– Klawo. – Chase warknął.

Trace spojrzała między nas i Tex'a. Wyraz niepokoju zagościł na jej twarzy kiedy zobaczyła rękę Nixona na broni i moją na jego.

I wreszcie była Mo.

Kurwa, to nie rozpocznie się ani zakończy dobrze. Walczyłem z chęcią jęknięcia, kiedy patrzyłem jak jej twarz skręca się z niepokoju.

– Tex? – Jej głos był miękki, wypełniony czułością, na którą Tex nie zasługiwał ani nie chciał. – Co ty...

– Przestań mówić. – Jego zęby zacisnęły się tak mocno, że mięśnie szczęki znalazły się w potrzebie rozluźnienia. – Teraz.

Mo skrzyżowała ramiona.

– To jest mój dom i...

– To dom Nixon'a. – Tex wzruszył ramionami, choć nie zrobił nic, żeby rozluźnić ramiona; cholera, sięgały mu aż pod uszy, tak były napięte. – A teraz zejdz z mojej drogi zanim fizycznie cię usunę.

– Nie ośmielisz...

Bez słowa, podniósł ją z ziemi i pchnął bezceremonialnie do Nixona, zanim wyszedł do swojego pokoju.

– No i się zaczyna – wyszeptałem pod nosem.

Łzy wypełniły oczy Mo kiedy pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami.

– Czy ktoś mógłby powiedzieć mi co to do cholery było? – Chase wstał z podłogi i dotknął swój napuchnięty policzek.

– To... – Uniosłem szklanke w powietrze. – ... był Vito Campisi Jr. Sugeruję spanie z bronią pod poduszką. – Ja na pewno zamierzałem.

Wstając, powoli ruszyłem w dół korytarza i lekko zapukałem do pokoju Mo. Bez czekania na jej odpowiedź, wszedłem do środka, zamknąłem drzwi i westchnąłem.

– On nie miał tego na myśli, on... – Opadła szlochając na łóżko.

Moje serce napięło się i skręciło z gniewu.

– On nie jest po prostu sobą i...

– Jest dokładnie – powiedziałem miękko – sobą, i to od dawna jest problem. Kiedy w końcu zaakceptujesz kim jesteś... stara ty zniknęła, będąc zastąpioną jedyną prawdziwą rzeczą w życiu.

– Krwią – wyszeptała.

– Krwią – zgodziłem się, siadając na jej łóżku. – Jeśli to ma znaczenie, przykro mi, Mo. Przykro mi, że to nie skończyło się tak jak chciałaś.

– Zamierzasz uderzać do mnie teraz? Pocałować i sprawić że będzie lepiej? Przytulić i poklepać po ręce, czekając tylko, aż moje serce się uzdrowi, żebyś mógł mnie poślubić i dać mi fałszywe obietnice fałszywej przyszłości?

Obliziałem usta i oferowałem moją dłoń.

– Absolutnie nie. Zamierzam po prostu trzymać cię za rękę.

– Och.

Ścisnąłem jej palce.

– Będę tu... jeśli mi pozwolisz... będę tu.

– Nie wiem czego chcę. – Ścisnęła mocniej moją dłoń.

– To też w porządku. – Położyłem się obok niej, trzymając ją za rękę, ale jej nie dotykając.  
– Czasami w porządku jest po prostu... być.

# CHAPTER 43<sup>MO</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Kiedy poślubiasz mężczyznę, poślubiasz mafię. Nikt ci niczego nie mówi... dopóki  
nie jest już za późno.*

Dłoń Sergio ścisnęła moją mocno, tak mocno, że mogłabym przysiąc iż straciłam czucie. Myślę, że na swój własny dziwny sposób chciał mnie pocieszyć... ale rzecz odnośnie pocieszenia? To działa tylko wtedy kiedy jest to właściwa osoba, a on? On był przeciwieństwem właściwej. Zawsze był.

Niewłaściwy dla mnie.

Złe wyczucie czasu, złe wspomnienia, po prostu wszystko wokół złych decyzji otaczających osobliwy związek mój i Sergia.

Tex, chciałam Tex'a, ale on nie wrócił. Nie, człowiek który właśnie mnie poderwał z podłogi i do cholery posadził przed moim bratem jak niemowlaka? To nie był człowiek, którego kochałam to był ktoś zupełnie inny. Musiałam wierzyć, że to była gra, sposób na odepchnięcie nas przez to co planował zrobić. Mimo wszystko, ludzie nie przestają tak po prostu być sobą, no nie?

– Rozmyślasz nad wyraz mocno jak na kogoś kto powinien spać. – Sergio ziewnął i odwrócił się do mnie. Jego ciemne, jedwabiste włosy opadły na pokrytą lekkim zarostem szczękę. Naprawdę był ładny i przyjemnie się na niego patrzyło.

Ale ja nie chciałam ładnego.

Chciałam złego dla siebie.

Chciałam brudnego, niebezpiecznego. Łaknęłam burzowo–niebieskich oczu, Sergia były zbyt zielone jak na mój gust.

– Zdałem? – Uśmiechnął się, jego białe zęby błysnęły w ciemności.

– Co mianowicie?

– Inspekcję?



Uśmiechnęłam się i odwróciłam wzrok.

– Ałć. – Sergio westchnął. – Najwidoczniej nie.

– To nie ty...

– To nie ty, to ja... – Zaśpiewał. – Słyszałem to raz, słyszałem i tysiąc razy. Mo, wbrew własnemu zdrowemu rozsądkowi, jestem tutaj z tobą. Wiem do kogo należy twoje serce, nie zamierzam próbować przeciągnąć cię z ciemnej strony. Pokrzepienie, z tego powodu tutaj jestem więc przestać gapić się na mnie jakbym zamierzał spróbować zdjąć ci koszulkę albo cię pocałować.

– Przepraszam – wychrypiałam, momentalnie czując się winna za myślenie o nim dokładnie w taki sposób.

– Śpij. – Sergio pocałował mnie w głowę. – Będę czuwał dopóki nie zaśniesz i zastrzelę każdego kto wlezie przez te drzwi.

– Nawet Nixona? – Ziewnęłam i przekręciłam się na bok.

– W szczególności Nixona. Nazbierało mu się od pewnego czasu. Ale nie zaprzataj tym swojej małej ślicznej główeczki – jedynie go drasnę.

– Łał, super historia do podusi, Sergio, naprawdę, powinieneś uczyć dzieci czy coś.

– Niech to diabli, myślisz, że minąłem się z powołaniem?

– To jest dokładnie to co mówię.

Jego ciepły chichot wyciszył mnie, nie na tyle aby się całkowicie rozluźnić ale wystarczająco aby nie chcieć krzycheć czy ryczeć czy wytargać wszystkich kłaków ze swojej głowy albo Tex'a jeśli o to chodzi.

– Śpij.

– Jaki apodyktyczny.

– Śpij – wyszeptał, tym razem bardziej surowo. – Jak nie zamkniesz oczu to będę śpiewał a mam gówniany głos.

– Wierz mi, że wiem. Zazwyczaj siedziałam obok ciebie podczas mszy.

Sergio zaśmiał się lekko. – Faceci nie są stworzeni do śpiewania tylko do strzelania.

– No nie, jesteś jak chodząca erudycja.

– Dobranoc, mafijna księżniczko.

– Branoc. – Westchnęłam i poddałam się ciężkości w swoim ciele, kiedy moje powieki zrobiły się jak z ołowiu a moją ostatnią wizją były usta Tex’a tuż przed tym jak miał mnie pocałować.

# CHAPTER 44<sup>TEX</sup>

*Mafia jest organizacją, to planowanie, to strategia ale nade wszystko to Rodzina. Ludzie rzadko rozumieją jak lojalna Mafia jest, tak się dzieje aż jest za późno i ta lojalność przechodzi test. Większość z tych ludzi kończy swój żywot.*

Czułem się jak totalne gówno. Korekta, spałem jak gówno które żywi się gównem, które twoja złota rybka wydała ze swoim gównem kiedy ma sraczkę – tak do cholery, jesteś w niewłaściwym miejscu kiedy zaczynasz porównywać swoje życie do rybiej kupy.

To pewnie ma to coś wspólnego z tym planem jaki obmyśliliśmy z Phoenixem. No tak, to była najgorsza z możliwych rzeczy do rozmyślenia przed snem. Staralem się myśleć o Mo ale za każdym razem gdy to robiłem, mój żołądek wywracał się od mdłości i niepokoju. Byłem skończonym dupkiem dla niej i dla Chase'a ale jak powiedział Phoenix... wszystko od teraz zależało od moich zdolności do pełnego wczucia się w rolę.

Bez żalu.

Kazał mi przysiąc nie tylko na moje własne życie, ale mojej siostry i Mo.

A ja traktuję moje przysięgi poważnie – wszystkie z nich.

Po kręceniu się z boku na bok do piątej rano, wiedziałem, że już więcej nie zasnę więc założyłem buty do biegania i złapałem komórkę.

Dwie godziny później, pot lał się z całego mojego ciała a ja nadal czułem się jak ta przeklęta złota rybka, wywalona brzuchem do góry i chora. Rzeczy miały być gorsze zanim staną się lepsze i pewnie dlatego miałem z tym problem.

Kiedy spodziewasz się nadciągającej burzy możesz się na nią przygotować, ale kiedy ty jesteś tą burzą? Kiedy ty jesteś jedyną przyczyną wszystkich szkód? Wtedy jest do dupy. Ludzie rozprawiają o skutkach burzy ale nigdy nie mówią o tym co było wcześniej... wcześniej jest gorsze. Mimo wszystko przewidywanie jest zawsze gorsze niż końcowy efekt.

Musiałem wierzyć, że istniało światelko na końcu tunelu no bo jeśli nie, wtedy miałem przejebane.

Gwiżdżąc, szarpnięciem otworzyłem drzwi do domu i wszedłem do kuchni. Chase stał tam bez koszuli, pot ściekał mu po klatce piersiowej kiedy pałaszował cynamonową bułeczkę popijając ją kawą. Zaburczało mi w brzuchu od zapachu świeżych wypieków.

– Upiekłem bułeczki. – Oczy Chase’a zmrużyły się nad kubkiem parującej kawy. – Po tym jak obiliśmy worek z twoją podobizną na nim.

– I co się stało z moją gębą? – zapytałem, szczerze zaciekawiony.

– Nie dowiem się. – Chase wzruszył ramionami. – Zmęczyłem się boksowaniem i ostatecznie wyciągnąłem spluwę. Kupię jutro Nixonowi nowy worek treningowy.

– Hmm, spieniłeś się na coś, Chase?

– Nie wiem Tex, znów chcesz mi przywalić zniecka i się przekonać?

– Panie. – Nixon wparował do kuchni. – Schowajcie te jajniki z powrotem do portek i wyhodujcie jaja – nikt nie będzie nikomu przywalał.

– I kto tak mówi? – parsknąłem wspierając dłonie na blacie.

– Mówi facet, który umieści kulkę w twojej główce jeśli nie łapiesz aluzji co do nie obrażania go w jego własnym domu. – Nixon ziewnął i sięgnął po kubek a potem podał mi jeden. – Kawy?

– Prawdopodobnie czas by przejść na emeryturę kiedy grożenie przyjaciołom przy kawie wydaje się normalne, Nixon. – Wziąłem kubek. – Tak tylko mówię.

– Sprawiedliwie. – Naprawdę musiałem walczyć z chęcią roześmiania się kiedy zasiniaczony policzek Chase’a błysnął pod kuchennym oświetleniem. Phoenix powiedział, że trzeba odwrócić role, być nieprzewidywalnym. Uderzenie Chase’a było jedynym sposobem jaki mogłem wymyślić by zatrząść sprawami bez faktycznego postrzelenia kogoś. Wzbudziło to podejrzenia ale wciąż pozwoliło mi pozostać w domu aż nadejdzie pora.

– Nienawidzę poranków. – Trace szurając pojawiła się w kuchni z włosami związanymi w kucyk i oczami jak szparki. – Kawy dla mnie.

Chase podał jej swój własny kubek i wziął inny dla siebie. – Dobrze spałaś?

– Przepraszam czy ty aby właśnie do mnie mówisz w tej chwili? Zanim w ogóle wzięłam łyżeczek? – Jej oczy rozszerzyły się kiedy pochyliła się w kierunku Chase’a.

Notatka dla siebie, najpierw kawa, potem pogaduchy.

Chase uśmiechnął się protekcjonalnie i poklepał ją po głowie. – Och, jesteś taka zadziorna, jak mała... myszka.



– Wyzwiska doprowadzą cię donikąd. – Odpaliła Trace.

Chase krzywo się uśmiechnął. – To nie to co mówi Mil.

– Mil mówi, że jej mąż musi przestać wszczynać burdy z ludźmi mniejszymi od niego. – Mil oświadczyła wchodząc do pokoju.

Cała twarz Chase'a się rozświetliła.

Odwróciłem wzrok. Nie chciałem widzieć wszystkich szczęśliwych i razem, nie kiedy moje własne pochrзанione życie było takim bajzlem. Nie, kiedy musiałem zrobić to co zamierzałem. Do diabła, nie potrafiłem nawet spojrzeć im prosto w oczy bez uczucia winy tnącego mnie na kawałki.

Złapałem gazetę w chwili gdy całe pomieszczenie ucichło i atmosfera stała się napięta jak cholera. Wiedziałem, że to była Mo. Mogłem to stwierdzić po tym jak zmieniło się powietrze, po tym jak moje ciało zalał żar tylko przez to, że była w pobliżu. Bardzo powoli uniosłem głowę znad gazety i wybałuszyłem gały.

To co zobaczyłem kazało mi sięgnąć po pistolet.

Sergio szeptał coś do jej ucha kiedy nalewał jej kawę. Jasna cholera, normalnie połamię mu tą łapę.

Zawinął swoją drugą rękę wokół niej i dotknął jej ramienia. Tylko żartowałem, połamię mu obie giry i wcisnę mu je do gęby.

Mo uśmiechnęła się do niego.

Chwyliłem stół lewą ręką, moje palce wbiły się w drewno.

– Spokojnie. – Nixon wyszeptał obok mnie. – Nie chcemy być zmuszeni do kupna nowego.

– Nowego Sergio czy nowego stołu? – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– Jedno jest nie do zastąpienia.

– Co? – Opuściłem wzrok. – To jest antyk?

Nixon uśmiechnął się krzywo. – Mam na myśli Sergio, bałwanie.

Wzruszyłem ramionami i wróciłem do swojej gazety i czytałem, no wiecie jeśli przez czytanie rozumiecie gapienie się na to samo zdanie kiedy usiłowałem podsłuchać rozmowę Mo i Sergio.

– Rodzinny obiadek. – Chase ogłosił siadając obok mnie. Przesunąłem się w kierunku Nixona i skrzyżowałem ramiona.

Wkurwiony. Musiałem wyglądać na wkurwionego.

I gotowego ich pozabijać.

Ich wszystkich.

– Rodzinny obiadek – powtórzył Nixon, opierając się o oparcie krzesła. – Zorganizuję by Luka i Frank dali znać wszystkim. Większość z rodziny Alfero jest w mieście, Nicolasi przylecieli tego ranka, więc zaplanujemy coś około piątej.

Chase strzelił kostkami. – Mil pomoże mi w gotowaniu.

– Pewny jesteś tego? – Phoenix wkroczył do kuchni, raz rzucił na mnie wzrokiem i odwrócił spojrzenie – żadnego dowodu uznania. Żadnych emocji. Cholera, dobry był. – Ostatnim razem kiedy jadłem coś co ugotowała, miałem zatrucie pokarmowe.

– Miałam pięć lat. – Mil przewróciła oczami. – I to była masa na ciasteczka, winię surowe jajko.

– Zwróćcie uwagę, że powiedziała surowe. – Phoenix klapnął na swoje krzesło. – Będę pomagał dziś Luce i Frankowie.

– Ekstra. – Nixon pociągnął nosem i ukradł część mojej gazety. – Upewnij się jedynie, że nikt nie zastrzeli nikogo w drodze tutaj.

– Niczego nie mogę obiecać. – Phoenix powiedział bez emocji. – Ale zrobię im wykład.

– Wykład? – Trace zapytała cicho choć wydawała się dużo mniej nieprzyjazna niż wcześniej.

– No. – Phoenix nie nawiązał kontaktu wzrokowego. Nie byłem pewny czy czuł się winny odnoście tego co się wydarzyło albo tego co miało się wydarzyć, tak czy owak jego spojrzenie powędrowało do drewnianego stołu kiedy wzruszył ramionami i odpowiedział. – Jedność, kulka za kulkę, cios za cios, ty zabijesz moją Rodzinę, ja unicestwię twoją, no wiesz... Wykład.

– Acha. – Trace zmrużyła oczy. – Nie uczą nas tego w szkole.

– Mówiąc o szkole. – Mo w końcu przemówiła. Jej głos sprawił, że całe moje ciało się spięło... Nie miałem pewności czy to z uzależnienia, tęsknoty czy strachu. Może całej trójki. – Chcę się zapisać na semestr zimowy.

Wszystkie oczy przemknęły do niej.

Trace odchrząknęła. – Powinnam chyba dołączyć do ciebie.

– Ja też. – Mil wolno pokiwała głową. – I tak został mi jeszcze rok do skończenia.

– Czekaście. – Nixon uniósł rękę. – Chcecie wrócić do Eagle Elite?

– Czemu nie? – Trace wzruszyła ramionami. – Przecież nikt nie będzie mordował nas za żelaznymi bramami.

Nixon zerknął na mnie, spuściłem wzrok, moje oczy były winne. To była moja sugestia. Nie mogłem uwierzyć, że Mo mnie posłuchała. No ale, może mogłem.

Ona ruszała ze swoim życiem.

I to bolało jak cholera.

Część mnie chciała by walczyła, olbrzymia część mnie pragnęła aby sforsowała każdą granicę jaką ustanowiłem. Zamiast tego posłuchała mnie. Realizowała swoje obietnice a choć raz w swoim życiu naprawdę chciałem by tego nie zrobiła.

Sergio sięgnął przez stół i dotknął rękę Mo by zyskać jej uwagę. Chwyciłem jeden z noży do masła w swoje palce w oczekiwaniu na obcięcie jego.

– Świetny pomysł Mo. – Mrugnął do mnie okiem. – Zawsze mogę pojechać z wami kiedy będziecie się zapisywać. Nowy dziekan jest moim bliskim przyjacielem.

– To prawda. – Nixon powiedział powoli. – W porządku, ale nie wcześniej jak będą miały zacząć się zajęcia zimowe, okej?

– Super. – Mo wzięła łyk kawy i spojrzała wprost na mnie. Uśmiech, który był pierwotnie na jej buzi przekształcił się w coś co nigdy nie pomyślałbym, iż dożyję by zobaczyć skierowane bezpośrednio do mnie.

W strach.

# CHAPTER 45 PHOENIX

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Życie zawsze odstawia okazje do odkupienia*

– Nixon? – Odchrząknąłem. – Minutka?

Z lekkim przytaknięciem głową, Nixon wstał, pocałował Trace w głowę i poprowadził mnie do swojego gabinetu zamykając za sobą drzwi.

– Co się dzieje?

– Nic takiego. – Podparłem ręce o tył głowy i westchnąłem. – Tylko, że... napotkałem przeszkodę.

Zacisnął wargi. – Jakiego rodzaju przeszkodę?

– Żeńskiego rodzaju.

– Jest w ciąży?

– Co? – Sapnąłem z przerażenia. – Nie, co? Czy kto jest w ciąży?

– Spokojnie. – Nixon się wyszczerzył. – Tylko żartowałem i nawet nie mam pojęcia o kim mówisz.

Pot zaczął ściekać mi ze skroni. Moje ciało domagało się ruchu więc chodziłem w te i z powrotem by pozbyć się całego napięcia i niepokoju buzującego we mnie.

– Bee. – Odchrząknąłem. – Siostra Tex'a.

– Powiedz mi, że nie jest martwa.

– Nie jest. – W sumie to kobieta będzie moim gwoździem do trumny a nie na odwrót. – Utrudnia jedynie życiem tym, którzy teraz nad nią czuwają. Pomyślałem, że może byłoby dobrze sprowadzić ją tutaj na kolację i przedstawić rodzinie. Alfonso został uspokojony na moment.

– Jak? – Nixon oblizał wargi.



– Luca kazał mi uporać się z sytuacją. – Przekrzywiłem głowę na bok i zmrużyłem oczy, zasadniczo wyzywając go by zaczął we mnie wątpić.

– Więc... problem rozwiązany? Tak po prostu? – Skrzyżował ramiona.

– Na tę chwilę... – powiedziałem powoli. – Tak, tak po prostu.

– Czy chcę wiedzieć jak?

– Nie – powiedziałem szczerze. – Ale nawet gdybyś chciał to nie powiedziałbym.

– Kuźwa. – Nixon westchnął. – Luca naprawdę nieźle cię przeciorał, nieprawdaż?

Wzruszyłem ramionami. – No więc co z Bee?

– Czy to nie będzie jak wymachiwanie flagą przed klanem Campisi?

– Ależ tak. – Uśmiechnąłem się. – Tak właśnie będzie.

– Mamy twojego bossa i jego siostrę i zamierzamy zrobić co? Iść na wojnę?

– Żadnej wojny. – Wsunąłem ręce do przednich kieszeni. – Poza tym Alfonso został uspokojony, i tak nigdy jej nie chciał. W istocie to w chwili mojej infiltracji rodziny nie mógł się jej pozbyć wystarczająco szybko, ona ma... dziką passę.

– Dziką w sensie kapryśną?

– Dziką w sensie postrzelenia mnie w ramię. – Kaszlnąłem. – Dziką.

– Ach, więc w końcu spotkał swój swego.

Poczułem jak zbladła mi twarz a całe ciało zamieniło w posąg.

– Nie, ja nie... to znaczy... nie byłem z dziewczyną. Posłuchaj, może tak być czy nie?

– Phoenix...

– Proszę o pozwolenie.

– Sprowadź ją – warknął. – I Phoenix jeśli potrzebujesz z kimś pogadać albo...

– Daję radę – odparowałem i złapałem klamkę od drzwi. – Do zobaczenia wieczorem.

– Uważaj na siebie. – Zawołał.

– Postaram się. – Skłamałem. Ponieważ słowa bezpieczny nie użyłbym do opisanego tego czym byłem przy Bee. Spróbujcie... torturowany. I teraz kiedy puściłem parę z ust do Tex'a, teraz kiedy grałem na dwa fronty z nadzieją, że rezultat końcowy będzie tego warty, moje całe życie zależało od zaufania do Tex'a i jego siostry jak również do Nixona.

Telefon zawibrował mi w kieszeni. Spojrzałem na wyświetlacz.

*T: Jest cała twoja. Suka mnie ugryzła.*

Do diabła, zapowiadało się na długą noc.

# CHAPTER 46<sup>Mo</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Zasada Sycylijskiej Mafii #5: Nigdy nie oglądaj się na żony czy przyjaciół.  
Nigdy.*

TEX ZNIKNAŁ NA WIĘKSZOŚĆ poranka i popołudnia. Ale do czasu aż zapach kolacji zaczął roznosić się po domu, byłam gotowa zabarykadować drzwi pokoju i w nim zostać.

Mój plan był prosty; spowodować, żeby zareagował, w jakikolwiek sposób. Zareagował, dobrze, tylko nie w sposób w jaki się spodziewałam. Niemal rozerwał stół na pół gołymi rękoma, i jestem całkiem pewna, że w którymś momencie rozważał dźgnięcie Sergia nożem do masła. Ale to było to.

Wypuściłam oddech i zgarbiłam się w moim wielkim fotelu, patrząc na siebie w lustrze.

To był czas na plan B.

Sprawić, żeby chciał.

Zakładanie tego białego bikini nie wchodziło w rachubę, może krótka sukienka? Wiem, że powiedzieliśmy sobie do widzenia, ale część mnie zastanawiała się co by się stało jeśli bym o niego walczyła? Co jeśli bym walczyła o nas? Musiała się bardziej postarać? Czy to nie to, co robią żony dla swoich mężów? Walczą dopóki nie zostaje już nic. I ja zamierzałam zrobić to samo. Jeśli tylko zdołałabym przekonać go, że pojedę za nim gdziekolwiek, zrobię cokolwiek, żeby z nim być. Nawet jeśli to oznacza przeniesienie się na Sycylię, nawet jeśli to oznacza zostawienie mojej własnej krwi.

Głośne pukanie przerwało moje myśli kiedy dwie głowy wsunęły się przez drzwi. Trace i Mil.

Obie miały szerokie uśmiechy na twarzy.

– Co? – Moje oczy zwęziły się kiedy zakładałam ręce na piersi. – Laski, wyglądacie podejrzenie.

Śmiejąc się, wpadły do mojego pokoju. Te dziewczyny nie odczuwały troski, to albo świetnie ukrywały swój strach. Kolacja nie zapowiada się przyjemnie.

– Więc. – Mil roztrzepała swoje włosy przed lustrem, kiedy Trace podeszła do łóżka i usiadła. – Zamierzamy sprawić, że będziesz wyglądać zjawiskowo.

– Mówisz, że nie wyglądam zjawiskowo teraz? – Sapnęłam, ciągnąc za moją koszulkę New York Giants.

– Tex nienawidzi Gigantów. – Mil się roześmiała.

– Wiem. – Uśmiechając się, spojrzałam w dół. – Pomyślałam, że spodoba mu się jak się z nim nieco podroczę tego poranka.

– Taaa, i to nie skończyło się dobrze. – Trace powiedziała z łóżka.

– Hej! – Rzuciłam w nią poduszką. – Kiedy Nixon był dla ciebie wredny, kto ci pomógł?

– Um, nie ty? – Złapała poduszkę. – Na koncie miałas pięć miliardów sekretów i odmówiłaś podzielenia się choćby jednym.

Machnęłam na nią.

– Wymówki.

– Jest dupkiem. – Mil zauważyła. – Wciąż go chcesz?

Oblizalam usta i spojrzałam w dół na moje zaciśnięte dłonie.

– Dał mi godzinę... – Moje ramiona się napięły. – A potem kolejne dwie, żeby się pożegnać... spaliśmy ze sobą i to było to.

– Drań. – Mil syknęła, kiedy oczy Trace wypełniły się łzami w moim imieniu.

– Jest dobrze – skłamałam. – On po prostu robi to co uważa za słuszne.

– Co jest prawdopodobnie złe. – Brwi Mil się wygięły. – No wiesz, odkąd jest facetem i tak dalej.

– To tak bardzo, bardzo prawdziwe. – Trace się zgodziła.



– Więc. – Mil zatarła ręce. – Wsadzimy cię w seksowną czarną kieckę, szpilki i pomalujemy rażąco czerwoną szminką, w odcieniu striptizerki, której Chase nigdy nie pozwala mi użyć, mówiąc, że przypominam mu jedną z nich.

– Ciągnie swój do swego. – Trace podniosła rękę, żeby przybić jej piątkę.

– Zgodzę się z tym. – Mil przybiła.

Wywróciłam oczami i pozostałam na miejscu.

– Nie mam ochoty stroić się tylko po to, żeby zostać odrzuconą przed swoją rodziną.

– Głowa do góry. – Mil się uśmiechnęła. – Chase robi to na co dzień.

Kiedy obie dziewczyny zaczęły iść w moją stronę, wiedziałam, że nie mam innego wyjścia jak zgodzić się i pozwolić im pomóc.

Może, tylko może, to zadziała.

\*\*\*\*

Godzinę później, byłam całkiem pewna, że Mil była pod wrażeniem, że lakier do włosów potrafi utrzymać *wszystko* na miejscu, nie tylko włosy. Byłam jak chodząca mgła aerozolu, kiedy stanęłam przed lustrem poprawiając sukienkę i patrząc na moje kreski na oczach.

Pomalowały mnie jasno czerwoną szminką, przydymionymi cieniami do oczu i natapirowały mi włosy aż błagałam o litość. Taaa striptizerki mogą mi naskoczyć.

Moja sukienka oficjalnie była tak krótka, że bałam się podnosić cokolwiek z podłogi, chyba że chciałam doprowadzić starszych członków klanów do wylewu, a moje szpilki Michaela Kors'a sprawiały, że miałam niemal metr osiemdziesiąt wzrostu, stosunkowo jak wielkolud.

Pukanie.

To były dziewczyny. Powiedziały, że wrócą po mnie, co było bardziej jak groźba, a jeśli bym próbowała wymknąć się przez okno, wytropią mnie i sprowadzą z powrotem. Wiedziałam, że nie żartowały. To były Mil i Trace.

– Gotowa? – Mil zerknęła zza drzwi i uśmiechnęła się łobuzersko. – Niech cię cholera dziewczyno, odpicowałam się.

Trace puściła mi oczko i pchnęła drzwi szerzej. Obie miały obcisłe, koktajlowe sukienki, które nie były choćby w zbliżeniu tak krótkie jak moje. Mil miała gładką sukienkę bez

ramiączek w kolorze granatowym, w połączeniu z ciemnoszarymi szpilkami, a Trace założyła białą sukienkę z czerwonymi szpilkami.

Jak widać byłam jedyną striptizerką z Vegas w towarzystwie. Fantastycznie.

– Chodź. – Mil wyciągnęła rękę. – Rodzina zaczyna się zjeżdżać, a Chase w kuchni panikuje nad krewetkami.

– A jakżeby inaczej. – Złapałam jej dłoń i poszłam za dziewczynami w dół korytarza w stronę śmiechów i zapachów.

Chase był w kuchni, wlewając w siebie wino z jednej ręki i mieszając coś drugą. Jego fartuch był obryzganym czymś żółtym i wyglądał na odrobinę wstawionego.

– Chase? – Mil stanęła za nim. – Zostawiłeś jakiejś krewetki?

– Nienawidzę krewetek – wymamrotał. – Taaa, zostawiłem je po tym jak masło po świńsku obryzgało cały mój fartuch i... – Przestał mówić kiedy jego oczy skanowały mnie od stóp do głów. – Tex posra się w gacie.

– Tex? – Nixon wszedł do pomieszczenia, spojrzał na mnie, dwukrotnie, a następnie ruszył w moim kierunku. – Zapomnij, odwróć się, idź przebrać.

– Nie jestem dzieckiem. – Założyłam ręce na piersi, sprawiając, że moje cycki wyglądały na większe w tej kiecce bez ramiączek. Wiedziałam, że wyglądały na większe, bo sukienka była tak ciasna, że możliwe, że zemdleję w każdej chwili.

– Cholera, Mo! – Nixon uderzył Chase'a, prawdopodobnie dlatego że był najbliżej i sięgnął po butelkę wina. – To nie jest otwarta dyskusja, przebierzesz się. Teraz.

– Nie, nie przebierz. – Trace zakwestionowała. – Bo to moja sukienka i pamiętam, że powiedziałeś mi, że jeśli jej nie kupię, wrócisz do sklepu i ją weźmiesz.

Oczy Nixon'a rozbłysły.

– Dla *ciebie*.

– Więc dlaczego Mo nie może pożyczyć moich ciuchów?

– Taa. – Chase zapiszczał z szerokim uśmiechem. – Dlaczego Mo nie może zakładać ciuchów twojej żony?

Nixon zamknął oczy i uszczypnął się w grzbiet nosa.

– Mo... – Przełknął, jego jabłko Adama poruszało się w górę i w dół. – Proszę? Tex zdriczeje nie mogę... on nie może zdriczeć w tego typu środowisku.

– Tex jest dużym chłopcem. – Puściłam ręce luźno. – Bardzo dużym chłopcem.

– Nie musiałem tego wiedzieć. – Nixon zakaszłał w rękę i spojrzał bezradnie na Chase’a, który zaoferował mu kieliszek wina i poklepanie po plecach.

– Będzie dobrze. – Skłamałam, wiedząc dobrze, że nie będzie dobrze kiedy Tex mnie zobaczy, jego reakcja prawdopodobnie będzie gorsza od tej Nixon’a, a Nixon właśnie kończy połowę butelki i patrzy na mnie jakby piorun miał uderzyć we mnie w każdej chwili.

– Nixon. – Sergio wszedł do pokoju, pisząc na swoim telefonie. – Klan Nicolasi właśnie zaparkował... będą chcieli wina. – Spojrzał w moim kierunku i przeklął całą mocą po czym opadła mu szczeka. – Cholera, Nixon, zrób coś!

– Z czym? – Przeszłam obok niego i wzięłam lampkę wina ze stołu. – Z głodem na świecie?

– Wiesz cholernie dobrze o czym mówię. – Sergio się skrzywił.

– Jest dorosła. – Nixon wychrypiał, idę o zakład, że niemal zakrztusił się na słowie dorosła. – Może ubierać co tylko chce.

Sergio potrząsnął głową kilka razy zanim wymamrotał więcej przekleństw pod nosem i wyszedł z kuchni.

Wspólnie z dziewczynami pomogłyśmy Chase’owi z przystawkami jak i z winem, kiedy mężczyźni wypełniali dom, niektórzy w naszym wieku, ale większość trzy razy starszych niż my i obserwujących nas z takim typem ciekawości, który nie był komfortowy. Minęły wieki odkąd rodzina Nicolasi zdecydowała się na wizytę i nie byliśmy w całkiem dobrych stosunkach po tym jak mój ojciec wykopał ich z kraju.

Jeden ze starszych przeszedł i splunął na ziemię. Racja, dokładnie w tym rzecz. Szybko przeszłam nad plwociną i zaoferowałam gburowatemu mężczyźnie trochę wina, kontynuując poszukiwania Tex’a.

Minęła jakoś godzina od przyjazdu gości, kiedy wiedziałam, że Tex wszedł do pokoju.

Wszystkie rozmowy ustały.

Wszystkie oczy były wpatrzone za mnie. Powoli odwróciłam się, żeby zobaczyć Tex’a w szarych spodniach i białej koszuli. Wyglądał wystarczająco dobrze, żeby go zjeść, ze swoimi burzowymi, niebieskimi oczami, wypełniając każdy milimetr pomieszczenia.

Czekałam, żeby te oczy spoczęły na mnie.

A kiedy tak się nie stało, zrobiłam krok w tył, gdy niebieska furia w ciągu sekundy zmieniła się z burzy w huragan.

– Campisi. – Mężczyzna, który splunął na podłogę, skinął głową. – Dobrze cię widzieć, tak?

– To zależy. – Tex zrobił krok w tłum i przechylił głowę. – Czy będziemy mieć kłopoty dziś wieczorem?

Cholercia. Szybko rozejrzałam się w poszukiwaniu Nixon'a, ale on przyglądał się wszystkiemu z lekkim rozbawieniem. Co do cholery! Pocać się, nerwowo oblizywałam usta i czekałam aż ktoś coś powie.

Facet zachichotał.

– Ach, znów być młodym.

– Właśnie to zawsze mówię. – Luca podszedł i przyłączył się do śmiechu, a potem odwrócił się na chwilę do Tex'a, posyłając mu najmroźniejsze spojrzenie, jakie widziałam w całym moim życiu.

Frank, dziadek Trace skinął raz, a potem podszedł do Tex'a i zaprowadził go do pokoju.

– Powinieneś poznać kilku ludzi... godnych zaufania ludzi, którzy gardzili twoim ojcem.

– Przyjaciele mojego ojca są moimi wrogami. – Tex prychnął. – Wrogowie mojego ojca są moimi przyjaciółmi. – Wyciągnął rękę i zaczął rozmawiać, a ja patrzyłam w trwodze jak każdy mężczyzna w pokoju poprawiał krawat i skupiał się na Tex'ie jakby już był *Cappo*.

Wszedł do pokoju i zażądał ich wierności.

A oni ochoczo ją dali.

Z powodu krwi.

Uczucie zadławienia obmyło mnie kiedy spojrzałam w dół na moją sukienkę. Co starałam się dowieść? Moja walka o Tex'a nas nie uratuje.

Nie kiedy on już siedział w tym po uszy.

– Mo? – Sergio powiedział za mną. Podskoczyłam i odwróciłam się.

– Hmm?

– Wszystko dobrze? – Jego brwi ściągnęły się w niepokoju kiedy patrzył od Tex'a do mnie.

– Dobrze. – Machnęłam na niego. – Trochę się stresuję, dużo spluw w pokoju i tak dalej.

– Spluwy to narzędzia, spróbuj nie myśleć o nich jako o broni. Przecież to ludzie zabijają ludzi, pistolety są jedynie przedmiotami wykorzystywanymi do wykonania zadania.

– Pociuszające – prychnęłam.

– Potrzebujesz się napić. – Jego palce złapały mój łokieć, kiedy prowadził mnie z pokoju do kuchni.



# CHAPTER

Tęsknię do ciebie. – Cię potrzebuję.

# 47 PHOENIX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Sprawy wyglądają lepiej kiedy spędzasz czas z dala od kogoś lub czegoś na czym ci zależy. – Powiedział nikt. Nigdy.*

– Wsiadaj z tego przeklętego wozu. – Zacisnąłem zęby. – Już.

– Nie. – Bee skrzyżowała ramiona i oglądała sobie paznokcie.

Z jękiem irytacji zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie siebie walącego głową w drzwi auta z poczucia porażki.

– Bee. – Spróbowałem raz jeszcze. – Twój brat, ten którego jeszcze nigdy nie poznałaś, jest w środku, potrzebuję abyś wysadziła swój tyłek z tego siedzenia i się przywitała.

– Pojechałeś sobie. – Jej głos drżał.

Dobry Boże zasłużyłem na to, na to wszystko, ja, dramat, walkę. Zasłużyłem na to, ale nie musi mi się to podobać.

– Musiałem ocalić życie twojemu bratu. – Moje zęby uderzyły o siebie. – Najwidoczniej posiadam kompleks bohatera.

Parsknęła, a potem uśmiechnęła się, rząd białych zębów błysnął zanim wgrzył się w jej delikatne, różowe wargi i spojrzała ponownie na swoje stopy. W miejscu gdzie stałem byłem bezpieczny. Nie byłem w stanie wyczuć jej waniliowych perfum ani spojrzeć w jej szalenie ciemno niebieskie oczy. To było jak wpatrywanie się w ocean a ja naprawdę nie potrzebowałem tego rodzaju roztargnienia. Nie teraz. Ani nigdy. Przerzuciła swoje kasztanowe włosy. Byłem cholernie blisko zaskomlenia kiedy zapach wanilii wypłynął przez otwarte okno i osiadł na moim ciele, grożąc ogarnięciem całej logiki.

– Bee. – Otworzyłem drzwi do samochodu i pochyliłem się. – Przepraszam, że cię zostawiłem ale teraz tu jestem i nie odejdę dopóki nie będziesz bezpieczna. Masz moje słowo.

Jej zamknięte powieki zatrzepotały. – Obiecujesz?

– Przysięgam. – Mimo wszystko i tak prawdopodobnie wkrótce umrę.

Zaczerpnęła głęboki oddech i poprawiła swoją czarną, koktajlową sukienkę. Miała motylkowe rękawki i było zajebiście doklejona do jej ciała. Musiałem odwrócić wzrok kiedy wystawiła te długie nogi z auta i wstała.

Miała te nogi długie na mile, wiedziałem to, kopnęła mnie nimi dwukrotnie. Podobno miała mnie pomylić z piłką do nogi, to było jedyne wytłumaczenie dla sińców na obu moich łydkach i udach.

– Dobrze. – Stała, jej głowa niemal całowała moją brodę. – Ale tylko przez godzinę, a potem chcę porobić coś zabawnego.

– Zabawnego. – Zacisnąłem zęby. – Okej, dam ci pooglądać film Disneya.

Pchnęła mnie w pierś. – Phoenix, myślę że oboje wiemy iż nie jestem dzieckiem.

Zła rzecz do powiedzenia. Moje oczy momentalnie zawisły na jej kształtnej figurze. Nie, była dziewiętnastoletnią atrakcyjną kobietą ze zdolnościami do zrównania mnie z ziemią.

– Chodźmy. – Warknąłem trzaskając drzwiami od samochodu. Jej obcasy były trochę wyższe od tych jakie normalnie nosiła, zmuszając ją do tempa wolniejszego od żółwia z hemoroidami. – Jeszcze w tym roku, poproszę.

Wywróciła tymi niebieskimi oczami i przerzuciła swoimi przeklętymi włosami po czym wparowała do domu jakby chawira była jej własnością.

Byłem tuż za nią kiedy zapach jedzenia uderzył mój nos. Nie miałem zbyt dużego apetytu od mojego spotkania z Tex'em i im bliżej było do Komisji, tym gorzej się czułem.

– Kto to? – Mo zobaczyła nas pierwsza, jej uśmiech był promienny, sztuczny, ale promienny.

– Bee – powiedziałem w chwili gdy siostra Tex'a otworzyła buzię. – Siostra Tex'a.

– Bee? – Mo przekrzywiła głowę na bok.

– To taka ksywka. – Bee walnęła mi z łokcia w żebra. – Od tego jednego.

– Podoba mi się. – Mo uśmiechnęła się i potrząsnęła ręką Bee. – Chodź przedstawię cię dziewczynom.

– Nie. – Bee wyrwała swoją dłoń. – To znaczy, nie dziękuję. Ja chciałabym, um, tak naprawdę to wołałabym zobaczyć się z moim bratem.

– Och. – Twarz Mo straciła trochę ze swojego koloru. – Jest w salonie rozmawiając z jakimiś...

– Phoenix? – Tex podszedł do mnie. – Czy to?

Bee rzuciła się Texowi w ramiona.

– Wyglądasz jak ja!

Twarz Tex'a wybuchła w uśmiechu kiedy odwzajemnił jej uścisk po czym nieco odsunął ją od siebie.

– Myślę, że to oznacza iż jesteśmy spokrewnieni.

Bee roześmiała się, to pierwszy raz kiedy w zasadzie słyszałem jej śmiech i to Texowi udało się go z niej wydobyć. Oczywiście.

– Powinniśmy pomówić. – Buzia Bee była tak ożywiona, że aż bolało na nią patrzeć. – To znaczy później, wiem że masz teraz dużo na głowie i...

– Znajdę czas. – Tex jej przerwał. – Dla ciebie znajdę czas, dobrze jest widzieć cię zdrową i szczęśliwą?

Powoli skinęła głową.

– Phoenix trzyma ręce przy sobie? – Tex posłał mi piorunujące spojrzenie.

Bee zaprzeczyła kręcąc głową.

– Nie, pocałował mnie z jakiejś piętnaście razy. – Wyciągnęła się na palcach i głośno wyszeptwała. – Z języczkiem.

– Nie! – Uniosłem w górę ręce. – Ona kłamie, ma tendencje do wyolbrzymiania.

Lekko się zaśmiała i skrzyżowała ręce kiedy lodowate spojrzenie Tex'a nie opuszczało mojej twarzy.

– Kuźwa. – Przełknąłem ślinę i odwróciłem wzrok. – Przysięgam stary, nie dotknąłem jej, nie dotykam dziewczyn, wiesz o tym.

– Jesteś gejem? – Bee sapnęła.

Z jękiem na ustach jedynie potrząsnąłem głową i wszedłem do kuchni. Ona była teraz jego problemem, nie moim.

W chwili gdy nalałem sobie kieliszek wina poczułem dłoń na ramieniu. Kiedy się odwróciłem stałem klata w klata z Tex'em. Zajebicie.

– Potrzebuję abyś miał ją na oku.

– Jestem bardziej typem kuriera. – Próbowałem go wyminąć. – Nie niańczę.

– Proszę. – Oczy Tex'a błagały. – Ci ludzie... nie ufam im, jeszcze nie, a muszę być w stanie się skupić. Wiesz, że tak. Mam z tym i tak wystarczające trudności z Mo w tej przeklętej sukience.

Sukience? Jakiej sukience?

Wzruszyłem ramionami.

– Dobra, popilnuję jej przez tę noc a potem koniec, może wprowadzić się do Luki jak dla mnie, mam to gdzieś.

Tex parsknął. – To byłby dzień.

– Nie dowiesz się póki nie spróbujesz. – Wychyliłem kieliszek po czym postawiłem go na stole. – A teraz jeśli mi wybaczysz pójde założyc ochraniacz na genitalia... ostatnim razem nie byłem przygotowany na kopniaki.

– Kopniaki?

– Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

Szedłem wzdłuż korytarza z dźwiękiem męskiego śmiechu za sobą, tak, on śmiał się teraz. Tylko poczekaj. Bee była niecodzienną potęgą, z którą trzeba było się liczyć. Nie mogłem się doczekać aby się jej pozbyć.

*Akurat, tylko nie przestawaj sobie tego powtarzać.*



# CHAPTER 48<sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Zasada Sycylijskiej Mafii #8: Pytany o wszelkie informacje, musi odpowiadać prawdę.*

CZARNY, CZARNY, CZARNY, CZARNY, niech to cholera! Ludzie mówili do mnie, dotykali mnie, proponowali mi cygara, pobyt w ich domku wakacyjnym, ich pieprzone córki, a wszystko o czym mogłem myśleć to Mo.

W tej czarnej sukience.

Oficjalnie mój ulubiony kolor wszechczasów.

Na niej i tylko na niej.

Bycie obojętnym kiedy była w pokoju, to jak zaprzeczanie, że słońce świeci. Zaprzeczaj ile chcesz, ale na koniec dnia wciąż spłoniesz, jeśli nie masz ochrony przeciwsłonecznej.

Smażyła mnie.

– Więcej wina? – O wilku mowa. Mo niosła butelkę w jednej ręce i małą tackę krewetek w drugiej.

– Cudownie. – Frank Alfero mrugnął do Mo. – Czytasz mi w myślach.

– Próbuje. – Uśmiechnęła się i zaoferowała nam jedzenie.

– Moja córka. – Jeden z mężczyzn, którego imię mi uciekło, zaczął żuć krewetkę. – Jest bardzo piękna. – Skinął. – Będzie dobrą żoną.

– On jest żonaty. – Mo powiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Och... – Mężczyzna podniósł dłonie w górę. – Bez obrazy.

– Oczywiście. – Jej uśmiech był słodki jak miód.

– Mo. – Sergio podszedł do niej i owinał ramię wokół jej pleców. – Dlaczego tego nie odstawisz i nie zjesz czegoś?

– Och. – Zmarszczyła brwi. – Dobra.

– Zajmę się tym. – Sergio pomógł jej obrać kurs i szturchnął mnie kiedy nikt nie patrzył. Gnida.

– Troskliwy małżonek jest trudny do znalezienia. – Facet podniósł swój kieliszek w stronę Sergia. Cholera. Nie.

– Czyż nie? – Pochylił głowę i odszedł, czym prawdopodobnie ocalił swoje życie, biorąc pod uwagę, że rozmyślałem o tysiącu różnych sposobów na uduszenie go moimi gołymi rękoma.

– Komisja. – Frank odchrząknął. – Będzie dobra dla nas, starszych, do przedyskutowania nowych szefów.

– Powinna.

Kontynuowali rozmowę, nudząc mnie do łez, kiedy starałem się okazywać zainteresowanie. Kiedy rozmowa zeszała na rodzinę Nicolasi, przeprosiłem i poszedłem do kuchni.

Mo siedziała na jednym ze stołków, śmiejąc się kiedy Sergio podniósł winogrono do jej ust.

Czy on sobie kurwa ze mnie jaja robił.

– Jedz. – Rozkazał.

Mo wyróciła oczami i zabrała winogrono z jego ręki, sama wrzucając je sobie do ust. Grzeczna dziewczynka.

Sięgnęła po kolejne, jej ręka zderzyła się z jego. Zła dziewczynka, zła, zła, dziewczynka. Wyszarpując, przeprosiła.

– Nigdy nie przepraszaj za trzymanie mojej ręki – powiedział surowo.

Ona nie trzymała twojej ręki, kutasie, sięgała po winogrono!

– Jesteś piękna.

Jakim prawem tak do niej mówił! Moja krew gotowała się kiedy złapał kosmyk jej włosów, moich włosów, wsuwając go za ucho i pochylił się.

– Sergio – powiedziałem ciętym tonem. – Frank cię potrzebuje.

– Jesteś pewny?

– Idź. – Warknąłem.

Powoli, Sergio odsunął się od Mo i przeszedł obok mnie, uderzając mnie w klatkę swoim ramieniem. Taaa, rób tak dalej koleś, zobaczymy kto skończy martwy rankiem.

Mo wstała ze stołka i zaczęła zbierać naczynia. Jej sukienka przytulała każdą krzywiznę ciała jak druga skóra. Potem pochyliła się nad ladą, niemal wysyłając mnie na skraj ataku hysterii kiedy sukienka podciągnęła się na jej tyłku.

– Mo – warknąłem. – Musisz się przebrać.

Jej ręka zawisła nad jednym z dań, mogłem zobaczyć każdy mięsień jej ciała, jak się napina, zanim odwróciła się i wzruszyła ramionami.

– Lubię moją sukienkę.

– To... – Wytknąłem. – ... nie jest sukienka i ty o tym wiesz.

– Och tak? – Odwróciła się w pełni do mnie, kładąc ręce na biodrach. – Cóż to w takim razie jest?

– Bielizna? – Zaproponowałem. – Chodzi mi o to, jeśli chcesz, żeby każdy facet w pomieszczeniu ślinił się na twój widok, wtedy całkowicie jestem z tobą, ale nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy jeden z nich przyprze cię do muru i zerwie tą namiastkę odzieży z twojego ciała.

Z sapnięciem, przycisnęła ręce do ust, a łzy zaczęły wypełniać jej oczy.

– Mo... – Mój głos się załamał. – Nie poproszę ponownie. To wygląda... desperacko. – Kłamstwa, wszystko kłamstwa, wyglądała pięknie, i nie mogłem być w tym samym pomieszczeniu z nią, nie mogłem się skoncentrować na choćby oddychaniu jeśli zamierza wciąż paradować w ten sposób. Byłem gotów zamordować każdego kolesia, który na nią spojrzy, nawet tych, którzy wiedziałem, że są w połowie ślepi z powodu wieku.

– Powinieneś iść. – Jej głos drżał. – Teraz.

– Mo...

– Proszę.

Zrobiłem krok w jej stronę i kolejny, dopóki nie byłem milimetry od jej twarzy.

*Uczyń to realnym!* Słowa Phoenix'a grzmiały mi w głowie.

Musisz sprawić, żeby uwierzyli, albo skazujesz ich wszystkich na śmierć.

– Dobra. – Wrzałem, szczerząc zęby. – Zakładaj co ci się żywnie podoba, to nie tak, że mi zależy, cokolwiek. Byłaś tylko małym zauroczeniem... czymś co... – Wyszczrzyłem się, nienawidząc samego siebie. – ... minęło z czasem. Ale teraz jak już cię miałem... cholera, kogo obchodzi czy oni wszyscy nie chcą spróbować co nieco.

Z krzykiem, spoliczkowała mnie raz, a potem drugi. Pozwoliłem jej. Lepiej żeby mnie nienawidziła, lepiej żeby mi wierzyła, lepiej, żeby była żywa.

– Nienawidzę cię.

Pochyliłem się aż niemal nasze usta się dotykały.

– Dobrze.

Przeszła szturmem obok mnie, zalana łzami. Oparłem się na blacie, pozwalając mojej głowie opaść luźno, kiedy mój żołądek pienił się ze złości i smutku.

– Ałć. – Phoenix powiedział zza mnie. – Nie powiedziałem, żebyś ją zniszczył, tylko, żebyś sprawił, żeby uwierzyła.

– Nie teraz. – Urwałem.

– Bee spędza czas z Trace i Mil. Lepiej miej nadzieję, że nie wbiją pazurów zbyt głęboko. Och i Nixon chciał, żebym ci powiedział, że czas na kolację. Wszyscy chcą, żebyś zmówił modlitwę.

Prychnąłem. Racja, miałem rozmawiać z Bogiem na oczach ludzi, których miałem zabić; to nie było świętokradztwo, wcale a wcale.

– Niech Bóg zmiłuje się nad moją duszą – wymamrotałem.

– Lepiej by tak było... – Phoenix wyszedł za mną z kuchni. – Bo ja robiłem rzeczy dużo gorsze niż ty i wciąż mam nadzieję, że zgniję w piekle.

– Jak nie my wszyscy? – Odetchnąłem, widząc każdą twarz jaką zamierzałem zdradzić.  
– Jak nie my wszyscy?



# CHAPTER 49<sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Cosa Nostra prosi tylko o dwie rzeczy: lojalność i milczenie. Właściwie  
rozważając to jedno umarłaby bez obydwu.*

Wszedłem do jadalni spodziewając się, że usiądę obok Nixona, nie ku mojemu horrorowi, byłem usadowionym u szczytu stołu. Niech to diabli, oni przygotowywali mnie już do roli, o którą nigdy nie prosiłem, bez żadnego innego wyjścia jak przyjęcia jej.

Z pewnością siebie, która zdawała mi się tak sztuczna, że miałem ochotę ryknąć, przeszedłem do szczytu stołu i stanąłem, nieśpiesznie przyglądając się każdej twarzy. Około czterdziestu osób zasiadało przy stole. Od zaprzysiężonych członków klanu Nicolasi przez współuczestników, po rodzinę Alfero.

I oni wszyscy patrzyli na mnie – nawet Nixon. Choć jego wzrok można by uznać za umiarkowanie zaciekawiony niż jakikolwiek inny. Cholera, tak bym chciał by teraz dopierdalał mi się do tyłka i pokazywał kto tu rządzi ale miał wcześniej rację. Oni wszyscy mieli. Objęcie władzy było jedynym wyborem by zagwarantować wszystkim bezpieczeństwo, więc nie wtrącał się, i zarówno nienawidziłem i kochałem go za to.

– Omerta, moi ludzie honoru. – Uniosłem swój kieliszek wina. – To upokarzające by stać przed wami, aby wyrwać swoje przyrodzone prawo z macek obłędu, aby domagać się tego co

było słusznie moim od przeszło dwudziestu lat. Ślubuję swoją lojalność, czy wypijecie również za swoją?

Każdy kielich się uniósł.

Przypieczętowane.

Załatwione.

Nawet Mo, drżącą ręką, uniosła swój kieliszek, i to kurewsko zabijało mnie by patrzeć jak przysięga do czegoś tak groźnego. To było jak kibicowanie ciemnej stronie dobrze wiedząc, że historia nie będzie miała żadnego żyli długo i szczęśliwie.

– *Salud!* – Podnieśli toast zgromadzeni.

Usiadłem gdy zaczęto podawać talerze. Mój wzrok co rusz przemieszczał się do Mo, ale za każdym razem kiedy na nią spojrzałem, była pogrążona we własnych myślach.

Tak było dopóki nie rozśmieszył jej Sergio. Znowu.

Potem dotknął jej nogi. Raz, drugi, trzeci.

Złapałem swój widelec.

– Wszystko gra? – Luca wyszeptał z mojej lewej. – Jeśli byłbym podejrzliwym facetem to powiedziałbym, że jesteś... zazdrosny.

– Luca. – Odwróciłem się do niego ze wzrokiem zimnym jak śmierć. – Zamknij się do cholery albo dźgnę cię nożem do steków.

Jego uśmiech był szeroki i niewzruszony.

– Campisi, zawsze tacy żądni krwi.

– Nicolasi zawsze tacy... strategiczni. – Zrobiłem aluzję.

Jego ręka zatrzymała się w pół drogi, wino miał uniesione do ust ale nie napił się.

– Jeśli mnie o coś oskarżasz, mów otwarcie.

Wzruszyłem ramionami. – Jedyne... obserwuję.

– I co widzisz? Hmm?

Phoenix powiedział, że możemy ufać Luce... Nienawidziłem tego, że prawdopodobnie miał rację bo ja nie znosiłem faceta. W rzeczywistości to nie uroniłbym łzy gdyby facet doznał wylewu, okrutne czy nie, facet był... śliski.

– Widzę alternatywne zakończenie – powiedziałem po cichu. – Takie, które ja kontroluję.

– A co jeśli stracisz tę kontrolę?

– Wtedy wszyscy przegramy.

– A jeśli wygrasz? – Jego oczy nabrały ciemnego odcienia gdy pochylił się na przód, jego ciemne włosy w bezpośrednim kontraście z jego jasnymi oczami. – Co stanie się wtedy?

– Twój plan się powiedzie.

Odrzucił głowę w tył i się roześmiał. – Brawo.

– Luca? – Frank odezwał się przez stół.

– Przepyszne wino, po prostu... idealny poziom pikanterii, nie sądzicie panowie?

Uniosłem kieliszek i ukradłem kolejne zerknięcie na Mo. Sergio dotykał jej włosów – znowu.

I wtedy starł coś z jej twarzy.

Warknąłem i rzuciłem serwetą na stół.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi, ale Mo zauważyła ruch, jak i Sergio.

Nie mogłem zrobić sceny ale niewiele brakowało. Byłem trzy sekundy od zrujnowania wszystkiego bo kutas nie potrafił trzymać łap przy sobie.

Godzina minęła jak powolne tortury, każdy śmiech z tamtej strony stołu sprawiał iż marzyłem o morderstwie, każdy dotyk doprowadzał mnie na skraj obłędu i każdy raz kiedy patrzyła na mnie tymi zranionymi oczami, był jak obrywanie prosto w serce pociskiem przesiąkniętym kwasem.

– Panowie. – Nixon wstał. – Whisky i cygara czekają w sali bilardowej.

Każdy wstał; ze mną włącznie i zaczął przemieszczać się w kierunku pokoju bilardowego. Kiedy Sergio obchodził stół, złapałem go za rękę ściskając i szepcząc: – Tylko piśnij a połamię ci palce zaczynając od małego.

Wywrócił oczami ale nic nie powiedział. Wiecie, że coś jest nie tak kiedy grożenie facetowi wywołuje bardziej irytację niż strach.

Wszystkie dziewczyny przeszły obok jak żony ze Stepford – wszystkie za wyjątkiem Mo.

– Sergio? – Niech to szlag, była dobrą obserwatorką.

– To nie twoja sprawa – powiedziałem gładko. – Musimy sobie tylko troszkę... pogadać. Jak facet z facetem.

Mo spojrzała w dół na nasze ręce i niewygodne wykręcenie jakie wywierałem na Sergia. Wyciągnęła rękę jakby chcąc mnie powstrzymać i wyszeptwała. – Tex nie krzywdź...

Delikatnie ją odepchnąłem i przeciągnąłem Sergio wzdłuż holu gdzie nikt nie usłyszy łamiących się kości.

– Tex! – Mo ruszyła za mną, jej zapach owinał się wokół mojej głowy, wszystko rozmywając. Zabić, chciałem go zabić za dotykanie jej, to nie było ostrzeżenie, zakończyłbym jego życie jeśli którakolwiek z jego części drasnęłaby ponownie jej.

– Nie dotykasz jej. – Wyplułem mu w twarz i wymierzyłem cios w wątrobę, nie wystarczająco mocny by go zabić, ale na tyle by cierpiał bardziej niż od kulki, którą mógłby zarobić ode mnie. – Nie patrzysz na nią. – Walnąłem nim o ścianę w korytarzu i przywaliłem w szczękę. Z przekleństwem osunął się, wypluwając krew. Podniosłem go za koszulę i raz jeszcze docisnąłem do ściany, tym razem moje kolano spotkało się z jego brzuchem, ostrym uderzeniem. – Nie oddychasz tym samym powietrzem co ona. Ona nie jest twoja aby się nią zajmować.

Sergio szeroko się uśmiechnął, jego uśmiech krwawy.

– Co? – Krew wypłynęła z jego ust. – A jest twoja?

Rzuciłem nim na podłogę i dźgnąłem palcem w pierś.

– Tak do cholery, jest moja!

– Nie! – Mo pchnęła mnie od tyłu. – Zostaw go w spokoju! On przynajmniej stara się mnie pocieszyć kiedy ty tylko doprowadzasz mnie do łez! – Biła mnie od tyłu swoimi piąstkami. – Nienawidzę cię! Słyszysz mnie? Nienawidzę cię!

Sergio trzymał ręce w górze, jego wargi wykręcone były od pogardy zanim dał nogę. Mo kontynuowała swoje natarcie na moje plecy. Kiedy skończyły się uderzenia, zaczęła kopać mnie swoimi obcasami.

Z przekleństwem na ustach odwróciłem się i podniosłem ją. Zamierzałem zamknąć ją w pokoju dopóki się nie uspokoi, ostatnią rzeczą jaka była nam potrzebna to by któryś z członków Rodziny zobaczył ją albo mnie w naszym obecnym napadzie szału.

– Nienawidzę cię! – Zawodziła, wciąż starając się kopnąć cokolwiek tymi swoimi kolczastymi obcasami.

Kiedy kopniakiem zamknąłem drzwi i postawiłem ją na nogach, znów natarła na mnie z fruwającymi pięściami.

– Mo! – Zrobiłem unik i złapałem ją za nadgarstki. – Skończ z tym!

– Nie! – Szarpnęła się ocierając o mnie, lzy ciekły jej po buzi, rujnując jej makijaż. – Nie masz prawa się odzywać! Nie kiedy odszedłeś! Nie kiedy poddałeś się bez walki! Jesteś słaby! I nienawidzę cię za to! Nienawidzę cię!



W moim sercu wzrosła wściekłość na jej słowa. Czy nie rozumiała, że ratowałem ją? Chroniłem ją? Z rykiem uwolniłem jej ręce i znowu podniosłem ciskając ją na łóżko, odbiła się raz i zawinęła ręce wokół mnie, może chcąc mnie udusić, nie miałem pewności. Spadliśmy na podłogę jedno na drugie. Próbowałem się podnieść ale wdrapała się na moje plecy i znow zaczęłam mnie okładać.

– Niech to szlag Mo! – W końcu udało mi się oderwać ją od siebie.

Sapiąc z wysiłku pochyliła się.

A ja totalnie straciłem rozum.

To był jedyny sposób by wyjaśnić czemu, zamiast uciec, natarłem w jej kierunku i pchnąłem jej napięte ciało na ścianę wystarczająco mocno aby fotografie rozbiły się o podłogę. Jej usta były już otwarte na mój pocałunek, kiedy zacząłem ją pożerać. Moje ręce przyszpiliły jej nadgarstki mocno nad jej głowę – to nie wystarczyło. Z warknięciem podniosłem ją z podłogi, złapała moje włosy obiema rękoma dla równowagi i jęknęła kiedy moje zęby rozdarły przód jej sukienki.

Wszystko w środku mnie przeskoczyło, kiedy moje usta nawodniły się jej smakiem – jak zwierzę, rozszarpałem przód jej sukienki i postawiłem na nogach jedynie na tyle długo aby zszarpać ten irytujący strój z jej ciała.

Potykając się wyszła z sukienki i wymierzyła mi policzek.

Potarłem szczękę i uśmiechnąłem z przekąsem.

– Zrób to raz jeszcze, wyzywam cię.

Jej oczy rozzarzyły się kiedy złapałem jej nadgarstki i szarpnięciem przyciągnąłem ją do siebie, nasze wargi stopiły się, gorące i potrzebujące. Sięgnąłem ręką do jej stanika i rozpiąłem go, Mo cofnęła się obnażając zęby.

– Ugryź mnie a tylko sprawisz mi większą przyjemność. – Odkopałem jej stanik na bok i czekałem, moja klatka piersiowa falowała od niekontrolowanego pożądania.

Oczy Mo błysnęły i w tym momencie jej paznokcie zatopiły się w mojej szyi, przeciągnęła nimi do kołnierzyka do koszuli po czym rozerwała ją, guziki poodlatywały. Nie mógłbym mniej się tym przejąć. Kobieta pierzenie upuściła mi krwi tymi paznokciami, kiedy moja koszula opadła na podłogę.

Jej dłonie wbiły się za pasek od moich spodni, szarpnięciem przyciągając mnie do niej. Przekrzywiła głowę i nasze usta znowu się zderzyły, tym razem w wolniejszym rytmie, bardziej będącym torturą. Polizała moje wargi wolnym, ospałym ruchem; przysięgam, że potrafiła imitować seks swoimi ustami. Rękami operowała przy mojej talii, a miękki jak piórko dotyk jej palców przesuwających się po mojej skórze, zostawiał po sobie piekielny żar.

Po raz pierwszy od wielu dni – czułem wszystko.

Wszystko to na raz było jak eksplozja dzwoniąca w moich uszach, chciałem zamknąć oczy od nadmiaru tych emocji – byłem otępiały od spotkania z Phoenixem, a teraz żyłem – krwawiłem i żyłem.

Mo odsunęła się i zdałem sobie sprawę, że rozpięła moje spodnie. Ze zdziwiałym blaskiem w swoich oczach, szarpnięciem ściągnęła je w dół, ciskając nimi o podłogę. Wyszedłem z nich prawie się potykając gdy pociągnąłem ją w ramiona, palce wbijając w jej włosy i ciągnąc tak mocno, aż się skrzywiła.

Jej głowa opadła w tył, odsłaniając szyję a ja w pełni to wykorzystałem ssąc jej skórę całą drogę do jej obojczyka – jednego z moich ulubionych miejsc.

Jej piersi drażniły moją klatkę a jej sutki stwardniały jak kamyki.

Moje ręce zaczepiły się wokół jej bioder i podniosłem ją po czym rzuciłem na łóżko.

Zsuwając bokserki powoli wczołgałem się na jej ciało, liżąc, smakując i przygryzając całą ścieżkę w górę jej nogi aż moja głowa znalazła się na równi z jej udem. Drżąc wygięła plecy w łuk i jęknęła.

I odwaliło mi, drugi, trzeci, może piąty raz tego wieczoru.

Moim jedynym celem było doprowadzić ją do wrzasków.

Kuźwa będę się smażył w piekle za odejście po czymś takim – ale nie mogłem... ona była moim narkotykiem – moim słodkim uzależnieniem – i potrzebowałem jej znacznie bardziej niż kolejnego oddechu.

– Tex! – To był pierwszy raz kiedy wymówiła moje imię odkąd ją zbeształem. Z szeroko otwartymi oczami pchnęła moją piersi. – Wciąż nienawidzę cię za to co robisz.

– To dobrze. – Pocałowałem wewnątrz jej uda i wyciągnąłem ręce by przyciągnąć jej ciało bliżej do mojego. – Nienawidź mnie za kilka minut... Kochaj mnie teraz.

Jej oczy przybrały ciemniejszy odcień zanim znowu błysnęły kiedy delikatnie uderzyłem jej nogę i znacząco uśmiechnąłem.

Uniosła się i ugryzła moją wargę.

A niech mnie jeśli mi się to nie podobało.

– Krzycz dla mnie – wyszeptalem przy jej ustach smakując własnej krwi. – Tylko dla mnie, nie dla niego... ani nikogo innego. Jesteś moja. Spraw bym w to uwierzył.

Z okrzykiem zatopiłem się w niej równocześnie przyciągając jej ciało za ramiona, deklarując tym moje roszczenia raz na zawsze. Przyjęła mnie a wtedy jej mięśnie napięły się, zaciskając wokół mnie, trzymając mnie w najbardziej intymny sposób jakiego kiedykolwiek

doświadczylem. Gwałtowne uczucie wygięło mnie w tył, moje ciało było niepewne czy chciałem więcej czy mniej.

Poruszyła się pode mną, delikatnie kołysząc biodrami.

Więcej, zdecydowanie więcej.

Ostre paznokcie wbiły się w moje plecy, kusząc abym uderzał mocniej i mocniej aż zostałem bez tchu, aż wszystko co wiedziałem to była Mo – aż stała się całym moim światem – moim istnieniem.

Jej mięśnie zacisnęły się wokół mnie tak mocno, że wszystko co mogłem czuć to stopień do jakiego napięte było jej ciało. Z okrzykiem przyciągnęła mnie do siebie, nasze wargi spotkały się gdzieś w pół drogi i jej język splątał z moim.

I wtedy jęknęła, łagodnie w moje ucho.

I było po mnie.

Finito.

Koniec.

Spojrzelismy na siebie – oboje nadzy i sapiący kiedy powiedziałem coś czego żaden facet, który jest w kimś zakochany nigdy nie powinien powiedzieć. – Nie możemy tego zrobić ponownie.

# CHAPTER 50 PHOENIX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Kobieta wzgardzona to kobieta, z którą żaden mężczyzna – z Mafii czy nie –  
nie chce mieć nic do czynienia.*

ŁYKNAŁEM WHISKEY i się skrzywiłem. Wiedziałaś, że coś jest bardzo źle kiedy nie byłeś w stanie zapić bólu... kiedy czułeś się tak odrętwiały, że alkohol równie dobrze mógł być wodą spływającą w dół twojego gardła. Postawiłem szklankę na stole i wstałem, żeby się rozciągnąć.

Mężczyźni pochłonięci byli rozmową o Komisji... o czymś o czym naprawdę chciałem przestać słycać, biorąc wszystko pod uwagę.

– Zamierzam sprawdzić co z Bee – wyszeptałem do Luki i klepnałem go w plecy.

Skinął raz i wrócił do rozmowy. Zabawne, Luca był ostatnią osobą na tej planecie, do której myślałem, że się dostosuję. Próbował mnie zabić, kiedy poznał mnie po raz pierwszy, dziwne jak z mordercy zmienił się w mojego zbawcę... był mi bardziej ojcem niż mój własny.



Podrapałem się w tył głowy i wszedłem do salonu gdzie dziewczyny popijały wino.

Bee siedziała w rogu, słuchając uprzejmie. Co kilka sekund przechylała głowę i wzdychała, znałem to spojrzenie. Niepewność w najlepszym wydaniu, nie była pewna jak się zachowywać czy też robić. Skrzyżowała nogi, a potem je rozkrzyżowała, wzięła łyk wody i opuściła wzrok na dłonie.

– Bee – zawołałem. – Chodź tutaj.

Wyskoczyła ze swojego miejsca i podeszła do mnie. Zignorowałem sposób w jaki bujały się jej biodra, tak jak ignorowałem zapach wanilii wirujący wokół mojego nosa.

– Wszystko w porządku?

– Dlaczego? – Skrzyżowała ręce. – Zamierzasz mnie teraz zabrać?

– Nie.

– Nudzę się.

Zacisnąłem usta z irytacji.

– Nie jestem twoją rozrywką.

Bee wzruszyła jednym ramieniem i posłała mi spojrzenie spod rzęs.

– Chcesz być.

– Stop. – Przełknąłem nerwowo.

Jej brwi ściągnęły się w wyrazie udawanej niewinności kiedy sięgnęła i dotknęła mojego ramienia. Odsunąłem się.

– Stop co?

– Wiesz dokładnie o czym mówię. – Prowadziliśmy tę dyskusję wielokrotnie. Nie dam się dziewczynie, nie będę wygłaszał modłów do jej pełnych warg czy bujających bioder, nie ważne ile razy próbowała. Nie byłem dla niej zabawką, którą może się rządzić tylko dlatego, że nie idzie po jej myśli.

Dąsając się skrzyżowała ręce.

– No chodź, musisz być ciekaw. Wszystkie te długie noce, kiedy obserwowałeś jak śpię...

– Wyciągnęła rękę, palcami łaskocząc moje przedramię. – Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się czyją twarz widzę w moich snach?

Moje zęby się zacisnęły, kiedy odwracałem wzrok.

– Nie. Teraz przestań. Nie zabiorę cię jeszcze do domu, nie kiedy Tex wciąż chce z tobą porozmawiać.

– Jesteś draniem – syknęła.

– Dziękuję. – Cofnąłem się.

Z zaciśniętymi pięściami wydała niski pomruk i nadepnęła mi na nogę swoim szpiczastym obcasem, a potem przemaszerowała obok mnie.

Nagła agonia promieniowała od stopy do kostki. Zmusiłem się do uśmiechu, podczas tych tortur. Mój palec prawdopodobnie był złamany; w jakiś sposób Bee udało się zaklinować obcas na czubku mojego dużego palca a nie pomiędzy palcami. Świetnie. Dodajcie kuśtykanie do reszty dramatu, która dzieje się w moim życiu.

– W porządku? – Trace stanęła obok mnie i położyła rękę na moim ramieniu.

Napiąłem się, super świadomy każdego palca przyciskającego się do mojej skóry. Wszystko w niej przypominało to kim byłem, co zrobiłem. Żółć wzrosła w moim gardle kiedy wypuściłem mały jęk irytacji za moją słabość. Nie mogłem kontrolować mojego umysłu kiedy obrazy jej poturbowanego ciała migotały w mojej głowie. Byłem gorszy od diabła... *byłem* diabłem.

Zabrała rękę i spojrzała w dół.

– Wygląda boleśnie.

– To nie ból – wyszeptalem, patrząc w głąb korytarza gdzie zniknęła Bee. – Prawdziwy ból to nie zostać postrzelonym nadeptanym, kopniętym, czy uderzonym. Prawdziwy ból nie jest czymś namacalnym, nie możesz go zobaczyć, tylko czujesz jak owija swoje macki wokół twojej szyi i powoli dusi cię na śmieć, podąża za tobą wszędzie, torturując w każdym słabszym momencie, dręcząc bez ustanku. Ból to przyzwolenie na odczuwanie winy, wstydu, smutku a nawet miłości. Trace, to krzywdzi ludzi. Moja stopa? To nic w porównaniu z odgłosami krzyków tych dziewczyn każdej nocy, kiedy idę do łóżka. – Spojrzałem jej w oczy. – Albo oglądaniem twojej twarzy każdego przekłętego dnia. To jest prawdziwy ból.

Łzy wezbrały w brązowych oczach Trace, długie rzęsy mrugnęły, próbując utrzymać wodę, kiedy jej wzrok skupiał się na mnie.

Nie mogła tego naprawić... nie chciałem, żeby to zrobiła, ale przynajmniej wiedziała, że było mi przykro, bardziej niż kiedykolwiek, tak przykro, że stanie obok niej było najgorszym bólem ze wszystkich, bo było stałym przypomnieniem o chorobie, która barwiła moją duszę i przejmowała kontrolę nad moimi zachowaniami.

– Przepraszam. – Schowałem ręce niezręcznie do kieszeni. – To było niestosowne.

– Nie. – Powoli potrząsnęła głową. – Myślę, że to były właściwe słowa do powiedzenia.

Oblizałem usta i skinąłem, czując, że moje policzki plamią się wstydem, za to czym się właśnie podzieliłem.

– Hej. – Chase pojawił się i poklepał mnie po plecach. – Czy wasza dwójka widziała Tex’a? Część gości wychodzi i chce się pożegnać.

Trace przekrzywiła głowę.

– Ostatni raz widziałam go pchającego Sergio w dół korytarza.

– Och, dobrze. – Chase skinął. – Kolejne ciało, które będę musiał pochować.

Trace się skrzywiła.

– On żartuje. – Wywróciłem oczami. – Właśnie widziałem Sergio, wygląda jak gówno, ale nie widziałem Tex’a.

– Może jest w swoim pokoju... – Chase spojrzął za siebie.

– Albo Mo. – Zacisnąłem zęby na tę możliwość. Lepiej, żeby nie przebywał nigdzie w jej pobliżu, chyba, że chodzi mu o to by uwierzyła, że jest niezainteresowanym draniem z sercem z kamienia.

Chase się wyszczerzył.

– Napalony bękart. W porządku, sprawdzę.

Odbiegł, zostawiając mnie ponownie samego z Trace.

– Wina? – Wyciągnęła rękę.

Chciałem ją przyjąć; zamiast tego gapiłem się na to czym to było, ofertą pokoju, na którą nie zasługuję.

– To tylko ręka, Phoenix.

– Nie. – Chwyciłem jej palce. – Oboje wiemy, że tak naprawdę nie tylko.

# CHAPTER 51<sup>Mo</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Równie dobrze moglibyście mnie zabić.*

Moje dłonie zacisnęły się w niewielkie pięściki. Bez żadnego ostrzeżenia posłałam prawy sierpowy przywalając Texowi w policzek. Jego ciało przesunęła się w bok, ledwie co. Kilka razy mrugając oczami opuścił wzrok i westchnął.

- Zasłużyłem sobie na to.
- Zasłużyłeś sobie na prędkiego kopa w jaja.
- Za seks z tobą?
- Za zostawianie po.
- Mo, nigdy nie obiecywałem...

Kolejny cios, moje kłykcie zaczęły krwawić kiedy zamachnęłam się na niego po raz trzeci. Ostatecznie złapał moje nadgarstki nad moją głową.

- Przestań! – warknął.



Wyszarpnęłam się, zawijając ręce wokół jego pasa. Z jękiem zrównał swoją głowę z moją.

– Zrób to raz jeszcze i moje następne działania tylko bardziej cię wkurzą.

– Dawaj – wyszeptałam chrapliwie, wstrzykując cały jad nienawiści w to jedno słowo, względem tego czym się stał. – Zanim wyciągnę pistolet i dam ci lepszy powód.

Przełykając ślinę, Tex przytaknął i pocałował mnie delikatnie w czoło. Prawie zalałam się łzami, i prawdopodobnie tak by się stało, gdyby drzwi nie otworzyły się z łoskotem.

– Kurwa mać! – Chase wrzasnął, trzaskając drzwiami za sobą i ruszając na Tex'a. Tex odskoczył ode mnie kiedy ja naciągałam koce by zakryć moją nagość.

– Masz szczęście, że nie jestem Nixonem. – Chase wysyczał pchając muskularną pierś Tex'a. – Dostałbyś od niego kulkę w łeb.

– I co zamierzasz zrobić? – Tex zrobił krok w jego stronę. – Jestem pieprzonym ojcem chrzestnym, zabijając mnie, podpiszesz swój własny wyrok śmierci.

Sapnęłam na prawdziwość jego słów. W jakiego rodzaju potwora przemienił się Tex? By powiedzieć coś takiego swojemu najlepszemu przyjacielowi? Rzucając mu wyzwanie w taki sposób?

Chase zaśmiał się.

– Kto tu w ogóle mówił cokolwiek o zabijaniu? – Poruszył się tak szybko, że moje oczy niemal nie nadążyły za nim. Tex leżał na łopatkach w sekundę. Chase pochylał się nad nim wyprowadzając cios za ciosem w jego twarz. Kiedy Tex podniósł rękę by odeprzeć ciosy, Chase zaczął okładać jego żebra, prawe lewe, prawe lewe.

I Tex mu pozwolił.

– Chase, przestań! – Zawodziłam. – Zabijesz go!

– Nie. – Chase wpakował pięść w bok Tex'a. – Nie zabiję.

– Chase!

Drzwi znowu otworzyły się z rozmachem; tym razem to był Phoenix. Z przekleństwem na ustach podbiegł do chłopaków i odciągnął Chase'a od zakrwawionego ciała Tex'a. Chase wciąż próbował rzucić się na niego ale Phoenix trzymał mu ręce za plecami.

Tex podniósł się do pozycji siedzącej, krew kapiała mu z rozcięcia na lewym policzku. Jedno oko zaczynało już puchnąć. – Tylko na tyle cię stać, Chase?

Z ryknięciem Chase przywalił Phoenixowi z łokcia w brzuch, wykręcił ręce z jego uścisku i zanurkował do Tex'a, tym razem skacząc w powietrze gdy jego pięść wylądowała na skroni Tex'a.

Tex osunął się na podłogę.

Nawet nie bronił siebie, był niezłym olbrzymem; i mógł, z łatwością.

Ale to nie był Campisi przyjmujący razy, to był Tex, *mój* Tex. Czuł się winny i potrzebował poczuć ból jako przypomnienie. Znałam go od tej strony, przyjmował fizyczną karę za szkody emocjonalne.

– Dość! – Phoenix ryknął. – Chase, wyjdź.

– Nie. – Chase ciężko oddychał. – Nie póki...

Phoenix westchnął, sięgając za plecy i wyciągając pistolet, a potem wycelował nim w Chase'a.

– Powiedziałem wyjdź.

Przeklinając, Chase opuścił pokój a Phoenix odłożył broń i powoli podszedł do Tex'a.

– Nic mu nie jest? – Zaskrzypiałam.

– Mam nadzieję, że było tego warte. – Phoenix zignorował moje pytanie.

Zatkało mnie.

– Było warte?

– Przespanie się z nim. Mam nadzieję, że było dobrze bo czeka go nieziemski ból głowy i pewnie ma ze dwa żebra niezłe poturbowane.

Przełknęłam szloch zakrywając twarz dłońmi. – Nic nie jest warte takiego cierpienia z jego strony.

– To przestań. – Głos Phoenixa był zachrypły. – Przestań ranić go Mo. Przestań zmieniać go w kogoś kim nie może być. Przestań marzyć, że wróci i uratuje cię. Tutaj nie ma białych rumaków ani szczęśliwego końca w tej historii, rozumiesz? Nie jesteś jedną z tych szczęściar i przykro mi, że to ja muszę ci o tym powiedzieć. Ale nie ma takiej opcji, żeby ten człowiek. – Wskazał palcem na Tex'a. – Powiedział, chrzańcie się, swojej własnej rodzinie po to by się z tobą ożenić.

– Ale mógłby. – Walczyłam z wątpliwością w swojej głowie. – Możemy być dalej małżeństwem, mogę scalić rodziny, jak wcześniej. Mówiłeś...

– Zapomnij o tym co mówiłem. – Phoenix powiedział ostro. – To nie jest gra, Mo! Ludzkie życia wiszą na włosku. Co by było gdybym ci powiedział, że to Chase albo twój brat, czy wówczas słuchałabyś uważniej? Hmm?

Potrząsnęłam głową próbując walczyć z prawdą. – Kłamiesz.

– Czyżby? – Phoenix wyrzucił ręce w powietrze. – Co mógłbym zyskać kłamstwem? Kiedy prawda jest tak potępiająca! – Przygryzł wargę i położył ręce na biodrach. – Mo, musisz trzymać się od tego z daleka. Daj mu odejść, bo jeśli nie dasz...

– Jeśli nie dam?

Phoenix odwrócił się od mnie, jego twarz była jak popiół.

– Wyobraź sobie świat gdzie mąż zmuszony jest zabić swoją żonę. Wyobraź sobie świat gdzie brat zmuszony jest patrzeć jak gwałcą mu siostrę. W takim właśnie świecie żyjesz Mo. Taki świat jego ojciec – szarpnął kciukiem w stronę Tex'a – stworzył. To jego spuścizna, to właśnie Tex musi naprawić. To przed czym wszystkich musi chronić. Jeśli nie uda mu się zdobyć zaufania ludzi Alfonso, jeśli da ciała w jakikolwiek sposób i nie zyska zaufania członków innych rodzin, jeśli okaże słabość, to będzie scheda w jakiej będzie dane ci żyć, ale jeśli z jakiegoś powodu mu się to nie uda... wtedy wszyscy zginiemy.

Tex poruszył się z jękiem.

Phoenix przyklęknął przy nim i pokręcił głową.

– Mówię to po raz ostatni Mo. Daj mi spokój. Idź się ubrać, nie będę patrzył. Daj mi znać jak będziesz wychodzić, a potem ja doprowadzę go do porządku.

Powoli wstałam z łóżka i szybko naciągnęłam na siebie spodnie do jogi i podkoszulek.

– I jeszcze jedno. – Phoenix się nie odwrócił. – Sprowadź tu Nixona.

– Ale...

–Mo. – Głos Phoenixa był szorstki, na granicy. – Idź po Nixona.

Pójście po Nixona oznaczało, że dowie się co się wydarzyło i wiem, że wyglądałam jakbym dopiero co z kimś była, w pokoju unosił się nasz zapach a ja pachniałam jak on. Całą drogę do pokoju bilardowego powstrzymywałam łzy.

– Nixon? – Przykleiłam fałszywy uśmiech do buzi. – Mogę z tobą pomówić?

Wyszczерzył się od ucha do ucha.

– Oczywiście.

Ten sam uśmiech trzymał się stanowczo jego twarzy, dopóki nie doszliśmy do drzwi, jego palce wbiły się w moje ramię kiedy szybko szliśmy korytarzem.

– Co się dzieje? – zapytał łagodnie ale mięśnie w jego szczęce przeskoczyły kiedy zacisnął zęby.

– Chase niemal zabił Tex'a.

Wzdychając Nixon uniósł wzrok na sufit i skrzyżował ręce.

– Tak dla jaj czy był jakiś dobry powód?

– Och, powód był. – Chase wyszedł z łazienki, jego dłonie były jak krwawa papka. – Przespał się z Mo.

Zrobiłam krok w tył gdy Nixon zrobił niebezpieczny krok wprzód.

Wysunęłam brodę do przodu na przekór gdy prowokowałam go wzrokiem.

– Jest moim mężem.

– Zabawne, że tak mówisz. – Chase skrzyżował ramiona. – Ponieważ kiedy oboje byliście zajęci zrywaniem z siebie ubrań, porozumienie dopiero co została podpisane.

– Porozumienie? – Strach rozprzestrzenił się po moim ciele jak lód. – Jakie porozumienie?

– Sojusz. – Chase zadrwił. – Co? Nie wspomniał ci o tym?

– Co to za sojusz? – zapytałam wiedząc, że zapewne nie chcę poznać odpowiedzi.

– Najpotężniejszą rodziną na Sycylii jest klan Campisi... drugą najpotężniejszą Nicolasi.

– No i?

Chase pokręcił głową.

– No i sobie policz.

– Nixon? – Prosiłam.

– Wżeni się w rodzinę Nicolasi; tak zdecydowano. Powiedziałem im jak zmodyfikowałem małżeński rejestr między waszą dwójką by chronić go przed atakiem. Luca skonstruuje nowy kontrakt dziś wieczorem – chcą mieć tę sprawę szybko załatwioną tak by mogli mieć wspólny front przed Komisją.

Serce opadło mi do kolan. Nixon wciąż coś mówił ale ja nie słyszałam żadnego słowa, tylko biały szum. Tex wiedział. Wiedział przez cały czas i zrobił to co zrobił... wiedział, że to złamie mi serce a on i tak je złamał. Złamał je z pełną świadomością, że ja nigdy mu nie wybaczę, nigdy nie będę w stanie podnieść się od tego momentu. Wszyscy przechodzimy takie przypadki w swoim życiu, kiedy coś dużego się wydarza, kiedy mamy wybór aby zareagować i pozwolić czemuś dużemu określić nas lub uformować nas. Nie miałam pojęcia co teraz zrobię. Wiedziałam, że nie jestem w stanie wyobrazić sobie siebie wyleczonej za dziesięć lat. Nie widziałam już dłużej przyszłości. Wszystko co widziałam to czerń – wszystko co czułam to strach.

Z sapnięciem zakryłam usta rękami i zaczęłam płakać. Kawałki układanki wpadły na swoje miejsce, dlaczego się żegnał, dlaczego zrywał wszelkie formy komunikacji. I w końcu, dlaczego dał się niemal zabić Chasowi.



Drżąc próbowałam odsunąć się od Nixona ale moje stopy ani drgnęły, w zamian moje kolana zaczęły się trząść kiedy przygryzłam swój język tak mocno, że poczułam krew.

– Mo. – Nixona złapał mój łokieć. Wyrwałam się od niego, mój wzrok wbił się w drewnianą podłogę.

– Wszystko gra? – Głos Luki z wyraźnym akcentem przebił się przez mgłę szoku.

– Tak. – Nixon odpowiedział w chwili gdy z końca korytarza dobiegł nas hałas. Phoenix powoli wyłonił się zza rogu, ciężkie ciało Tex'a wspierało się na nim kiedy szli w naszą stronę.

Wszystko wydarzyło się na raz. Nixon sięgnął po mnie, Chase zrobił to samo, Luka dotknął mojej drugiej ręki.

Z ochryplym okrzykiem napałam na Nixona i wyciągnęłam broń z kabury przypiętej do jego piersi pod marynarką.

Drżącymi dłońmi wycelowałam pistoletem w Tex'a wrzeszcząc.

– Ty draniu!

Phoenix zastygł a Tex uniósł głowę, jego twarz była maską dezorientacji i krwi.

– Mo...

– Nie! – Moja ręka zatrzęsała się kiedy docisnąłem lufę do jego umięśnionej piersi. – Jak mogłeś?

– Mo to nie jest miejsce do...

Wzdrygnął się i oblizał wargi kiedy docisnąłam broń mocniej do jego ciała.

– Czego? Wietrzenia naszych brudów? Powiedzenia wszystkim, że jakieś piętnaście minut temu byliśmy nadzy? Och, bardzo przepraszam ale kiedy będzie odpowiedni czas? Może po tym jak się dowiem, że wzięłeś ślub z jakąś dziwką od Nicolasi tylko po to by scalić rodziny!

Tex zbladł, otworzył usta, potem je zamknął a potem znowu otworzył.

– Mo to nie było nic pewnego. Ja nie...

– Zamknij się! – zawodziłam, potrząsając bardziej bronią. – Nie dostajesz prawa głosu. Nie dostajesz satysfakcji przeprosin a ja z całą pewnością nie zamierzam ci wybaczyć, ani teraz, ani nigdy. Z nami. Koniec. – Chciałam pociągnąć za spust. Chciałam go zranić tak bardzo jak on zranił mnie, ale nie mogłam. Bez względu na to jak bardzo nienawidziłam go, to wciąż go kochałam. Moje serce nie pozwoliło mi ścisnąć palca. Więc w zamian, pistolet z brzękiem spadł z moich rąk na podłogę. – Z drogi.

Tex i Phoenix rozdzielili się. Przeszłam między nimi z wysoko uniesioną głową. Pieprzyć ich, pierzyć ich wszystkich! Miałam dosyć, serdecznie dosyć.

# CHAPTER 52 PHOENIX

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Przemoc rodzi więcej przemocy. Zawsze.*

Każdy miesiąc w ciele Tex'a był napięty, czekający aby wykonać akcję. Kosztowało mnie to każdą uncję siły aby utrzymać go w miejscu i powstrzymać przed pobiegnięciem za nią.

Nienawidziłem tego, że wszystko szło tak dobrze, a tak bałem się iż będzie odwrotnie.

– Cóż. – Brwi Luki wyskoczyły w górę w zaskoczeniu. – To było interesujące.

– Przepraszam – wymamrotał Tex.

Chase zaklął, potrząsając głową z obrzydzeniem.

– Ja nie.

– Tex. – Luka zaszczekał. – Powinieneś pożegnać się z gośćmi. Nixon, ty jako gospodarz domu powinieneś pójść z nim a ty Chase, wyglądasz jak siedem nieszczęść i nigdzie nie idziesz.

– Nie poszedłbym nawet gdybym musiał. – Chase spiorunował go wzrokiem. – Poza tym, nie jesteś moim szefem.

– Myślę, że mówię w imieniu wszelakich szefów... dzięki Bogu. – Luka syknął.

Chase przewrócił oczami i poszedł w przeciwnym kierunku. Pchnąłem Tex'a w przód. Nixon zawinął rękę wokół ramion i złapał jego głowę, przekrzywiając w swoją stronę kiedy coś mu szeptał. No, Tex był chodzącym trupem.

– No i... – Luka wyciągnął cygaro i przerolował je w palcach. – Gem. – Wetknął cygaro do ust. – Set.

– Mecz? – zaproponowałem mu z pudełkiem zapalek.

Luka wziął zapalnik i szeroko się uśmiechnął z cygarem zwisającym z ust.

– Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie.

– Co się stało to się nie odstanie.

– Jeszcze nie. – Jego uśmiech zniknął. – Jeszcze nie.



# CHAPTER 53<sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Nawet jeśli jesteś bez serca – jedno wciąż bije w twojej piersi. Jrytujące,  
najtagodniej powiedzawszy.*

ZACHOWAŁEM POZORY. Pożegnałem się, potrząsnąłem rękoma, przyjąłem cygara i drinki, śmiałem się jakby był wolny od wszelkich trosk i rozmawiałem z nimi jakby naprawdę mi nie zależało mi czy wystrzelam ich wszystkich na Komisji czy nie.

Wszystko było kłamstwem.

Bo nie angażowałem w to serca.

Moje serce już nie istniało. Oddałem je. Obiecałem sobie, że uczynię to prawdziwym, i dokładnie to zrobiłem. Tylko, że żartem byłem ja. Dałem jej wszystko, wiedząc, że nie ma odwrotu. Wiedząc, że w tamtej chwili, w jej pokoju, w końcu pozwoliłem sobie czuć ostatni raz, czuć jak to jest być kochanym.

W chwili kiedy skończyliśmy, wiedziałem, że to koniec.

Wiedziałem, że przyszłość nie obejmuje miłości mojego życia, a zaaranżowane małżeństwo z obcą kobietą, która przywróci rodzinę Campisi w zaufane kręgi.

Potęga, wszystko dotyczyło potęgi. Bycie częścią Mafii to jak gra w szachy, gdzie nie masz pojęcia czy jesteś królową czy pionkiem, aż jest za późno, aż przegrywasz całą partię albo aż ją wygrywasz.

Nie byłem pewny czy mogę wygrać.

Ale byłem pewny, że próbuję.

– Hej. – Bee podeszła do mojego boku i dotknęła mojego ramienia. – Możemy pogadać?

– No – powiedziałem ochryple. – Wyjdźmy stąd.

Złapałem jej rękę i pociągnąłem na podwórko. To był chłodny wieczór, ale Nixon włączył zewnętrzne ogrzewacze, na wypadek gdyby goście chcieli wyjść zapalić na zewnątrz.



– Więc. – Stała przy grzejniku ze skrzyżowanymi ramionami. – Jesteś moim bratem.

Mój uśmiech był wymuszony. Nie miałem żadnego związku z tą kobietą, żadnych wspomnień, była kimś obcym, mimo to umarłbym dla niej. Absolutne szaleństwo ogarnęło mnie, aby zapewnić jej bezpieczeństwo, a nie było to nawet logiczne. Wiedziałem tylko, że zabiłbym dla niej, bez mrugnięcia okiem.

– Tak, jestem.

– Jesteś wysoki.

– Jadłem dużo szpinaku kiedy dorastałem – zażartowałem.

Pstryknęła palcami.

– Jasne, nigdy nie byłam fanem warzyw, zawsze karmiłam nimi psa.

– Dlatego jesteś niższa ode mnie.

Uśmiechnęła się.

– Taa, to nie ma nic wspólnego z tym, że jestem dziewczyną.

– Kobieta – poprawiłem. – Wszyscy dorośliśmy.

– Czy ty...? – Żuła swoją dolną wargę i zrobiła niepewny krok w przód, jej szpilki stuknęły o drewno. – Czy ty w ogóle mnie pamiętasz?

Westchnąłem, drapiąc się w tył głowy.

– Do chwili, w której się urodziłaś, mnie już dawno nie było, Bee. Przykro mi.

Jej brwi zmarszczyły się na chwilę.

– Taa, mnie też. Byłoby miło mieć kogoś do pogadania.

Niekomfortowo, odchrząknąłem.

– Cóż, jestem pewny, że masz przyjaciół, prawda?

Jej spojrzenie było niedowierzające.

– Przyjaciół? Drogi bracie, musiałam sprawdzić definicję tego słowa kiedy miałam sześć lat i widziałam w telewizji program o pizza party. Tata nigdy mnie nigdzie nie zabierał. Jestem całkiem pewna, że jedynym powodem, dla którego wciąż żyję, było to, że mama była tak zaciekle opiekuńcza, nie chcąc stracić kolejnego dziecka i tak dalej.

Ból rozprzestrzenił się po mojej klatce piersiowej. Jakby to było mieć rodziców tak desperacko dbających o ciebie? Nie wiedziałem. Nigdy nie doświadczyłem tego rodzaju miłości.

Obraz Mo krótko mignął w mojej głowie.

To był inny rodzaj miłości, i nie było go dłużej.

– Rozmawiałaś z nią?

Bee potrząsnęła głową.

– Po tym jak Phoenix wziął mnie pod swoją ochronę, zostałam odcięta od całej rodziny... Phoenix się bał, że Alfonso spróbuje wykorzystać mnie aby dostać się do ciebie.

– Mądrze – westchnąłem. – Zgaduję, że wiele zawdzięczam Phoenixowi. On, um, on nigdy cię nie dotknął, tak?

Bee parsknęła śmiechem.

– Żartujesz? Przysięgam, pytam go każdego dnia kiedy jest ze mną, czy jest gejem.

Taa, założę się, że Phoenix tego nienawidzi.

– Więc nie?

Policzki Bee się zaczerwieniły.

– On mnie nawet nie widzi.

Ta, jakoś w to wątpię. Phoenix mógł pójść do piekła i wrócić ale wciąż był facetem a moja siostra nie była dzieckiem. Cholera, było mi wystarczająco ciężko pozwalając jej zostać w koktajlowej sukience pośród ludzi.

Odchrząkując, odwróciłem wzrok.

– Zostaniesz tutaj.

– Tutaj? – powtórzyła. – W Chicago?

– Tutaj. – Oblizałem usta. – Ze mną i Abandonato, dopóki nie zajmę swojego miejsca.

Ramiona Bee opadły kiedy oglądała swoje paznokcie, starając się grać obojętną odnośnie całej tej sprawy.

– Więc, to zamierzasz zrobić? Pójść w ślady ojczulka i skazać nas wszystkich na piekło?

– Nie – powiedziałem ostro. – Zamierzam to naprawić.

– Ale...

– Zostaw to – ostrzegłem. – Zapewnię ci bezpieczeństwo i naprawię wszystko... wszystko.

– Więc, jesteś teraz Supermanem? – Kolejny krok w moim kierunku i wreszcie położyła głowę na moim ramieniu. – Zawsze lubiłam peleryny.

– Nie... – Owinąłem ramię wokół niej. – Superman znalazłby lepszy sposób na to co muszę zrobić.

– A co mianowicie?

– Zabić mnóstwo osób.

– Och. – Ona w ogóle nie wariowała, tylko przycisnęła się bliżej do mojego boku. – Tylko wyświadczyć mi przysługę.

– Co tylko chcesz.

– Nie zabijaj Phoenix'a.

Na to się roześmiałem.

– Nie można zabić tego czego diabeł nie chce.

Spięła się.

– Czy powiedziałem coś złego?

– Był dla mnie dobry, nawet jeśli mówił, że byłem wrzodem na tyłku i może tak było, ale po prostu... przysięgam, że zabiję cię własnoręcznie jeśli mu to powiesz, ale...

– Wyduś to z siebie, Bee...

– On jest jedynym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam.

Moje serce zadrżało z niesprawiedliwości kiedy mocniej ją przytuliłem. Smutne, kiedy zabójca staje się twoim przyjacielem, kiedy sam diabeł jest twoim jedynym kompanem w nocy. Co to jest za życie? Co to za dzieciństwo? Kiedy ciemność jest twoją jedyną pociechą, twoją jedyną czułością.

– Obiecuję – odpowiedziałem w końcu. – Nie zabiję go.

– Dzięki. – Odetchnęła. – To znaczy jeśli ktokolwiek powinien czynić honory, to ja, czy wiesz, że nabijał się z moich butów?

– Bezwzględny tupet.

– Prawda?

– Jestem zaskoczony, że wciąż chodzi.

– Nadepnęłam mu na stopę.

– Dojrzałe.

– Tak myślałam.

– Bee?

– Tak?

– Nie znam cię jeszcze dobrze... ale będę chronić cię aż skonam, wiesz to prawda?

Westchnęła.

– Taa, Tex. Wiem.



# CHAPTER 54<sup>Mo</sup>

*Wbudzenie się w samotności to naprawdę chłodne uczucie, nawet jeśli słońce pali  
twoją skórę.*

SŁOŃCE PRZEBIJAŁO SIĘ PRZEZ zasłony w moim ciemnym pokoju. Czułam ciepło, ochronę. Niemal mogłam uwierzyć, że nie byłam martwa w środku. Niemal mogłam sobie wyobrazić świat bez Tex'a leżącego obok mnie.

Świat gdzie Mafia nie istniała.

A śluby nie były polityczną grą. Kogo chciałam oszukać? Zrobiłabym to samo, żeby go chronić. Jediną różnicą było to, że ja go kochałam. Wciąż go Kocham. Choć nienawiść próbowała całkiem dobrze zastąpić tę miłość. Nigdy nie bardzo rozumiałam jak mógł mówić, że nigdy nie mógłby mnie nienawidzić tak mocno jak mnie Kocha... robił całkiem dobrą robotę w udowadnianiu, całkowitego przeciwieństwa swoich słów.

Rozbrzmiało pukanie do drzwi.

Ignorując je, położyłam poduszkę na twarz i jęknęłam.

– Mo. – Mil weszła do pokoju. Mogłam usłyszeć kroki, ah prawdopodobnie wzięła ze sobą Trace. Bajecznie. Obie świadkami mojej niezdolności do podniesienia głowy wystarczająco wysoko aby zjeść śniadanie, albo pójść korytarzem.

– Wstawaj! – Mil klepnęła mój tyłek.

Trace usiadła po drugiej stronie łóżka i posłała mi zaniepokojone spojrzenie.

– Potrzebujesz prysznic.

– Wezmę prysznic kiedy będę gotowa. – Co oznaczało, że nigdy, ale nie musiały tego wiedzieć. Wciąż czułam jego zapach na mnie, chciałam zostawić to tak jak było. Wizja naszej dwójki nękała mój sen aż dałam sobie spokój i zaczęłam gapić się w sufit, kiedy obrazy uśmiechu Tex'a przesuwwały się przez mój umysł.

Trace westchnęła i położyła się obok mnie.

– Pamiętasz kiedy przyjechałam do Eagle Elite?

Niemal wybuchłam śmiechem. No, pamiętam, dziewczyna była absolutną porażką.

– Nixon był dla ciebie kompletnym dupkiem, i jestem całkiem pewna, że Tex i Phoenix pokazali ci środkowe palce na powitanie, a nawet nie każ mi zaczynać z Chase’em.

– Chase był najmiłszy. – Trace broniła. – Dobra robota ze złowieniem tej sztuki, Mil.

– Jest moim strzępielem wielkim. – Mil położyła się po mojej drugiej stronie.

– Jestem całkiem pewna, że będzie szczęśliwy z porównania do oślizgłej ryby – powiedziałam oschle, wiedząc, że Chase był o wiele bardziej zadufany w sobie od reszty, ale znowu, to nie było bez powodu. Nie żebym przyznała to na głos. Moje oczy zawsze były utkwione w Tex’ie.

Już nie.

– Uratowałaś mnie – wyszeptała Trace. – Pamiętam jak myślałam, że jesteś szalona. – Zachichotała. – Ale byłaś tak silna, to znaczy postawiłaś się nawet Nixonowi, wszystko co wtedy myślałam, to że podziwiam osobę, którą jesteś, chciałam mieć taką pewność siebie, wiesz?

Walczyłam ze łzami zatykającymi moje gardło, wszystko żeby tylko móc oddychać normalnie.

Trace wciąż mówiła.

– Kiedy chłopaki mnie dręczyli, sprawiłaś, że przestali, kiedy Nixon karmił mnie tofu, dobrałaś mu się do jaj, a kiedy odkryłam wasz mały brudny sekret, nigdy się nie bałaś, tylko zaakceptowałaś sytuację i ruszyłaś dalej z głową podniesioną wysoko.

– Wtedy byłam inną dziewczyną – wyszeptałam ochryple.

– Nie bądź inną. – Trace sięgnęła po moją rękę i trzymała ją ciasno. – Nie pozwól, żeby inni zmienili to jaka zawsze byłaś. Więc twoje serce jest złamane...

Parsknęłam, chcąc, żeby ta rozmowa się skończyła.

– A twoje życie to chaos. – Dodała Mil.

– Czy wy laski próbujecie zachęcić mnie do samobójstwa?

Trace westchnęła.

– A Tex jest dupkiem.

– Prawda. – Mil się zgodziła.

– Więc. – Trace ścisnęła bardziej moją dłoń. – Co Mo Abandonato zamierza z tym zrobić?

– Leżeć w łóżku aż umrze w samotności? – Zaproponowałam.

– Spróbuj jeszcze raz. – Tracce mnie uszczypnęła.

– Ałć! – Odsunęłam się. – To bolało.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – Jej głos był surowy a oczy błyszczały. – Odkąd to pozwalasz facetom mówić ci jak masz żyć albo co robić? Czy nie miałaś tego dosyć ze swoim ojcem?

Cofnęłam się jakby mnie spoliczkowała. Ta kobieta wiedziała za dużo.

– To jest inne.

– Jak cholera. – Mil odepchnęła się od łóżka i skrzyżowała ręce. – Też jestem głową rodziny. Tex specjalnie pozwala im pociągać za sznurki... nie widziałaś? Reakcję Sergia na Tex'a? Reakcje Phoenix'a na Sergio? Luca? Coś jest nie tak.

– No i co? Będziemy szpiegować ich dupy? – Moje oczy zaczęły wypełniać się łzami. – Laski, mam dość. Jestem wykończona, moje serce boli... to jest większe niż my. Nie wszystkie możemy pójść na całość i być jak Harriet Szpieg<sup>2</sup> i zapobiec wojnie Klanów.

Tracce przekrzywiła głowę z rozbawieniem. – Nie zapobiegamy rozwiązujemy żadnych problemów.

– Laski, dzięki że wpadłyście, ale myślę, że zostanę właśnie tutaj.

– Powiedz jej. – Tracce skinęła do Mil.

Mil wyciągnęła telefon i wcisnęła play. Głos Tex'a natychmiast znalazł się w centrum uwagi.

– Zrobimy zamach stanu. Zrobimy przewrót, wielką scenę przed Komisją. – Zamilkł. – Mówisz o samobójstwie, czy ktokolwiek w ogóle o tym wie?

– Luca zaprosił Alfonso – wyszeptał Phoenix. – Musisz go zastrzelić, musi być wiele ofiar i musi być krwawo.

– Mogę krwawo.

– Będziesz musiał skrzywdzić tych, których kochasz... odepchnąć ich teraz, będzie prościej, nie możesz się zawahać, musi być autentycznie, Tex, łapiesz co mówię?

– Czy Luca o tym wie?

---

<sup>2</sup> Harriet szpieg – amerykański pełnometrażowy film rodzinny, wyprodukowany przez Nickelodeon. Zrealizowany na podstawie powieści Louise Fitzhugh pod tym samym tytułem

– Ty wiesz o tym, ja o tym wiem, Luca i Sergio... – Phoenix przeklął. – Albo wystawili mnie abym poległ albo testują mnie, to nie ma znaczenia, robię to co trzeba. Tym razem, robię słuszną rzecz.

– Straszne. – Tex westchnął. – Kiedy śmierć jest jedyną słuszną drogą.

– Zapamiętaj imiona, zapamiętaj twarze, nie będziesz mieć wiele czasu na reakcje, Tex. Zapamiętaj, to kwestia życia i śmierci.

Nagranie się skończyło.

Oniemiała patrzyłam na Mil i Trace.

– Co to znaczy?

– Mamy kilka teorii. – Mil odchrząknęła. – Nie dzieliłam się tym z nikim. To znaczy, nie jestem idiotką. Kocham mojego brata, ale czy ufam? To nie sięga tak daleko, siedziałam mu na ogonie, czy też moi ludzie siedzieli mu na ogonie. Ja po prostu... nie wiem Mo, kiedy powiedziałam Trace, powiedziała, że powinnam przyjść do ciebie. To możliwe, że sytuacja z Tex'em, nie jest dokładnie taka jak nam się wydaje.

– A jeśli jest? – Zadałam pytanie, które obie bały się choćby wyszeptać, wiedząc, że jeśli to prawda, był stracony dla mnie na zawsze.

– Wtedy – Mil powiedziała wzduszając ramionami – naprawdę wszystkich zabije, przejdzie na ciemną stronę mocy, ożeni się z jakąś suką Nicolasi z wielkim owłosionym syfem na twarzy i zajęczymi zębami, a my wydamy na nią wyrok i sprawimy, że będzie to wyglądać jak wypadek.

Roześmiałam się. Roześmiałam się pierwszy raz od jakby się wydawało wieczności, kiedy Mil patrzyła na mnie ze śmiertelną powagą. Kochałam tą dziewczynę. Po prostu... kochałam ją.

– Im dłużej jesteś żoną Chase'a, tym jesteś straszniejsza.

– On naprawdę jest demoralizujący. – Mil pokiwała głową wytrzeszczając oczy. – Tyle przemocy w jednym ciele, naprawdę imponujące.

– Ohyda. – Trace podniosła ręce. – Żadnych szczegółów więcej. – Odwróciła się do mnie. – Więc zamierzasz siedzieć i użalać się cały dzień czy możemy wywabić cię z sypialni gadką o kawie i domowymi bułeczkami cynamonowymi?

Poderwałam się.

– Chase piekł rano?

– Chase piecze kiedy jest zestresowany. – Mil przytaknęła. – Albo nie zaliczył.

Trace jęknęła w dłonie.



Mil wyrzuciła ręce w górę.

– Byłam zmęczona! Ostatnia noc była wyczerpująca, powiedziałam nie, pozwij mnie, przynajmniej macie bułeczki za to.

– Wszyscy jesteśmy wygrani. – Skinęłam triumfująco. – Dzięki za twoje poświęcenie, Mil.

– Ależ proszę. – Wyszczrzyła się i przyciągnęła mnie do uścisku. Trace owinęła swoje ramiona wokół naszej dwójki.

– Będzie dobrze – powiedziała Trace. – Obiecuję.

– Mam nadzieję, że masz rację. – Zmarszczyłam brwi. – Naprawdę mam nadzieję.

# CHAPTER 55 SERGIO

*Jeśli nie dostaniesz tego swoim sposobem... śledź tą osobę i odkryj prawdę.*

PRÓBOWAŁEM UKRYĆ zaskoczenie na mojej twarzy kiedy Mo weszła do kuchni, uśmiechając się. Chase'owi opadła szczeka; najwidoczniej nie tylko ja byłem zaszokowany. Nixon kopnął go pod stołem.

Wszyscy gapiliśmy się w stół, ja na moją kawę, a potem z powrotem na Mo, która wzięła bułeczkę z blachy, którą Chase właśnie wyciągnął z piekarnika i wsadziła sobie do ust.

Tex wkroczył do kuchni.

Poruszyłem się niespokojnie. Cholera to było jak oglądanie telenoweli. Stąpał wokół Mo ostrożnie, nie dotykając jej, nalewając sobie kubek kawy, a potem usiadł z nami przy stole.

Wkrótce dołączyła Bee.

A potem Phoenix.

Prawie zakrztusiłem się swoją bułeczką, kiedy w ciszy, wszyscy kontynuowali jedzenie swoich posiłków, jakby poprzednia noc nie była kompletnym i całkowitym chaosem.

– W następnym tygodniu są święta. – Nixon ogłosił, nie patrząc znad swojej gazety. – Chase zrobisz lasagne?

– Się wie. – Chase podniósł swoją bułeczkę i wziął duży gryz, jęcząc przeżuwać.

– Tex, pomożesz z dekoracjami, myślę, że wciąż powinieneś tu być... czy wsadzą cię na statek z kursem na Sycylię zaraz po Komisji?

Nixon oficjalnie łowił informacje w najbardziej oczywisty sposób jaki kiedykolwiek widziałem.

Pochyliłem się, kiedy Phoenix robił to samo, oboje czekaliśmy na odpowiedź Tex'a, oboje z różnych powodów. Powiedziano mi aby dać rozsypać się zetonom i nienawidziłem, że pokładałem wiarę w dwóch koleśkach, których tak naprawdę nie za bardzo lubiłem.

Tex niezobowiązująco wzruszył ramionami.

– Jakby mogli mi w ogóle nakazać kiedy albo jak powinienem odejść. – Uśmiechnął się.  
– Mogę z łatwością udekorować twój wielki jak dupa dom, Nixon... z zamkniętymi oczami.

Nixon zachichotał i podniósł swoją kawę.

– Cóż, nienawidzę niszczyć tradycji. Wiesz jak Chase lubi udawać, że pomaga, kiedy tak naprawdę odmraża sobie orzeszki.

– To męskie. – Chase pisnął. – Przygwożdżanie wszystkich górien do domu.

Mil wywróciła oczami.

– Więc to ustalone. – Nixon odstawił kubek, który stuknęła o blat. – Cała Rodzina będzie na święta w komplecie. Oddychająca, żywa, świętująca? – Jego oczy spotkały Tex'a.

Bez jakiegokolwiek wzdrygnięcia, Tex podniósł swoją kawę i się uśmiechnął.

– Oczywiście, nie wyobrażam sobie inaczej.

Niemal jęknąłem i uderzyłem głową w stół, pozwalając jej odbić się kilka razy po to, żebym poczuł ból.

Co. Do. Diabła. Luca sobie myślał? Będziemy mieć szczęście jeśli przetrwamy tak długo.

Jeszcze cztery dni do Komisji, a sprawy nie wyglądają lepiej. Klan Campisi tu będzie, nie tylko Alfonso, ale wszyscy. Luca zapewnił to swoim śmiesznym zaproszeniem przez Phoenix'a, co oznacza tylko jedną rzecz.

Albo Alfonso przeżyje albo Tex.

Tak czy inaczej jeden z nich będzie musiał zrobić pokaz siły przed resztą rodzin aby utrzymać się przy władzy. *Cappo di Cappi* nie rozdrabnia się i jeśli Tex naprawdę chce zobaczyć kolejne święta, musi zrobić przedstawienie życia.

Luca powiedział, żeby im zaufać.

Nie ufam nikomu poza sobą.

Ale nie miałem wyjścia, musiałem pić kawę i udawać ignoranta wobec każdej strony tej sytuacji.

Dziewczyny z łatwością zaczęły rozmawiać ze sobą... wszystkie za wyjątkiem Mo.

– Więc? – Bee skierowała swoją uwagę na Mo. – Myślisz, że możesz mi pomóc?

– Przepraszam, co? – Mo oblizła usta i potrząsnęła głową. – Wybacz, jestem zmęczona.

– Strzelanie. – Bee uśmiechnęła się szczęśliwie. – Trace i Mil powiedziały, że mnie nauczą, pomożesz?

– Uh... jasne. – Mo odłożyła kawę. – Będzie zabawnie. – Kiedy sięgała znów po swoją kawę to był dokładnie ten moment, kiedy Tex sięgał po kolejną bułkę.

Ich dłonie się zderzyły.

Niezręcznie było niedomówieniem.

Zdecydowałem się to pogorszyć. Głównie dlatego, że mogłem i dlatego, że po patrzeniu na sposób w jaki Mo patrzyła na Tex'a, wiedziałem. Nigdy nie będzie moja. Nie byłem nim, to było jasne jak słońce.

Co nie oznaczało, że nie mogłem przynajmniej wykonać dobrego dźgnięcia, żeby zdał sobie sprawę jakim był skończonym i bezdennym dupkiem.

– Więc, dziewczyna, z którą zamierzasz się hajtnąć. – Odchrząknąłem. – Widziałeś już jej zdjęcie? Chodzą plotki, że dziewczyny Nicolasi to prawdziwe zazdrośnice.

Twarz Mo zbladła kiedy Tex odsunął swoje krzesło i wstał.

– Nie mogłoby mnie to mniej interesować.

– Cóż. – Ciągle szturchałem. – Poślubisz ją, to znaczy papiery zostały przygotowane, a ty byłbyś idiotą nie przyjmując ochrony jedynej rodziny, która wciąż jest na Sycylii... prawda?

Zamknął oczy na krótką chwilę, zanim przykleił okrutny uśmiezek na twarz. Phoenix skinął do niego głową i odwrócił swoją uwagę do gazety.

– To tylko ma sens. – Tex wypiął pierś. – *Cappo di Cappo* poślubiający klan Nicolasi, tylko pomyśl... będziemy niepowstrzymani. Cholera, Alfero, De Lange i Abandonato do kupy wzięci nie mogliby nas wykupić, przewyższyć bronią czy zatrzymać. Myślę... – Pokiwał głową i posłał kolejny uśmiezek wokół stołu kiedy wchodził do kuchni. – Myślę, że to brzmi dobrze. Cholernie dobrze, ostatecznie jakim typem przywódcy byłbym, jeśli w pełni nie zainwestowałbym w całą tą potęgę?

Nixon zazgrzytał zębami kiedy Chase złapał swój kubek z kawą tak mocno, że niemal skruszył go w dłoniach.

Phoenix, jednakże, wydawał się obojętny.

– Dobra decyzja – powiedziałem w końcu. – Porzucenie rodziny, która cię wychowała w celu zbratania się z diabłem... jak... typowo dla Campisi.

Tex zamarł, a potem powoli odwrócił swoje mordercze spojrzenie na mnie. Poczułem przemożną chęć wyskoczenia z miejsca i wzięcia nóg za pas. Jak kompletny tchórz.

– Mówią, że boss zawsze musi wykonać pierwszy wyrok, Sergio. Nie rób sobie we mnie wroga, nie chcesz poznać bólu jaki mogę ci przysporzyć. Cierpienie, bezwzględna rozrywka jaką bym odczuwał dusząc cię gołymi rękoma.



Z tym odszedł.

Chase zagwizdał i odłożył gazetę.

– Szczęśliwa niedziela.

– Dzień Boży – dodał Nixon.

– Mam kilka różańców, jeśli ich potrzebujesz, Sergio. – Chase skinął. – No wiesz, tak na wszelki wypadek.

Wywróciłem oczami i oparłem się na krzesło.

Co Tex wyprawiał?

I dlaczego Phoenix się z tym zgadzał?

Cholera, nawet jeśli skończę martwy, nie będę miał nic przeciwko tej sytuacji tak długo jak będzie to traktowane jako ochrona rodziny. Co za kompletnie poronione myśli.

# CHAPTER 56 <sup>TEX</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Mafia z definicji powinna mówić: Szczęśliwe Zakończenia umierają tutaj.*

Musiałem przyznać, że patrzeć jak uśmiech opada z gówno-żrącej gęby Sergia kiedy ta przybierała odcień ducha było prawdopodobnie kluczową atrakcją mojego tygodnia, jak nie miesiąca.

Z jękiem przywaliłem mocniej w worek. Musiałem jakoś dać upust agresji, a siedzenie z Mo przy stole kiedy ta wpatruje się w kubek z kawą jakby skrywał tajemnice świata? Najtrudniejsza cholerna rzecz jaką kiedykolwiek robiłem.

Przekląty kontrakt. Wyprowadziłem cios w worek treningowy.

Przekląty Luka. Dwa wykopy z półobrotu i kolejny cios.

Pot spływał mi po twarzy.

– Dostałeś smsa? – Phoenix przestraszył mnie jak jasna cholera kiedy wszedł do sali treningowej i złapał worek. Nie przestawałem w niego walić.

– Mówisz o tym smsie ze wszystkimi zdjęciami?

Phoenix powoli twierdząco przytaknął.

– Wiesz stary, że mam dobrą pamięć. Sześcioro z ludzi Alfonso będzie martwych z mojej ręki do czwartku.

– A kolejnych czternastu?

Zatrzymałem się dając sobie chwilę na złapanie oddechu zanim wyprowadziłem prawy sierpowy a potem lewy na worek.

– Są starzy.

Phoenix westchnął. – Nie w tym rzecz Tex.

Przestałem uderzać i zwiesiłem głowę.

– Jak wyssiesz truciznę? Szybko czy wolno?

– Dlaczego wysysamy truciznę?

Jego oczy błysnęły. – Odpowiedz na pytanie.

– Szybko musisz pozbyć się tak dużo trucizny jak tylko się da w przeciwnym razie osoba traci czas.

– Więc szybko strzelasz... szybko wysysasz truciznę. Im wolniej się z tym obchodzisz, tym staje się groźniejsza. Zabij ich wszystkich Tex. Nikt nie może przeżyć. Ta lista, jeśli kiedykolwiek wróci do ciebie, do mnie, do nas? – Zaklął i przeczesał ręką włosy. – To prawie jak zdrada stanu, wiesz?

– No – Żułem dolną wargę. – Doskonale zdaję sobie sprawę z tego co robimy.

– Dlatego właśnie oni nie mogą nic wiedzieć. – Phoenix złapał worek treningowy dłońmi. – Teraz wal.

Prawa, lewa, prawa, lewa aż byłem całkowicie wyczerpany. Aż pot łał mi się po twarzy i do oczu.

– Dobrze. – Phoenix się odsunął. – Niektóre z celów będą dzisiaj na mieście. Przyślę ci adres smsem. Obserwuj ich, zapamiętaj ich ruchy, manierę, nawet to co piją wiele ci o nich powie. Ale nie daj się zauważyć.

– Kapuję.

– I Tex? – Phoenix zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

– No? – Wytarłem twarz ręcznikiem.

– Jeśli znajdę się na linii ognia... nie będę miał żalu do ciebie... tak żebyś wiedział. Nigdy nie miałbym o to żalu do ciebie. Prędzej wolę zginąć niż pozwolić by żył któryś z tych łajdaków.

Przełknąłem. – Phoenix... oni byli częścią tego? Muszę to wiedzieć.

– To nie osobista wendetta Tex. – Phoenix zaklął i uderzył pięścią w ścianę. – Jeśli byłoby inaczej to sam zająłbym się odstrzałem. Tylko wiedz... ci faceci... oni kumali się z moim starym i z twoim. Jeśli nie zginą... ten krąg prostytucji się nie zamknie. Jeśli nie zginą, to broń wciąż będzie napływać z Kolumbii. Jeśli oni nie zginą, posypią się nasze głowy. Nie zatrzymają się póki nie dopadną nas wszystkich.

– Chciałbym żeby istniał inny sposób.

Phoenix ciężko odetchnął. – Czy nie chcielibyśmy tego wszyscy?

– Jeszcze jedno.

– Stary... – Phoenix zwiesił głowę. – Padam z nóg.

– Co byś zrobił?

Odwrócił się, jego oczy były zamyślane. – Że co bym zrobił?

– Jeśli wiedziałbyś, że zostały ci zaledwie cztery dni życia.

Czerwień zabarwiała jego policzki kiedy odchrząknął kiwając się na piętach.

– Cokolwiek co mnie ominęło, robiłbym to każdego przekłętego dnia dopóki nie nastalby czas.

– Nawet jeśli to byłoby kręcenie piruetów niczym balerina? – Zażartowałem.

– Dokładnie. – Phoenix parsknął śmiechem. – W szczególności jeśli chodziło by o to, mógłbym wywijać piruety wokół ciebie, nie każ mi tego udowadniać.

Uniosłem dłonie. – Nikt nie chce tego oglądać.

Zachichotał.

– Cieszę się, że żyjesz, stary.

Jego twarz przybrała poważny wyraz. – Powiedz to po czwartku.

Milczałem kiedy opuszczał pomieszczenie. Ja tylko zniknął za drzwiami wyszeptałem.  
– Powiem to. Przysięgam.



# CHAPTER

# 57<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*A kiedy upadasz... podnosisz się... i próbujesz raz jeszcze.*

Nie przywykłam do okłamywania ludzi, których kochałam. Zazwyczaj kłamałam tylko ludzi, których nie znałam. Decyzja zapadła, złapałam noże i przymocowałam je do wewnętrznej strony uda. Wsunęłam przez głowę czarną, dzianinową sukienkę i złapałam swoje buty za kolano od Chanel. Zawsze miały trochę luzu od góry, więc łatwo można tam było ukryć broń. Jestem pewna, że ubraniowe dziwki zewsząd byłyby dumne z mojego dokonania, kiedy wsuwałam kolejne dwa noże od góry, tak na wszelki wypadek.

Założyłam na to czarną, skórzaną kurtkę, a potem strzeliłam szyją. Moja 45 leżała na łóżku. Pełna determinacji przeładowałam broń i odbezpieczyłam ją. Musiałam być gotowa na wszystko.

Ostatecznie spojrzałam w lustro.

Tak naprawdę to w ogóle nie rozpoznałam dziewczyny wpatrującej się we mnie. Ona wyglądała na przestraszoną a ja odmawiałam bania się czegokolwiek.

Głęboko zaczerpując powietrze, zamknęłam oczy i skupiłam się na swojej misji. Jeśli oni wszyscy rozgrywają na ślepo to co się wyprawia, to nie zostawiają mi wyboru.

Bez względu na to gdzie dzisiejsza noc mnie zaprowadzi, nawet jeśli to by oznaczało, że sama pcham się do własnego grobu albo może doprowadzi mnie do wniosku, że tak naprawdę Tex nigdy nie był mój? Chcę przynajmniej dostać jakieś odpowiedzi, mieć spokojne sumienie wiedząc, że uczyniłam wszystko co w mojej mocy, aby zabezpieczyć swoje szczęście, zapewnić bezpieczeństwo mojej rodzinie a może nawet Tex'owi.

Kiedy moje oczy się otworzyły.

Zobaczyłam.

Siebie.

Mo Abandonato, bliźniaczą siostrę najpotężniejszego szefa mafii w kraju, zakochaną w osobliwym Ojcu Chrzestnym, córkę zgładzonego sukinsyna i najlepszą przyjaciółkę rodzin De Lange, strzeliłam szyją, Alfero i Nicolasi. Dopomóż mi Boże.

Wykonam swoje zadanie.

Mimo wszystko, made man uzyskuje swój tytuł po dokonaniu swoich pierwszych kilku zabójstw, przez swoją umiejętność pociągnięcia za spust bez chwili zawahania.

Wreszcie dotarłam do tego momentu.

I to było dobre uczucie. Dawało uczucie wolności aby pozbyć się tego całego dramatu, całej boleści serca i skupić się na czymś znacznie większym.

Komisji i nagłej odmianie Texa, na równi z planami jego i Phoenixa.

Wysłałam szybką zbiorczą wiadomość do wszystkich, że idę pobiegać, otworzyłam okno i wyskoczyłam na trawę z głuchym odgłosem.

Tex szykował się do wyjścia, tyle byłam pewna. Okłamałam dziewczyny w kwestii strzelania wiedząc, że stracę okazję do śledzenia go, jeśli bym została.

Podbiegłam do czarnego Mercedesa i wskoczyłam do środka. To był nowy zakup, nie znany Texowi, który przywykł do widywania mnie w Range Roverze, choć to Mercedes był właściwie moim samochodem.

Szybko wycofałam z miejsca i przejechałam dookoła tak, by nikt mnie nie zobaczył, potem przejechałam przez bramę i czekałam przy końcu naszej posiadłości, przy krowach.

W przeciągu kilku minut Tex wyminął mnie prowadząc Land Rovera z okularami przeciwsłonecznymi na nosie, całkowicie skoncentrowany na drodze na wprost.

Uśmiechnęłam się kiedy kolejna rzecz wskoczyła na swoje miejsce. Liczyłam na to, że pojedzie Range Roverem. Mój plan całkowicie wziął by w łeb gdyby nie wziął tego wozu.

Chwila czystego geniuszu załała mnie kiedy zdałam sobie sprawę, że ten sam namierzacz głupi Phoenix wstrzyknął we mnie, a znajdował się pośród wszystkich prochów jakie Nixon trzymał w swojej zbrojowni, jak lubiłam nazywać to pomieszczenie. To było zbyt łatwe aby wsunąć jeden między tylne siedzenia i ściągnąć sobie apkę na telefon.

Odczekałam dobre pięć minut zanim ruszyłam.

I wiecie co? Tex zatrzymał się jakieś piętnaście minut później, przy nieźle wypasionej restauracji noszącej nazwę Tapas.

Zaparkowałam po drugiej stronie ulicy, kilka samochodów z tyłu i czekałam. To było teraz albo nigdy i miałam na to nieskończoną ilość czasu.



# CHAPTER

# 58<sup>TEX</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAAA90 & NIUXI

*Zbyt wielu zamieszanych mężczyzn oznacza jedno. Eliminację.*

Oficjalnie zamierzałem ukatrupić Phoenixa. Faceci, których miałem zlustrować? Skończone i kompletne durnie. Nie no, poważnie. Wylewali się i wlewali do restauracji, pijąc i fajcząc cygara jakby nie powodowały raka i śmiali się na całe gardło.

Każdy z osobna był zbyt pochłonięty rozmową by nawet rozglądać się po ulicy. Naprawdę sądzili że są tutaj bezpieczni? Nie rozpoznałem żadnych twarzy choć dał o sobie znać Alfonso pojawiając się na zewnątrz by zapalić cygaro i pogadać z gronem swoich ludzi.

Oni wszyscy byli pod, lub po sześćdziesiątce. Niedobrze mi się robiło na myśl w co wszyscy byli zamieszani.

Nie przeszkadzało mi, że to ja będę tym, który przedstawi ich Szatanowi. W końcu przewodzili jednej z najgorszych szajek zajmujących się prostytutką znaną Cosa Nostrze.

To zaczęło się od De Lange i myślałem, że skończyło tej nocy, której zamordowałem mojego ojca.

Ale się myliłem.

Co Phoenix tak ładnie podkreślił za pomocą Luki.

Dwóch mężczyzn bez przerwy dotykało się za głowami, drapiąc się po wyższej partii pleców, niespokojnie. Co znaczyło, że używali tego jako rozproszenia dla swoich rąk, które przyzwyczajone były do sięgania po broń. Zanotowałem to na fotografiach, które zabrałem ze sobą.

Inny mężczyzna stał z opuszczonym wzrokiem kiedy podrzucał kostkę do gry w powietrzu, w górę i w dół, w górę i w dół, czekając cierpliwie. On byłby pierwszy do wyciągnięcia broni i ostatni by umrzeć. Jego ruchy były gładkie, płynne.

Kolejnego faceta wszystko śmieszyło – prawdopodobnie był pijany, potykał się w kółko i klepał wszystkich po plecach, lekkie utykanie stanowiło z niego łatwy cel. Zapewne miał kiedyś pokiereszowane kolano z tego czy innego powodu.

Nie przestawałem obserwować zapamiętując ich ruchy tak jak muzyk zapamiętuje nuty. Tym to dla mnie było, obserwowanie ludzi było sztuką, to było studiowanie każdego oddechu, każdego kroku, każdego przygarbienia. Ludzi z łatwością można odczytać. Byli moją antylopą a ja byłem lwem.

W końcu większość z nich zniknęła w środku po nieprzerwanym, niemal dwugodzinnym wchodzeniu i wychodzeniu z restauracji. Najpewniej raczyli się czerwonym winem, wznosząc toasty jak przypuszczam za nową erę rodziny Campisi pod przewodnictwem Alfonso. Ostatecznie wszystko zaczęło się układać. Wystraszyli mnie i zmusili do ukrycia – albo tak myśleli, po tym jak grozili mnie i Mo, co zrobili, zabezpieczając sobie zaproszenie wraz z resztą amerykańskiej Mafii.

Dla nich był to wreszcie powrót do domu.

Dla mnie? To był naprawdę kosztowny pogrzeb.

Czas się zbierać.

Uruchomiłem silnik i spojrzałem we wsteczne lusterko.

– Cholera. – Oblizałem wargi i uderzyłem w kierownicę kiedy zauważyłem Mo. Patrzyła na mój samochód i na restaurację. Moje ciało zatrzęsało się z grozy. Nie miała pojęcia na jakie niebezpieczeństwo się narażała albo jaki rozpętałaby chaos, gdyby została przyłapana. Wszystko na co pracowaliśmy z Phoenixem? Zmarnowane. Stracone.

Musiałem odciągnąć ją od restauracji.

Z przekleństwem na ustach, wyjechałem na drogę i popędziłem w kierunku mojego baru.

Mo jechała za mną równie szybko ale trzymała się kilka aut z tyłu.

W chwili gdy podjechałem pod knajpę, objechałem parking i zaparkowałem od zaplecza, kurz wzbil się od nagłego przyspieszenia. Gwałtownie wyłączyłem silnik, przebiegłem wokół budynku i patrzyłem jak Mo zatrzymuje się i rozgląda.

– Mam cię.



# CHAPTER 59<sup>MO</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Jeśli próbujesz podkraść się do bossa... upewnij się, że nie jest tego świadomy.*

GDZIE ON ZNIKNAŁ? Obliziałam usta i pochyliłam się nad kierownicą. Jego samochód był zaparkowany od zaplecza, co oznaczało, że prawdopodobnie zniknął w środku.

Mogłam wracać do domu.

Ale zmierzenie się twarzą w twarz z nim brzmiało lepiej.

Więc przełknęłam lęk budujący się wewnątrz mnie i sięgnęłam po klamkę, powoli otwierając drzwi.

Dopóki nie zostały wyszarpane z mojego uścisku.

A groźny Tex wypełniał przestrzeń między mną a światem zewnętrznym.

– Dobrze bawiłaś się na swojej małej obserwacji? – zapytał spokojnie.

– A ty? – odparłam.

Oparł swoje umięśnione ramiona o dach samochodu i świdrował mnie wzrokiem.

– Och, zamierzam.

Zanim mogłam się poruszyć czy krzyknąć, czy też zrobić cokolwiek, wyszarpał mnie z samochodu i zarzucił sobie na ramię. Starłam się złapać mój pistolet ale to było niemożliwe przez sposób w jaki mnie niósł.

– Postaw mnie! – warknęłam.

Tex mnie zignorował kiedy nonszalancko maszerując wszedł do hałaśliwego baru i niósł mnie przez główną salę, na tył.

– Wszystko w porządku, szefie? – zapytał barman.

– Idealnie. – Tex złapał mocniej moje ciało. – To może trochę potrwać.

Och, cholera.

Wierciłam się przy nim, ale nie było możliwe aby się poruszyć. Musiałam czekać aż mnie postawi zanim sięgnę po cokolwiek.

Pamiętając całe szkolenie chłopaków... zwłaszcza Tex'a, pozwoliłam mojemu ciału być bezwładnym w jego ramionach.

Z pomrukiem, jego uścisk zwolnił się, kiedy weszliśmy do ciemnego pokoju, drzwi zamknęły się za nami. Utrzymałam moje ciało rozluźnione.

Uścisk Tex'a poluznił się jeszcze bardziej kiedy postawił mnie na podłodze, próbując ustawić mnie, tak żebym się nie przewróciła. Zachwiałam się w jego stronę, jakbym miała zemdleć, a potem tak szybko jak mogłam, ukucnęłam i wyszarpnęłam po nożu z każdego buta.

Światła były wyłączone a księżyc przesączał się przez samotne, małe okno w rogu pokoju. Mogłam zobaczyć jedynie zęby Tex'a, nic poza tym. Cofnęłam się i podniosłam noże.

– Mo. – Ochrypli głos Tex'a brzmiał na zmęczony. – Odłóż noże.

Odbijały światło księżyca kiedy podchodził, aż niemal byłam przyciśnięta plecami do ściany, jedyne miejsce gdzie światło świeciło wystarczająco, że mogłam zobaczyć go a on mnie.

– Będziesz musiał sam sobie je wziąć – zadrwiłam.

Silną twarz Tex'a wykrzywił uśmiech.

– Och, kochanie, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Poruszał się z taką prędkością, że niemal nie zauważyłam tego wystarczająco szybko, kiedy jego ręce złapały moje. Opałam na podłogę i przecięłam jego dzinsy nożami i przetoczyłam po podłodze. Pył oblepił moje nogi i buty.

Klnąc, Tex spojrzał w dół.

– Mo, to były moje ulubione dzinsy – powiedział sarkastycznym tonem, wypełnionym udawanym bólem.

– Myślę, że poprawiłam im wygląd.

Tex rzucił się na mnie, chwytając moje ręce, wytrząsając jeden nóż, kiedy trzymałam drugi w prawej dłoni. Wykręciłam się i użyłam całej mojej siły aby uderzyć wewnątrz jego żeber. Chrzękając, potknął się w tył, wystarczająco dla mnie, żebym przesunęła nogę zanim zdążył złapać moją skózaną kurtkę w swoje ręce. Wykręciłam się z niej i sięgnęłam po pistolet lewą ręką.

Tex odrzucił skózaną kurtkę na ziemię i się uśmiechnął.

– Dobra, tak chcesz się bawić? Chcesz wybić ze mnie to gówno? Czy to sprawi, że będzie lepiej, Mo? Co do cholery mam zrobić, żeby przekonać cię jak bardzo się tobą brzydzę? – Jego

oczy rozbłyły. – My już nie istniejemy, Mo. Sory, ale taki jest świat, w którym żyjemy. Myślisz, że zawaham się ciebie zabić? Myślisz, że obchodzi mnie jeśli mnie nienawidzisz? I co z tego? Nienawidź mnie. I co z tego? Postrzel mnie. Ale przynajmniej zrób z tego uczciwą walkę. Rzuć broń, rzuć noże, oboje wiemy, że pomagałem cię szkolić. No dalej, Mo... – Im bardziej mnie drażnił, tym bardziej się wkurwiałam, ale wiedziałam co robi, podpuszczał mnie, używał tego jako taktyki, żebym pękła i rzuciła się na niego, tak że mógłby wykorzystać moją słabość.

Zamiast tego, spokojnie zabezpieczyłam broń, wyciągnęłam ją przed siebie i upuściłam. Opadła z łaskotem na ziemię razem z moimi nożami.

– Boisz się? – zapytałam, podnosząc moje ręce.

– Dziewczyny z pięściami mnie przerażają. – Tex wyszczerzył zęby w drapieżnym uśmiechu. – No i nienawidzę walki na łaskotki... wiesz to.

– Postaram się zachować twoje jaja w całości, ale nic nie obiecuję, Tex.

– Aw, nie możesz uprawiać ze mną seksu więc nie chcesz, żeby ktoś inny mógł?

– Proszę – prychnęłam. – Jakbyś mógł tego dokonać bez mojej pomocy.

Roześmiał się i zrobił krok w moim kierunku, unosząc ręce w boksinerskiej pozie.

– Nie bądź wkurzona, jeśli złamię ci nos, Mo, ale ma to też dobrą stronę, zawsze chciałaś operacji nosa, prawda? Potraktuj to jako krok w dobrym kierunku... powiedz to razem ze mną, operacja plastyczna.

– Nie ważne, jaja znikają. – Wzruszyłam ramionami. – Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt do nich przywiązany.

– Aw, kochanie, myślę, że to ty jesteś przywiązana. – Obrócił się leniwie w moim kierunku, szydząc, jak zaczęliśmy tańczyć wokół siebie.

– To słodkie. – Wychyliłam się w lewo i próbowałam uderzyć kolanem w jego zębra, odbił je swoimi dłońmi, odpychając mnie.

– Co jest?

– Jesteś przywiązany do swojej męskości. – Schyliłam się kiedy ponownie się na mnie się zamachnął i dostał kopa w prawe udo. Skrzywił się, ale nic nie powiedział. Wiedziałam, że to boli.

– Większość mężczyzn jest, Mo. Większość kobiet też, ale hej, nie narzekam.

– Chcesz usłyszeć je teraz? – Uderzyłam moją prawą pięścią i próbowałam przyłożyć prawy sierpowy, robiąc uniki, próbowałam kopnąć prostych i z półobrotu.

Złapał moją nogę i przewrócił mnie na plecy, górując nade mną.

– Jesteś zbyt wolna.

– Czyżby? – Owinęłam nogi wokół jego bioder i obróciłam go na plecy, wymierzając mu cios w policzek.

Jego głowa ledwo się poruszyła, kiedy uśmiech wykrzywił jego usta.

– No i co? Pozwolę się bić bo cię porzuciłem a ty poczujesz się przez to lepiej?

– Dlaczego śledziłeś tych facetów? – Znow go uderzyłam, moje knykcie zaczynały boleć.

Wyszczерzył się.

– Prędzej umrę niż ci powiem.

– Więc umieraj. – Zaciśnęłam zęby i wyprowadziłam kolejny cios w jego skroń, zanim chwycił mnie w pasie i uniósł mnie w powietrze, uderzając mną o cement, a potem ciągnąc mnie jakbym nic nie ważyła.

– Dlaczego nie możesz być po prostu normalną dziewczyną? – Wściekał się pchając mnie na ścianę, zatrzymując mnie swoim ciałem. – Dlaczego nie możesz iść sobie pobeczeć, poszastać kasą, upić się winem? Ciskać rzutkami w moją twarz? Dlaczego nie możesz być normalna?

Przechyliłam brodę ku niemu i wyszeptałam: – Nie kochałbyś normalnej dziewczyny.

Jego oczy się odwróciły, oddech stał się nierówny, kiedy jego ciało wcisnęło mnie mocniej w ścianę.

– Nie mogę cię chronić, jeśli wciąż będziesz mnie śledzić.

– Kto powiedział, że potrzebuję ochrony?

– Ci ludzie cię zgwałcą. – Tex walnął dłonią w ścianę obok mojej głowy. – Rozerwą cię na strzępy, kończy na po kończynie za samo oddychanie tym samym powietrzem. Wciąż chcesz mnie śledzić? Dobra, tylko nie oczekuj, że będę w stanie ochronić cię kiedy sprzedadzą twoje ciało za najwyższą cenę.

Powietrze uciekło z moich płuc z syknięciem.

– Ludzie Alfonso?

Tex zamarł.

Zrobiłam szybkie obliczenia. – Będą tam w czwartek?

– Mo. – Tex potrząsnął głową. – Wracaj do domu. Idź do łóżka. To skończone. Nie wiem co jeszcze ci powiedzieć i nie zwariować. Z nami koniec. – Jego głos zadrżał. – Jesteśmy niczym.



Stanąłam na palcach i złapałam jego twarz w dłonie.

– Kłamca.

Jego usta się otworzyły.

A ja go pocałowałam.

# CHAPTER 60 <sup>TEX</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Całowanie wroga zawsze wywołuje dreszczyk. To dlatego ludzie to robią.*

MÓJ UMYSŁ ZAREJESTROWAŁ TYLKO jej pocałunek; nic innego nie istniało, nic innego się nie liczyło. Złapałem jej kolana i przesunąłem ją wyżej po ścianie. Nic więcej mi nie zostało, żadna kontrola. Nie było nikogo, żeby mnie powstrzymać, nikogo, żeby powiedział mi, co robić.

I wtedy wszystko trafiło na miejsce.

Nie wiedziałem co robić czy dlaczego.

Ale robiąc rzeczy sposobem Phoenix'a, wciąż pozwalałem sobie na bycie marionetką. Używaną w celu położenia kresu czemuś okropnemu.

Ale co jeśli... Jęknąłem kiedy uścisk Mo zacieśnił się wokół mojej szyi, jej ręce zanurkowały w moje włosy. Co jeśli ufałem komuś?

Co jeśli wystarczająco jej ufałem?

Co jeśli wystarczająco ją kochałem?

– Mo. – Dyszałem.

– Jeśli powiesz mi, że nie możemy tego zrobić ponownie, zastrzelę cię, Tex. Jestem śmiertelnie poważna.

Roześmiałem się. Nic nie mogłem na to poradzić.

– Czy ty się ze mnie śmiejesz? Przysięgam, że to zrobię, Campisi.

– Zluzuj gacie Abandonato. – Postawiłem ją na nogi i zrobiłem krok w tył. Ta kobieta się nie zatrzyma. Zrobiłem wszystko co mogłem, raniąc ją, żeby zrozumiała, że nie możemy być razem.

A była tutaj.

Nixon mnie nie śledził.

Ani też nikt inny.

Mo. Zostawcie to Mo.

– Więc. – Skrzyżowała ramiona. – Jesteś gotów powiedzieć mi dlaczego byłeś takim gnojem dla wszystkich i byłeś szturmowcem, kiedy pozostali byli Jedi?

– Przyznaj, wyglądam cholernie dobrze w bieli, Mo. – Oparłem się o stół i skrzyżowałem ramiona.

– Ach. – Podeszła i naśladowała moje ruchy, krzyżując ręce. – Więc tu chodzi o kolor Rodziny? Nikt nie będzie zły jeśli będziesz nosił czerń, Tex.

Zwiesiłem głowę, mój uśmiech urósł do epickich proporcji.

– No, naprawdę nie mogłem przez to spać.

– Tylko pomyśl... wszystkie te nieprzespane noce, rozwiązane przez jedną walkę ze mną.

– Racja. – Przełknąłem. – Mo Abandonato, odpowiedź na wszystko.

Moje oczy się rozszerzyły kiedy nagły pomysł pojawił się w mojej głowie.

– Co tam szaloonooki?

Otworzyłem usta, a potem je zamknąłem.

– Co jeśli?

– Co jeśli... co? Ziemia byłaby płaska?

– Jesteś geniuszem. – Ruszyłem w jej stronę, łapiąc jej twarz, całując jej usta tak mocno, że czułem jak się krzywi.

– Hę? – Niemal się potknęła, kiedy ją puściłem.

– Zrób to realnym. – Roześmiałem się głośno. – No cholera, Phoenix, mogłeś mi to po prostu przeliterować.

– Jestem Mo. – Machnęła przede mną.

– Czy Trace i Mil potrafią dochować sekretu? – zapytałem.

– No. – Zwęziła oczy. – Ja też potrafię, wiesz.

– Żadnych sekretów od ciebie. Cóż, to znaczy jeden, ale to co muszę wiedzieć, to czy... jak dobrą aktorką jesteś?

Położyła ręce na biodrach.

– Raz przekonałam Nixona, że widzę martwych, a on wierzył w to przez dwa lata.

– Dobra dziewczynka. – Wyciągnąłem rękę. – A teraz, musisz słuchać bardzo uważnie.



# CHAPTER 61<sup>MO</sup>

PRZEKLAD I KOREKTA:  
KLAUDIAAA90 & NIUXI

*Ciąg dalszy kłamstw...*

– JESTEŚ GOTOWA? – zapytał Tex, kiedy zaparkowaliśmy pod domem. Było ciemno i wiedziałam, że Nixon będzie wkurzony, że byłam tak długo na zewnątrz. Napisałam mu, że złapałam podwózkę po moim biegu, ale wiedziałam, że wciąż zamierza spuścić na mnie psy.

Strzeliłam knykciami.

– Tak, mogę to zrobić.

Tex się roześmiał.

– Jasne, bardziej wygląda jakbyś zamierzała naprawdę się tym bawić.

– To też. – Uśmiechnęłam się. – Potraktuj to jako rewanż za złamanie mi serca.

– Wiesz. – Skinął. – Jeśli nie bylibyśmy śmiertelnymi wrogami, totalnie bym cię kochał.

– Aw. – Szturchnęłam go łokciem w żebra. – Wciąż cię nienawidzę.

– Dobra. – Wyszczrzył się.

– Dobra. – Żułam dolną wargę.

Z przekleństwem pociągnął mnie w cień i mocno pocałował, jego usta tańczyły z moimi jakby były mi przeznaczone, jakby on był mi przeznaczony. Moje serce waliło mi w piersi kiedy całował każdy policzek, a potem pocałował mnie znów w usta, jego język przesunął się po mojej dolnej wardze, tylko, żeby się wycofać i zrobić krok w tył.

– No, dobrze, że jesteśmy wrogami.

Wyprostowałam moją skórzaną kurtkę.

– Do końca.

Wyciągnął rękę i zamknął ją wokół mojej.

– Będę nienawidzić cię do końca.



Skinęłam.

– Spróbuj się nie rozryczeć.

Krzywiąc się, Tex się odsunął.

– Chcę mieć kiedyś dzieci, pamiętaj o tym, Mo.

– Nie mogę ci nic obiecać – zaśpiewałam. – A teraz chodźmy.

Weszłam do domu, wściekłość wyryta była w każdym moim ruchu kiedy drzwi zatrzęsnęły się na twarzy Tex'a.

– Mo! Wracaj tutaj! Natychmiast!

– Nie! – Ryknęłam, odwracając się na pięcie. – Ty chory draniu! Jak mogłeś!

Czyjeś sztućce z łoskotem opadły na podłogę kiedy każda głowa siedząca przy stole skupiona na nas. Wydawało się nawet, że Luca i Frank przyszli z wizytą na miłą, spokojną, normalną kolację.

Och co za szkoda, jak mi przykro.

Tex złapał moje ramię i przyciągnął mnie szorstko do siebie, odwróciłam się i spoliczkowałam go tak mocno, że moja dłoń płonęła.

– Nie waż się mnie dotykać!

– Będę dotykać co tylko chcę do cholery. – Uśmiechnął się okrutnie. – Wciąż zapominasz... Mógłbym być twoim właścicielem, gdybym chciał.

Kątem oka zobaczyłam, że Nixon wstał.

– Aw, skarbie. – Przekrzywiłam głowę i wyprowadziłam prawy sierpowy w jego twarz. Zatoczył się w bok. – Chciałbyś.

Tex potarł szczękę.

– Dobrze, że teraz nie chcę, cholera nigdy nie wносиłaś tego rodzaju przemocy do sypialni. Nie miałem pojęcia Mo... Mógłbym totalnie związać cię...

Ponownie go spoliczkowałam.

Chwycił moje ręce.

– Zrób to ponownie, niezależnie od tego, jesteś dla mnie niczym. Ty, twoja rodzina, za kilka dni to będzie odległe wspomnienie.

Uśmiechnęłam się słodko.

– Nie jeśli zabiję cię pierwsza.

– Będę spać z jednym okiem otwartym.

– A jednym palcem na spuście, kochasiu. – Uderzyłam go kolaniem w jaja na dokładkę, a potem wpadłam do kuchni i nalałam sobie kieliszek wina. Kiedy Tex skończył przeklinać, powoli podeszłam do zamrażarki i wyciągnęłam jedną, porządną kostkę lodu. – Wiem, że jest trochę duża, biorąc pod uwagę co masz tam na dole. – Rzuciłam mu ją w twarz. – Ale spróbuj sobie jakoś poradzić, Campisi.

– Masz szczęście, że nie zastrzeliłem cię za twój brak szacunku – zadrwił, odbijając lód w powietrzu, swoją wolną dłoń.

– Żeby mnie zabić, musiałbyś zabić Nixona, Chase’a i Sergio, prawdopodobnie Phoenix’a, definitywnie Lukę, wow, sprowadzić na siebie wszystkie rodziny. To jest twój wielki plan, Ojcie Chrzesny? Sprawić, żeby wszyscy cię nienawidzili?

– Jeśli muszę. – Stał wyprostowany. – Poza tym, czym jest odrobina więcej krwi na moich rękach po czwartku? Hmm?

Z tym odszedł do pokoju, zostawiając mnie krzywiącą się za nim.

Nixon pierwszy przemówił.

– Możesz powiedzieć mi o co chodziło?

– Możesz powiedzieć mi czemu go nie zastrzeliłeś? – odparowałam.

Nixon wywrócił oczami.

– Zastrzelenie Tex’a nie pomoże wściekłości, Mo, a także niezależnie od tego jak okropny jest, tak jakby potrzebuję go żywego przynajmniej przez kolejne trzy dni.

– A potem? – zapytałam.

– Będziemy ciągnąć zapałki. – Nixon się wyszczerzył.

Chase prychnął.

– Stawiam na krótką.

– Nie możecie go zabić. – Luca uderzył dłoń w stół i wstał. – On jest kluczem do wszystkiego. Zabijecie go i podpiszecie swoje własne wyroki śmierci.

Frank patrzył prosto przed siebie, jego umysł pracował tysiąc mil na minutę.

Phoenix spotkał moje spojrzenie, jego oczy były przenikliwe, wiedzące. Wywróciłam oczami na niego i pokazałam mu środkowy palec. Niech rozpocznie się odliczanie.

# CHAPTER 62 PHOENIX

*Nie ma tu prawdy, jedynie domniemanie.*

– Ne wydaje ci się to dziwne? – Znów spytałem. – Ani trochę?

Sergio wyglądając przez okno salonu, wziął duży łyk wina. – Mo zawsze była namiętą dziewczyną a Tex, no cóż, idzie na swoje. Po czwartku...

– Masz na myśli po tym jak wszyscy zginą...

– Tak. – Sergio wzruszył ramionami. – Wtedy wszystko wróci na swoje miejsce.

Przewróciłem oczami do jego pleców i wyszedłem z pokoju. On był zbyt spokojny. I to najbardziej mnie wkurzało. Za bardzo przypominał mi Lukę, spokojnego, zimnego, wyrachowanego.

Oficjalnie miałem dość dramatów jak na ten wieczór. Z ziewnięciem ruszyłem w kierunku pokoju gościnnego i wszedłem do środka.

Bee siedziała na moim łóżku czytając.

– Co ty do cholery wyprawiasz?

Nie spojrzała w górę tylko przewróciła kartkę. – Czytam. A na co to wygląda?

– Jesteś w moim łóżku.

– To dom Nixona, łóżko Nixona – powiedziała znudzonym tonem. – Wiedziałaś, że Edward jest wampirem!

Dobry Boże, wybaw mnie. To była moja pokuta za bycie łajdakiem, tortury przy użyciu Zmierzchu. Nie w porządku.

– Za długo żyłaś pod kloszem, kto dał ci tę książkę? – Nazwisko i numer ubezpieczenia społecznego, jeśli mógłbym prosić. Mam kogoś do zamordowania.

– Trace.

Wstrzymałem jęk. Na tym skończył się mój plan. – Jak... miło z jej strony.

– On jest taki seksowny.

– Nie możesz go zobaczyć.

Bee uniosła wzrok znad książki. – W swojej głowie całkowicie mogę.

Przewrócenie oczami wydawało mi się dziecinne ale właśnie to miałem ochotę zrobić.

– Proszę nie opisuj go. Jestem zmęczony i ostatnie czego pragnę to rozmowa o nieprawdziwych wampirach.

Westchnęła. – Twoja strata kolesiu.

Kolesiu? Co? Jakbyśmy byli teraz ziomalami.

– Bee. – Oblizalem wargi i spróbowałem innej taktyki, tej która nie zmuszała mnie do szlochania i błagania by wyszła z mojego pokoju. – Naprawdę potrzebuję trochę snu.

Wzruszyła ramieniem. – No to śpij.

– W swoim łóżku.

Przesunęła się w bok. Jej waniliowe perfumy uderzyły mnie pełną mocą przy tym prostym ruchu. Zacisnąłem pięści i wziąłem kilka głębokich oddechów. Nie pomogło.

Pocąc się wychrypiałem.

– Bee, ja sam śpiam.

W końcu odłożyła książkę na nocny stolik i skrzyżowała ramiona, sprawiając że jej ciało wyglądało tak dużo... lepiej, jeśli w ogóle było to możliwe, w cienkim topie i szortach, które miała na sobie. – Ale kiedy chroniłeś mnie to zostawałeś ze mną.

– By utrzymać cię przy życiu. – Tak mocno zaciskałem szczękę aż coś w niej przeskoczyło. – Wierz mi, tutaj jesteś bezpieczna.

Jej oczy wypełniły się łzami. – Proszę, Phoenix?

Łzy. Nie bardzo radzę sobie ze łzami i ona o tym wiedziała.

Wzdychając, sięgnąłem w tył i ściągnąłem koszulkę po czym podszedłem do komody, otworzyłem ją, wyjąłem parę spodni dresowych i z trzaskiem ją zamknąłem. Bez słowa opuściłem dzinsy na podłogę, włożyłem dresy i zgasilem światło.

– Dzięki. – Bee wyszeptała. – Ja po prostu... dzięki.

Nie miała pojęcia, że jej wersja bezpieczeństwa była obłąkana... niemal chora. Leżała obok gwałciiciela, obok mordercy, obok bezwzględnego potwora i to był jej sposób na zaznanie w nocy spokoju. Podczas gdy ja? Nie zaznałem żadnego. Absolutnie żadnego. Ani wtedy kiedy



w końcu zapadła w sen, ani wtedy kiedy jej ręka wyciągnęła się po moje ciało, ani wtedy kiedy zwinęła się przy moim boku i westchnęła.

To było Piekło.

A ja wiedziałem, że potrafiła spać jak zabita.

A ja byłem jak przewód pod napięciem. Wpatrując się szeroko otwartymi oczami w sufit, wmawiając mojemu ciału aby nie odpowiadało. Zmuszając się do każdego oddechu. I okłamując siebie samego, że nic nie czułem do tej wanilią pachnącej piękności, śpiącej w moich ramionach.

# CHAPTER 63 SERGIO

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Czekając na śmierć – nie najlepszy sposób by spędzić słoneczny dzień.*

Do czasu nadejścia środowej nocy, byłem gotowy wyciągnąć spluwę na Tex'a – a może nawet i Mo. Ich kłótnie stały się jeszcze gorsze. Jak to było w ogóle możliwe? Jeśli już, to Tex przemienił się z pewnego siebie, aroganckiego małego gnojka w furioholika z poważnym kompleksem boga.

Jeśli nikt nie nalał mu filiżanki kawy, to wrzeszczał na Mo by naprawiła to na konto tego, iż kobiety powinny usługiwać swoim mężczyznom – bossom.

Zarobił za to cios w bebechy i groźbę przy użyciu noża. Przysięgam, że Nixon by go załatwił ale wszyscy wiedzieliśmy, że do czwartku nie było nic, co moglibyśmy zrobić, dopóki sprawy się nie rozstrzygną.

Tex był nietykalny.

Więc nie reagowałem kiedy siedział naprzeciwko mnie i czyścił swoje gnaty, a potem zagroził wygrawerowaniem mojego imienia na każdej kuli tak dla samej pewności.

Za każdym razem gdy zwracałem się do Luki, mówił mi żebym odpuścił. Racja, odpuszczenie oznaczało, że wszyscy już byliśmy martwi ale zrobiłbym wszystko dla Luki. Zrobiłbym to co należy dla Rodziny. Koniec końców, to i tak pewnie by nie wystarczyło.

Awantura wybuchła w kuchni. Jęcząc podskoczyłem ze swojej wygodnej miejscówki w salonie i ruszyłem w kierunku krzyków.

Kiedy wyszedłem z za rogu, niemal wróciłem na swoje miejsce. Może gdy zignoruję problem to nie będzie on wtedy problemem?

– Ty skurwysynie! – Mo trzymała nóż wycelowany w Tex'a. – Jak mogłeś w ogóle powiedzieć coś takiego o nas? O swojej rodzinie? Praktycznie cię wychowaliśmy!

– Wychowaliście mnie? – Tex ryknął, jego twarz była wykrzywiona furią. – Byłem waszą marionetką! Niczym poza pionkiem w większej grze! Chroniliście mnie po to by mnie wykorzystać, tak jak wykorzystacie mnie jutro!

– Tex. – Nixon naprawdę wyglądał jakby zaraz miały mu puścić nerwy, kiedy odepchnął Mo na bok. – To nie jesteś ty, ktokolwiek wszczyna te kłótnie, wrzeszczy, atakuje Mo. To nie jest chłopak, z którym dorastałem. Zapomniałeś, że wychowywaliśmy się razem.

– Przez twojego chorego ojca. – Tex spojrzał gniewnie.

Nixon zacisnął zęby gdy Chase powoli zbliżył się do grupy.

– Właściwie to mojego chorego ojca, ale to tylko szczegół. – Machnął ręką w powietrzu. – Tex, jutro, zakończysz to. Dzisiaj... nie możemy sobie po prostu wyobrazić świata, w którym nie odpychasz nas aby rozproszyć nas od większego obrazka?

– Co? – Tex syknął.

Nixon z Chasem wymienili się spojrzeniami.

Cholera, sprawy przybrały interesujący obrót. A ja myślałem, że Nixon z Chasem przystali na warunki Luki bo nie mieli wyjścia. Oparłem się o ścianę, skrzyżowałem ramiona i czekałem.

Kłata Tex'a falowała z wysiłkiem kiedy Nixon przechylił głowę na bok, jego spojrzenie było wyrachowane.

– Zawsze wybierzesz rodzinę Tex. I to jest okej, krew wygrywa, jestem dość pewny, że mieliśmy już tę rozmowę. Ale powinieneś wiedzieć jedno.

Tex wyrócił oczami.

– Jesteśmy braćmi. – Chase powiedział ściszym głosem. – Krew *zawsze* wygrywa ale my dzieliliśmy tę krew. – Uniósł swoją dłoń. – Cała nasza czwórka. – Phoenix wzdrygnął się tam gdzie stał w pobliżu innego wejścia. – A to oznacza, że bez względu na to jakiego wyboru dokonasz jutro – nie dołączasz do wroga – ty pokonujesz go, bo w chwili jak tylko zajmiesz swoje miejsce, w końcu będziesz w domu. Ale to nie oznacza, że nie będzie nas tutaj, żyjących, oddychających, walczących dla ciebie.

Nixon klepnął Chase'a w plecy i skupił wzrok na Tex'ie.

– Walcz chłopie ile chcesz a my i tak będziemy do końca trwać przy twoim boku. Nawet jeśli koniec oznacza naszą śmierć. Nie jesteśmy głupi. Możliwe, że będziesz jutro musiał dokonać wyboru i jeśli jest cokolwiek czego nauczyliśmy się odnośnie sytuacji Phoenixa, to tego, że honorowa śmierć to jest dobra śmierć.

– Nixon. – Trace na wpół błagała. Kiedy Mil wpatrywała się w podłogę u swoich stóp, Mo przeszła przez kuchnię i stanęła przy dziewczynach.

Tex zdawał się ważyć swoje możliwości kiedy rozglądnął się po kuchni, potem uśmiech wykrzywił jego wargi a oczy spotkały zimne spojrzenie Nixona. Szybkim krokiem podszedł do Nixona aż jego nos niemal stykał się z jego. Atmosfera była tak napięta, że nie wiedziałem czy

interweniować czy czekać jak to wszystko się rozegra. Zerknąłem kątem okna na Phoenixa, jego pięści były zaciśnięte mocno przy bokach jakby miała wybuchnąć bójka... Muszę chronić Tex'a, cholera to było takie niewłaściwe. Muszę utrzymać go przy życiu, za wszelką cenę.

Nixon ciężko oddychał a jego oczy zwężyły się w szparki.

Tex uśmiechnął się z wyższością a potem wyszeptał.

– *Volpe.*

Nie tego się spodziewałem.

Oczy Nixona zrobiły się dzikie, rzucały szybkie spojrzenia w jedną i drugą stronę, a potem z okrutnym uśmiechem wychylił się w tył i przywalił Texowi w głowę.

Tex zachwiał się do tyłu, krew lała się mu po policzku. Raz skinął głową po czym powoli ruszył w dół holu przeklinając rodzinę Abandonato przez całą drogę.

Podrapałem się po głowie zmieszany.

– Czy on właśnie nazwał cię lisem?

Chase spojrział na Nixona, obaj obrócili się by spojrzeć na Phoenixa, który całkowicie znieruchomiał.

– Co mnie do cholery ominęło? – zapytałem spokojnie.

Nixon westchnął i odwrócił się.

– Nic wartego uwagi. Komisja jest jutro, sugeruję by wszyscy położyli się spać.

Zbyt zdezorientowany i zmęczony by dalej drążyć temat, wyrzuciłem ręce w powietrze i poszedłem do swojego pokoju. Jak tylko zamknąłem za sobą drzwi, wyciągnąłem komórkę i wysłałem smsa do Luki:

*Ja: Jutro jest dzień, w którym dowiemy się z czego ulepiony jest Tex... i Phoenix też.*

*Luca: Ufaj planowi.*

*Ja: W tym problem, nie ufam nikomu.*

*Luca: Może, czas abyś, zaczął. Śpij dobrze, wszystko się powiedzie, zawsze tak jest.*

Rozgniewany, odpowiedziałem: *Władza absolutna korumpuje, absolutnie<sup>3</sup>.*

*Luca: Władza absolutna korumpuje, absolutnie, tylko jeśli do tego dopuszczamy. Zawsze jest wybór, Sergio. Nigdy o tym nie zapominaj.*

---

<sup>3</sup>Cytat z Lorda Actona. Pełna wersja: Władza korumpuje. Władza absolutna korumpuje absolutnie.



Zbyt wkurzony aby odpowiedzieć, rzuciłem telefon na łóżko i zatopiłem się w materacu, z głową w swoich rękach. Przeszedłem przez każdą strategię, każdy wynik, każdy plan by pomóc Phoenixowi, Luce i Frankowi opracować to od samego początku. Dałem z siebie wszystko. Wyszedłem z ukrycia aby upewnić się, że rodzina była bezpieczna, jedyny problem był taki, że czułem jakbym utracił człowieczeństwo w następstwie tego.

Myślę, że tak właśnie się dzieje kiedy jesteś handlarzem śmierci.

Z jękiem opadłem na poduszki starając się skupić na czasie kiedy wszystko było prostsze, kiedy wszyscy byliśmy dziećmi, kiedy gry wojenny były czymś o czym słyszeliśmy jak dorośli rozmawiają szeptem. Kiedy walki między rodzinami nic dla nas nie znaczyły, kiedy władza i chciwość były odrażające.

Tamte czasy dawno odeszły.

A teraz byłem zmęczony.

Nic. Zostawiałem po sobie nic.

Wyciągnąłem kawałek papieru z kieszeni i gapiłem się na niego. Moja ostatnia wola i testament. Zapięchtowałem kartkę w kopercie czekającej na mnie na biurku. Najbardziej żalną częścią było to, że nawet nie miałem rodziny, której mógłbym to wysłać. Mój własny ojciec pragnął mojej śmierci, większość z moich wujków siedziało w więzieniu, a ja utknąłem pomiędzy chęcią trzymania się prawa i przymusem aby go złamać. Nie miałem nazwiska nikogo jakie mógłbym umieścić na kopercie i to dobijało mnie do żywego. Tak najprawdopodobniej wyglądała moja przyszłość. Samotna i pusta. Nikt o kim warto byłoby pamiętać. Też mi spuścizna.

# CHAPTER 64<sup>TEX</sup>

*Ryzyko... jest zawsze tego warte. Albo nie?*

MUSIAŁEM PRZYZNAC TO MO, odwałała kawał dobrej roboty. Miałem tylko nadzieje, że dla chłopaków to było wystarczające. Utknąłem pomiędzy potrzebą, żeby jutro zareagowali, a także potrzebą, żeby utrzymali mnie przy życiu.

To było przeciąganie liny ogromnego kalibru, traktuj ich jak absolutne gówno, ale rzuć wskazówkę, że czai się za tym jakiś powód.

Bardzo solidny, zmieniający życie powód.

Phoenix powiedział, żeby zrobić to prawdziwym i wiem teraz, wiem dlaczego. Potrzebowałem, żeby każda ich reakcja była autentyczna, już teraz ryzykuję zbyt wiele z tym, że Mo wie, ale nie byłbym w stanie tego zrobić. Kłamanie jej prosto w oczy wciąż i wciąż i wciąż. Nie mogłem nic na to poradzić, byłem całkowicie do kitu w ukrywaniu moich uczuć przed nią, za każdym razem kiedy mnie całowała, reagowałem tak jakby moje ciało stawało w płomieniach. Więc to było niemożliwe.

Zabawne, to był jej pomysł, żeby rzucić wskazówkę z *volpe*. Cholera, ta kobieta była genialna. Mój żołądek się zacisnął... teraz jeśli jest sposób, żeby wykręcić się od umowy z Nicolasi. Mo wiedziała, że nie mogę się wycofać, tak jak wiedziała, że zamierzam ją skrzywdzić, żeby udowodnić ludziom, że biorę sprawę na poważnie.

Rozległo się pukanie do okna. Wskoczyłem z łóżka i złapałem broń.

Mo szczyrzyła się po drugiej stronie szyby.

Kiedy wywracałem oczami, uniosła wypchanego lisa i wyduła usta, jej dolna warga wystawała.

Mój uśmiech rósł i rósł, w końcu otworzyłem okno i wychyliłem się.

– Co tam, Romeo, próbujesz romansować ze mną?

– No, ale nie masz balkonu.

– Więc przyniosłaś lisa? – Skinąłem w stronę maskotki. – Wypchany lisek chytrusek, któremu brakuje oka?

– Tragiczny wypadek z pralką.

– Ach. – Wziąłem zwierzę. – Widzę.

– Mogę wejść? – Mo się zatrzęsała i owinęła się mocniej kurtką.

Cofnąłem się i oblizałem usta.

– Mówią, żeby trzymać swoich przyjaciół blisko a wrogów jeszcze bliżej, więc taa, wskakuj. – Cofnąłem się bardziej, żeby mogła podciągnąć się do góry, do mojego pokoju. Wylądowała z łoskotem, odwróciła się i zamknęła drzwi, a następnie żaluzje. – Planujesz zabić mnie czy coś? – Wskazałem na żaluzje i cisnąłem lisa na łóżko. Moje kości bolały, moje serce bolało. Każda cholerna rzecz bolała kiedy o tym myślałem. Nie było szans, żebym złapał jakiś skrawek snu.

– Tex? – Mo wyszeptwała, jej palce delikatnie chwyciły moje. Zaprowadziłem ją do łóżka i usiadłem, klepiąc miejsce obok siebie.

– No?

– Mam pomysł.

Spojrzałem w bok i zmarszczyłem brwi.

– Dobra.

– Postrzel mnie.

Moja twarz zastygła w szoku.

– Chcesz, żebym... postrzelił cię?

– No. – Skinęła, jej brwi złączyły się ze sobą jakby myślała zbyt mocno. – Musisz dać przykład, prawda?

Nie czułem się komfortowo z tym dokąd to zmierzało.

– Mo, mogę dać przykład bez strzelania do ciebie.

– Cóż, nie musisz mnie zabijać! – powiedziała w pośpiechu. – Tylko lekko mnie draśnij, to znaczy, planujesz mnie spoliczkować, co jest w porządku i w ogóle.

Jęknąłem, oficjalnie najgorsza rozmowa na świecie.

– Ale... – oblizała wargi – ...po prostu myślałam, że zrobi większe wrażenie jeśli do mnie strzelisz, zrób to w ramię, albo nawet w nogę, to znaczy to nie boli tak mocno, i to nie tak, że umrę, prawda?

Zacisnąłem powieki tak mocno, że aż oczy zaczęły mnie palić.

– Mo, prosisz mnie, żebym do ciebie strzelił.

– Jestem twoim wrogiem.

– Aż do końca – wyszeptałem.

– Racja. – Złapała moją rękę. – Po prostu... pomyśl o tym, ale nie mów mi czy zamierzasz to zrobić, po prostu to zrób... nie chcę wiedzieć, że to nadchodzi. Moje reakcje muszą być prawdziwe, ale Tex, nie możesz zdjąć pięciu głów rodzin, nie możesz zdjąć tylu ludzi i przetrwać, myślę, że powinieneś powiedzieć Nixonowi i Chase'owi.

– Nie mogę – powiedziałem ochryple. – Jeśli cokolwiek do nich wróci... jeśli ich głowy będą na celowniku. Nie poradzę sobie z tym, Mo. Jest wystarczająco źle, że Phoenix, Luca, Frank a nawet Sergio będą mieć kłopoty, jeśli się wyda. Plan był taki, żeby utrzymać rodzinę Abandonato czystą. Jediną rodzinę z wystarczającą potęgą, żeby utrzymać wszystko razem jeśli rzeczy staną się... złe.

Mo przełknęła.

– Powinieneś też postrzelić Nixona.

Jęknąłem.

– Jesteś szalona?

– Pomyśl o tym! – Uderzyła mnie w ramię. – Możesz chuchać i dmuchać ile chcesz, ale na koniec, jeśli nie wyrządzisz krzywdy tym najpotężniejszym, najbliższym ciębie... wszyscy jesteście mordercami. Boss, który pozbywa się tych złych jest okej, ale nikt się nie będzie ciebie bać. Żeby brali cię na poważnie musisz naprawdę zranić ludzi.

– Taki był oryginalny plan – odetchnąłem. – Ale powiedziałem Phoenix'owi, że nie mogę tego zrobić.

– Nigdy nie myślałam, że wypowiem te słowa. – Mo westchnęła ciężko. – Ale Phoenix ma rację.

– Niech go cholera. – Opadłem plecami na łóżko i westchnąłem. Mo podążyła za mną, opierając rękę na mojej piersi.

Leżeliśmy tak w ciszy przez kilka minut, zanim przysunęła się bliżej i pocałowała moją szyję.

– Spróbuj przeżyć.

Jej głos drżał od emocji. Próbowałem ignorować ukłucie w sercu, ale to było niemożliwe.

– Mo. – Przełknąłem kilka razy, moje gardło zatykało się łzami. – Jeśli miałbym wybór...



– Wiem...

– Nie! – Poderwałem się nagle. – Nie wiesz.

– Tex, jest w porządku, nie musisz tego robić. – Mrugała gwałtownie, powstrzymując łzy. – Już się pożegnaliśmy, pamiętasz?

– Jeśli nie miałbym siostry – wyszeptałem.

Mo pochyliła swoją głowę do mojej.

– Jeśli nie byłbyś synem martwego *Cappo di Cappo*.

– Jeśli jego spuścizna nie byłaby wciąż żywa. – Mój głos się ociągał.

– Jeśli nie potrzebowałbyś pomocy rodziny Nicolasi.

Przekląłem, a następnie zderzyłem nasze usta. Jęknęła kiedy przewróciłem ją na plecy i pogłębiłem pocałunek.

– Mo. – Odsunąłem się i złapałem jej dłoń, kładąc ją na moją pierś. – Wiedz, że... moje serce zawsze będzie bić dla ciebie i tylko ciebie, moja przyjaciółko, kochanko, wrogu, moja duszo.

Łzy spływały w dół jej twarzy kiedy skinęła i przyciągnęła moją głowę do swojej, jej usta spotkały moje w szaleństwie.

– Jestem z ciebie dumna.

– Nie bądź.

– Nic na to nie poradzę. – Westchnęła, jej usta ociągały się przy moich, zostawiając lekkie jak piórko pocałunki po mojej skórze.

Całowaliśmy się przez chwilę, bez słów, zapamiętując, żegnając się po raz drugi w ciągu dwóch tygodni. Spojrzałem w górę na zegarek i była niemal północ.

– Mo...

– Nie musisz tego mówić. – Ruszyła się z pode mnie i wstała. – Zatrzymaj lisa.

Zachichotałem.

– Jednooki lis na szczęście? Co może pójść nie tak?

– Nie bądź dupkiem. – Mo się drażniła. – Ochraniał mnie przed potworami, może ochroni cię przed twoimi.

– Mo. – Potrząsnąłem głową. – Jutro sam stanę się tym potworem.

– Nie. – Oblizwała usta i pocałowała mnie w policzek. – Jutro staniesz się naszym zbawcą.

# CHAPTER 65 PHOENIX

*Sen jest dla martwych.*

SPAŁEM GÓWNIANIE.

Zbyt wiele żyć wisało na włosku, włącznie z moim, ale nie bardzo ceniłem swojego życie, zwłaszcza w porównaniu z ich.

W ciągu godziny wyruszymy na Komisję. Mój żołądek był zaciśnięty w węzeł. Zamknąłem oczy i przesunąłem palcami po drzewie, na którym ja i chłopaki wryliśmy nasze imiona... imiona Elektów. Miejsce, w którym przysięgliśmy, że nie staniemy się naszymi ojcami.

Niech to cholera, ale stałem się nim, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Było mi żal Tex'a, naprawdę, bo wiedziałem lepiej niż ktokolwiek inny jak to jest posiadać szkaradną spuściznę. Rozumiałem to ponieważ żyłem z tym każdego cholernego dnia, bez ucieczki, bez niczego.

Zerwał się wiatr, chłód powietrza przebił się przez moją kurtkę.

– Szaleństwo. – Nixon powiedział zza mnie.

Nie odwróciłem się.

– Co takiego?

Chase odpowiedział z mojej lewej, kiedy Nixon stanął po prawej.

– To nie wydaje się nawet prawdziwe, że byliśmy dziećmi.

Potrząsnąłem głową.

– Dzieciństwo? Czy w ogóle jakieś mieliśmy?

– Nie. – Czwarty głos odpowiedział. Tex. – Jestem całkiem pewny, że to pominęliśmy.

– Bardzo bym chciał mieć fort. – Chase wsunął ręce do kieszeni.

– Przynajmniej domek na drzewie – dodał Nixon.

– Albo wypasioną kosiarkę do jeżdżenia – zachichotał Tex.

Zamilkliśmy, nie było słycać nic prócz wiatru gwizdzącego pośród drzew a napięcie spływało z każdego z nas.

– Jak głęboko sięga krew? – zapytał Tex, przerywając ciszę.

– Do śmierci – wychrypiałem. – Aż ostatni oddech opuszcza ciało.

Chase przyłożył dłoń do napisów na drzewie i docisnął ją.

– *Sangue in asseza. – Blood in no out.*

Nixon umieścił swoją rękę na Chase'a.

– *Con la morte a trovare la tu libertà, ma è la vita dove si è veramente liberi.*

Zamknąłem oczy kiedy prawda jego wypowiedzi wlewała się we mnie.

– W śmierci odnajdziesz wolność, ale to żyjąc jesteś prawdziwie wolny. – Moja drżąca dłoń przykryła tą Nixon'a. Nie oczekiwałem, że Tex do nas dołączy, mimo wszystko miał pozostać zdrętwiwały na emocje, jeśli miał przez to przejść.

Byłem w szoku kiedy jego ręka nacisnęła na moją, wyszeptał szorstko: – *Se il mio sangue, non sia vana.* – Powtórzył po angielsku. – Jeśli moja krew się poleje, niech to nie będzie na próżno.

– Amen – wyszeptał Nixon.

– Amen. – Dołączyliśmy, zabierając nasze dłonie.

Tylne drzwi się zatrzasnęły, wrywając nas z naszej chwili, prawdopodobnie ostatniego momentu, kiedy cała nasza czwórka była razem żywa.

– Powinniśmy ruszać. – Sergio zawołał z ganku. – Teraz.

Tex odszedł pierwszy, potem Chase, a w końcu i Nixon.

Patrzyłem jak trójka moich najlepszych przyjaciół trzyma głowy wysoko, żadnego strachu nie było widać na ich twarzach, a ja się zastanawiałem. Co jeśli prowadzę ich na śmierć? Albo czy zrobiłem wystarczająco dużo, żeby ich uratować? Czy mówiąc Tex'owi, uratowałem więcej żyć, czy też mogę to dodać do sterty ciał?

Przeżegnałem się szybko i pocałowałem moje knykie.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece.



# CHAPTER 66<sup>Mo</sup>

PRZEKŁAD I KOREKTA:  
NIUXI & KLAUDIAAA90

*Skorumpowane serce budzi wszystko co najgorszego mamy w sobie...*

Czekałam aż wszyscy chłopcy wyruszą aby wystartować za nimi. Tex dał mi instrukcje gdzie mam jechać. Właśnie miałam uruchomić silnik, kiedy usłyszałam stukanie w okno.

Stała tam Trace, ze skrzyżowanymi ramionami i oczami ciskającymi błyskawice.

Wcisnęłam przycisk opuszczający szybę.

– Co tam?

– Jedziesz na Komisję, co nie?

– Nie.

– A właśnie, ze tak.

– Nie, nie jadę.

– Jesteś gównianą kłamczuchą. – Trace otworzyła drzwi i wyciągnęła spluwę upewniając się, że jej komora jest naładowana.

Jęknęłam.

– Nie martw się, zaczekam w samochodzie ale nie pozwolę swojej najlepszej przyjaciółce pojechać tam bez wsparcia.

– I co? – Roześmiałam się. – Nawet nie wiesz co jest grane Trace. Tak jest lepiej.

– Mil tam jest. – Trace przełknęła ślinę. – Ty jedziesz a Nixon może zginąć. Będę tam, w samochodzie, ale będę na miejscu. Jak usłyszę strzały to nie pobiegnę na linię ognia, Nixon już mnie co do tego przeszkolił ale jeśli będę jedyną nie ranną osobą mogą przynajmniej zawieźć wszystkich prosto do szpitala św. Stefana i upewnić się, że nikt nie umrze.

Zamknęłam oczy i skinęłam głową. – Dobra.

Zamierzasz mu pomóc, co nie? – Wsunęłam spluwę do swojej torebki i przekręciła głowę w moją stronę. – Texowi, mam na myśli.



Poruszyłam się niespokojnie na siedzeniu i uruchomiłam wóz. – Może... jeśli będę w stanie.

– Zamierzam ot tak tam wparować?

– Jestem bliźniakiem Nixona. – Szeroko się uśmiechnęłam. – Mam takie samo prawo być tam jak i on. Mimo wszystko jestem księżniczką Mafii, chłopaki będą wkurzeni ale to nie tak żeby nie mieli większych problemów no i mam świetną wymówkę.

– Co? Niepoczytalność? – Trace przewróciła oczami.

– Nie, oczywiście, że nie. – Wyciągnęłam telefon Nixona z kieszeni. – Ma mój telefon zamiast swojego, przeklęte iPhone, nigdy nie wiadomo, który jest czyj.

– Przerazająco kapitalne. – Pokiwała głową z aprobatą zaciskając usta. – Postaraj się nie zginąć, okej?

– Pomódl się a tak się stanie.

– Ostatnimi czasy modlę się i to sporo.

– Wierzę ci. – Wycofałam z podjazdu i ruszyłam w kierunku magazynu. Rzecz odnośnie Komisji... będzie tam zbyt wielu ludzi by można było zorganizować to w hotelu no i poza tym możliwość strzelaniny też była pewnego rodzaju problemem. Więc spotykaliśmy się u jednego z dostawców rodziny Abandonato. Magazyn poza przedstawicielstwem handlowym wykorzystywany był do pakowania i wysyłki ale sprawdził się i był do przesady czysty, a także pomogło to, że jak go budowano to okna zostały podwójnie wzmocnione na równi z faktem, że wszędzie były zainstalowane kamery wideo.

Kontrolowaliśmy środowisko ale za cholerę nie kontrolowaliśmy wyniku. Zanim dotarliśmy na miejsce, miałam już spocone dłonie. Oddalone było zaledwie o dwadzieścia minut drogi od domu ale ja czułam każdą z tym minut jak powoli przemija.

– No... – Trace klasnęła. – I jesteśmy.

– Tak. – Oblizyłam swoje suche wargi. – Jesteśmy.

Parking wypełniony był Mercedesami i czarnymi SUV'ami.

– Przesiądę się na miejsce kierowcy by mieć szybką drogę ucieczki.

– Pewnie. – Parsknęłam. – Jak w filmach.

Trace uśmiechnęła się smutno. – No tak.

– Kocham cię. – Ucisnąłem ją i szybko wysiadałam z auta kiedy ona wyszeptała.

– Też cię kocham.

Moje buty stuknęły o chodnik kiedy szłam w kierunku drzwi. Głęboko wciągając powietrze, pchnęłam metalowy uchwyt i weszłam do środka. Nie ma odwrotu.

Brzmiało to jak rój pszczół kiedy paplanina brzęczała się wokół mnie. Weszłam głębiej do pomieszczenia. Długie, prostokątne stoły zostały ustawione w kształt litery U. Kawa i herbata stała w dzbankach na każdym stole. Czarne tkaniny pokrywały każdą powierzchnię. Gdybym nie była w magazynie, pomyślałabym, że jestem w restauracji.

Odchrząknęłam. Rozmowy ustały i wszystkie oczy zwróciły się na mnie.

Lekko wzruszyłam ramionami i podeszłam do Nixona trzymając jego telefon.

– Pomyślałam, że może ci się przydać.

Zmarszczył brwi zabierając telefon z moich rąk.

– I tak nie odpowiadałbym teraz na telefony, dobrze o tym wiesz Mo.

– No, ale jestem twoją siostrą. – Trzepnęłam go w głowę dla efektu. – Martwię się.

Kilkoro z mężczyzn zaśmiało się kiedy inni wyszeptali. – Kobiety.

Nic nie umknęło uwadze Nixona kiedy przyglądał się mojemu ciemnemu strojowi, zerknął w dół na moje buty, przeblysk srebra musiał przykuć jego oko kiedy zastygł, a potem spojrzał mi w oczy.

– W jaką grę bawisz się moja siostrzyczko?

– Moją ulubioną – wyszeptalam. – Łowców i lisy.

Raz skinął głową po czym się odwrócił.

– Panowie, jestem pewien, że ona opuści to miejsce zanim rozpocznie się spotkanie.

Machnęli na niego ręką kiedy podeszłam do jednego ze stołów i nalałam sobie kawy.

Ręka wystrzeliła aby dotknąć mojej.

– No, no, nieźle doprowadziłaś się do ładu.

Głos Alfonso zmroził moją krew. Wyrwałam się z jego uścisku i syknęłam.

– Wygląda na to, że zaprosili każdego na tę imprezkę, hmm?

– Zaproszono jedynie tych najważniejszych, plugastwo właśnie przyjechało. – Odpalił swoje cygareto i rozsiadł na krześle. Niemal nie przywaliłam mu w głowę ale w zamian wywróciłam oczami, złapałam swoją pełną filiżankę i poszłam z powrotem w stronę Nixona. Unosząc filiżankę do ust, przeszukałam wzrokiem pomieszczenie, zapamiętując każdy pewny detal. Rodzina Campisich siedziała u szczytu stołu; Tex stał w ich pobliżu ale nie rozmawiał. Klan Nicolasi zasiadał na prawo od rodziny Campisi a trzy pozostałe: Alfero, De Langes i moja

rodzina po lewej. Nixon z Chasem rozmawiali szeptem kiedy wszyscy mężczyźni śmiali się i udawali, że świat właśnie się nie kończył.

W każdej chwili teraz, Tex.

W każdej chwili.

Musiał uderzyć zanim zaczniesz spotkanie. Ale wcześniej musiał ich rozproszyć bardziej, na tym etapie będzie musiał zabić wkraczając w linię mężczyzn, co oznacza, że zostanie postrzelony zanim w ogóle przejdzie do człowieka numer dwa.

Do dupy. Odstawiłam kawę na najbliższy stół i zrzuciłam kurtkę. Byłam przygotowana na najgorsze. Z ziewnięciem rozciągnęłam ręce nad głową a potem strzeliłam szyją przykuwając uwagę kilku mężczyzn przed sobą. Kiedy sięgnęłam po kawę niezgrabnie upuściłam ją na podłogę. Rozbiła się więc zakląłam i schyliłam się nisko, moja góra pogłębiła się dając każdemu facetowi przede mną odpowiedni widok na moje piersi.

Krzeseła się odsunęły i w mgnieniu oka miałam kilku uczestników spotkania pomagających mi pozbierać kawałki mojej roztrzaskanej filiżanki.

– Ostrożnie. – Jeden z mężczyzn pomógł mi wstać. – Nie chcemy przecież żebyś poplamiała sobie ubrania krwią.

– Ciężko się jej z nich pozbyć. – Pokiwałam głową niewinnie.

– Tak, ciężko – powiedział szorstko, jego oczy otaksowały mnie od głowy do stóp. – Naprawdę ciężko. – Ohyda, był ponad dwa razy starszy ode mnie i łysy. Odwdzięczyłam się słodkim uśmiechem. – Bardzo dziękuję za pańską pomoc, tak mi przykro, czuję się głupio.

– Nie, nie. – Ręka innego mężczyzny pojawiła się i złapała mój nadgarstek. – To nie stanowić problem. – Jego akcent był ciężki, niemal cięższy od Alfonso. Jeśli dobrze policzyłam odciągnęłam przynajmniej troje celów Campisi od Tex'a. Musi to wystarczyć. Dobry Boże żeby to wystarczyło.

Coś walnęło o jeden ze stołów. Spojrzałam Texowi w oczy kiedy pochylił się groźnie .

– Chciałbym otworzyć to posiedzenie.

Alfonso coś wybełkotał, zrobił się cały czerwony i odepchnął się od stołu.

– Jedyne *Cappo di Cappo* może otworzyć posiedzenie.

Usta Tex'a rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu.

– Właśnie to uczyniłem.

Alfonso zmrużył oczy. – To jeszcze nie zostało postanowione.

– Więc postanówmy to teraz. – Tex obszedł stoły, stanął w centrum trzymając swoje ręce w powietrzu. – Mimo wszystko, nie tylko próbowałeś mnie porwać, zamordować mnie i siostrę Nixona ale wyceniłeś moją głowę na dziesięć milionów pieprzonych dolarów. – Odrzucił głowę w tył i się roześmiał. – Rodzina warta jest pięć razy tyle, jak nie więcej. – Uśmiechnął się szyderczo. – Co oznacza tylko jedno... nie masz dostępu do środków bo mój ojciec nigdy nie wskazał cię jako następcy. Jesteś tu bo ja na to pozwalałam, oddychasz, bo ja na to pozwalałam i żyjesz bo ci ja na to pozwalałam.

Bossowie wstali.... Luca, Nixon, Mil, Frank i zaczęli krążyć po sali.

– Ty. – Alfonso wypluł wskazując palcem na Tex'a. – Jesteś przekleństwem, obrzydlistwem, nigdy nie powinieneś być się urodzić!

– A mimo to. – Tex westchnął i uniósł ręce w powietrze. – Tutaj jestem.

– Jesteś za młody.

– A ty jesteś za brzydki ale jakoś nie widzisz żebym wykrzykiwał to z dachów. Ja jestem wszystkim. Jestem twoim stwórcą, twoim kreatorem, dilerem śmierci, twoim pieprzonym zbawieniem. Pogódź się z tym albo odejdz.

– A jeśli zagłosujemy i przegrasz? – Alfonso wzruszył ramionami. – Wycofasz się?

Mięsień zacisnął się w szczęce Tex'a. Musiał coś zrobić, ludzie zaczęli się przegadywać między sobą. Wiedziała co powiedzą. Tex był młody, nie był niczym pewnym, nie był rozsądny.

– Twój własny ojciec cię przeklął! – Alfonso wypluł. – To jest fakt, fakt który wy wszyscy dobrze znacie. Odesłał cię, jaki ojciec robi coś takiego jednemu synowi? Nigdy po ciebie nie wrócił. – Alfonso roześmiał się do siebie i uniósł rękę do mężczyzn go otaczających. – Uważacie, że możecie obdarzyć zaufaniem zwykłego dzieciaka, którego nie chciał nawet własny ojciec? No i nie zapominajmy.... Tex zabił bossa wszystkich bossów, zabił go z zimną krwią.

– Miał pomoc. – Zęby Luki szczęknęły.

– Winny. – Alfonso wzruszył ramionami. – Każdy kto pomógł mu będzie winnym. Śmierć jest jedynym rozwiązaniem. Zabijesz Cappelletti, zostaniesz zabity. Pomogłeś opracować plan jego zabicia? Twoja śmierć należy do mnie.

Wstali wszyscy Campisi potakując swoimi głowami.

Ramiona Tex'a wyprostowały się.

A ja wiedziałam, że postanowił. Zamierzał dać pokaz siły.

– Abandonato mnie nie chcą, Nicolasi się mnie boją, Campisi nie wiedzą co ze mną zrobić a De Lange i Alfero chcą trzymać się od tego z daleka. No i co człowiek ma począć?



Alfonso złożył ręce przed sobą.

– Może umrzeć, z honorem i pozwolić rodzinom panować w pokoju.

Tex skrzywił się i pokręcił głową.

– Widzisz wuju, to właśnie problem, po co tworzyć pokój kiedy wojna to taka zabawa. Czy pokój zwiększy twoje dochody? Nie. I myślę, że na koniec gdzie są pieniądze, tam przetrwa Rodzina. Mówisz o pokoju, głosisz o honorze, a mimo to wciąż kręcisz rynkiem prostytucji poza Sycylią, wyciągając dziewczęta od swoich rodzin oferując ochronę jako cenę. Mówisz, że jestem za młody ale ja mówię, że jesteś za stary, za stary by zdać sobie sprawę, że stare sposoby już nie działają. Strach rodzi więcej strachu, manipulujesz za dużo i ukazujesz swoją słabość. Pokój? W żadnym razie, dążę do ściągnięcia ogni piekielnych z Pięcioma Jeźdźcami... i zamierzam zacząć od ciebie.

# CHAPTER

# 67<sup>TEX</sup>

## CZESC TRZECIA: OCZYSZCZENIE

*Krew oczyszcza wszystko to, co jest w nas złe.*

POTRZEBOWAŁEM, ŻEBY MO przesunęła się odrobinę w prawo, ale nie miałem jej jak tego powiedzieć. Potrzebowałem też, żeby kilku ludzi odeszło od Nixona, ale też nie mogłem im tego powiedzieć. Zamiast tego kontynuowałem grożenie Alfonso, zmuszając go do reakcji. Ale był potulny, tak dobry w przekręcaniu słów.

Mo miała rację.

To był czas na akcję.

– Ty głupie, głupie dziecko. – Oczy Alfonso zapłonęły kiedy ludzie znów zamilkli.

Wyszczrzyłem się.

– Mój ojciec powiedział coś podobnego zanim wpakowałem trzy kulki w jego głowę.

Głośne westchnienie było słyszalne kiedy kilku ludzi zaczęło krzyczeć między sobą. Podniosłem do góry dłoń, żeby ich uciszyć.

Alfonso zacisnął pięści po swoich bokach.

– Nazwał mnie przeklętym i na koniec, myślę, że to on był przeklęty, przecież już ode mnie uciekał. Już w tamtej chwili bał się prawdy jaką zobaczył w moich oczach, tej, że go wykończę. Że będę jego śmiercią. Myślę, że zobaczył to kiedy się urodziłem. Myślę, że czuł w kościach, że go dorwę.

Zamknąłem oczy i pozwoliłem goryczy i oburzeniu wypełnić mnie, zamierzałem tego użyć, zamierzałem użyć tej ciemności dla dobra, nawet jeśli mnie zabije. Myślałem o moim ojcu, o byciu porzuconym, byciu przeklętym. Kiedy moje oczy się otworzyły, wściekłość mnie pochłaniała kiedy spoglądałem dookoła budynku. Morze znajomych twarzy patrzyło przeze mnie. To było jakby minione dwadzieścia pięć lat mojego życia nie miało w ogóle znaczenia.

Czy byłem dla nich niczym?

Niczym prócz żartu?

Realność mojej sytuacji uderzyła mnie pełną mocą, stłumiłem jęk, kiedy walczyłem z zasysaniem długich oddechów tym zakurzoną powietrzem.

– To twój wybór. – Głos powiedział wyrównanym tonem, przebijając powietrze swoją nieodwołalnością.

– Błąd. – Gapiłem się na cementową podłogę; przygaszony szary kolor zabarwiały plamy krwi. – Jeśli naprawdę miałbym wybór, wybrałbym śmierć w łonie matki. Utopiłbym się gdy miałem trzy lata. Zastrzeliłbym się, gdybym miał szansę. Nie dajcie mi cholernego wyboru, i dobrze o tym wiecie.

– Nie boisz się śmierci? – Głos szydził.

Powoli, podniosłem głowę, krzyżując spojrzenie z Mo i wyszeptałem: – To życie. Życie przeraża mnie jak diabli.

Pojedyncza łza spłynęła z jej policzka i w tej chwili wiedziałem co muszę zrobić. Przecież w życiu chodziło o wybory. A ja zamierzałem dokonać swojego. Bez wahania, złapałem pistolet zza paska z tyłu spodni, wycelowałem w Mo i pociągnąłem za spust.

Z jękiem upadła na podłogę. Pocisk musnął moje ramię kiedy ukląknęłam sięgając po półautomat na betonie. Kiedy wstałem, wystrzeliłem ciąg pocisków; dźwięk ich trafiających w cement, cegły, ciała, krzesła i wszystko inne na linii ognia, wypełnił mnie większym spokojem niż miałem w całym życiu podczas wojny.

Podszedłem ku niemu, człowiekowi, którego zamierzałem zabić, mężczyźnie, który sprawił, że czułem jakby cała moja egzystencja nic nie znaczyła. Przycisnąłem broń do jego klatki piersiowej i nacisnąłem spust po raz ostatni. Kiedy opadł przede mną, to wciąż miał uśmiech na twarzy, jego oczy wciąż były otwarte, rozweselone.

Chaos panował wokół mnie, a potem nagle, wszystko się zatrzymało.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem przynajmniej dwadzieścia ciał i Nixona gapiącego się na mnie jakby w ogóle mnie nie znał... ale może tak było. I czy to nie było do dupy?

Zrobił krok w przód z rękami w powietrzu.

– Tex...

– Nie – powiedziałem, uśmiechając się. – Nie Tex. Dla ciebie? – Wycelowałem pistolet i pociągnąłem za spust. – Jestem *Cappo*.

Nixon się wzdrygnął, ale nie poruszył, kiedy kula śmignęła mu obok głowy i uderzyła w mężczyznę za nim... tego, który celował bronią wprost w tył jego głowy.

Odwrociłem się powoli, siedemnaścioro z moich celów, było martwych, troje wciąż żyło, i troje niewinnych ucierpiało w krzyżowym ogniu.

– Co ty do diabła robisz? – Ktoś krzyknął.

– Wysysam truciznę. – Nacisnąłem spust, zabijając kolesia, który zadał pytanie. Jeszcze dwóch.

Ostatnia dwójka, która była z Alfonso, spojrzała po sobie, potem na mnie, obaj odrzucili broń i unieśli ręce.

– Jestem waszym sędzią, ławą przysięgłych i waszym egzekutorem. – Splunąłem. – Jestem waszym posesorem – krzyknąłem, odwracając się, żeby każda głowa rodziny mogła widzieć moje oczy. Mo podniosła się z ziemi i spokojnie podeszła do boku Nixona. Ledwo musnąłem jej ramię, ale prawdopodobnie wciąż paliło jak diabli. – Myślicie, że zawaham się przed zabiciem moich przyjaciół? – Skinąłem do Phoenix'a, a potem do Nixona. – Jestem Campisi, jestem waszym liderem, zdradź mnie, a nic cię nie uratuje. Nic nie odkupi cię w moich oczach. Nie zawaham się zabić was tam gdzie stoicie. Albo jesteście ze mną albo przeciwko mnie.

Nixon pierwszy zrobił krok w przód, rzucając broń na ziemię.

– Jesteśmy z tobą.

Chase podążył za nim, potem Mil, Luca, Frank, reszta ich współpracowników kiwała w potwierdzeniu.

Napięcie opadło z moich ramion.

– Nigdy więcej. – Mój głos był ochryply. – Vito Campisi nie żyje, jego spuścizna umiera wraz z jego ludźmi, umiera z Alfonso, stoję przed Komisją i domagam się nowej ery. Pełną dumy, a nie sekretów i oszustw. Takiej, która przywróci rodzinom potęgę. – Skrzyżowałem wzrok z Phoenix'em. – Zamiast wstydu.

Wszyscy skinęli ze zgodą.

Dwa cele Campisi stanęli przede mną, obaj z pochylonymi głowami. Nie chciałem więcej zabijać, już byłem odrętwiały z poczucia winy, gniewu, smutku... Zrobiłem to co trzeba było zrobić, i będę musiał z tym żyć do końca moich dni.

Przełykając, wycelowałem broń w pierwszego.

– Czy wrócisz ze mną jako świadek, czy mam wykończyć cię tutaj? Skłamał a to będzie ostatnia rzecz, która opuści twoje usta.

– Wróć. – Facet się trząsł. – Z dumą, wróć z *Cappo di Cappo*.



Kiwając głową, przesunąłem broń do drugiego. Podniósł głowę i uśmiechnął się szyderczo.

– Zgnij w...

Pociągnąłem za spust, tylko raz, a on opadł na ziemię.

Wykrzywiłem usta i się odwróciłem.

– Ktoś jeszcze?

W pomieszczeniu panowała cisza. Luca był blady, kiedy podchodził do mnie, nie zauważyłem, że kulał. Z grymasem na twarzy sięgnął po moją twarz i pocałował mnie w oba policzki.

– Niech Bóg błogosławi nowego *Cappo di Cappo*, niech chroni nasze rodziny do końca.

Ludzie powtórzyli: – Do końca.

– Amen. – Luca wyszeptał, pojedyncza łza spłynęła w dół jego twarzy. Złapałem jego ramię kiedy opadł na mnie. Z przekleństwem, położyłem go na ziemi szukając ran.

Kiedy rozerwałem jego marynarkę, było już za późno.

Dwie kule rozerwały jego brzuch. Jego oczy się zamknęły.

Luca Nicolasi, boss drugiej najpotężniejszej Rodziny na Sycylii właśnie zmarł w moich ramionach... po błogosławieniu mnie na nowego lidera pięciu klanów.

# CHAPTER 68 PHOENIX

*Gdy umiera boss, jego spuścizna umiera razem z nim, ludzie... są straceni.*

WALCZYŁEM ZE ŁZAMI kiedy patrzyłem jak życie opuszcza ciało Luki. Co zrobiłem źle? Próbowałem go chronić, odepchnąłem go z drogi, zamiast tego musiałem wepchnąć go w linię ognia. Wina zalała każdą moją myśl, kiedy próbowałem złapać oddech, tylko, żeby potrzebować kolejnego i kolejnego. Na nogach cięższych niż ołów, podszedłem do ciała i opadłem na kolana. Mężczyzna, który był mi bliższy niż ojciec, mężczyzna, który uratował mi życie, być może moją duszę, właśnie odszedł.

I oplakiwałem to, pokazując mu naszą więź.

Więc siedziałem cicho, kiedy wewnątrz krzychałem z niesprawiedliwości. To powinienem być ja. Ludzie tacy jak Luca, nigdy nie wiesz czy są źli czy dobrzy. W jednej chwili wyskakują z takimi mądrymi bzdetami, że trzeba je respektować, a w następnej chwili ich słowa są śmiertelne.

Przez ostatni miesiąc Luca był moim jedynym przyjacielem. Jedyną osobą, która zobaczyła prawdziwego mnie i się nie odwróciła.

Właśnie straciłem wszystko.

I nie mogłem nawet płakać.

Frank owinał ramię wokół mnie i ścisnął. Wiedział. Frank wiedział. Podniosłem wzrok na Sergio, stał u boku rodziny Abandonato podczas walki. Jego twarz była blada, kiedy przygryzał mocno swoją dolną wargę.

Zrobiłem wszystko dobrze.

A mimo to ktoś zginął z mojej ręki. To w końcu był mój plan, sprawić, żeby bali się Tex'a. Luca powiedział, żeby zaprosić Alfonso i jego ludzi, że to będzie sposób by zawarli pokój z Tex'em, chciał, żeby przedyskutowali logicznie co powinno się stać i kto powinien stanąć na czele rodziny.

A ja zrobiłem na przekór, mówiąc Tex'owi zupełnie coś odwrotnego, wiedząc, że to była sytuacja, w której słowa by nie zadziałały.

– To nie twoja wina, synu – wyszeptał Frank. – Ufał ci, i to był jego plan od samego początku.

Oczy Tex'a błysnęły.

Przełknąłem wielką gulę w gardle.

– Zginać?

Frank uśmiechnął się smutno.

– Żebyś ty żył.

Nie śpieszyliśmy się kiedy wszyscy bossowie potrzęsali swoimi rękami, ustalając wszystko między sobą. Odrętwiały, patrzyłem jak każdy boss całował prawą rękę Tex'a. Zrobiliśmy dobrą rzecz. W końcu porządek został przywrócony.

Kosztem życia Luki.



# CHAPTER 69 <sup>TEX</sup>

*Może, tylko może, zakończenie nie jest takie złe. Co nie oznacza, że możemy nazwać je szczęśliwym... ale być może to, że nie jest złe, jest wszystkim co było nam dane.*

Wciąż byłem w szoku kiedy wracałem z Mo do domu. Trzymała mnie za rękę i nic nie mówiła. Przerazało mnie, że była świadkiem tej strony mojej osobowości i jednocześnie byłem pokrzepiony, że żyła, oddychała i była cała.

Wspólnie zdecydowaliśmy by nasi ludzie wrócili do hotelu podczas gdy bossowie rodzin udali się na spotkanie. Było ich teraz jedynie czterech. Powinno być pięciu.

Posłałem Mil i paru ludzi od De Lange by zajęli się ciałem, wiedząc dobrze, że w związku z ich ciekawym pochodzeniem, będą w stanie przetrzymać je w lodzie do czasu aż zaplanujemy pogrzeb.

Kiedy wszedłem do domu, zobaczyłem Nixona wyładowującego się na ścianie.

Chase pchnął go w stronę krzesła i krzyknął.

– Uspokój się człowieku.

Nixon odepchnął Chase'a i szarpnął za krzesło, siadając na nim i krzyżując ramiona.

Sergio i Phoenix dyskutowali ze sobą a Frank stał w pobliżu kuchni.

– Wystarczy – powiedziałem łagodnie.

Wszystkie oczy spojrzały na mnie. Mo ścisnęła moją dłoń i poszła dalej korytarzem.

– Taki właśnie był twój plan? – Nixon wyszeptał. – Dlaczego?

– To była moja wina – powiedział Phoenix. – Luca, Frank i ja... wiedzieliśmy, że Tex musi stawić opór, wiedzieliśmy że musi się to stać na oczach całej rodziny. – Jego ramiona opadły. – Luca chciał użyć słów. Sergio wręczył mi zaproszenie dla Alfonso i jego ludzi. Sądziłi, że jadą na Komisję by celebrować przejęcie kontroli nad Rodziną... oficjalnie.



Sergio jęknął. – Właściwie... – Kaszlnął i rozglądnął się. – Luca wiedział, że gadanie nic nie da.

– Co? – Phoenix syknął.

Z przekleństwem Sergio klapnął na jedno z krzesel i odezwał się drętym głosem.

– Wiedział, że Phoenix musiał wykazać się na nowo w celu odzyskania szacunku dla samego siebie, który utracił. On znał cię... – Sergio przelotnie zerknął na Phoenixa. – Wiedział, że nie spodoba ci się pomysł Tex'a wchodzącego do pokoju tylko po to by najpewniej zostać zastrzelonym... na równi z resztą Rodziny. Luca odkrył, że Alfonso chce ukarać dla przykładu Nixona, Chase'a, żony, Franka... – Jego głos się załamał. – Dał Phoenixowi wybór, wykonać zadanie jak miał powiedziane lub wykonać ruch, ruch jaki jedynie boss mógł wykonać.

Phoenix zbladł.

– A co jeśli nie powiedziałbym Tex'owi?

– Wtedy by nas tutaj nie było. – Sergio powiedział cicho. – Ufał, że ostatecznie postąpisz właściwie, odkupisz siebie, odnajdziesz swoją duszę i w końcu zaznasz wewnętrznego spokoju. Wiedział, że to było ryzyko, wiedział, że może przy tym stracić życie, wiedział, że wszyscy zginiemy jeśli Tex nie zrobi czegoś. On znał cię, Phoenix, lepiej niż znasz sam siebie.

Nixon głośno wypuścił powietrze i rozparł się na krześle.

– Czemu nie powiedzieliście nam?

– Jeśli sprawy przybrałyby zły obrót – powiedziałem w końcu. – To dałoby się przypisać wszystkim za wyjątkiem ciebie... – Przełknąłem. – Abandonato jest najpotężniejszą rodziną w Ameryce, potrzebowaliśmy was czystych, żywych i w niewiedzy.

– Nie powinieneś był robić tego ruchu. – Odezwał się Chase.

– Zrobiliśmy co było najlepsze – powiedział Frank. – Twoja rodzina brała na siebie ten ciężar od przeszło dwudziestu lat, to był czas by chronić was, to był czas by postąpić właściwie.

Trzęsąc się w końcu usiadłem.

– Co stanie się teraz, czy mam przenieść się na Sycylię, kierować rodziną stąd, powołać zastępcę? – Jęknąłem. – Wciąż wżenić się w rodzinę Nicolasi?

Frank zawahał się przez moment po czym zabębnił palcami o blat stołu.

– No cóż, to wszystko zależy...

– Od czego? – Warknąłem, moja cierpliwość oficjalnie się wyczerpała.

– Od Phoenixa.

Frank wstał, drżącą dłonią wyciągnął jakiś papier ze swojej kieszeni i czytał.

– Na warunkach mojej ostatniej woli i testamentu, zostawiam wszelki mój ziemski dobytek, wymieniony szczegółowo w moim testamencie, Phoenixowi De Lange.

Szczeńka mi opadła a Phoenix wydał z siebie dźwięk, który brzmiał w dużej mierze jak skowyt.

– Rozumiem, że Rodzina Nicolasi będzie potrzebowała lidera, rozumiem również, że w rzadkich przypadkach dopuszczalne jest wybrać kogoś kto nie jest krwią, kogoś kto posiada serce wojownika, o lojalności prawdziwego członka rodziny. Krew nie zawsze wygrywa. W końcu krew jest częścią ludzkiego serca i ja uznaję to serce za gotowe by przewodniczyć. Wskazuję teraz z nazwiska kolejnego przywódcę Rodziny Nicolasi: Phoenix De Lange.

Frank odłożył papier i otarł czoło szmatką.

– Więc, jak powiedziałem, sądzę, że wszystko zależy od Phoenixa, co będzie twoim pierwszym aktem jako Bossa?

Phoenix siedział tak cicho, że myślałem iż zszedł na atak serca albo przynajmniej z szoku.

Jego twarz była cała blada.

– Ale ja nie jestem jego synem, ja nie...

– Byłeś bardziej jego synem... – Głos Franka zadrżał. – Niż mógłbyś kiedykolwiek przypuszczać.

– Ja... – Głos Phoenixa łamał się. – Ja potrzebuję... trochę czasu.

– I drinka. – Nixon głośno odetchnął i mocno uderzył w stół. – Niech ktoś da mu drinka.

– On już nie pije. – Oderwałem wzrok od Phoenixa i nawiązałem kontakt wzrokowy z Nixonem. – Ale jestem całkiem pewny, że teraz jest idealny moment by na nowo popaść w nawyk.

– Żadnych drinków. – Phoenix uniósł dłoń. – Czas, potrzebuję czasu.

# CHAPTER 70<sup>Mo</sup>

*Mafia jest tam gdzie złamane serca idą na śmierć...*

TRZY GODZINY.

Czekałam trzy godziny by Tex zapukał do moich drzwi. Chciałam by wszedł do pokoju i przynajmniej mi powiedział, że wszystko będzie okej.

Moje ramię trochę bolało ale było ledwo drażnione i nie krwawiło za dużo, łyknęłam jakieś tabletki przeciwbólowe w każdym razie i próbowałam czytać książkę.

Ale jak tu się skupić na pierdzielonym romansidlu po przeżyciu strzelaniny? No bo poważnie. To było niemal śmiechu warte... niemal. Mój żołądek się zacisnął kiedy zobaczyłam jak Luca pada na ziemię. Nigdy nie ufałam mu w stu procentach ale on był dobry... na końcu, był dobry i zginął. To było nie w porządku ale nikt nie powiedział, że Mafia to miejsce gdzie doczekasz się sprawiedliwości i równości.

Nawet jeśli czekałam na to, delikatnie pukanie do drzwi przestraszyło mnie. Otworzyłam usta by powiedzieć 'wejdz' ale Tex już otwierał drzwi niemal wyrwijąc je z zawiasów. Trzasnął nimi za sobą i maszerował w moją stronę z intensywnym spojrzeniem pełnym powagi.

Przełknęłam ślinę. – Nie jest dobrze?

– Wyjdz za mnie. – Pocałował mnie, mocno, tak mocno, że opadłam na łóżko z sapnięciem.

– Co?

– Jeszcze raz, tak naprawdę, wyjdz za mnie. – Jego wargi zderzyły się z moimi a jego język wypełnił moje usta. Mój oddech przyspieszył kiedy jego dłonie przesunęły się na mój brzuch. – Proszę, proszę, nie mów nie. Nie przeżyję tego Mo, nie przeżyję.

– Ale....

Usta Tex'a znów natarły na moje kradnąc moje słowa.

– Ale kontrakt.

– Nieważny. – Drażnił moją dolną wargę swoim językiem. – Podarty.

– Co? – Delikatnie pchnęłam jego pierś. – Jak? Czemu?

Tex westchnął i odsunął się. – To długa historia.

– To mi opowiedz.

– Najpierw powiedz tak.

Uśmiechnęłam się na jego pełne nadziei spojrzenie, on był zbyt piękny, nawet będąc świadkiem całej tej śmierci i destrukcji, patrzyłam na niego i widziałam piękno, widziałam dobroć, miłość i pożądanie. Jego niebieskiego oczy błysnęły potrzebą kiedy pochylił się nade mną, jego szorstka szczeka ocierała się o mój policzek. – Powiedz tak.

– A jakie było pytanie?

Tex odsunął się, wstał i złapał obie moje dłonie, następnie jakby namyślił się i klęknął na jedno kolano.

– Wyjdź za mnie, nie dlatego że ktoś trzyma cię na muszce, nie dlatego, że musisz, nie dlatego, że nie ma innego wyjścia czy przekłętego kontraktu podpisanego krwią. Wyjdź za mnie dlatego, że cię kocham. Kocham Monroe Abandonato każdą tkanką w swoim ciele, kocham cię. Wyjdź za mnie, ponieważ chcesz tego, bo nie przetrwam bez ciebie, ponieważ nie chcę wyobrazać sobie świata, w którym nie jesteśmy razem. Wyjdź za mnie, bo nie mogę znieść myśli by budzić się obok kogoś kto nie jest tobą, tak długo jak pozwoli żyć mi Bóg, chcę budzić się widząc twoją twarz, twoje usta, twój uśmiech, ciebie. Chcę po prostu ciebie. Bóg mi świadkiem Mo, gdybym miał jedno życzenie na tym świecie, poprosiłbym o ciebie. Za każdym razem. Poprosiłbym o ciebie.

Łzy ciekły mi po twarzy kiedy przytaknęłam.

– Tak, tak, wyjdę za ciebie.

Jego usta zderzyły się z moimi kiedy pchnął mnie w tył i zawisnął nade mną przeszukując moje oczy. Wtedy z miękkim westchnieniem zaczął obsypywać pocałunkami moje usta, szyję, brodę... Jęknęłam z rozkoszy kiedy uniósł moją koszulkę, jego usta poruszały się przez mój brzuch, pieszcząc każdy fragment mojej skóry aż moje ciało zaczęło dla niego płonąć.

– Czekaj. – Sapnęłam napierając na jego twarde ciało. – Jak?

Przestał mnie całować i oparł głowę na mojej klatce piersiowej.

– A ma to znaczenie?

– Jak kontakt został unieważniony?

Tex powoli uniósł głowę.



– Przez Phoenix'a.

– A mógł tego dokonać?

– Jest nowym bossem rodziny Nicolasi. Może robić cokolwiek do cholery zapragnie, od targania kontraktów po puszczanie z dymem swoich portek. – Powoli przesunął się w górę łóżka aż nasze usta się spotkały. – Teraz, czy możemy się proszę kochać? Jestem cholernie zmęczony toczeniem wojen, Mo. W końcu jestem zmęczony toczeniem wojen.

– Tak – powiedziałam chrapliwie. – Możemy się kochać.

Mocno pocałował mnie w usta. Wygięłam się w łuk przy nim i ośwładnęło mną szaleństwo. Wolni! Byliśmy w końcu wolni by być razem. Oddałam mu się z jękiem kiedy ściągał mi koszulkę przez głowę i złożył delikatny pocałunek na mojej brodzie.

– Trzy godziny? – Drażniłam się.

Jego oddech był nierówny kiedy cofnął się i przemówił z czcią.

– Każda godzina. – Pocałował mnie w czoło. – Każdy dzień. – Jego pocałunki przeniosły się na prawy policzek, potem na lewy. – Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

– Łał. – Westchnęłam. – To wiele godzin.

– Obiecay mi dożgonność... ja dam ci wieczność. – Jego wargi pieściły moje. – Dam ci wszystko.

– To dobrze. – Szarpnęłam go za włosy i wypuścił zduszony jęk.

– Wrogowie?

– Zawsze... – Droczyłam się zawijając ramiona wokół jego szyi. – Aż do końca?

Zaśmiał się a potem zdjął swoją koszulkę.

– Masz cholerną rację, aż do końca.

# CHAPTER 71 PHOENIX

*A więc się zaczyna... spuścizna, której nikt nie chciał, spadła na kolana  
mordercy.*

MOJE RĘCE SIĘ TRZĘŚŁY kiedy wpatrywałem się w stos papierów przede mną. Rok temu nie byłbym onieśmielony białą–czarnym atramentem, podpisami i przerywanymi liniami.

Ale byłem absolutnie przerażony.

Mój umysł nie pozwolił mi na zarejestrowanie faktu, że Luca planował to wszystko, że wstępnie ustalił, że byłem godzien, kiedy nawet nie był pewny czy tak się stanie.

Wiara, na którą naprawdę nie zasługiwałem i rodzaj miłości, której nigdy nie było mi dane znać... dopóki nie było za późno.

Frank miał papiery w swoim samochodzie... w swoim cholernym samochodzie! Jakby Luca wiedział, że idzie na śmierć!

Po przeczytaniu pierwszego akapitu, moje kolana się ugięły i opadłem na ziemię, jęcząc, krzycząc... lamentując.

Potrzeba było Tex'a, Nixona i Chase'a, żeby w końcu pociągnąć mnie na nogi i zabrać mnie do biura. Nawet wtedy, byłem tak skrzywdzony, tak żywy, że bałem się, że jeśli ktokolwiek mnie dotknie, będę krzyczeć w agonii z bólu przez emocję, które się we mnie kotłowały.

– Chcesz, żebym to przeczytał? – Nixon zapytał kiedy uspokoilem się na tyle, że byłem w stanie oddychać i nie mdleć.

Skinąłem głową, gryząc pięść, kiedy gapiłem się w ścianę.

Nixon czytał, nic nie słyszałem.

Dwie godziny później kiedy w końcu powiedziałem im, żeby zostawili mnie samego... wszyscy wyszli z wyjątkiem Tex'a. Wiedziałem czego chciał, mogłem zobaczyć to w jego

oczach, napięcie i oczekiwania owinięły się wokół niego tak mocno, że koleś nie mógł przestać zaciskać pięści.

– Phoenix. – Tex oblizał usta i zajął miejsce naprzeciwko mnie. – Nie wiem czy grożenie ci jakoś zadziała. Ale będę ci grozić jeśli będę musiał. – Jego oczy skrzyły w kierunku moich zanim wróciły do wlepiania się w podłogę. – Jeśli wolisz będę płakać, to też mogę zrobić.

Westchnąłem, kuląc ramiona, starając się wczłgać w siebie.

Odchrząknął.

– Jeśli chcesz, żebym padł na kolana, spoko. – Z pomrukiem, opuścił się, jego kolana uderzyły w ciemne drewno. – Będę klęczał na moich cholernych kolanach, będę błagał i płaszczył się aż ochrypnę... nie każ mi żenić się z kimś kogo nie kocham. Nie dopuść aby ta umowa przeszła. Zrób pierwszą rzecz jako boss, pozytywną rzecz, dla mnie, dla Mo, dla Rodziny. – Jego głos był zdesperowany kiedy sięgnął po swoje włosy i zacisnął je w pięści, jego zęby zgrzytały kiedy ochrypiły szloch opuścił jego usta. – Kocham ją tak mocno. Nie mogę oddychać, chłopie, nie mogę kurewsko oddychać bez tej kobiety, nie mogę... – Łza spłynęła w dół jego policzka zanim mógł ją zatrzymać. – Nie mogę żyć tym życiem bez niej u mojego boku. Ciemność... jest tak zimna, ale jest zachęcająca, wiesz? Jakbym mógł stracić moją cholerną duszę i byłoby w porządku... ona odciąga mnie od tego, jest jedyną, która to potrafi, jedyną, która sprawia, że ta cała dziura nie wydaje się taka wielka. – Jego ręce się trzęsły kiedy kołysał się w przód i w tył. – Proszę... – Jego głos się załamał. – Proszę Phoenix, proszę daj mi tą jedną rzecz. Błagam cię, jak mężczyzna mężczyznę, przyjaciel przyjaciela, boss bossa, proszę daj mi Monroe Abandonato.

Nie zasługiwałem na jego błaganie.

Zgodziłem się nawet gdyby dał mi w gębę i potem wybuchł śmiechem... zawdzięczałem mu tak wiele. Poza tym, coś mi mówiło, że pewnego dnia będę potrzebował podobnej przysługi od niego, takiej epickich rozmiarów.

Ale to nie była siła napędowa mojej decyzji. Myślałem o Luce, o tym jakim był mężczyzną. W tej chwili, patrzyłby srogo, prawdopodobnie wkurwiony, ale postąpiłby słusznie. On zawsze postępował słusznie, więc, żeby uhonorować jego pamięć, postąpiłem słusznie drugi raz w moim życiu, postąpiłem cholernie słusznie.

– Tex. – Walczyłem jak cholera, walczyłem z emocjami wirującymi w moich żyłach, walczyłem ze złością, strachem, pokorą. – Nie musiałeś nawet pytać.

Mrugając szybko, spojrział w moje oczy, jego były wypełnione niewyłanymi łzami.

– Co?

Wstałem i wyciągnąłem rękę. Złapał ją i pociągnąłem go na nogi.

– Chcę, żeby moja pierwsza decyzja jako bossa była dobra, czysta, Bóg wie, że nie wszystkie decyzje będą łatwe jak ta. – Przyciągnąłem go do uścisku. Jego ramiona zacisnęły się wokół mnie kiedy wyszeptałem: – Bądź szczęśliwy bracie. – Bo tym właśnie był, bratem, a ja poprzysiągłem sobie w tej chwili, żeby nigdy, przenigdy nie zawieść moich braci. Ani Nixon’a, ani Chase’a, ani Tex’a.

Kilka minut później, kiedy wyszedł z pokoju, rozsypałem się i rozpłakałem. Płakałem ponieważ w końcu dostałem to, czego pragnąłem przez całe swoje życie... ale cena była zbyt wysoka.

Człowiek niezastępujący.

Jak ludziom udaje się przetrwać takie coś? Łzy spływały w dół mojej twarzy na świadomość, że nigdy nie będę w stanie zasłużyć na to co Luca mi dał, ale jestem pewny jak cholera, że będę się starał.



# CHAPTER 72<sup>MO</sup>

*Możliwe, że krew nie zawsze triumfuje – możliwe, że czasami miłość potrafi pokonać krew.*

Obudziłam się z uśmiechem na twarzy – naprawdę starałam się za bardzo tym nie ekscytować. Leżę obok najseksowniejszego faceta na ziemi a on jest cały mój, też mi coś? No nie?

Nie. Zerknęłam w lewo. Nie ma kurde opcji.

Jedną rękę wetknął pod głowę a narzuta osunęła się w dół do pasa, odsłaniając jego złote, napięte mięśnie brzucha i część kości biodrowej. Oddech mi przyspieszył od patrzenia na niego.

Ręka Tex'a wystrzeliła i złapała mój nadgarstek. Śmiejąc się próbowałam się odsunąć ale on ze wciąż zamkniętymi oczami, uniósł mnie bez wysiłku na swoje ciało a dłonie umieścił na moich biodrach.

Jedno oko się otwarło, a potem drugie podczas gdy uśmiech rozciągał się po jego twarzy.

– Bry piękna.

– A nie dobry? – Pochyliłam się i złożyłam delikatny pocałunek na jego ustach.

– Zajebicie nadzwyczajnie dobry. – Oddał mojego całusa z gorliwością. – Najlepszy poranek mojego życia. Twój?

– Ach. – Odsunęłam się i wzruszyłam ramionami. – Dałabym mu siódemkę albo ósemkę.

Tex szarpnął się pode mną podrzucając mnie, a potem przerzucił na plecy całując wzdłuż mojej szyi.

– No, no, gadaj zdrów.

Wygięłam się w łuk pod jego dotykiem. – Gadanie jest przereklamowane.

– No. – Zerwał okrycia z łóżka i pożerał mnie swoim głęboko niebieskimi oczami. – Naprawdę tak jest.

Kiedy godzinę później dołączyliśmy do reszty na śniadanie, rzeczy zdawały się być normalnymi, na tyle normalnymi na ile nasza rodzina mogła liczyć. Nixon czyścił pistolety, Chase kłócił się z Mil na temat kurczaków – nie chciałam nawet pytać. Trace nalewała sobie trzecią albo czwartą filiżankę kawy. Sergio wpatrywał się w ścianę, zapewne planując jakieś kolejne morderstwa a płatki śniadaniowe wały się wszędzie.

Sprzeczka wybuchła między Chasem i Trace jak tylko zasiadłam do stołu, znów odnośnie kurczaków. Szeroko się uśmiechnęłam i sobie też nalałam filiżankę kawy, przelotnie zerkając na Tex'a. Ziewnął a potem rozciągając ręce nad głową głośno powiedział:

– Wiesz Nixon, spałem z twoją siostrą dzisiejszej nocy.

Wszystkie rozmowy ustały.

Żył na skroni Nixona zapulsowała, spokojnie odłożył swój pistolet wciąż mając go skierowanego w stronę Tex'a i pochylił się nad stołem.

– A przez spanie masz na myśli, że strzegłeś jej cnoty czy ją odebrałeś?

Tex puścił do mnie oczko.

– Odebrałem ją.

Nixon wstał.

Tex roześmiał się i skrzyżował ręce.

– Trzy razy? – Podrapał się po głowie. – Czy może to były cztery? Mo?

Chase wybuchnął śmiechem sprawiając, że cała reszta też zaczęła się śmiać.

Nixon usiadł i jęknął w swoje dłonie.

– Głowa do góry! – Tex się wyszczerzył. – Staramy się tylko zrobić z ciebie wujka, co w tym złego?

– Poważnie, jestem za młody na tego typu stres.

– Siwizna. – Trace kaszlnęła i wskazała na Nixona.

Jego oczy rozszerzyły się w zupełnym przerażeniu.

– Żartowałam. – Trace pochyliła się i cmoknęła go w policzek. – Oj ty, srebrny lisie, oj ty.

– Brakuje mi tych lat kiedy baliście się mnie drażnić. – Nixon wywrócił oczami w kierunku sufitu. – Teraz celuję i strzelam a wy patrzycie na mnie, no co? To wszystko na co cię stać?

Tex podniósł rękę.

– Nie teraz Tex. – Nixon warknął chociaż wciąż się uśmiechał.

Phoenix wtoczył się do pokoju i usiadł na jednym z wolnych krzeseł. Wyglądał strasznie ale również... w wewnętrznej równowadze.

– Dobrze się masz? – Nixon poklepał go po plecach dwukrotnie.

– No. – Phoenix sięgnął po kubek i nalał sobie kawy. – Naprawdę myślę, że tak.

– Jak cholernie wspaniałe to jest? – Przysięgam, że Tex nie mógłby pozbyć się uśmiechu z twarzy nawet gdyby próbował.

– Co? – zapytał Chase.

– Nasza czwórka. – Oczy Tex'a były czytelne kiedy spojrzał na każdego z chłopaków po kolei. – Elekci... znowu razem... bossowie.

Nixon oparł się o krzesło, jego twarz pełna nabożnej czci.

Phoenix uśmiechnął się od ucha do ucha prawdopodobnie po raz pierwszy odkąd umarł i wrócił do żywych. A Chase potakiwał swoją głową z zachwytem.

– Tak żebyście tylko byli świadomi moi panowie. – Mil uniosła rękę. – To nie znaczy, że macie zbudować fortecę na drzewie czy wkładać peleryny. Jesteście mężczyznami więc żadnego więcej rycia imion na drzewach czy biegania po domu w samych gaciach.

– Ostatniej nocy nie miałaś nic przeciwko. – Chase wymamrotał.

– Chase! – Phoenix z Nixonem krzyknęli jednocześnie zatykając sobie uszy.

– Jak powiedziałem. – Tex uniosł swoją filiżankę. – To jest dobre. To jest naprawdę dobre.

– Tak. – Nixon spojrzał mu w oczy. – Nie inaczej.

**KONIEC!**

Przekładały i sprawdzały dla was: **Monika i Klaudia (Niux1 & Klaudiaaa90)**

**Nie życzymy sobie aby nasze tłumaczenie było wstawiane na inne chomiki, fora, strony, o których nie mamy pojęcia, facebooki czy przesyłane meilem. Przerabianie zostawcie nam – zawsze można poprosić o inny format. Dziękujemy za wszelkie komentarze i mamy nadzieję, że zastosujecie się do naszej prośby odnośnie nierozprzestrzeniania naszych tłumaczeń dalej w sieci.**

**#DreamTeam #klaudiaaa90 #niux1**